

Opowieści ze Smoky Mountain

I
stał się
cud

Lin Stepp

Opowieści ze Smoky Mountain

I
stał się
cud

Lin Stepp

Tłumaczenie Ewa Bobocińska



Tytuł oryginału: *Makin' Miracles*

Redakcja: Paweł Gabryś-Kurowski

Skład i łamanie: EKART

Projekt okładki: Magdalena Zawadzka/Aureusart

Zdjęcia na okładce:

Zdjęcie krajobrazu: copyright © Dean Fikar

Zdjęcie dziewczyny: copyright © Aleshyn Andrei

Copyright © 2015 by Lin Stepp

Polish language translation copyright © 2016 by Wydawnictwo Jaguar Sp.
Jawna

ISBN 978-83-7686-454-9

Wydanie pierwsze, Wydawnictwo Jaguar, Warszawa 2016

Adres do korespondencji:

Wydawnictwo Jaguar Sp. Jawna

ul. Kazimierzowska 52 lok. 104

02-546 Warszawa

www.wydawnictwo-jaguar.pl

youtube.com/wydawnictwojaguar

instagram.com/wydawnictwojaguar

facebook.com/wydawnictwojaguar

snapchat: jaguar_ksiazki

Wydanie pierwsze w wersji e-book

Wydawnictwo Jaguar, Warszawa 2016

Skład wersji elektronicznej: Tomasz Szymański

virtualo

konwersja.virtualo.pl

Spis treści

Podziękowania

Rozdział pierwszy

Rozdział drugi

Rozdział trzeci

Rozdział czwarty

Rozdział piąty

Rozdział szósty

Rozdział siódmy

Rozdział ósmy

Rozdział dziewiąty

Rozdział dziesiąty

Rozdział jedenasty

Rozdział dwunasty

Rozdział trzynasty

Rozdział czternasty

Rozdział piętnasty

Rozdział szesnasty

Rozdział siedemnasty

Rozdział osiemnasty

Rozdział dziewiętnasty

Rozdział dwudziesty

Rozdział dwudziesty pierwszy

Rozdział dwudziesty drugi

Rozdział dwudziesty trzeci

Przypisy

Tę książkę dedykuję wszystkim wielbicielom moich książek, ceniącym moją pracę i czytającym wszystkie moje utwory. Stokrotne dzięki! Jeśli nadal będziecie czytać, nie przestanę pisać!

PODZIĘKOWANIA

Każdy, kto osiągnął sukces, powinien doceniać pomoc innych.

– A.N. Whitehead

Dziękuję wszystkim, którzy mi pomagali, wspierali mnie i wierzyli we mnie.

Pełne miłości podziękowania składam swemu mężowi i partnerowi, J.L.Steppowi, który niestrudzenie podróżuje ze mną pomagając mi w marketingu i promocji. Wyrazy wdzięczności kieruję również do mojej utalentowanej córki, Katherine Stepp, która prowadzi moją stronę internetową i jest moją asystentką w mediach społecznościowych.

Serdeczne podziękowania składam swojej cudownej wydawczynie, Audrey LaFehr. Wyrazy wdzięczności należą też całemu zespołowi Kensington Publishing, który wydaje moje książki najlepiej, jak to tylko możliwe, i robi wszystko, aby trafiły do rąk czytelników: zastępcy redaktora Martinowi Biro, agentce prasowej Jane Nutter, wydawcy technicznemu Pauli Reedy, redaktorce Brittany Dowdle, głównej odpowiedzialnej za okładki Kristine Mills, projektantce okładek Judy York, szefowi działu zaopatrzenia Guyowi Chapmanowi i wielu innym. Jesteście najlepsi.

Rozdział pierwszy

Zabrzęczał dzwonek u drzwi. Zola podniosła wzrok i zerknęła na wchodzącą do sklepu parę. Nowi klienci ruszyli wzdłuż półek, nie przerywając rozmowy, więc wbrew swoim zwyczajom nie nawiązała z nimi kontaktu wzrokowego i nie przywitała się. Przyjdzie na to czas później.

Na razie ponownie skupiła uwagę na klientce, która stała przy ladzie. Tego dnia w Kąciku Natury panował spory ruch. W ciepły weekend pod koniec lutego do Gatlinburga zjechało nadspodziewanie dużo turystów – wszyscy pragnęli wreszcie wyjść na dwór po wielu mroźnych i śnieżnych tygodniach w Tennessee.

Starsza, pulchna kobieta stojąca przy ladzie uśmiechnęła się do Zoli.

– Jestem dosłownie wniebowzięta, że trafiłam tutaj na nową książkę Very Leeds. – Puknęła palcem w kolorową, ilustrowaną książeczkę dla dzieci, która leżała na stercie innych zakupów. – Czytałam, że Vera Leeds zaczęła pisać bajki o czarodziejkach. Mała Karen z pewnością będzie uszczęśliwiona, kiedy dostanie na urodziny tę książeczkę. Wszystkie moje wnuki uwielbiają *Dziewczęta Fosterów* Very Leeds, serial telewizyjny też lubią.

Zola zastanawiała się, czy nie powiedzieć starszej pani, że Vera Leeds, alias Vivian Jamison, mieszka w pobliskiej Wears Valley. Ale ograniczyła się jednak do stwierdzenia:

– Wnuczka na pewno ucieszy się z tej książeczki, pani Springer. No i ze skrzydełek czarodziejki, tiary oraz różdżki, które jej pani kupiła. – Zola chowała wszystkie wymienione przedmioty do specjalnego pudełka na prezenty, które potem owinęła arkuszem ozdobnego papieru. Kącik Natury oferował za darmo papier w trzech rodzajach do wyboru.

Pani Springer schowała kartę kredytową do portfelika w tureckie wzory.

– Bardzo pani dziękuję za pomoc w wyborze prezentów dla Karen. Urodziny to taki ważny dzień dla maluchów. – Spojrzała na Zolę z namysłem. – Ma pani dzieci, moja droga?

– Nie. Nie jestem jeszcze zamężna, pani Springer. Nie miałam czasu na życie osobiste; najpierw musiałam skończyć szkołę, nauczyć się prowadzić biznes i założyć własny sklep. – Zola zręcznie obwiązała zieloną wstążką pudełko owinięte papierem w motyle, dodała na wierzchu kokardę i przyczepiła na środku złotą naklejkę Kącika Natury.

Pani Springer podniosła palec do góry.

– Jestem przekonana, że po taką ładną dziewczynę jak pani już niedługo upomni się jakiś odpowiedni młody człowiek.

Zanim Zola zdążyła odpowiedzieć, w jej głowie odezwał się głos: *Zostawiła włączone światła.*

– Planuje pani jeszcze na dzisiaj dalsze zakupy, pani Springer? – zapytała po krótkiej pauzie.

Kobieta kiwnęła głową i obciągnęła różowy pulower na swej krągłej figurze.

– Tak. Dopiero przyjechaliśmy z Raymondem. Jest obok, w sklepie z artykułami drewnianymi. Zamierzamy spędzić cały dzień w Gatlinburgu i skorzystać ze słońca.

Zola położyła dłoń na jej ręce.

– Proszę mi obiecać, że zanieśe pani prezent do samochodu, zanim wybierze się pani na dalsze zakupy, pani Springer. Ostatnio mnóstwo osób zostawia zaparkowane samochody na światłach; chciałabym, żeby sprawdziła pani swój. W taki ruchliwy dzień jak dzisiaj trudno znaleźć w Gatlinburgu pomoc w razie problemów z autem.

Pani Springer wydeła usta i pochyliła się w jej stronę.

– To miło z pani strony, moja droga. Dziękuję za sugestię. Zauważyłam, że Raymond robi się ostatnio coraz bardziej zapominalski.

Wzięła od Zoli torbę z prezentem.

– Zresztą i tak nie miałabym ochoty dźwigać tej torby przez cały dzień. Książki są dość ciężkie.

Zola z ulgą patrzyła w ślad za wychodzącą klientką. Czasami wystarczyła lekka sugestia, szczególnie kiedy miała do czynienia z osobą tak otwartą jak pani Springer.

Westchnęła na widok dwóch klientek, które w tym momencie weszły do sklepu. Przydałaby się jej krótka przerwa w pracy – ale musiała poczekać na lukę w napływie kupujących. Kto by pomyślał, że piątek okaże się tak ruchliwym dniem?

Zola powitała nowo przybyłe kobiety, które od razu ruszyły oglądać towar, kierując się w tę samą stronę co para, która pojawiła się przed nimi. Kobieta, blondynka w typie Marilyn Monroe i z podobnym biustem, zaborczym gestem trzymała pod rękę wysokiego, opalonego mężczyznę o brązowych włosach rozjaśnionych przez słońce.

– Witam w Kąciku Natury – zwróciła się do nich Zola z powitalnym uśmiechem. – Czy mogę w czymś pomóc?

– Może i tak. – Blondynka omiotła Zolę taksującym spojrzeniem nadąsanych, niebieskich oczu.

Zola spokojnie wytrzymała jej wzrok, nie przejmując się tą oceną. Kobieta poruszyła się niespokojnie i skierowała błyszczące oczy na mężczyznę.

– Zapytaj ją o te szale. – Wsparła się na nim. – Może ona wie, jak to się robi.

Mężczyzna zwrócił na Zolę spojrzenie głębokich, mądrych oczu – oczu myśliciela, artysty. Interesujący mężczyzna. Zola zwróciła uwagę na kontrast między jego elegancką, białą koszulą i modnymi mokasynami a znoszonymi

dżinsami i długimi włosami związanymi z tyłu skórzanym rzemykiem. Przemknęło jej przez myśl, że temu człowiekowi brak pewności, kim właściwie jest.

Spojrzał jej w oczy i na krótką chwilę, zanim odwrócił wzrok, Zolę ogarnęło uczucie, jakby go znała, jakby już kiedyś się spotkali. Przeszył ją dreszcz.

Mężczyzna podniósł kupon wzorzystego, turkusowego jedwabiu i wskazał wzrokiem oprawione w ramki ryciny, pokazujące, w jaki sposób związać prostokąt materiału, by powstała suknia.

– Obejrzelśmy te ilustracje i zastanawiamy się, jak to się robi, jeśli w ogóle da się to zrobić.

Blondynka musnęła palcem jedwabistą materię z kwiatowym wzorem.

– Śliczna tkanina.

– Tak. To *pareo*. – Zola uśmiechnęła się do niej. – W wielu kulturach wyspiarskich, na przykład na wyspach Południowego Pacyfiku, zarówno kobiety jak i mężczyźni noszą *pareo*. To bardzo przewiewny i wygodny strój.

Zola odzyskała pewność, znalazłszy się znowu na znajomym gruncie.

– Tradycyjne *pareo* mają dwa jardy długości na jard szerokości, tak jak ten – wyjaśniała, zdejmując fartuch firmowy Kącika Natury. – Tkanina jest ręcznie tkana lub ręcznie malowana w tradycyjne wzory, kwiatowe albo określane mianem *tapa*. – Wyjęła materiał z rąk kobiety i rozłożyła go. – *Pareo* można nosić jako sukienkę, spódnicę, turban lub szal. Można to zrobić na setki sposobów, pokażę pani najłatwiejszy.

Zola owinęła szalem plecy i przyciągnęła końce do przodu. Skrzyżowała materiał i zręcznie owinęła nim ciało powyżej piersi, tworząc tropikalną sukienkę do pół łydki.

– Rewelacyjne! – zawołała olśniona blondynka. – Ja też bym umiała to zrobić.

– Oczywiście, że tak – zapewniła Zola zachęcającym głosem. Kilkoma zwinnymi ruchami zdjęła z siebie materiał i zarzuciła klientce na plecy. – Pokażę pani.

W ciągu paru chwil pomogła kobiecie stworzyć suknię, tym razem z pasem jedwabiu przerzuconym przez ramię.

– Wyglądałabym jeszcze lepiej, gdybym nie miała pod spodem ubrania. – Blondynka z wyraźnym zachwytem przejrzała się w lustrze wiszącym na ścianie. Zerknęła przez ramię na towarzyszącego jej mężczyznę i uwodzicielsko zaczęła lustrować go spojrzeniem.

Zola odwróciła się i włożyła z powrotem firmowy fartuch. Odpowiedziała jeszcze na ostatnie pytanie, po czym przeprosiła i odeszła zająć się pozostałymi klientami.

Wkrótce potem mężczyzna położył na ladzie turkusowe *pareo* oraz drugie, w żywych, żółto-czerwonych barwach.

– Wezmę oba – oświadczył niskim, głębokim głosem.

Zola złożyła je, owinęła bibułą i wsunęła do ciemnozielonej firmowej torby Zakątka Natury. Podniosła wzrok na mężczyznę, który patrzył na nią cierpliwie. Ich oczy się spotkały i Zola zachmurzyła się, wsłuchując się w słowa, które rozległy się w jej duszy.

Bez zastanowienia nakryła ręką jego dłoni.

– Ona nie jest dla pana. Niech pan na nią uważa.

Mężczyzna szeroko otworzył oczy.

– Słucham?

Zola potrząsnęła głową i pochyliła się ku niemu.

– Proszę na nią uważać. Na tę kobietę, która jest z panem. To złodziejka. Ona nie jest dla pana. Obrabuje pana jeszcze dziś wieczorem po... – Głos Zoli zamarł, a na jej szyję wypłynął rumieniec.

Mężczyzna wyszarpnął rękę spod jej dłoni.

– Za kogo się pani, do diabła, uważa, żeby osądzać mnie, albo ją?! – zapytał z gniewnym błyskiem w oku. – Nie zna pani ani jej, ani mnie.

Zola bez drgnienia wytrzymała jego spojrzenie.

– Usłyszałam to ostrzeżenie. Czasami po prostu o czymś wiem. Proszę tylko to zapamiętać, o nic więcej nie proszę.

Zlustrował ją od stóp do głów gniewnym spojrzeniem. A potem na jego usta wypłynął okrutny uśmiech.

– A jak brzmi pani następna przepowiednia, panno sklepowa? Może to pani jest dla mnie stworzona, skoro ona nie? Do tego pani zmierza?

Zaskoczona Zola wstrzymała oddech i obronnym gestem skrzyżowała ręce na piersiach. Nie podobało jej się jego spojrzenie, prześlizgujące się po jej ciele.

Wciągnęła urywany oddech.

– Nic mi na ten temat nie wiadomo, proszę pana – odparła cicho, spokojnie spoglądając w jego chmurne oczy. – Wiem tylko tyle, ile panu powiedziałam. Jeśli jest pan mądry, zapamięta pan moje słowa.

Zmrużył oczy i odczytał jej imię wyszyte na górze fartucha.

– Za kogo pani się ma, Zolo? Za jakąś Cygankę przepowiadającą przyszłość? Nawet wygląda pani na cygankę: czarne włosy, ciemne oczy, egzotyczna uroda, imię też pasuje. To świadoma kreacja? A uwodzicielskie owijanie się szarfami stanowi część udawania?

Zola poczuła, że rumieniec zalewa jej twarz. Opanowała rodzący się gniew i spojrzała mu w oczy szczerze i uczciwie.

– Jestem w połowie Tahitanką, proszę pana. Swój wygląd i imię zawdzięczam urodzeniu, nikogo nie udaję. Dorastałam na Południowym Pacyfiku. *Pareo* jest dla mnie strojem równie naturalnym i wygodnym jak dżinsy dla pana. Pokazuję klientom, jak drapować i wiązać materiał, bo to należy do moich

obowiązków jako właścicielki sklepu.

Blondynka podpłynęła do nich z gracją i wsunęła mężczyźnie rękę pod ramię.

– Coś się stało? – wodziła wzrokiem od jednego z nich do drugiego.

Mężczyzna spojrzał wyzywająco na Zolę.

– Nic się nie stało. – Zola uśmiechnęła się do kobiety. – Drobną różnicą zdań w błahej sprawie.

Blondynka odpłynęła, skuszona przez kosz pełen naszyjników z muszli ustawiony na pobliskim stole, a Zola odezwała się ponownie półgłosem:

– Proszę zachować w pamięci to, co powiedziałam. – I przez ladę podała mężczyźnie firmową torbę Kącika Natury.

Złapał torbę, rzucił jej jeszcze jedno gniewne spojrzenie i odwrócił się do wyjścia. Blondynka wzięła go pod rękę i razem opuścili sklep.

No, dobrze, pomyślała Zola z rezygnacją i z przyjaznym uśmiechem zwróciła się w stronę kolejnej klientki.

W chwilę później nadarzyła jej się wreszcie szansa, by wymknąć się na zaplecze i zrobić sobie krótką przerwę. Wzięła butelkę wody smakowej i jabłko, wróciła do sklepu i usiadła na stołku za ladą, żeby odpocząć. To był długi dzień, a do zamknięcia sklepu pozostało jeszcze kilka godzin.

Dzwonek przy drzwiach Kącika Natury zabrzączał znowu. Twarz Zoli rozciągnęła się w uśmiechu na widok znajomej sylwetki, która pojawiła się na progu.

– Maya Thomas! Co ty tutaj robisz? To twój wolny dzień.

– Taak, ale jak inaczej mogłabym się z tobą zobaczyć, jeśli nie przychodząc tutaj? – Wysoka i smukła Jamajka o brązowych oczach ruszyła w stronę Zoli. Jej krótko ostrzyżone szpakowate włosy okalały ciepłą w tonacji twarz o królewskich rysach.

Podeszła do Zoli, objęła rękami jej policzki i przyjrzała się przyjaciółce z zadowoleniem.

– Jak dobrze cię znowu zobaczyć, Zolakieran. Tym razem zabawiłaś na tych swoich dalekich wyspach zdecydowanie zbyt długo. Cudownie spojrzeć ci znowu w oczy. *Jah wie o tym.*

Zola uwielbiała te jamajskie wtręty, wplatanie przez Mayę od czasu do czasu dla ubarwienia wypowiedzi.

– Bóg mi świadkiem, że ja również się cieszę, mogąc cię znowu zobaczyć, Mayu.

Starsza kobieta ucałowała Zolę w oba policzki, potem puściła ją i cofnęła się o krok.

– To kiedy zamierzasz przyjść i spotkać się z najlepszą przyjaciółką, co?

Zola oparła ręce na biodrach.

– Wróciłam dopiero wczoraj wieczorem, Mayu. Miałam przyjechać do ciebie o północy? Byłam zmęczona i musiałam się przespać. Lot z Południowego Pacyfiku w góry Tennessee trwa długo.

Maya wycelowała w nią palec.

– Tak jest. I właśnie dlatego musisz mi dzisiaj pozwolić popracować za ciebie. Skoro już tu jestem, idź do domu się przespać. – Przyjrzała się oczom Zoli.

– Wyglądasz na zmęczoną. Viola chętnie zastąpiłaby cię dzisiaj w sklepie. Przez te wszystkie tygodnie brała twoje zmiany. Jeden dzień dłużej nie zrobiłby jej różnicy.

– Wiem. Viola jest bardzo dobra, zawsze można liczyć, że przyjdzie na zastępstwo.

Viola Bartlett, pulchna, pełna naturalnego ciepła kobieta, miała dorosłego syna i mnóstwo wolnego czasu, więc bardzo chętnie przychodziła do sklepu na kilka godzin, ilekroć Zola jej potrzebowała. Z przyjemnością zastępowała Zolę również podczas jej corocznych wyjazdów na wyspy Południowego Pacyfiku, gdy chciała spotkać się z rodziną, a także sprawdzić nowe produkty do sklepu.

Maya skrzyżowała ramiona, kącki jej ust uniosły się w uśmiechu.

– Prawda jest taka, że nie mogłaś się doczekać, kiedy wrócisz do sklepu. Nawet nie zaprzeczaj.

Zola uśmiechnęła się do niej.

– Chyba masz rację. Tęskniłam.

– Czy to wszystko, co masz dzisiaj na obiad? – Maya wskazała wzrokiem jabłko leżące na ladzie.

– Byłam zajęta. – Zola wzruszyła ramionami.

– Więc skoczę do Garden Cafe i przyniosę coś do zjedzenia dla nas obu. Wrócimy do starych zwyczajów. – Ruszyła w stronę tylnego wyjścia. – Zostaw to jabłko na później. Na obiad będzie domowej roboty zapiekanka z kurczaka. Wiesz, że kucharz George’a ma smykałkę do tej potrawy.

– A twoje dziewczynki? – zapytała Zola. – Nie powinnaś wrócić do domu ze względu na Carole i Clarissę?

– Ach, te dziewczuchy. – Lekceważąco machnęła ręką. – Wybrały się do sklepu w Pigeon Forge.

Zola oparła łokcie na ladzie.

– Pewnie jesteś szczęśliwa, że znowu masz Carole w domu. – Starsza córka Mayi ukończyła college i po świętach Bożego Narodzenia wróciła do domu.

– Hmm. Mało się widujemy, odkąd podjęła pracę w biurze rachunkowym Tannera Crossa. – Maya skrzywiła się. – A będzie jeszcze gorzej, bo zbliża się termin rozliczania podatków.

Zola wiedziała, że Maya, pomimo tych narzekań, cieszyła się, iż Carole znalazła pracę tutaj, w Gatlinburgu, i po dyplomie wróciła do domu. Mąż Mayi zmarł kilka lat temu, więc córki były jedyną rodziną, jaką miała w Stanach.

Po wyjściu Mayi Zola przejrzała wydrukowany harmonogram pracy na nadchodzący tydzień i długopisem wpisała swoje nazwisko co drugi dzień, jak zwykle. Od trzech lat, odkąd kupiła lokal i otworzyła Kącik Natury, pracowały z Mayą na przemian. Kolejną pracownicą na część etatu była Faith Rayburn, przyjaciółka rodziny Zoli. Faith była troskliwą, chociaż niezbyt dobrze zorganizowaną matką czworga dzieci i dorabiała sobie w sklepie Zoli przez kilka godzin, kiedy jej pociechy były w szkole. Nie najlepiej sobie radziła z księgowością i prowadzeniem rejestru towarów, ale klienci kochali ją za jej ciepło i urok rodowitej mieszkanki Smoky Mountains.

Dzwonek przy drzwiach zabrzączał znowu i Zola musiała się zająć grupą nowych klientów. Zanim wróciła Maya, zdążyła obsłużyć sześć osób.

Podczas następnej przerwy w napływie klientów usiadły razem na stołkach przy ladzie i zjadły zapiekankę z kurczaka. Rozmawiały o nowych artykułach do sklepu, które Zola znalazła podczas swojej kupieckiej wyprawy, a Maya relacjonowała, co działo się w sklepie pod nieobecność właścicielki.

Zola opowiedziała też Mayi o mężczyźnie, który odwiedził wcześniej Kącik Natury.

– Szkoda, że nie był bardziej otwarty na to, co usłyszał.

Maya zmarszczyła czoło.

– To zwykły *bootoo*, skoro nie chciał wziąć pod uwagę tak pożytecznego ostrzeżenia.

Zola uśmiechnęła się szeroko. Wiedziała, że *bootoo* to po jamajsku osoba mało ważna lub tępa.

– Możliwe – odparła. – Ale zawsze mi przykro, kiedy ktoś się na mnie rozgniewa albo nie potrafi zrozumieć. Wydaje mi się wtedy, że mogłam się lepiej wyrazić.

Maya potrząsnęła głową.

– Nie odpowiadasz przed Panem za to, że Jego słowa nie zawsze podobają się ludziom. Do ciebie należy tylko przekazanie im przesłania, które zostało ci objawione.

– Też tak mi się wydaje. – Zola westchnęła i wyskrobała łyżką resztki dania. W Garden Cafe naprawdę robią najlepszą na świecie zapiekankę z kurczaka.

Maya przechyliła głowę na bok.

– Czy tam, na Mooréa, jest lepiej? Jak przyjmują twój dar?

Zola roześmiała się.

– Niekiedy nawet gorzej. Część tubylców ostentacyjnie obchodzi mnie szerokim łukiem albo robi miny, kiedy ich już minę.

– *Wutless!* – Maya wyrzuciła z siebie kolejne jamajskie określenie osoby nic nie wartej.

– Czasami znajduję pod drzwiami prezenty, składają mi ofiary. Kwiaty

hibiskusa, muszle, owoce chlebowca czy mango. Raz dostałam nawet czarną perłę od jednego z poławiaczy. To był wyraz wdzięczności za objawienie, które pomogło uratować życie jego dziecka. – W zamyśleniu zbierała naczynia. – Miałam wtedy dopiero siedem lat. Mama zrobiła mi z tej perły naszyjnik. Nadal go mam. I noszę.

– Twoja mama zaakceptowała dar, jaki otrzymałaś od Boga, i wysoko go ceniła. – Maya wrzuciła naczynia i plastikowe łyżki do papierowej torby z kawiarni. – Była dobrą matką. Żałuję, że tak wcześnie ją straciłaś.

– Ja też. – Zola dotknęła perły wiszącej na szyi, wspominając matkę. – Powiedziała mi, że dar wieszczenia jest jak perła nadzwyczajnej wartości i tak też należy go cenić. Mówiła, że nie wolno go nadużywać, ani czerpać z niego korzyści, żeby nie skazić jego piękna i nie obrazić Boga.

Maya wykonała spirytystyczny gest, którego Zola nie знаła.

– Niech będzie błogosławiona za to, że cię zachęcała.

Zola kiwnęła głową.

– Miałam też szczęście, że dziadkowie zaakceptowali mój dar. Gdyby było inaczej, mogło być mi bardzo ciężko, bo to oni wychowywali mnie po śmierci mamy. Jak ci już kiedyś mówiłam, mama zginęła w katastrofie awionetki, wracając z wizyty u swojej siostry w Nowej Zelandii. Miałam wtedy dwanaście lat. Od tego czasu Nana Etta stała się dla mnie bliska jak prawdziwa matka.

– Ach. Dobrze wiesz, że przepadam za matką Ettą. – Tak Maya nazywała zawsze babcię Zoli, Ettę Garnett Devon.

Maya wyniosła tacę oraz śmieci, nagromadzone za ladą. Kiedy wróciła, zajęły się omawianiem drobnych spraw życia codziennego – tym, co przyjaciółki uwielbiają robić.

Zola zerknęła na zegar ścienny. Dochodziła siódma, jeszcze tylko dwie godziny do zamknięcia.

– Idź już do domu, Mayu – powiedziała i serdecznie pogłaskała przyjaciółkę po ramieniu. – Jutro czeka cię osiem godzin w pracy. A twoje dziewczynki lada chwila wrócą. Ja posiedzę tu do końca i zamknę sklep.

W dwie godziny później, kiedy Zola po podliczeniu rejestru zamknęła sklep, szykując się do wyjścia, znowu pomyślała o tamtym mężczyźnie. Widziała niezwykle wyraźnie, że jeszcze tej nocy zostanie obrabowany przez śliczną blondynkę uwieszoną jego ramienia.

Zola zachmurzyła się. Zastanawiała się, czy mężczyzna będzie pamiętał jej ostrzeżenie i czy z niego skorzysta. Kobieta była wyjątkowo piękna, ale fizyczna uroda nie zawsze szła w parze z pięknem wewnętrznym.

Potrząsnęła głową.

– Niech się dzieje wola Twoja, Panie – powiedziała, gasząc światła przed wyjściem. – Niech się dzieje wola Twoja.

Rozdział drugi

Przez cały wieczór Spencer nie mógł przestać myśleć o dziwnej Tahitance. Leena usiadła z nim do obiadu w turkusowym *pareo*, uwodzicielsko opinającym jej kuszące kształty. Sam jej widok w tym egzotycznym stroju nieustannie przypominał mu o epizodzie w sklepie z upominkami.

Teraz Leena ułożyła się na tapczanie w przestronnym salonie górskiej chaty Spencera i polakierowanymi na czerwono paznokciami wystukiwała rytm muzyki płynącej z odtwarzacza stereo. Spencer obserwował ją z kuchni, zmywając naczynia po obiedzie złożonym z grillowanych krewetek, ryżu *cajun* i sałaty.

– Jakie to słodkie, kiedy mężczyzna dla mnie gotuje. – Głos Leeny brzmiał zmysłowo i uwodzicielsko. – Muszę pomyśleć, jak ci się za to równie słodko zrewanżować. Dzisiaj byłeś dla mnie bardzo dobry.

Znaczenie jej słów nie było trudne do rozszyfrowania. Spencer zmarszczył brwi – po raz kolejny przypominał sobie ostrzeżenie sklepikarki. I rumieniec, który zalał jej twarz i szyję kiedy napomknęła o jego intymnych stosunków z Leeną.

– Kochanie, przynieś mi, proszę, jeszcze jeden kieliszek tego pysznego rieslinga. Przyjemnie byłoby wypić go po obiedzie. – Leena pochwyciła wzrok Spencera i poklepała tapczan obok siebie. – Chodź, usiądź przy mnie. Będziemy rozmawiać i wpatrywać się w ten cudowny ogień.

Spencer nalał dwa kieliszki białego wina. Od dawna planował ten obiad z Leeną Evanston i był zły, że spotkanie w sklepie przyćmiło blask tego wieczoru. Leena była dekoratorką z Atlanty i kupowała jego odbitki dla swych partnerów biznesowych, jeżeli fotografie natury pasowały do ich projektów wystroju wnętrz. Ceniła prace Spencera i niejednokrotnie polecała go ważnym klientom. Spencer czuł się mile połączony, gdy zasugerowała, że mogłaby przyjechać z wizytą, więc zaprosił ją na obiad do swej właśnie ukończonej chaty w górach. Już od pewnego czasu prowadzili ze sobą subtelny flirt i Spencer miał nadzieję, że w czasie tej wizyty ich stosunki przeniosą się na nowy poziom.

Podał Leenie kieliszek i usiadł obok niej na tapczanie. Była atrakcyjną kobietą. Każdy mężczyzna chętnie znalazłby się tego wieczora na jego miejscu. Sam fakt, że upierała się przy włożeniu nowego *pareo*, pod którym ewidentnie nie miała nic, stanowił pomyślą wróżbę na nadchodzący wieczór.

Z leniwym uśmiechem przesunęła palcem wzdłuż jego ramienia.

– Większość mężczyzn, którzy odnieśli taki sukces jak ty, Spencerze Jacksonie, to albo ludzie starzy, albo tacy, którzy odziedziczyli swój majątek po przodkach. To, do czego ty doszedłeś w wieku trzydziestu lat dzięki swoim fotogramom, naprawdę robi wrażenie. Zdobyłeś sobie reputację jednego z najlepszych w kraju fotografów przyrody, opublikowałeś pięć wielkich albumów,

nad którymi moi klienci rozplywają się z zachwytu i masz własną galerię w górach.

Leena rozejrzała się po pokoju.

– Zbudowałeś na szczycie góry naprawdę wspaniały dom. – Uśmiechnęła się szeroko, prezentując idealnie białe ząbki. – Tylko że tutaj człowiek musi czuć się okropnie samotny. Mnie potrzeba do szczęścia ruchu, ulicznego zgiełku i natłoku wydarzeń... ale coś takiego mogłoby stanowić miłą odskocznię, gdybym czasem szukała ucieczki od wszystkiego.

Spencer skrzywił się. Zirykowało go, że Leena z takim lekceważeniem odnosiła się do jego nowego domu. Długo go planował i oszczędzał na jego budowę, a potem musiał odbyć wiele pieszych wędrówek i wypraw w nieznane, zanim znalazł idealne miejsce.

Kobieta przeciągnęła się zmysłowo.

– Jeśli twoja sława będzie nadal rosła, może kiedyś otworzysz galerię w Atlancie, Spencerze. Myślę, że miałaby powodzenie. Ja, oczywiście, pomogę ci ją rozreklamować. Znajdziemy ci wspaniały apartament albo nawet dom w centrum, może w Buckhead. – Przesuwała czerwonym paznokciem w górę jego ramienia. – Moglibyśmy widywać się znacznie częściej, gdybyś zamieszkał bliżej mnie.

Sens jej słów był oczywisty – nie wyobrażała sobie życia tutaj. Spencer wstał, trochę poirytowany, że tak beztrudnie dezawuowała egzystencję, którą on kochał.

– Muszę na chwilę iść do łazienki, Leeno. A do mojego powrotu częstuj się winem.

Zachichotała i przesunęła ręką po jego udzie.

– Wydaje mi się, że to, czego szukasz, znajdziesz w szufladce nocnej szafki przy łóżku, kochanie.

Spencer zastanawiał się nad komentarzem Leeny, zmierzając do swej przestronnej sypialni. Skąd wiedziała, gdzie co trzymał? Domyśliła się, czy myszkowała w szufladach w jego sypialni?

Dreszcz przebiegł mu po kręgosłupie. I znowu wróciły do niego słowa spotkanej tego dnia sklepikarki. Wszedł do sypialni i zaczął systematycznie przeglądać zawartość szuflad i szafek.

Po powrocie podszedł swobodnym krokiem do Leeny, z uśmiechem na ustach pochylił się i pocałował ją, a potem wziął jej teczkę oraz torebkę i zaniósł je na drugi koniec pokoju, na boczny stół.

– Nie sędzę, żeby te rzeczy mogły nam przeszkadzać, kochanie. – Śledziła jego poczynania oczami pełnymi zdumienia.

Spencer zaczął przeglądać zawartość teczki i torebki.

W oczach Leeny zapłonął ogień.

– Czego szukasz, Spencerze?

Wyciągnął z jej torebki zwitek studolarowych banknotów, a z kosmetyczki dwa złote łańcuszki. W bocznej kieszonce teczki trafił na aksamitne pudełeczko, którego szukał.

Spencer podniósł do góry znaleziska.

– Brakuje ci pieniędzy, Leeno? A może cierpisz na kleptomanię?

Wzruszyła ramionami, niezbyt przejęta jego zarzutami.

– Pomyślałam, że mogę wziąć trochę twojej biżuterii do wyceny. Ludzie rzadko zdają sobie sprawę z wartości posiadanych przedmiotów.

Oburzony Spencer podniósł oczy do sufitu.

– Moje pieniądze również zamierzałaś oddać do wyceny?

Rzuciła mu wyniosłe spojrzenie.

– A dlaczego sądzisz, że to nie są moje pieniądze, Spencerze? Zawsze wożę ze sobą gotówkę. Wiele drobnych zakładów nadal nie przyjmuje kart kredytowych.

– Nieźle to wymyśliłaś. – Spencer rozwinął rulon setek. – I mogłoby ci się udać, gdyby nie to, że ja zawsze chowam w środku banknot dwudolarowy na szczęście. – Podniósł go do góry, żeby mogła zobaczyć. – Mało prawdopodobne, żebyś miała taki sam zwyczaj, Leeno.

Zerknęła na niego z wyraźnym niezadowoleniem.

– Coś za coś, Spencerze. Ty tej nocy weźmiesz coś dla siebie. Nie widzę powodu, dla którego nie miałabym również uszczknąć czegoś dla siebie.

– Taksa call-girl? – Spencer wypuścił z płuc powietrze. – Zazwyczaj ustala się ją z góry.

– No dobrze. Możesz się dalej czepiać. – Zeszła z tapczanu z nadąsaną miną. – Ale naprawdę fatalnie się składa, że wtykałeś nos, gdzie nie trzeba, i narobiłeś zamieszania. A mogliśmy spędzić razem taką przyjemną noc! Przekonałam się, że artyści są z reguły dobrymi kochankami.

Spencer skrzywił się.

– Mogłem od razu wezwać policję, Leeno. Kradzież to poważna sprawa, szczególnie jeśli robisz to często.

Podeszła do niego, żeby zabrać swoją teczkę i torebkę.

– Zwykle jestem hojnie wynagradzana, nie muszę szukać ekstra rekompensaty. Ale co do ciebie nie miałam pewności. Wydajesz się takim spokojnym, przyzwoitym, skromnym facetem. – Wzruszyła ramionami. – Pójdę się przebrać, potem możesz odwiedzić mnie z powrotem do hotelu. Rano na własny koszt wynajmę limuzynę na lotnisko. Zapomnijmy o tym drobnym incydencie, niech to zostanie między nami.

Leena popatrzyła na niego słodkimi oczami.

– Oboje mamy zbyt wiele do stracenia, żeby postąpić inaczej, prawda, Spencerze? Ja mam bogatych klientów, których ty potrzebujesz, a ty masz wielki talent, który ja mogę im zaprezentować.

Spencer obserwował w osłupieniu, jak zmierzała w stronę jego sypialni.

Odwróciła się i uśmiechnęła się do niego.

– Nie martw się. Nic więcej stamtąd nie wezmę. – Wskazała ręką sypialnię.
– Nie masz zbyt wielu wartościowych przedmiotów, kochanie. Prowadzisz spartańskie życie, o ile zdążyłam się zorientować. Wątpliwe, by mogło łączyć nas coś więcej niż ta jedna noc przyjemności.

Już po drodze zaczęła rozwiązywać *pareo*.

Jej słowa wywołały w Spencerze gniew i niechęć. Zaciśnął pięści, kiedy Leena nonszalancko zamknęła za sobą drzwi sypialni.

Zeke, owczarek niemiecki Spencera, wyczuł emocje mężczyzny i cicho warknął. A Zeke nie warczał prawie nigdy, jedynie w sytuacjach, gdy jego panu groziło naprawdę poważne niebezpieczeństwo.

Spencer odwrócił się do psa, który wstał ze swego posłania przy kominku ze zjeżoną sierścią.

– Wszystko w porządku, piesku. Po prostu podejmowaliśmy dzisiaj obiadem najwyższej klasy złodziejkę.

Spencer schował banknoty, łańcuszki i pierścionek do szuflady bocznego stolika. Pierścionek był jedynym przedmiotem, którego strata naprawdę by go dotknęła. Dostał go od babci ze strony matki, Lillian Chatsworth, u której mieszkał podczas studiów w college'u w Savannah. Powiedziała mu, żeby dał ten pierścionek kobiecie, którą będzie chciał poślubić. To była stara rodzinna pamiątka, nie do zastąpienia – niezależnie od tego, czy Spencer ożeniłby się kiedyś, czy też nie.

W godzinę później, po odwiezieniu Leeny do hotelu, Spencer siedział przy ogniu i ponuro rozpamiętywał ten wieczór. Mógł zadzwonić do szefa policji w Gatlinburgu, Billa Magee, i doprowadzić do aresztowania Leeny Evanston. Nadal mógł to zrobić. Sam nie wiedział, dlaczego się wahał. Może ze względu na sytuację. To żenujące, że podejmował złodziejkę obiadem. I że liczył na dalsze intymne stosunki z rzeczoną złodziejką.

Szczerze mówiąc, Spencer czuł się jak ostatni dupek. Niewątpliwie nie wykazał się szczególną przenikliwością. A tymczasem jakaś obca sprzedawczyni od razu dostrzegła, co się święci. Doskwierało mu to, choć zdawał sobie sprawę, że powinien podziękować tej dziewczynie. Dzięki temu, że obudziła w nim podejrzliwość w stosunku do Leeny Evanston, nie stracił pieniędzy, biżuterii – a może i czegoś więcej – zanim ten wieczór dobiegł końca. To nieprawda, że nie miał w domu innych wartościowych przedmiotów. Po prostu ona ich nie znalazła.

Przywołał Zeke'a, żeby go pogłaskać. Owczarek wyczuł chyba rozczarowanie swojego pana, bo podbiegł, entuzjastycznie merdając ogonem i pocieszająco trącił go nosem. Spencer z przyjemnością głaskał wielkie psisko, wdzięczny za jego szczere przywiązanie i bezgraniczną lojalność. Trudno było

teraz znaleźć te zalety.

Z zamyślenia wyrwał go dzwonek telefonu. Spencer podniósł słuchawkę i usłyszał miękki głos swego brata, Bowdena. Po prostu wspaniale! Tego mu tylko brakowało.

– Cześć, Two Spence, co u ciebie? – Bowden posłużył się jednym z przezwisk, którymi zwracał się do Spencera w dzieciństwie. To akurat powstało, gdy ich dziadek, Stettler Jackson, stwierdził, że Spencer to bystry dzieciak, ale w sprawach marketingu i public relations niewart nawet dwóch pensów. Oczywiście zaraz potem położył rękę na ramieniu jego brata i oświadczył, że Bowden to chodząca doskonałość we wszystkich dziedzinach, że wręcz urodził się z umiejętnością komunikowania się z ludźmi.

Spencer westchnął.

– Czemu zawdzięczam zaszczyt rozmowy z tobą, Bowdenie?

– Nie bądź taki przewrażliwiony, Spence. W końcu jestem twoim starszym bratem. Mam prawo od czasu do czasu zadzwonić do ciebie, żeby się dowiedzieć, co słyhać. I należy mi się nieco cieplejsze powitanie.

Spencer starał się wykrzesać z siebie odrobinę serdeczności.

– Jak się czują rodzice, Bowdenie? Wszystko w porządku?

– Tak, cała rodzina ma się znakomicie. Ale skąd ty miałbyś o tym wiedzieć, skoro nigdy nie pojawiasz się w domu. – Zrobił pauzę. – Dlatego właśnie dzwonię, Spence. Latem rodzice obchodzą okrągłą, czterdziestą rocznicę ślubu i bardzo im zależy na twoim przyjeździe... nam wszystkim na tym zależy.

Spencer zawahał się.

Bowden westchnął z irytacją.

– Bracie, najwyższy czas zapomnieć o dawnych urazach i żalach. W końcu jesteśmy rodziną! Powinieneś zachować się jak człowiek dorosły, przyjechać do domu i życzyć rodzicom szczęścia z tak wyjątkowej okazji.

Łatwo ci powiedzieć, pomyślał Spencer. Ty zawsze pasowałeś do rodzinnej firmy, jak ulał. Byłeś ulubieńcem dziadka Jacksona i rodziców. I ożeniłeś się z Genevą. Mogłeś mieć każdą, ale musiałeś poślubić akurat tę dziewczynę, którą ja kochałem. Musiałeś odebrać mi ją wtedy, kiedy wyjechałem do college'u. A teraz oczekujesz, że przyjadę do domu i będę się zachowywał jak gdyby nigdy nic? Trudno mi to sobie wyobrazić.

Bowden zdawał się czytać w jego myślach.

– Rodzice przyślą ci oficjalne zaproszenie na obchody rocznicowe trochę później, ale ja specjalnie zadzwoniłem z dużym wyprzedzeniem, żeby szczególnie cię poprosić o przyjazd. To miałyby dla nich ogromne znaczenie, Spence. Dla nas wszystkich. Minęło już dwanaście lat od twojej ostatniej wizyty w domu. Najwyższy czas, stary.

W tym momencie Spencerowi wpadła do głowy dziwna myśl, że Bowden

byłby pod wrażeniem, gdyby zobaczył go dzisiaj z taką dziewczyną jak Leena Evanston. Gdyby zobaczył, jaka dziewczyna mu towarzyszy, zainteresowałby się nią. Leena należała do tego typu dziewczyn, które zawsze kręciły się wokół Bowdena i całkowicie ignorowały Spencera. Zrodziło się w nim dziwaczne pragnienie, by Bowden był tutaj i zobaczył Leenę owiniętą turkusowym szalem, sunącą czerwonymi paznokciami po jego ramieniu. Czułby satysfakcję, gdyby Bowden to zobaczył.

– Pomyślę o tym, Bowdenie – powiedział. – Sprawdzę swój grafik. Zorientuję się, czy będę mógł zostawić galerię.

Usłyszał śmiech Bowdena.

– Chcesz powiedzieć, że postarasz się znaleźć wymówkę i udowodnić, że nawet pracy nie pozwoli ci przyjechać, tak? Jak podczas wszystkich kolejnych świąt Bożego Narodzenia, Dni Dziękczynienia i rodzinnych rocznic.

Spencer milczał.

– Nie powinieneś kazać rodzicom płacić za to, że jesteś wściekły na mnie, Orzełku. – To było kolejne obraźliwe wyzwisko, związane z chłopięcymi marzeniami Spencera, by zostać Orlim Skautem. Zrealizował je, zdobył wymagane dwadzieścia jeden sprawności skautowskich. Zrealizował wiele swych marzeń, pomimo braku wsparcia i zachęty ze strony rodziny.

Spencer potrząsnął głową w ciemnościach. Nikt z rodziny nie zdawał sobie sprawy, jak głęboko zranił go ślub Bowdena z Genevą. Nikt nie przejmował się jego uczuciami. Zawsze liczył się tylko Bowden. I wszystko, czego złoty chłopiec Bowden zapragnął, natychmiast dostawał.

Płomień w kominku wystrzelił w górę i zgasł. Spencer wpatrywał się w palenisko, pogrążony w myślach. Nic się nie zmieniło. Nie widział powodu, by pojechać do domu.

– Kiedy jest ta rocznica? – zapytał, choć nie zamierzał na nią jechać. – Zanotuję datę i sprawdzę, co da się zrobić.

Zapamiętał jeden z pierwszych dni czerwca, zamienił jeszcze kilka słów z Bowdenem i w końcu z ulgą odłożył słuchawkę.

Była pełnia księżyca. Wyszedł na frontowy ganek, ale zapragnął lepiej przyjrzeć się Księżycowi, więc gwizdnął na Zeke'a i ruszył ścieżką biegnącą wzdłuż domu.

Ścieżka wiodła przez kępę drzew na skalisty grzbiet, górujący nad leżącą w dole kotliną. Nawet w nocy widział rysującą się w oddali ciemną panoramę gór. Widok z grani zapierał dech w piersiach. To było wyjątkowe miejsce. W taką bezchmurną noc miliony gwiazd migotały na niebie, jak kryształki rozrzucone po czarnym aksamicie.

Spencer odkrył prowizoryczny szałas, wrosnięty w skalisty klif nazywany przez miejscowych Raven's Den. Ciągnęło go tutaj od pierwszego dnia, od czasu,

gdy zaczynał dopiero poznawać swoją posiadłość. Prosty dach z desek, patyków i poszycia opierał się na surowych balach. Przód konstrukcji stanowił murek wzniesiony z nieobrobionych kamieni, na którym spoczywała szeroka półka z desek. Z krokwi ponad murkiem zwisały pstrokate karmniki dla ptaków i wietrzne dzwonki. Umebłowanie chaty stanowiły rozklekotane ławy i krzesła oraz stół z surowego drewna.

Spencer uśmiechnął się, kiedy zobaczył znowu tę skleconą z byle czego budowlę w świetle księżyca. Miejsce zabaw dla dzieci, pomyślał. Ale zwierzęta i ptaki je kochały. Najwyraźniej zachowały dobre wspomnienia ze szczęśliwych czasów, gdy były tutaj karmione. Spencer zaczął wykladać tu dla nich pestki, łój i suszone ziarna zbóż, kiedy tylko kupił posiadłość. Ekipa budowlana, która stawiała jego dom, zapytała, czy zburzyć ten szałas, ale nie zgodził się. Za bardzo przypominała domki, które sam w dzieciństwie stawiał by się w nich bawić, i które uważał za swoje skarby.

– Wielokrotnie uciekałem do takich kryjówek jak ta, żeby rozmyślać i marzyć – zwrócił się z wyjaśnieniem do psa, który postępował kilka kroków za nim.

Zeke zastrzygł uszami i spojrzał na Spencera pytająco, czekając na sygnał, czy ma wejść do szałasu. Spencer kiwnął głową i owczarek ochoczo wpadł do środka, węsząc gorliwie po kątach w poszukiwaniu zwierząt, które mogły pojawić się tu przed nimi.

Spencer usiadł w fotelu bujanym, który znalazł w sklepie z artykułami drewnianymi. Uzupełnił umebłowanie szałasu o dwa takie fotele, bo obawiał się, że zdezelowane krzesła nie utrzymają ciężaru mężczyzny o jego wzroście, albo któregoś z jego gości. Spencer z uśmiechem rozparł się w fotelu i oparł stopę o ścianę. Namówił właściciela sklepu, żeby mu sprzedał dwa stare fotele, które stały na ganku, bo jakoś nie wydawało mu się właściwe dodawanie nowych krzeseł do zniszczonych, sfatygowanych mebli, które zastał w chacie.

Wiejski szałas dawał mu ukojenie. Spencer przychodził tu często, choć nie potrafił wyjaśnić dlaczego. Tej nocy kołysał się w ciemności, spoglądając na góry, i starał się odzyskać spokój po stresującym wieczorze. Zeke podszedł i ułożył się na stopie Spencera. Obaj wsłuchiwali się z lubością w odgłosy nocy, wydawane przez owady i żaby, a czasem uzupełniane pohukiwaniem sowy. Lekki wiatr szeleścił w igłach pobliskich sosen, a Księżyc wędrował leniwie po niebie, czasem chował się za ciemne chmury, a czasem wyłaniał się zza nich.

Spencer westchnął. Uświadomił sobie, że bardziej zdenerwowała go rozmowa z bratem niż próba kradzieży w wykonaniu Leeny Evanston. Potrząsnął głową. Niektóre cierpienia nie przemijają nigdy – niezależnie od tego, ile czasu upłynie.

Rozdział trzeci

Następnego dnia Zola spała do późna. Z przyzwyczajenia obudziła się o zwykłej porze, ale z niekłamaną przyjemnością uświadomiła sobie, że nie musi wstać z łóżka i z powrotem otuliła się kołdrą. Jej kotka, Posey, najpierw ofukała ją za porzucenie jej na kilka tygodni, ale w końcu podeszła. Zwinęła się w kłębek u boku Zoli, mrucząc z ukontentowania. Ręka Zoli co parę minut przesuwiała się leniwie po miękkim futerku.

Z przyjemnością nasłuchiwała odgłosów budzącego się dnia – piania koguta zwiastującego świt, porykiwania krów w oddali i warkotu silników traktorów. Dobrze było wrócić do domu. Większość swego życia Zola spędziła tutaj, w wiejskiej, górzystej części stanu Tennessee. A przecież urodziła się na wyspie Południowego Pacyfiku i tam tkwiły jej korzenie.

– Gdy już wstaniemy, musimy wybrać się w odwiedziny do Nany Etty – poinformowała Zola kotkę. – Będzie na nas czekała. Obiecałam jej, że przyjdę. Ale musiałam długo spać, żeby pozbyć się skutków zmiany strefy czasowej. Długie loty odrzutowcem i przekraczanie kilku stref zawsze rozregulowują mój organizm.

Zola przeciągnęła się i rozejrzała się po pokoju.

– To ta sama sypialnia, w której spałam jako dziecko – zwróciła się do Posey z wyjaśnieniem. – Pamiętam jeszcze, jak rodzice przebudowywali ten dom. Przedtem, kiedy przyjeżdżaliśmy z wizytą, zatrzymywaliśmy się u Papy i Nany Devon.

Roześmiała się.

– Ten dom był zawsze nazywany Domem na Wzgórzu albo Starą Farmą, w odróżnieniu od domu dziadków zwanego Nową Farmą. Ale dzisiaj ten prawie pięćdziesięcioletni dom trudno uznać za nowy.

Dziadkowie Zoli mieszkali w białym budynku oddalonym o milę, jeśli jechało się Devon Farm Road – na przeciwnym brzegu strumienia. Dom Zoli, zbudowany przez jej prapradziadków, był znacznie starszy. Na betonowej płycie fundamentów znajdowała się data 1902.

– Kiedy przy podziale majątku mojemu tacie przypadła w udziale ta część farmy, wszyscy zakładali, że zburzy stary dom swoich dziadków, Waylanda i Rethy Devonów. Ale tata stał się sentymentalny, a mama również uważała, że dawna siedziba rodzinna powinna zostać zachowana. Papa Vern sarkał z powodu pieniędzy, jakie tata władował w remont domu, ale w głębi ducha oboje z Naną cieszyli się, że to zrobił.

W odpowiedzi kotka miauknęła grzecznie.

Zola podrapała ją po karku.

– Ten pokoik na piętrze zawsze należał do mnie.

Rozejrzała się wokół siebie z niekłamaną przyjemnością. Nadal sypiała w swoim ulubionym podwójnym łóżku; stało pod oknem, za którym rozciągał się widok na góry.

– Może dlatego tak bardzo kocham ten dom, że mieszkałam w nim tylko wtedy, kiedy rodzice przyjeżdżali tu z Mooréa na letnie wakacje i na Boże Narodzenie. – Zola przeciągnęła się leniwie. – Kiedy nie było ich w Stanach, przenosiłam się do Papy Verna i Nany Etty. Byłam za mała, żeby mieszkać tu sama. Dopiero gdy wróciłam z college’u, tata pozwolił mi osiąść tutaj i urządzić dom wedle własnego uznania.

Zola nie skorzystała jednak w pełni z tej propozycji i wprowadziła bardzo niewiele zmian. Uznała, że jest dobrze tak, jak jest. Wystrój domu harmonijnie łączył w sobie amerykańską i tahitańską kolorystykę i ornamenty.

– Jest taki jak ja – stwierdziła Zola z uśmiechem. – Z jednej strony autochtonka z wyspy Mooréa, z drugiej góralka z Tennessee.

Wstała z łóżka i poszła do łazienki wyszorować zęby i opłukać twarz.

Kotka powędrowała za nią. Wskoczyła na komodę i zaczęła obserwować swoją panią. A potem, jakby chciała przypomnieć Zoli o konieczności wzięcia kąpeli, zaczęła metodycznie lizać swoją białą łapkę. Posey miała długą, białą sierść ozdobioną karmelowymi plamkami.

– Wiesz, nie powinnaś na mnie fukać, kiedy czasem wyjeżdżam na trochę. – Zola wsunęła szczoteczkę do zębów we właściwy uchwyt. – Przecież masz mnie w końcu z powrotem. Pamiętaj, że ocaliłam cię przed utopieniem w jutowym worku, kiedy byłaś maleńkim kociakiem.

Zola zmarszczyła czoło na wspomnienie tamtej chwili.

– Chcieli cię utopić tylko dlatego, że miałaś jedno oko niebieskie, a drugie brązowe. Jedna z mlecznych krów pewnego farmera zdechła niespodziewanie, a on i jego żona doszli do wniosku, że zauroczyłaś ją tymi swoimi różnokolorowymi ślepkami. Głupi, przesądni ludzie! Jesteś prawdziwym skarbem, najmądrzejszym kotem jakiego miałam. – Zola podrapała Posey po szyi i przeszła do sypialni, żeby poszukać jakiegoś ubrania.

Zaraz potem, ubrana w swoje ulubione farmerki, biały podkoszulek i džinsową kurtkę, ruszyła wraz z kotką do domu Papy i Nany. Posey znała drogę równie dobrze jak Zola. Wyprzedziła swą panią i zwinnie pomknęła wydeptaną ścieżką wśród drzew do mostu z przeciętych na pół bali przerzuconego nad potokiem Buckner Branch. Potem jeszcze tylko pół mili przez lasek, skoszone pole i już znalazły się na Devon Farm Road. Oba domy dzieliła od siebie zaledwie mila dobrze znaną i uczęszczaną drogą.

Zola dostrzegła dym unoszący się z komina – najwyraźniej Papa Vern rozpalił ogień, żeby przegnać z domu ziąb lutowego poranka. Latem Nana czekałaby na Zolę na ganku, ale tego dnia siedziała w swoim ulubionym fotelu

przy palenisku i zszywała z kawałków nową kołdrę. Odłożywszy robótkę, wstała, żeby uściskać Zolę.

– Odpoczęłaś porządnie, dziecino?

Zola kiwnęła głową.

Nana ruszyła do kuchni.

– Uratowałam dla ciebie trochę biszkoptów ze śniadania, a Papa naszykował ci słój świeżego miodu ze swojego ula. Powiedział, że możesz go zabrać do domu.

Zola nie zapytała, skąd babcia wie, że przyszła do niej bez śniadania. Nana Etta również obdarzona była zdolnością, z której słynęła Zola. Miała ona jednak bardziej praktyczny charakter i raczej się o niej nie mówiło.

Przeszły do kuchni wiejskiej siedziby Devonów. Zola westchnęła. Zalała ją fala wspomnień z niezliczonych posiłków, jakie spożywała w tym przyjaznym, słonecznym pomieszczeniu.

Usiadła przy stole, wiedząc dobrze, że babcia zburczałaby ją, gdyby próbowała jej pomóc w przygotowywaniu śniadania. Nana pragnęła wyrazić miłość do wnuczki gotowanymi dla niej posiłkami.

Nana Etta, pani już po siedemdziesiątce, po kuchni poruszała się raczej powoli. Jej włosy były jednak równie czarne jak u Zoli. Kilka lat temu pozwoliła, by córka, Becky Rae, zaczęła farbować jej włosy. Dobrze z nimi wyglądała.

Zola przyglądała się, jak babcia zakłada na szyję stary, wzorzysty fartuch i wiąże troczki w talii. Odkąd pamiętała, Nana zawsze wkładała w kuchni jakiś fartuch. Przeważnie szyła je sobie sama, ale niektóre dostawała w prezencie.

Z biegiem lat figura Nany troszeczkę się zaokrągliła – ale tylko troszeczkę. Przekroczywszy pięćdziesiątkę Etta Devon zaczęła nosić okulary, a po sześćdziesiątce zdecydowała się w końcu chodzić po domu w spodniach. Zola była wtedy nastolatką. Ta ostatnia zmiana nie obyła się bez wyrzekania na zmienność mody.

Zola uśmiechnęła się do babci.

– Dobrze wyglądasz, Nano.

Nana prychnęła.

– Patrzysz na mnie oczami miłości, dziecino.

– To prawda – przyznała Zola, przesuwając po kuchennym stole pojemniczki z przyprawą do drobiu i z pieprzem. – Ale ty rzeczywiście dobrze wyglądasz. Naprawdę. To nowe spodnium?

Nana kiwnęła głową i nałożyła na talerz usmażoną jajecznicę, po czym dodała jeszcze wyjęte z piekarnika biszkopty i plaster bekonu.

– Becky Rae zabrała mnie w zeszłym tygodniu na wyprzedaż w outlecie. Wiesz, pod koniec lutego są tam korzystne zniżki. Ten komplet kupiłam o siedemdziesiąt pięć procent taniej.

– Ładny, do twarzy ci w niebieskim. – Zola z przyjemnością wzięła od Nany

talerz i posmarowała biszkopt masłem i miodem.

– Nie została mi już nawet kropla kawy ze śniadania, ale zagotowałam wodę na herbatę. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko herbacie z torebek. Zostało mi jeszcze trochę z tych, które dostałam od kogoś na Boże Narodzenie. – Zdjęła z półki ozdobną puszkę. – Wydaje mi się, że to prezent od Judy Ann i K.T. Uptona.

Postawiła puszkę na stole i usiadła. Zola przejrzała rozmaite smaki i wybrała pikantną żurawinową. Kiedy wrzuciła torebkę do wrzątku, po całej kuchni rozszedł się piękny zapach.

– Ładnie pachnie. – Nana z uznaniem pociągnęła nosem i sama zaczęła przeglądać torebki. – Powiedz, która to była. Też mam ochotę spróbować.

Ręka Zoli z odrobiną jajecznicy na widelcu zamarła w połowie drogi do ust.

– Jak to możliwe, że aż do dzisiaj nie otworzyłaś tego pudełka z herbatą?

Nana wzruszyła ramionami.

– Wydawało mi się zbyt eleganckie na co dzień. Pomyślałam, że zachowam je na jakieś spotkanie towarzyskie.

Zola parsknęła śmiechem.

– A od kiedy to ja jestem spotkaniem towarzyskim?

– Tak długo cię nie było, że stałaś się kimś w rodzaju gościa. – Etta Devon przesiadła się na kuchenne krzesło naprzeciwko Zoli. Kotka natychmiast wskoczyła jej na kolana i Nana pogłaskała ją odruchowo. – Nawet twój kot zaczął się tu czuć jak we własnym domu.

– Dziękuję, że się nią zaopiekowałaś, Nano.

Babcia uśmiechnęła się.

– Zawsze lubiłam koty. Poza tym podczas pobytu tutaj złapała dwa szczury, których pozbyłam się z przyjemnością. Bardzo ją za to chwale.

– Opowiedz mi wszystkie rodzinne nowinki – poprosiła Zola między jednym kęsem biszkopta a drugim.

– Niech no pomyślę. – Nana Etta zastanawiała się przez chwilę. – Doreen, córka twojego wujka Gene'a i cioci Becky Rae, skończyła piętnaście lat i chce dostać tymczasowe prawo jazdy. Gene próbował uczyć ją jeździć polnymi drogami. – Urwała i zaśmiała się do siebie. – Doreen skosiła w zeszłym tygodniu cały płot, bo przez pomyłkę wcisnęła gaz zamiast hamulca.

Zola parsknęła śmiechem.

Nana Etta wyliczała kolejne nowiny.

– Twój wujek Ray umieścił przy autostradzie nowy, ładny neon Ray's Place. W poprzednim zrobiło się jakieś zwarcie. A ten nowy wygląda naprawdę świetnie. – Wzięła łyk herbaty. – Papa jest dzisiaj w magazynie, pomaga im. Jeden z pracowników zachorował.

Ray Devon, najstarsze z trojga dzieci Nany i Papy, prowadził stację benzynową, niewielki sklep spożywczy i delikatesy przy szosie do Gatlinburga.

Jego syn, Wayne, pracował wraz z nim, podobnie jak córka, Stacy. Dom Raya był oddalony od dziadków Zoli o półtorej mili, jadąc Devon Farm Road. Stacy nadal mieszkała z rodzicami, ale Wayne postawił sobie po ślubie własny dom, tuż obok rodziców.

Nawet Becky Rae, jedyna córka Nany i Papy, mieszkała na ziemi należącej niegdyś do Farmy Devonów. Nowoczesny dom, który wybudowała sobie wraz z mężem, Gene'm Gobsonem, stał w odległości trzech mil w górę Jonas Creek Road, głównej drogi biegnącej przez ziemie Devonów. Becky Rae wżeniła się w bogaty klan Gibsonów, więc jej dom bardziej przypominał pałac niż wiejskie siedziby pozostałych członków rodziny.

Zola wróciła myślami do nowin opowiadanych przez Nanę.

– Dzieci Wayne'a, Hilda i Ronnie, realizują projekt badawczy 4-H, polegający na hodowli kóz. Jakby mało mieli roboty przy stadzie owiec, które ich babka Augusta sprowadziła na farmę, żeby mieć wełnę do robienia na drutach. – Nana prychnęła z niesmakiem i potrząsnęła głową. – Te dzieciaki, Hilda i Ronne, ciągle wypuszczają małe kózki, a one zjadają wszystko, co im wpadnie w zęby. Zeżarły moje fioletowe klematisy, które rosły przy płocie na tyłach posiadłości.

Zola zrobiła przerażoną minę. Kochała kwiaty klematisów.

– Och, nie, Nano! Czy te klematisy odrosną?

– Tak, ale te kozy na dobre im nie wyjdą, to nie ulega wątpliwości. – Potrząsnęła palcem. – Ostrzegłam dzieciaki, Raya i Augustę również, że lepiej, abym już nigdy więcej nie zobaczyła tych kóz w pobliżu moich kwiatów. Wiesz, że kozy zjadłyby również ubrania suszące się na sznurze, gdyby je zauważyły. Czasami brakuje im piątej klepki.

Nana Etta zaczęła sortować spięte kupony, nie przerywając rozmowy. Nie potrafiła siedzieć beczynn timer, musiała czymś zająć ręce.

– Ładne są te kózki? – Zola nie zdołała powstrzymać pytania.

– No wiesz, wszystkie małe zwierzęta są śliczne. Kózka Hildy jest biało-brązowa, a Ronniego szara i już ma na głowie dwa niewielkie różki. Musisz tam pójść i obejrzeć je.

– Dobrze – obiecała Zola. Spałaszowała już resztkę biszkopta i zlizywała z palców miód. – Jest jeszcze coś, o czym powinnam wiedzieć?

– No... tak – przyznała babcia z pewnym oporem. – Ale nie mam ochoty ci o tym mówić.

Zola podniosła na nią wzrok, zaniepokojona.

– Ktoś z rodziny zmarł?

– Dzięki Bogu nie! – Nana Etta wstała, żeby wstawić nakrycia Zoli do zlewu. – Ale podejrzewam, że ta nowina zmartwi cię nie mniej. Ktoś kupił ziemię w górach wokół Raven's Den i wybudował tam dom.

Zola wypuściła z ręki filiżankę, herbata chlusnęła na stół.

– Och, Nano, tylko nie Raven’s Den!

Babcia kiwnęła głową i podeszła, żeby wytrzeć stół.

– Tak. Wszystkim się wydawało, że nikt nie zachce kupić tak dzikiego terenu. A jednak na jesieni Raven’s Den został sprzedany. Nikt z nas nie miał nawet o tym pojęcia, dopóki nie wybudowano tam domu. Któregoś dnia Papa zobaczył dym wzbijający się w niebo z tamtej okolicy i wysłał Wayne’a w góry, żeby rzucił okiem. Martwiliśmy się, że zarośla płoną.

Nana sprzątała stół, nie przestając mówić.

– Wayne powiedział po powrocie, że ktoś wybudował na płaskim kawałku zbocza duży dom z bali. I doprowadził drogę od jednej z szos biegnących zboczem góry nad Gatlinburgiem. Wayne podejrzewa, że musiał trafić w to miejsce, jadąc Ski Mountain Road. Pewnie skręcił z tej szosy, przy której jest twój sklep, w pierwszą czy drugą ulicę, wjechał na górę od drugiej strony, a potem zjechał na dół zboczem. Jak wiesz, tu z dołu nie ma żadnej drogi do Raven’s Den. I szczerze wątpię, czy dałoby się zbudować drogę po tej stronie góry; wiesz, jak strome i skaliste są tutejsze zbocza. A poza tym między grzbietem górskim a naszą farmą płynie strumień. I dość często wylewa.

Zola starała się nie rozplakać, słuchając słów babci.

– Przykro mi, moje dziecko. – Nana Etta podeszła i uściskała ją. – Wiem, że to zawsze było dla ciebie miejsce szczególne, od małości. Chodziłaś tam, żeby rozmyślać, marzyć, przyglądać się światu. Pamiętam, że robiłam to samo, kiedy byłam mała. Nikt z nas nie jest zadowolony, że ta ziemia została sprzedana. Odnoszę wrażenie, że coraz więcej turystów przyjeżdża w te strony wykupywać tereny, które dotychczas były całkiem dzikie. To nie w porządku, ale nic nie możemy na to poradzić.

Usiadła naprzeciw Zoli.

– Uznałam, że lepiej, żebyś dowiedziała się ode mnie, zanim tam pójdziesz i odkryjesz to sama, nieuprzedzona.

– Czy wiesz, kto tam mieszka? – Zola przygryzła wargę z niepokojem.

Nana potrząsnęła głową.

– Nie. Tamtego dnia, kiedy Wayne poszedł w góry, nie spotkał nikogo, a gdy zanadto zbliżył się do domu, usłyszał szczekanie psa. Więc wrócił na dół. Twierdzi jednak, że teren nie został zniszczony. Nowi właściciele starali się w miarę możliwości zachować przyrodę nietkniętą. To chyba dobrze.

Zoli trudno było skoncentrować się na rozmowie z babcią. Wkrótce wyszła i ruszyła w drogę powrotną do domu. Bez przerwy myślała o Raven’s Den. I musiała uczciwie przyznać, że sprzedaż Raven’s Den napełniła ją rozpaczą. Było to dla niej miejsce szczególne i nie wyobrażała sobie nawet, że ktoś mógłby je kupić.

Wędrując do domu w towarzystwie Posey, co chwila podnosiła oczy na

wysoką górę wznoszącą się ponad Farmą Devonów. Podobnie jak wiele farm na terenach górskich, Farma Devonów leżała w dolinie pomiędzy dwoma strumieniami. Z obu stron okalały ją grzbiety górskie.

Jonas Creek Road, biegnąca wzdłuż potoku Jonas Creek, była główną drogą przecinającą dolinę. Dwupasmowa szosa zaczynała się przy centrum handlowym za Gatlinburgiem, wiła się przez rolnicze tereny za Piney Butt i Cove Mountain, a potem zbliżała się do granicy Parku Narodowego Great Smoky Mountains. Z biegiem lat, kiedy Smokies stały się ulubionym terenem wypoczynkowym, coraz więcej dróg zaczęło piąć się z Gatlinburga na Cove Mountain, aż do najwyższych grani. Domki letniskowe i szalasy upstrzyły zbocze od strony miasta, ale Zola nie przypuszczała, że pojawią się również na północnym stoku górującym nad farmą Devonów. Tam zbocze było urwiste i skaliste. Bardzo strome.

– Bądź uczciwa, Zolo – powiedziała na głos. – Ponieważ w dzieciństwie rościłaś sobie prawo do Raven’s Den, ponieważ widzisz to miejsce z okna swojej sypialni i ponieważ wielokrotnie wspinałaś się na tę skałę, uznałaś ten teren za swoją własność.

Kopnęła leżącą na ścieżce szyszkę.

– Nienawidzę tego, kto się tam pobudował, Posey. Naprawdę go nienawidzę. To takie piękne, dzikie miejsce. I powinno takim pozostać.

Kiedy wyszła z lasu za domem, jeszcze raz podniosła oczy na górę. Z tego miejsca nie mogła zobaczyć domu. Teraz jednak, kiedy wiedziała o jego istnieniu, wyczuwała jego obecność.

– Będę musiała tam wejść – poinformowała kotkę. – Muszę zobaczyć, czy nie zniszczyli mojego szałas.

Rozdział czwarty

Następnego dnia po epizodzie z Leeną Evanston Spencer wstał wczesnym rankiem i wyszedł z domu, biorąc aparat fotograficzny. Wczesne poranki i wieczory to najlepsze pory dla zawodowego fotografa. Tego dnia robił zdjęcia drzew, jeszcze zimowo nagich, ale z formującymi się już na gałęziach pączkami. Dość często kierował również obiektyw na ptaki, wyjątkowo uradowane pięknym dniem i oznakami budzącej się wiosny. Ostatniej nocy Spencer spał niespokojnie, ale kiedy wyszedł z domu w ten rześki, słoneczny poranek, szybko poprawił mu się humor. Natura zawsze działała kojąco na jego duszę.

Po powrocie z sesji fotograficznej gwizdnął na Zeka. Pies potrzebował porannego spaceru, bo Spencer z reguły nie zabierał go ze sobą, kiedy wychodził z aparatem o świcie. Mądry owczarek słuchał komend swego pana, ale sam jego zapach odstraszał dzikie zwierzęta.

Pies i jego pan wędrowali teraz razem granią, kierując się na zachód. Spencer jeszcze jesienią odkrył leśny trakt, prowadzący z jego ziemi wzdłuż Shinbone Ridge. Przez kolejne miesiące w każdej wolnej chwili czyścił ścieżkę. Ta wspinaczka na grań i występ skalny wysoko na Shinbone Ridge stała się ulubioną trasą jego i Zeka.

Po spacerze z psem Spencer postanowił wybrać się ze swoim lunchem i aparatem fotograficznym do starego szałas. Zabrał też trochę przynęty dla zwierząt. Jeśli będzie siedział cicho, to może uda mu się zrobić kilka dobrych ujęć ptaków i wiewiórek, które dość często odwiedzały karmniki. Dzień był jeszcze dość chłodny, ale już nie mroźny, a słoneczna pogoda nie pozwalała Spencerowi usiedzieć w domu. Poza tym po wczorajszych przejściach potrzebował terapeutycznego działania.

Wyczuł obecność dziewczyny, schodząc ścieżką do szałas uciepionego półki skalnej, zanim jeszcze miał szansę ją zobaczyć. Dreszcz przebiegł mu po kręgosłupie, gdy zbliżał się do chaty.

Wyszedł zza zakrętu i zobaczył ją – stała pod ścianą i patrzyła w dolinę. Odwróciła się na odgłos jego kroków. Spencer ze zdumieniem rozpoznał w niej sprzedawczynię ze sklepu w Gatlinburgu. Łzy płynęły po jej policzkach strumieniami, choć wyraźnie starała się powstrzymać przyływ uczuć.

Spencer postawił przenośną lodówkę na ziemi i czekał. Chciał dać jej czas na otarcie łez i wzięcie się w garść. Była poruszona, ale zauważył, że w pewnym momencie go rozpoznała.

– Co tutaj robisz? – zapytała, patrząc na niego ze zdumieniem przez łzy.

– Mieszkam – powiedział cicho i szerokim gestem wskazał okoliczne góry. – To moja własność, mniej więcej cztery mile w każdą stronę, w najlepszym razie

jakieś sto akrów.

Szeroko otwartymi oczami śledziła ruch jego ręki

– Nie rozwaliłeś mojego szafasu. – Położyła rękę na sercu. – Nie mogłam uwierzyć własnym oczom, kiedy tu weszłam i zobaczyłam, że nadal stoi.

Łzy znowu popłynęły strumieniem.

– Niech cię Bóg za to błogosławi. Naprawdę. – Głos dziewczyny był nabrzmiały uczuciami. – Niech cię Bóg błogosławi za to, że go oszczędziłeś.

I zanim Spencer zdążył się zorientować w jej zamiarach, dziewczyna przebiegła tych kilka dzielących ich jardów i impulsywnie zarzuciła mu ramiona na szyję. Odsunęła się nieco, uśmiechnęła się do niego radośnie, objęła dłońmi jego twarz i pocałowała go w same usta.

Spencer nie pamiętał, żeby ktoś obdarzył go kiedyś równie spontanicznym, radosnym pocałunkiem. Bez zastanowienia objął ją w pasie i oddał jej pocałunek. Poczul smak wiśniowej pomadki ochronnej do ust i zapach świeżych jabłek oraz kwiatów jabłoni. Jego zmysły zareagowały. To była chwila warta utrwalenia – jak moment wschodu słońca niespodziewanie uchwycony na fotografii.

Zapisał ten obraz w pamięci, chociaż jego dłonie już wędrowały w górę, by zanurzyć się w splątana grzywę kręconych, czarnych włosów, które fruwały wokół jej twarzy, unoszone powiewem wiatru. Dziewczyna przytuliła się do niego, jakby chciała rozplątać się z rozkoszy, i splotła ręce za jego plecami. Spencer zamknął oczy, pełen zachwytu. Nie doświadczył w życiu zbyt wielu momentów tak spontanicznych, ciepłych, autentycznych uczuć. Rozkoszował się więc tą chwilą.

Dziewczyna pogłaskała go z sympatią po plecach i odsunęła się. Spojrzał z góry w jej ciepłe, brązowe oczy, w których odbijały się złociste promienie słońca, na oliwkową skórę, która dosłownie promieniała. Dziewczyna była znacznie piękniejsza, niż mu się wcześniej wydawało.

Nagle wydeła dolną wargę i zrobiła nadąsaną minę.

– Jestem, co prawda, bardzo zadowolona, że nie zniszczyłeś mojego szafasu, ale to nie oznacza, że przestałam cię nienawidzić za to, iż kupiłeś Raven's Den. To miejsce powinno pozostać w naturalnym stanie. Jest w nim coś szczególnego.

Spencer uśmiechnął się, nie mógł odmówić jej racji.

Dziewczyna przyjrzała mu się badawczo.

– Zdajesz sobie z tego sprawę, prawda? Odczułeś to, kiedy pojawiłeś się tutaj po raz pierwszy. To miejsce przemówiło do ciebie.

Spencer przewrócił oczami i pokiwał głową.

– Dość już tych przepowiedni i odczytywania przeznaczeń, wyspiarko. Wczorajsze wystarczą w zupełności.

Znieruchomiała, starając się przestawić myśli na inny tor.

– Prawie o tym zapomniałam. – Cofnęła się. – Wczoraj zachowałeś się wobec mnie niegrzecznie.

Spencer parsknął śmiechem.

– A ty byłaś wobec mnie grzeczna? – Zdawał sobie sprawę, że te słowa zabrzmiały sarkastycznie.

Dziewczyna zachmurzyła się i Spencer natychmiast pożałował, że przez niego cień zasnuł jej śliczną twarz.

Wyciągnął do niej rękę.

–. Wydaje mi się, że nie zostaliśmy sobie formalnie przedstawieni. Nazywam się Spencer Jackson. Wprowadziłem się w te strony pięć lat temu. Przedtem mieszkałem w Savannah.

Zastanowiła się.

– Ten Spencer Jackson od Galerii Jacksona?

Kiwnął głową. Jej twarz opromienił ponownie ów spontaniczny blask.

– Jestem Zola Devon. – Podała mu rękę i Spencer z wysiłkiem powstrzymał się od pogładzenia jej dłoni. Ta wyjątkowa dziewczyna z dziwną mocą oddziaływała na niego.

– Mój Kącik Natury znajduje się w tym samym centrum handlowym co twoja galeria – stwierdziła. – Jestem jego właścicielką od trzech lat. Kupiłam ten sklep po niespodziewanej śmierci jego poprzedniej właścicielki, Eleanor Taylor. Pewnie ją pamiętasz. – Uśmiechnęła się do Spencera. – Jaki ten świat jest mały, prawda? Aż trudno uwierzyć, że nie spotkaliśmy się wcześniej!

Spencer wzruszył ramionami.

– Rzadko bywam w galerii. Większość czasu spędzam w terenie i dużo podróżuję. W prowadzeniu sklepu wyręcza mnie Aston Parker.

– Znam Astona Parkera! – Wpadła mu w słowo z gorączkowym entuzjazmem. – Clarka Venable, który z nim pracuje, również. To naprawdę dziwne, że ciebie dotąd nie spotkałam.

– Spotykamy się teraz. – Objął dłonią jej twarz i pochylił się. Pamiętał, rozkoszny smak poprzedniego pocałunku i pragnął doznać tego jeszcze raz.

Dziewczyna zrobiła jednak krok do tyłu, uchylając się przed pocałunkiem.

– Bądź łaskaw nie wyciągać zbyt daleko idących wniosków z tego, co wydarzyło się przed chwilą, Spencerze Jacksonie. Kiedy tu przyszłam i znalazłam swój szałas nietknięty, przeżyłam chwilę uniesienia. Spodziewałam się, że został rozwalony.

Zola podeszła znowu do wrośniętej w naturalną rzeźbę terenu konstrukcji.

– To dla mnie ogromna ulga i radość, że nie zniszczyłeś tej chaty. Wiem, że nie grzeszy urodą, ale jest dla mnie miejscem szczególnym, prawdziwą przystanią.

– Ty ją zbudowałaś? – zapytał Jackson. Podniósł z ziemi przenośną lodówkę, zaniósł ją do szałasu i postawił na stole.

Dziewczyna kiwnęła głową i z zadowoleniem rozejrzała się po ciasnym wnętrzu.

– Budowałam ją stopniowo, przez całe dzieciństwo. Kawalek po kawałku. Mam mnóstwo wspomnień związanych z każdym kamieniem i z każdym patykiem, z każdym wietrznym dzwonkiem, i z każdym karmnikiem. – Wskazała ręką rozciągającą się w dole dolinę. – Ścieżka prowadząca tu z mojego domu, tam w dole, jest bardzo stroma. Niełatwo mi było wnosić na Raven's Den deski i krzesła.

Spencer stanął obok niej i spojrzał w dół zbocza.

– Widzisz, to tamten szary dach na niewielkiej polance. – Wskazała gestem miejsce. – To nasz rodzinny dom. Teraz mój własny. Tata spędza cały rok na Mooréa, do Stanów wpada tylko od czasu do czasu, żeby odwiedzić rodziców i resztę rodziny.

– Mooréa? – Spencer starał się odświeżyć w pamięci wiadomości z geografii. – To wyspa na Południowym Pacyfiku, w pobliżu Tahiti, tak?

– Z Tahiti na Mooréa płynie się promem czterdzieści minut. – Uśmiechnęła się. – Krócej, jeżeli ma się własną łódź. Moja rodzina mieszka na Mooréa w pobliżu Temae, ale cała wyspa ma zaledwie dziesięć mil długości, więc wszędzie jest blisko. Jeśli ktoś, jak ja, urodził się tam i spędził na Mooréa całe dzieciństwo, to każdy cal wyspy uważa za swój dom.

Burczenie w brzuchu przypomniało Spencerowi o upływie czasu.

– Przyniosłem ze sobą lunch. Jadłaś już? Jeśli nie, mogę się z tobą podzielić. Wziąłem więcej jedzenia, żeby podkarmić wiewiórki i ptaki. Liczyłem, że kiedy będą zajęte jedzeniem, uda mi się pstryknąć im kilka zdjęć. – Wskazał przewieszony przez ramię aparat.

– Nie, jeszcze nie jadłam lunchu.

Widział, że zastanawiała się nad jego propozycją.

– I chętnie zostałamby tu jeszcze chwilę, zanim zejdziesz w dolinę. Co masz do jedzenia?

Otworzył chłodziarkę.

– Kilka smażonych nóżek kurczaka, które zostały z wczorajszej wyprawy do KFC w Gatlinburgu, trochę wędzonego sera gouda, kilka jabłek i butelek wody. – Spojrzał na Zolę z uśmiechem. – Oraz krówki ze sklepu ze słodyczami, który znajduje się obok mojej galerii.

– Ze Sklepu Słodkości? – Odpowiedziała uśmiechem na uśmiech Spencera. – To przesądza sprawę. Zostaję na lunch.

Roześmiał się, znów ujęty jej spontanicznością.

Zola obchodziła wewnątrz szafasu, podczas gdy on wyjmował jedzenie. Rozłożył je na plastikowe talerzyki, przytwierdzone do wieczka chłodziarki. Spencer często karmił zwierzęta resztkami swoich posiłków, rzucał je na półkę skalną, żeby zwabić dzikie stworzenia do środka.

– Dodałeś dwa fotele bujane – odezwała się Zola za jego plecami.

– Czy zniszczyłem przez to ducha tego miejsca? – Odwrócił się i podał jej talerz.

– Nie – odparła po zastanowieniu. – Pasują tutaj. – Usiadła na jednym z nich, postawiła swój talerz na podłokietniku i zakołysała się lekko.

Spencer widział, jak na jej twarzy rozlał się uśmiech zadowolenia.

– Jak miło. – Spojrzała na Spencera spod przymkniętych powiek. – Ja nie zdołałabym wnieść tutaj tak dużych foteli. A lubię się huścić. Zawsze lubiałam.

– Ja również. – Spencer usiadł w drugim fotelu, obok niej. – Moja mama twierdzi, że tylko w ten sposób można było mnie uspić, jak byłem mały. Bujane fotele przyciągały mnie zawsze jak magnes.

Zola wgrzyzała się w udko kurczaka z wyraźnym apetytem, musiała być głodna.

Spencer postawił na ziemi swoją butelkę z wodą i również zabrał się do jedzenia.

– Jak daleko jest z twojego domu na Raven’s Den?

– Załedwie półtorej mili, ale jak się idzie pod górę, to wydaje się dalej. Za potokiem Buckner Branch zaczyna się stroma wspinaczka, a potem trzeba skakać po kamieniach, bo ścieżka prowadzi wzdłuż strumienia. W pewnym miejscu woda spada z wysokiego urwiska, tworząc przepiękny wodospad. Byłeś tam kiedyś?

Spencer kiwnął głową.

– Wspaniałe miejsce. Latem lubię pływać w basenie u stóp wodospadu. – Zola skończyła nóżkę kurczaka i włożyła do ust kawałek sera. – Droga na dół jest łatwiejsza. Jeśli zejdiesz kiedyś na naszą farmę, to będzie miły spacer. Natomiast droga powrotna okaże się trudniejszym zadaniem.

– Jestem w całkiem niezłej formie.

Zerknęła na niego.

– Widzę. – I zarumieniła się uroczo, kiedy uświadomiła sobie, że powiedziała mu komplement.

W milczeniu wrócili do jedzenia, rozkoszując się potrawami i pięknym dniem.

Zola pochyliła się naprzód, odgryzła kilka kawałków jabłka, położyła je na półce skalnej i zaczęła wydawać śpiewne odgłosy. Wkrótce z drzewa ponad jej głową dobiegł szmer. Spencer siedział w swoim fotelu całkowicie nieruchomo i patrzył. Po paru minutach po gałęzi zbiegła szara wiewiórka, zatrzymała się i zaczęła się im przyglądać.

Zola wydała jeszcze kilka dźwięków i odezwała się do zwierzątka miłym głosem:

– No, mój mały przyjacielu, widzę, że nadal tu jesteś. Przetrwałeś ciężką zimę. Chodź, zobacz, co dla ciebie mam. – Położyła jeszcze kilka kawałeczków jabłka.

Szara wiewiórka zdawała się rozumieć słowa zaproszenia, bo zbiegła z drzewa i zeskoczyła z niskiej gałęzi na półkę skalną. Zabrała się do pałaszowania jabłka, najwyraźniej nie obawiając się Zoli, za to zerkając nieufnie na Spencera.

Ręka Spencera odruchowo sięgnęła po aparat.

Zola pokręciła głową.

– Tym razem nie próbuj go fotografować, Spencerze. On jeszcze ciebie nie zna. Zaczekaj, nakarm go najpierw parę razy, żeby zaczął cię rozpoznawać i zrozumiał, że nie stanowisz dla niego zagrożenia. Wtedy lekki trzask migawki i twoje ruchy przestaną go przerażać. Jeżeli spróbujesz teraz, to zdołasz mu zrobić najwyżej jedno zdjęcie. Jeśli w ogóle. Bo jest szybki.

– Znasz go? – zapytał cicho Spencer, nadal pozostając w bezruchu.

Zola znowu zaświergotała do wiewiórki.

– Tak. Znam. Widzisz ten malutki supełek na ogonku? Pewnie to pamiątka po jakiejś zwadzie z przeszłości. Ma to od zawsze.

– Od dawna go karmisz?

– Tego? – Zastanowiła się. – Chyba od trzech lat. Ma szczęście, że przeżył tak długo. Wiewiórki na swobodzie żyją nawet sześć lat, ale ich okres przeżycia skraca się, jeśli mieszkają na terenach zurbanizowanych.

– Ten teren raczej trudno uznać za zurbanizowany. – Spencer zmarszczył czoło.

– To prawda. Ale turyści wykładają przynęty, wyrzucają jedzenie w pobliżu swoich domków letniskowych, a to dla wiewiórek ogromna pokusa. Poza tym, tam, gdzie ludzie, tam i samochody, a to drapieżniki, które najbardziej zagrażają wiewiórkom.

Spencer roześmiał się.

Skończyli lunch i Spencer z rosnącym zachwytem obserwował, jak Zola wabiła do szalasu wiewiórki, ptaki, a nawet jaszczurkę.

– Masz podejście do zwierząt, Zolo Devon. Zazdroszczę ci tego.

Odwróciła się i położyła mu rękę na kolanie.

– Ty również je masz, Spencerze Jacksonie. Gdybyś nie miał podejścia do zwierząt, nie przyszłyby tutaj, kiedy ty jesteś.

– Tak sądzisz? – Spodobała mu się ta myśl.

– Ja to wiem. – Zola poklepała go po kolanie i spojrzała mu w oczy swoimi brązowymi oczami. – Trudno mi ciebie nienawidzić, skoro stworzenia boże ci ufają.

– Dziwna z ciebie dziewczyna.

– Już to mówiłeś. – Przyjrzała mu się z namysłem, a potem zakryła oczy rękami.

– Masz rację, że zachowałem się wczoraj wobec ciebie po chamsku, Zolo. Przykro mi.

– Dziękuję za przeprosiny – powiedziała. Postawiła swój talerz na ziemi obok siebie i znowu zaczęła kołysać się lekko w fotelu.

On również zaczął się bujać, spoglądając na dolinę. Cieszył się jej towarzystwem nawet wtedy, kiedy nie rozmawiali ze sobą. Zerknął na nią – miała zamknięte oczy, ale nie przestawała się uśmiechać.

– O czym myślisz? – zapytał.

Zwróciła na niego ciepłe spojrzenie.

– Łączyłam się po prostu ze Stwórcą, Spencerze. Trudno tego nie robić, kiedy wokół jest tak pięknie, nawet gdy przebywam w ziemskim towarzystwie.

– Cóż, chyba nie przeszkadza mi obecność kolejnej osoby.

Przez kilka chwil bujali się w fotelach w milczeniu.

Potem Spencer chrząknął, żeby oczyścić gardło.

– Myślałem, że zapytasz mnie o tamtą kobietę i o to, co się stało.

– Wiem, co się stało – stwierdziła, nie przestając się bujać. Zauważyła, że się skrzywił. – Nie wiem *wszystkiego*, Spencerze. – Znowu położyła mu rękę na kolanie i nagle ogarnął go dziwny spokój. – Wiem tylko, że niczego ci nie zabrała. Że cię nie okradła.

Dopiero teraz naprawdę się zdenerwował. Podchwycił jej spojrzenie.

– Skąd to wiesz, Zolo?

– Stwórca bardzo się tobą interesuje, Spencerze. – Uśmiechnęła się, patrząc mu w oczy. – A z tego co wiem oznacza to, że należysz do Niego.

Spencera ogarnął jeszcze większy niepokój, poczuł się bardzo niepewnie. Nie miał zwyczaju rozmawiać o sprawach tak intymnych jak Bóg czy religia. Wiara była dla niego czymś bardzo osobistym i głębokim, a nie tematem do towarzyskiej pogawędki.

Zola przyglądała mu się uważnie.

– Mówienie o wierze nie deprecjonuje jej, Spencerze. – Kąciki jej ust drgnęły w nieznacznym uśmiechu. – Prawdę mówiąc, w większości wypadków rozmowa o niej, wymiana myśli jeszcze ją wzmacnia.

– Cóż, nie przywykłem do tego. – Gwałtownie wstał z fotela i zaczął pakować rzeczy do chłodziarki.

Zola nie powiedziała nic więcej, a kiedy znowu odwrócił się w jej stronę, wysypywała na półkę skalną resztki posiłku dla swoich przyjaciół.

– Jestem ci winien podziękowanie za to, że ostrzegłaś mnie przed Leoną. – Obserwował ją pilnie, ciekaw jej reakcji.

Uśmiechnęła się do niego.

– To nie mnie powinieneś dziękować. Nigdy wcześniej cię nie spotkałam. Co mogłam wiedzieć o tobie i tej kobiecie? Zupełnie nic. To Bóg cię znał i to Bóg się o ciebie troszczył. Ja byłam tylko narzędziem, którym się posłużył, żeby cię ostrzec.

– Tak to widzisz? – Spencer skrzywił się. To było dlań coś nowego, coś co wymagało przemyślenia.

Zola wstała z fotela.

– Tak po prostu jest, Spencerze.

Dopiero w tym momencie zobaczył, że miała na sobie ogrodniczki i podkoszulek. Rozpięła kurtkę, dzięki czemu mógł dostrzec, co nosiła pod spodem. Nie widział dziewczyny w ogrodniczkach od czasu, gdy opuścił Daufuskie, niewielką wysepkę u wybrzeży Georgii w okolicach Savannah.

Zola zauważyła jego spojrzenie.

– Są wygodne – wyjaśniła.

Kiwnął głową.

– Muszę już iść. – Podeszła, żeby jeszcze raz rzucić okiem na dolinę.

– Wrócisz jutro? – zapytał pod wpływem impulsu.

– Dziękuję za zaproszenie. – Odwróciła się, żeby na niego spojrzeć, i w tym momencie zauważył cień bólu przemykający przez jej twarz. – Teraz będę już chyba potrzebowała zaproszenia, żeby tu przyjść.

Wyciągnął rękę i dotknął jej ramienia.

– Przychodź tu, kiedy tylko zechcesz, Zolo. Wiedziałem, że ten szalas to miejsce szczególne, odkąd na niego trafiłem. W pewien sposób należy i do ciebie, ale mam nadzieję, że pozwolisz, bym go z tobą dzielił.

Wzruszyła ramionami.

– O której przyjdiesz? – zapytał.

– Po kościele – odparła Zola. – Jutro są chrzciny Thomasa Walkera, dziecka Tannera i Delii Crossów. Nie mogę ich opuścić.

Spencer spojrział na nią, wyraźnie zaskoczony.

– W Górskim Prezbiteriańskim przy Natty Road? – zapytał. – Ja też jestem zaproszony. Delia Cross pomagała mi w dekoracji wnętrza domu.

– Wybierasz się? – zapytała Zola z uśmiechem. – Jeśli tak, to pewnie się tam spotkamy. Mały Thomas jest cudownym, radosnym chłopczykiem. To prawdziwa radość móc uczestniczyć w ceremonii obdarzenia go Bożym błogosławieństwem.

– Tak, tak mi się zdaje. – Spencer rzadko brał udział w takich spotkaniach, ale Zola sprawiła, że nabrał na to ochoty.

– Może zobaczymy się w kościele – stwierdziła, złapała kij i zaczęła schodzić w dół.

Zatrzymało ją pytanie Spencera.

– Jak nazywasz to miejsce, Zolo?

– Po prostu Raven's Den. – I znowu obdarzyła go swoim olśniewającym uśmiechem. – Ale ten mały budyneczek to szalas medytacji. Zaprzyjaźniona autochtonka z Mooréa pokazała mi, jak go sklecić. Tam też mam taki, na szczycie opadającego do oceanu klifu. I też rozciąga się stamtąd wspaniały widok. Człowiek

potrzebuje miejsc, w których może znaleźć spokój i zajrzeć w głąb własnej duszy. Ja zawsze wyciszałam się w takich szalasach jak ten.

– Interesującą z ciebie dziewczyna, Zolo.

Przyjrzała mu się uważnie.

– A ty jesteś mężczyzną, którego dusza bardzo potrzebuje spokoju, Spencerze Jacksonie. – Zaczęła schodzić w dół. – Do zobaczenia jutro w kościele.

Rozdział piąty

Następnego dnia, gdy Zola weszła ze swoją rodziną do Highland Cumberland Presbyterian Church, była ciekawa, czy zobaczy podczas nabożeństwa Spencera Jacksona. Powiedział, że został zaproszony, ale nie mówił, czy się pojawi.

Kościół był bardziej zatłoczony niż zwykle. Zola spostrzegła wiele nowych twarzy. Wzięła Nanę pod rękę, żeby pomóc jej przejść nawą.

– Prawdopodobnie dzisiaj będzie sporo osób, które przyjdą na chrzciny – zauważyła Nana, która również dostrzegła w kościele nieznanymi, kiedy zmierzały do swojej stałej ławki. – Tanner i Delia Crossowie mają w Gatlinburgu sporo przyjaciół.

Zola wsunęła się w rodzinną ławkę Devonów w ślad za dziadkami. Ich rodzina zawsze siadywała w szóstym rzędzie po prawej stronie, pod wielkim witrażem poświęconym Devonom – wieloletnim filarom Highland Cumberland Presbyterian Church. Z czasem rozrastający się ród Devonów zajął również siódmą ławkę.

Ciotka Becky Rae, jej mąż Gene oraz syn Jim z córkami Doreen i Jenny siedzieli w szóstej ławce wraz z Zolą i jej dziadkami. Za nimi, w siódmej ławce, zajmowała miejsca rodzina wujka Raya – on sam oraz jego żona Augusta, córka Stacy, syn Wayne z żoną Patricią i dziećmi: Hildą i Ronniem.

– Kiedy zbierzemy się wszyscy razem, robi się prawdziwy tłum – stwierdziła Nana, rozglądając się z satysfakcją. Zola wiedziała, że babcia kontrolowała również, czy wszyscy wyglądali jak należy – czy dziewczynki ubrane są w ładne sukienki, chłopcy w porządne garnitury, a wszyscy starannie uczesani.

Kuzynka Zoli, Stacy, miała największe problemy ze sprostaniami ostrym rygorom narzuconym przez Nanę. Siedziała na lewo od Zoli, wściekła, że musiała włożyć bluzkę i spódniczkę.

– Czy mi się wydaje, Stacy – droczyła się z nią Zola – czy jesteś dziś także umalowana?

– Zamknij się, Zolo. – Stacy skrzywiła się i dała jej kuksańca łokciem. – Nie rozumiem, dlaczego musimy się stroić i dlaczego nie wolno nam chodzić w spodniach do kościoła. Rozejrzyj się i zobacz, ile kobiet przyszło dzisiaj w spodniach. Myślę, że Nana powinna w tej sprawie ustąpić. Nienawidzę spódnic. – Stacy należała do kobiet spędzających życie na dworze i chorobliwie nie znosiła się stroić.

Zola uśmiechnęła się szeroko.

– To tylko raz w tygodniu, kuzynko. A łatwiej ustąpić Nanie, niż toczyć z nią daremne boje.

– Tu masz rację – wymamrotała Stacy pod nosem, bo w tym momencie zabrzmiała kościelna muzyka, a chór i pastor zaczęli zajmować swoje miejsca.

Zola nie miała szansy rozejrzeć się za Spencerem aż do tej części nabożeństwa, kiedy wierni przekazują sobie znak pokoju. Kiedy odwróciła się, żeby uścisnąć dłonie i przywitać się z innymi, dostrzegła go na końcu kościoła. Zauważyła, że starał się bratać z resztą zgromadzonych, chociaż wyraźnie do ekstrawertyków nie należał. Musiał się zmuszać, żeby być miłym. Zola uśmiechnęła się do siebie i usiadła na swoim miejscu.

Zauważyła, że po zakończeniu mszy Spencer ociągał się z opuszczeniem kościoła. Podeszedł do Tannera i Delii, by złożyć im gratulacje. Para została przed ołtarzem z małym Thomasem i tam witała się z rodziną i przyjaciółmi, którzy przybyli na chrzciny.

Nana, która podeszła akurat do Delii, pogłaskała niemowlę po policzku.

– Mały Thomas wygląda na zadowolonego, że jest w centrum zainteresowania.

Dziecko, jakby na potwierdzenie, uśmiechnęło się radośnie i złapało ją za palec.

– Był dzisiaj naprawdę grzeczny – stwierdziła Nana z uśmiechem. – Może z wyjątkiem tej chwili, kiedy próbował odepchnąć rękę pastora przy polewaniu jego główki wodą.

Delia podniosła wzrok i spostrzegła zbliżającego się Spencera.

– Spencer! Cieszę się, że przyszedłeś. To bardzo miło z twojej strony. – Wyciągnęła wolną rękę, bo drugą trzymała Thomasa, i lekko uścisnęła Spencera.

Spencer przywitał się również z Tannerem Crossem, a potem przeniósł wzrok na Nanę.

– Czy to nie pan kupił Raven’s Den? – Nana poprawiła okulary, żeby mu się lepiej przyjrzeć. – I zniszczył szafas Zoli?

Kiwnął głową i zwrócił pytające spojrzenie na Zolę.

Poczuła, jak na jej twarz wypływa rumieniec.

– Spencerze, to moja babcia, Etta Garnett Devon.

– A ten tutaj to mój mąż, Vernon Rayfield Devon – przedstawiła Nana, bo dziadek Zoli akurat do nich podeszedł.

Mężczyźni skinęli głowami i podali sobie ręce, potem zaś Spencer uścisnął również rękę Nany.

Potem przeniósł spojrzenie chmurnych, szarych oczu na Zolę. Zmierzył wzrokiem jej dopasowaną w pasie sukienkę i gołe nogi w czarnych lakierkach.

Nieoczekiwanie serce Zoli zaczęło bić szybciej, więc usilnie starała się pomyśleć o czym innym.

Na szczęście Nana znowu zabrała głos:

– Cóż, myślę, że skoro jesteśmy sąsiadami, to powinien pan przyjść do nas

na niedzielny obiad.

Spencer potrząsnął głową.

– Dziękuję za zaproszenie, pani Devon, ale naprawdę nie musi pani...

Nie dane mu było dokończyć zdania, bo dziadek Zoli, klepnął go mocno w plecy.

– Mamy mnóstwo jedzenia, chłopcze, i chętnie cię bliżej poznamy. Twój górski dom widać z naszych okien, a grań stanowi granicę między naszą farmą a twoją ziemią. Powinniśmy się lepiej poznać synu. Będę zadowolony, jeśli się zgodzisz.

Spojrzenie Spencera złagodniało.

– W takim razie zgadzam się z przyjemnością, panie Devon. Dziękuję.

Zola uśmiechnęła się do Spencera.

Nana w zamyśleniu wodziła wzrokiem od jednego do drugiego.

– Zola, jedź samochodem ze Spencerem, pokażesz mu drogę. Na tych krętych szosach z Gatlinburga łatwo skręcić w niewłaściwą stronę. Jak się nie zna drogi, można nie trafić na Jonas Creek Road.

Zola kiwnęła głową, a Nana z zadowoleniem pogłaskała ją po ramieniu.

– Zostanę tu jeszcze chwilę i zaraz jadę do domu.

– Och, zapomniałam ci powiedzieć, Nano! – zawołała Zola i strzeliła palcami. – Mary Ogle jest tutaj, przyjechała z Johnem Dale'm i Hallie Madison. Miała nadzieję, że przed wyjazdem uda jej się z tobą spotkać.

Nana uśmiechnęła się.

– Idę jej poszukać, zanim Vern zacznie mnie ciągnąć do samochodu. – Rzuciła mężowi ostrzegawcze spojrzenie. – Nie widziałam Mary Ogle od wieków i chcę się z nią przywitać.

Odwróciła się i ruszyła kościelną nawą. Dziadek Zoli ruszył za nią, witając się po drodze ze znajomymi.

– No to wpadłeś jak śliwka w kompot – zwróciła się Zola do Spencera. – Mamy liczną rodzinę i wszyscy po kolei będą cię wypytywać o Raven's Den, a prawdopodobnie również o twoje życie.

– Chyba dam sobie radę. Dużo podróżuję, Zolo. Jako fotograf znajduję się często w centrum uwagi i przywykłem już, że muszę odpowiadać na rozmaite pytania.

– Miło mi to słyszeć. – Uśmiechnęła się i wzięła go pod ramię. – Pozwól, że przedstawię cię paru osobom, skoro będziesz dzisiaj naszym gościem, a potem, przy wyjściu z kościoła, złożymy wyrazy uszanowania pastorowi i jego żonie.

Po chwili wyszli do przedsionka i Zola przedstawiła Spencera wielebnemu Madisonowi i jego żonie June.

June zlustrowała Zolę krytycznym spojrzeniem i zmarszczyła brwi.

– Widzę, że wróciłaś z wyprawy.

– Wróciłam, June. I widziałam dzisiaj twoją olśniewającą wnuczkę z Johnem Dale’em i Hallie. Jest naprawdę śliczna.

Twarz pastorowej nieco złagodniała. Kochała wnuczkę.

– Malutka Mary Grace skończyła w zeszłym miesiącu roczek – stwierdziła June i odgarnęła z twarzy krótkie, czarne włosy.

– Prześliczne dziecko. – Zola wyciągnęła rękę do wielebnego Madisona, wysokiego mężczyzny w stroju duchownego, o poważnej twarzy i oczach ukrytych za szklami okularów.

Pastor z sympatią uściśnął jej dłoń i przywitał się z nią uprzejmie. Zola otworzyła usta, żeby odpowiedzieć, ale nagle oniemiała z zaskoczenia i podniosła na niego osłupiałe spojrzenie. *On przenosi się do innego kościoła*, usłyszała.

– Nie wiedziałam, że pan wyjeżdża, pastarze Madison – powiedziała ze smutkiem i potrząsnęła głową. – Będzie nam tu wszystkim pana brakowało.

June uciszyła ją machnięciem ręki i syknęła:

– Sza, Zolo. Jeszcze nikogo o tym nie informowaliśmy.

Zola zauważyła, że Spencer przenosił zaciekawione spojrzenie z jednej z nich na drugą.

June również to zauważyła i westchnęła z rozdrażnieniem.

– Obecna tu Zola posiada podejrzaną zdolność odgadywania rzeczy, które nie powinny jej interesować, bo to *nie* jej sprawa. – Zachmurzyła się. – Posiada również nieprzyjemny zwyczaj mówienia o tym głośno, choć większość dobrze wychowanych ludzi trzymałoby język za zębami.

Spencer starał się powstrzymać uśmiech.

Wielebny Madison pochylił się w stronę Zoli, zanim któryś z pozostałych wiernych zdążył do niego podejść.

– To decyzja, którą podjęliśmy niedawno, Zolo. Jeszcze nikomu o tym nie mówiliśmy. Więc proszę, żebyś na razie zatrzymała tę informację dla siebie. Wkrótce ogłoszę ją oficjalnie.

– Oczywiście. – Zola uśmiechnęła się do niego i zamilkła na chwilę, wsłuchując się w wewnętrzny głos. – Aaa, Charleston. Wraca pan do Charlestonu, pastarze Madison. To miło. Charleston był zawsze pana ulubionym miastem. A June od dawna chciała tam wrócić. Mieszka tam wasza córka z rodziną. – Uśmiechnęła się do June. – Jestem pewna, że wszystko wspaniale się wam ułoży.

June prychnęła, ponownie naburmuszona, ale Zola zignorowała jej humory, słuchając wewnętrznego głosu, który nie przestawał do niej mówić. A przed jej oczami pojawił się wyraźny obraz Perry’ego Ammonsa, młodego pastora stojącego przy katedrze.

– Myślę, że Perry Ammons będzie dobrym pastorem na okres przejściowy – oznajmiła. – A może nawet na stałe, jeśli zechciałby przyjąć posadę w naszym kościele.

June rozejrzała się ukradkiem dokoła, żeby sprawdzić, czy nikt tego nie słyszał, po czym rzuciła Zoli ostrzegawcze spojrzenie.

– Na litość boską, dziewczyno, trzymaj język za zębami i przestań gadać na ten temat. Zbliża się pani Harper, a ona nie potrafiłaby dochować tajemnicy, nawet gdyby od tego zależało jej życie.

June najwyraźniej zaczynała się irytować, ale Zola zauważyła, że pastor zastanawiał się poważnie nad wysuniętą przez nią sugestią. Odczuła satysfakcję. Zola zawsze starała się jak najlepiej przekazać to, co w swoim przekonaniu miała przekazać.

June zwróciła się w stronę Spencera i wycelowała w niego palec.

– Mam nadzieję, że wie pan, w co się pan pakuje, zadając się z takimi osobami jak Zola Devon. Ostrzegam, to naprawdę niesamowita dziewczyna. Proszę na nią uważać.

Zola zauważyła, że Spencer z trudem powstrzymywał uśmiech.

– Tak, ma’am – odparł uprzejmie i ujął Zolę pod ramię, żeby ją wyprowadzić z kościoła. – Będę na nią uważał.

Zdołał zachować powagę, dopóki nie znaleźli się na parkingu. Otworzył przed Zolą drzwi samochodu i z rozbawieniem spojrzał jej w oczy.

– A więc nie tylko ze mną bawisz się we wróżkę, Zolo Devon?

– Cicho bądź, Spencerze. – Zrobiła minę i wgramoliła się do jego brązowego SUVa.

Obszedł samochód, usiadł za kierownicą i zapalił silnik, nadal z kpiącym uśmiechem na ustach.

Zola zgromiła go wzrokiem, ale po chwili odezwała się.

– Nie wiedziałam o wyjeździe wielbnego Madisona, dopóki nie uścisnęłam mu ręki. – W zamyśleniu przygryzła wargę. – To przykra wiadomość. Był w naszym kościele od dawna. Większość ludzi będzie żałowała, że pastor wyjeżdża.

Odwróciła się do Spencera z uśmiechem, zapinając pas bezpieczeństwa.

– Aczkolwiek niejeden bez żalu pożegna jego żonę, June.

– Wydaje się nieco zbyt szczerą jak na żonę pastora – odpowiedział Spencer z uśmiechem, po czym zamyślił się na chwilę. – Czy to normalne, że żona pastora stoi u boku męża i wita się z wiernymi wychodzącymi z kościoła po nabożeństwie?

– Nie. Chyba tylko June tak postępuje. Zawsze. Twierdzi, że w ten sposób może lepiej poznać parafian męża. – Zola zachichotała. – Ale tak naprawdę chodzi jej o to, żeby się nagadać.

– Czy ty naprawdę *zobaczyłaś*, że pastor wyjeżdża do Charlestonu, kiedy uścisnął ci rękę? – Spencer pytająco uniósł brew.

– Tak. Bardzo wyraźnie. – Zwróciła na niego spojrzenie. – I nie lubię, kiedy określasz mnie jako wróżkę, Spencerze Jacksonie.

– Nie lubisz?

Zmarszczyła brwi.

– Nie, nie lubię. Wróżka to ktoś, kto – jak obiecuje w reklamach madame Renee – przepowiada przyszłość, odkrywa każdemu jego pragnienia, marzenia, dążenia i znajduje odpowiedzi na dręczące go pytania. – Zola zwróciła na Spencera gniewne spojrzenie. – I to wszystko *jedynie* za niewielką opłatą.

Zauważyła, że Spencer skrzywił się.

Zola wypuściła z płuc powietrze.

– Przepowiednie wróżki nie pochodzą od Boga, Spencerze. To ogromna różnica. Pochodzą od osoby, która może mieć dobre albo złe intencje. I której przepowiednie mogą być prawdziwe albo nie.

Skręcała w palcach pasek trzymanej na kolanach torebki.

– Wróżka praktykuje swoją sztukę na zawołanie. I za opłatą. Chrześcijańska wieszczka czerpie swoją wiedzę i znajomość obecnych oraz przyszłych wydarzeń od Boga i nigdy nie pobiera za to pieniędzy. Dar widzenia pochodzi od Boga i z reguły jest ofiarowany w jakimś konkretnym celu lub z jakiegoś ważnego powodu.

Zauważyła, że Spencer zastanawiał się nad jej słowami.

– A jak sądzisz, dlaczego Bóg objawił ci, że pastor wyjeżdża?

Zamyśliła się na chwilę.

– Tego nie wiem. Może aby zasiać w głowie wielbnego Madisonsa myśl o ustanowieniu Perry’ego Ammonsa swoim tymczasowym zastępcą, a może nawet pastorem na stałe. – Zola przez minutę rozważała tę możliwość. – Perry Ammons jest teraz młodszym pastorem na pół etatu, a to człowiek głębokiej wiary. Słyszałam, jak się modlił, kiedy zastępował pastora Madisonsa. Przyznaję, że dawniej o tym nie myślałam, ale teraz sądzę, że Perry byłby bardzo dobrym nabytkiem dla naszego kościoła.

Spencer zręcznie objechał korek na głównej ulicy Gatlinburga.

– Chyba spotkałem Perry’ego Ammonsa, kiedy jadłem śniadanie w Garden Cafe. Był z Tannerem Crossem i kilkoma innymi facetami. Zdaje się, że spotykają się tam regularnie, co tydzień.

Zatrzymał się, żeby przepuścić pieszego przechodzącego przez ulicę.

– Czy Perry Ammons to ten pastor, który ma kaplicę ślubną przy Cosby Highway?

Zola kiwnęła głową.

– Tak. Perry i jego żona mają bardzo miłą kaplicę. Ale sprawował posługę duszpasterską, zanim jeszcze tutaj wrócił. Jest wyświęconym pastorem.

Spencer obejrzał się na nią.

– Myślisz, że ma prawdziwe wykształcenie teologiczne? Większość kościołów przywiązuje do tego dużą wagę.

Zola obserwowała grupki turystów, którzy snuli się ulicami Gatlinburga w to niedzielne popołudnie.

– Nie wiem, Spencerze. Nie przyszło mi to do głowy. – Poczła się trochę głupio.

– Wiesz co? – Położył rękę na jej kolanie i poklepał je. – Nie przejmuj się tym. Jeśli, jak twierdzisz, sam Bóg powiedział ci to, co powiedział, to już Jego sprawa.

Spojrzała na niego zaskoczona, uspokojona jego słowami.

– Bardzo mądrze powiedziane, Spencerze. Dziękuję.

Zbliżyli się do zjazdu z głównej ulicy, więc Zola udzieliła mu odpowiednich instrukcji.

Przez kilka minut jechali w milczeniu, w końcu Spencer przerwał ciszę.

– Czasami chyba nie jest łatwo robić to, co robisz. Jestem pewien, że ludzie często wściekają się na ciebie i nie rozumieją cię. Ja bez wątpienia byłem na ciebie zły.

Uśmiechnął się na to wspomnienie, po czym zwrócił na nią zatroskane spojrzenie.

– Wiesz, wydaje mi się, że czasami to może być nawet niebezpieczne. A co jeśli ktoś spróbuje cię skrzywdzić? Wpadnie w prawdziwą wściekłość albo poczuje się zagrożony przez twoją wiedzę? To może się zdarzyć.

Zola zastanowiła się nad tym i wzruszyła ramionami.

Spencer trafił jednak w korek uliczny i musiał zwolnić, a potem stanął. Odwrócił głowę i spojrzał w oczy dziewczyny.

– Czy grożono ci już kiedyś, Zolo?

Uśmiechnęła się, żeby rozładować napięcie. Nie chciała, żeby Spencer się o nią martwił.

– Madame Renee mi groziła. – Zachichotała. – Twierdziła, że psuję jej interesy. Od czasu do czasu wpada do mojego sklepu, wrzeszczy i wymyśla mi od najgorszych.

– Chcesz powiedzieć, że madame Renee naprawdę istnieje? – zapytał z uśmiechem.

– O, tak. Wynajmuje lokal przy szosie przed Sevierville. Wielu klientów opowiada jej o mnie. Któregoś dnia wpadła do mojego sklepu w stanie białej gorączki... bo powiedziałam jednej z jej klientek co innego niż ona. – Zola roześmiała się. – A najbardziej irytuje ją to, że dzielę się swoją wiedzą za darmo. Mówi, że to z mojej strony głupota i że stawiam ją w złym świetle.

– I chyba ma rację – stwierdził rozbawiony Spencer.

– Byłeś kiedyś u wróżki? – Zola zwróciła spojrzenie na niego.

Potrząsnął głową.

– Nie. Ale pamiętam, że na wyspie Daufuskie była kobieta nazwiskiem

Jewel Kilgrew, którą ludzie nazywali „wiedźmą”. Mieszkańcy Daufuskie długo żyli w izolacji. Do dziś przetrwało wśród nich wiele dziwnych wierzeń i zabobonów. Pamiętam, że Jewel otrzymała coś, co określała jako „wiedzę” o naturze choroby mojego psa. I przyszła mi o tym powiedzieć. Byłem jej wdzięczny. Jej rada pomogła uratować życie Zeke’a.

Zola kiwnęła głową.

– Przed nami skręt w lewo. – Pokazała. – Za tym znakiem przy magazynie wujka Raya.

– To własność twojego wuja? – zapytał Spencer, skręcając w dróżkę biegnącą pomiędzy magazynem a sklepem dla turystów.

– Tak. – Zola spojrzała na nowy sztyl wujka Raya i uśmiechnęła się. – W dzisiejszych czasach nie sposób utrzymać się wyłącznie z rolnictwa. Ludzie często szukają dodatkowego zajęcia, żeby dorobić. Moja rodzina obecnie produkuje na farmie prawie wyłącznie na własne potrzeby. Nawet mój dziadek prawie przez całe życie pracował w Sevierville w sklepie z artykułami żelaznymi. Rolnictwo traktował jako dodatkowe zajęcie.

– Ale twoja rodzina zatrzymała ziemię.

– Tak. – Zola uśmiechnęła się. – My wszyscy kochamy tę ziemię. To piękna dolina otoczona górami. Sam zobaczysz. Nana twierdzi, że nasza krew wypływa z farmy Devonów.

Zola wskazała Spencerowi kolejne dwa zakręty i wreszcie wjechali w Jonas Creek Road biegnącą wzdłuż długiego, szerokiego, wartkiego strumienia, od którego wzięła nazwę.

– A gdzie ty spędziłeś dzieciństwo, Spencerze? – zapytała Zola.

– Tuż pod Richmond w Virginii. – Jedną ręką rozluźnił krawat.

– Twoja rodzina nadal tam mieszka?

– Tak. Wszyscy poza mną. – Zwolnił, wjeżdżając na krótki, drewniany mostek.

Zola rzuciła mu przekorne spojrzenie.

– A czy Virginia płynie w twoich żyłach i przyzywa cię, Spencerze? Jesteś jeszcze wrośnięty sercem w tę ziemię?

– Nie.

Powiedział to tak ostrym tonem, że Zola poczuła się, jakby ją uderzył. Szeroko otworzyła oczy.

– Ojej, widzę, że dotknęłam czulego miejsca.

– Tak. Nie jestem zbyt blisko ze swoją rodziną. – Tu ostentacyjnie umilkł.

Zola spojrzała na jego zaciśniętą szczękę i rozsądnie uznała, że lepiej na razie zostawić ten temat.

– Skręć tam, Spencerze. – Pokazała bitą drogę przed nimi. – To Devon Farm Road prowadząca do domu moich dziadków. Przecina większą część terenów

dawnej farmy. Duży, szary budynek, który zostawiliśmy za sobą po lewej, to dom ciec Becky i wujka Gene'a.

– Twój dom też stoi przy tej drodze? – zapytał Spencer.

– Nie, do mnie prowadzi wydeptana ścieżka przez las po drugiej stronie Buckner Branch. Droga Jonas Creek Road musiałbyś jechać ponad milę. – Uśmiechnęła się do Spencera. – Jeśli chcesz, możesz po lunchu odwiedzić mnie do domu. Ale nie oczekuj zbyt wiele. To tylko wyremontowana stara, wiejska chata.

Spencer odwrócił się z uśmiechem.

– Żartujesz? Wszystko dokoła to istny raj dla fotografa. Rozejrzyj się. Jak tu pięknie! Urocze białe domy, podniszczone czerwone stodoły, pola pokryte świeżą zielenią z kolorowymi plamami krów i kóz, zamglone góry wznoszące po obu stronach doliny. No i ten malowniczy, stary kościółek z cegieł, który mijaliśmy po drodze. Na pewno wrócę tu z aparatem i pstryknę trochę zdjęć.

Zola z sympatią położyła mu rękę na kolanie.

– Miło mi, że podoba ci się tutaj, Spencerze. Mnie to wszystko zawsze zachwyca. A ten stary ceglany kościółek to Jonas Creek Missionary Alliance Church. Jeśli chcesz, zabiorę cię tam któreś niedzieli. Moja najlepsza przyjaciółka, Rachel Lee Upton Howard, chodzi do tego kościoła. Co niedziela gra na pianinie do mszy i czasem śpiewa solo. Jest w tym naprawdę dobra. Jej tata, pastor K.T. Upton pełni tam funkcję proboszcza.

– Jeśli odwiedzę ten kościół, pójdziesz ze mną? – zapytał.

– Jasne – odparła z uśmiechem. – Przekonasz się, że jest tam całkiem inaczej niż w Highland Cumberland Presbyterian.

– Pod jakim względem?

– Żywiej. Mniej formalnie. Głośniej. Bardziej żarliwie i gorąco. I mogą zbierać datki.

Wzruszył ramionami.

– To mnie nie przeraża. Kojarzy mi się z jednym z kościołów na Daufuskie lub Aston Parker's AME Zion w Savannah, do którego często chodziłem.

Zola wskazała Spencerowi podjazd prowadzący do rozłożystego, białego domostwa jej dziadków. Obserwowała go dyskretnie kątem oka. Co chwilę niespodziewanie ujawniały się rozmaite drobne rysy osobowości Spencera Jacksona.

Przesunęła wzrokiem po jego sylwetce; znowu miał na sobie porządną, białą koszulę. Koszula była wpuszczona w spodnie khaki, włożył również marynarkę stosowną do wizyty w kościele. Tylko długie, rozjaśnione słońcem włosy związane skórzany rzemykiem zdradzały artystyczną, niezależną duszę, którą w nim odkryła.

Zola uśmiechnęła się do niego.

– Może innym razem porozmawiamy dłużej o twoich interesujących

doświadczeniach kościelnych.

– Może – odparł. Zaparkował samochód i otworzył drzwi.

Rozdział szósty

Natychmiast po wejściu do domu Devonów Spencer został przytulony do piersi przez rodzinę Zoli. *Przytulony do piersi* to najbardziej adekwatne określenie, pomyślał Spencer. Rodzina Devonów, hałaśliwa, rozgadana i serdeczna gromada ludzi, zdawała się otaczać go swoim ciepłem, brać w objęcia i tulić. Jako fotograf dużo podróżował i spotykał najrozmaitszych ludzi – ale doświadczenia takie jak to zawsze robiły na nim wrażenie. Budziły pragnienie uwiecznienia ich na fotografii. Nie wierzył jednak, żeby to było możliwe. Z tego względu nigdy nie zajmował się fotografią dokumentalną i nie robił przesłodzonych zdjęć portretowych, co zdarzało się innym fotografikom. Czuł, że nie byłby w stanie uchwycić takich uczuć jak te; nie potrafiłby zachować bezstronnego spojrzenia. Za bardzo pragnął się nimi rozkoszować, obserwować je, wsłuchiwać się w nie. Fascynowały go.

Becky Rae, ciotka Zoli, mówiła, klepiąc się w kolano.

– O Najwyższy, nie mogłam uwierzyć własnym oczom na widok kiecki, jaką miała dziś na sobie Dora Hensley. Jak żyję, nie widziałam tak niesamowitych kwiatów na materiale. Na jej biodrach zdawały się trząść jak galareta.

– No nie, Becky Rae – skarciła ją Nana. – To wręcz niemiłosierna uwaga. Zresztą ty sama do kościstych nie należysz.

– Nie. Ale potrafię się ubrać stosownie do swojej wagi. – Westchnęła ciężko.
– Ja po prostu *nie mogę* pojąć, że niektóre kobiety okazują zupełny brak rozsądku przy doborze stroju.

– Większość z nich wyglądałaby znacznie lepiej w spodniach – wtrąciła Stacey. Zdążyła już się przebrać. Sukienkę, w której wystąpiła w kościele, zastąpiły stare džinsy oraz zwyczajna, flanelowa koszula. Stacy należała do typu określanego przez Bowdena jako chłopczyca lub, mniej uprzejmie, kujonka. Spencer jednak już ją polubił. Domyślał się, że Zola i Stacy były mniej więcej w tym samym wieku.

Rodzina Devonów siedziała teraz w przestronnej jadalni i po sutym, niedzielnym posiłku raczyła się kawą, domowym ciastem karmelowym oraz lodami. Spencer czuł się przyjemnie objedzony – jak w Święto Dziękczynienia – a jeszcze delektował się kawałkiem ciasta polanym domowej roboty karmelem godnym prawdziwego poematu.

Spencer doliczył się jedenaściorga dorosłych przy długim stole w jadalni i czworga dzieci przy kuchennym stole za rogiem. Od czasu do czasu docierał do niego śmiech dzieciaków i ich żywe głosy.

Żona Wayne'a, Patricia, słoneczna blondynka, wstała od stołu.

– Wezmę się już do zmywania, Nano. Dzisiaj sprzątniem zajmujemy się my, Becky Rae, dziewczęta i ja. Ty już dość się napracowałaś przy gotowaniu. Teraz usiądź z gośćmi w salonie.

Nastąpiła chwila zamieszania, kiedy wszyscy wstawali od stołu.

– To było pycha, mamó – powiedział Ray. Uniósł okulary za czoło, odsłaniając przyjazną, uśmiechniętą twarz. Zwrócił się do Spencera. – Dobrze, że nas odwiedziłaś. Kiedy cię poznaliśmy, sprzedaż Raven’s Den przestała nam tak bardzo doskwierać. Z twoich słów wnioskuję, że chcesz zachować to miejsce w stanie naturalnym, jak Bóg je stworzył.

– Tylko nie waź się ściąć starego tulipanowca po drodze na szczyt Shinbone Ridge. – Dziadek Zoli, Vernon Devon, ostrzegawczo pogroził Spencerowi palcem. – Musi mieć ze trzydzieści stóp średnicy. Pamiętam, że nie byłem w stanie objąć pnia. Niewiele już zostało w okolicy takich dziewiczych drzew.

Spencer uśmiechnął się.

– Znam to drzewo. Fotografowałem je.

– Chętnie obejrzałbym to zdjęcie. – Vernon przed opuszczeniem jadalni zlizął z palca resztkę karmelowej polewy. – Nie mogę już wspinać się na szczyty jak dawniej.

Spencerowi przyszło do głowy, że mógłby zaproponować przesłanie mu zdjęcia mailem, ale zmienił zdanie. Nie zauważył w tym domu komputera.

– Zrobię odbitkę i wpadnę, by ją panu podrzucić, panie Devon.

Vernon kiwnął głową.

– To byłoby miłe z twojej strony, Spencerze. Słyszałem, że robisz dobre zdjęcia. Będę musiał któregoś dnia zajrzeć do twojej galerii. Może obejrzę twoje fotografie.

Spencer uśmiechnął się. Wszyscy zaczęli przechodzić do dużej bawialni położonej we frontowej części domu. Niektórzy członkowie rodziny zabrali ze sobą krzesła.

Zola podeszła do Spencera, stojącego nadal obok jej dziadka.

– Myślę, że Spencer musi już wracać do domu, Papo. – Uściskała dziadka serdecznie. – Może pozwolę mu po drodze odwiedzić się do domu.

Dziadek pogłaskał ją z miłością.

– Najpierw pożegnaj się z babcią. Poszła do sypialni.

– Zaraz wracam – zwróciła się do Spencera.

– Świetna dziewczyna. – Vernon odprowadził wnuczkę wzrokiem. – Większą część dzieciństwa spędziła na wyspach Południowego Pacyfiku. Może już o tym wiesz. Jej matka jest Tahitanką. Mój syn Stanford wyjechał na sąsiadującą z Tahiti wysepkę Mooréa z misją medyczną. To ciepłi ludzie, ci Tahitańczycy. Hojni, dobrzy, gościnni. Może odrobinę zbyt wylewni i uczuciowi.

Zwrócił na Spencera otwarte spojrzenie.

– Jeśli wykorzystasz kiedyś tę czułą strunę w sercu naszej dziewczynki, dowiem się o tym, chłopcze. My tu, w dolinie, bardzo pilnie strzeżemy naszych kobiet. Nie pozwalamy im ulegać nowym modom pokazywanym w telewizji, nie

akceptujemy tego, co wyprawia współczesna młodzież. My nadal żyjemy wedle nakazów Dobrej Księgi. Chcę, żebyś wiedział o tym od samego początku.

Spencer nie był pewien, jak na to zareagować.

– Zapamiętam to, proszę pana.

– Dopilnuję tego. – Vern Devon kilka razy kiwnął głową, jakby dla potwierdzenia swoich słów.

Powrót Zoli uratował Spencera.

– Jesteś gotów?

Spencer kiwnął głową z wdzięcznością.

Kiedy wsiedli do jego samochodu, Zola przyjrzała mu się dziwnym wzrokiem.

– Co ci powiedział Papa Vern? Kiedy podeszłam, stałeś z osłupiałą miną.

– Udzielił mi ostrzeżenia – odparł Spencer z uśmiechem.

Brwi Zoli powędrowały w górę.

– Co zrobił? – Zastanawiała się przez chwilę, po czym pokiwała głową ze zrozumieniem. – Ach, palnął ci umoralniającą pogawędkę.

– Często to robi?

Zamyśliła się.

– Zwykle raczy nią chłopców, z którymi kilka razy umówię się na randkę. – Uśmiechnęła się. – Ale nie pokazał ci swojej strzelby, prawda?

– Na szczęście nie. – Spencer wzdrygnął się.

– W takim razie wykpiłeś się małym kosztem. – Zola roześmiała się tym swoim ciepłym, spontanicznym śmiechem.

– Nadal zamierzasz przyjść do mnie na górę? – zapytał.

Przeciągnęła się leniwie.

– Tak. Pod warunkiem, że zaczekasz, aż się przebiorę. Z powrotem będę schodziła na dół na pieszo, a nie mam ochoty chodzić po górach w sukience.

Spencer już otworzył usta, żeby powiedzieć, że ładnie jej w sukience, ale postanowił zatrzymać tę myśl dla siebie. Ciągle jeszcze miał w uszach ostrzeżenie jej dziadka i nie był pewien, czy chce zbyt szybko zbliżyć się do dziewczyny, dla której los innych ludzi nie stanowił sekretu. Pamiętał, że mąż mądrej wiedźmy z wyspy Daufuskie odszedł od niej, twierdząc, że jej „widzenia” stwarzały mu zbyt wiele problemów.

Na pewno bliska relacja z taką kobietą jak Zola do łatwych nie należała. A Spencer miał w przeszłości aż nazbyt dużo do czynienia z trudnymi ludźmi. Teraz chciał mieć spokój.

Może uda im się zostać przyjaciółmi. Zola była interesującą dziewczyną.

Szybko zmieniła ubranie, a jemu pozwoliła w tym czasie rozejrzeć się po domu. Zola mieszkała w białej, wiejskiej chacie z szarym, blaszanym dachem. Od frontu, u zbiegu dwóch skrzydeł domu, znajdował się niewielki otwarty ganek,

natomiast na tyłach budynku mieściła się kryta weranda, przez którą wchodziło się do kuchni. We wszystkich pomieszczeniach królowały żywe barwy, wystrój domu stanowił eklektyczne połączenie elementów dekoracyjnych z Apalachów i z wysp Południowego Pacyfiku. Spencer uśmiechnął się na widok bogato zdobionych *pareo* zawieszonych w bawialni w charakterze zasłon i pokrywających poduszki obok stolika obrotowego i wczesno amerykańskich krzeseł krytych skórą. Wziął do ręki gigantyczną muszlę i usiadł pod antycznym zegarem stojącym na kominku.

– Znalazłam tę muszlę na plaży Mooréa – poinformowała Zola, która weszła do bawialni w dżinsach i podkoszulku z długim rękawem. Kurtkę przerzuciła sobie przez ramię.

Spencer zauważył, że zadała sobie sporo trudu, aby upiąć naturalnie kręcone włosy w węzeł z tyłu głowy. Niesforne loki wymykały się już jednak ze spinki.

– Ten zegar należał go mojego prapradziadka Devona – wyjaśniła, wskazując zegar na kominku.

– Świetnie zestawiaś ze sobą wszystkie przedmioty. – Spencer rozejrzał się po pokoju.

– Ja również jestem takim mieszańcem. – Wzruszyła ramionami. – Ten wystrój pasuje do mnie.

– Pasuje i podoba mi się. – Opanował pokusę, by wyciągnąć rękę i dotknąć twarzy Zoli. – Każde miejsce w tym domu jest interesujące i z każdym, mam wrażenie, wiąże się jakaś ciekawa historia.

– Aaa. Doszła do głosu twoja artystyczna dusza. To mi się podoba. – Ruszyła do drzwi. – Chodźmy już. Twój pies chce wyjść.

Spencer przewrócił oczami.

– Zeke ma specjalne drzwi dla zwierząt i zawsze może wyjść na dwór, Zolo. Podniosła na niego swe brązowe oczy.

– Tak, ale on chce iść na spacer. I nasłuchuje twojego samochodu.

Spencer ruszył za nią do swojego SUVa, ponownie pełen wątpliwości, czy powinien spędzać czas z kobietą, która nieustannie zaskakiwała go znajomością najdrobniejszych szczegółów jego życia osobistego. W końcu człowiek potrzebuje odrobiny prywatności! A jeśli Zola potrafiła także czytać w myślach i przejrzy również te, którymi nie miał ochoty się z nią dzielić? Albo myśli o charakterze... hmm... intymnym? Czy w takim wypadku również oznajmiłaby bez ogródek, o czym myślał? Wolał nawet tego nie rozważać.

Opuścili dolinę Jonas Creek i wrócili na szosę prowadzącą do Gatlinburga. Zola pokazywała mu po drodze rozmaite ciekawe miejsca i opowiadała zabawne historyjki

– Opowiedz mi, jak to się stało, że z Richmond w Virginii i z Savannah w Georgii trafiłeś do Gatlinburga? – Z zainteresowaniem zwróciła ku niemu swą rozpromienioną twarz.

– Chyba już wspominałem, że wychowywałem się w Richmond – odpowiedział Spencer, bębniąc ze zniecierpliwieniem palcami w kierownicę. Na ulicach Gatlinburga zrobiły się tego dnia wyjątkowe korki i ruch uliczny był bardzo wolny. – Do mojej rodziny należy wiejska posiadłość tuż pod miastem, w pobliżu siedemsetpięćdziesięcioakrowego rezerwatu zwanego Pocahontas State Park. To około dwudziestu minut drogi od Richmond. Dorastając tuż przy granicy parku, spenetrowałem ze swoim przyjacielem, Peterem Bradleyem, każdy jego cal.

– Nadal utrzymujesz z nim kontakt?

– Tak. – Gdy myślał o Peterze, ożywały wspomnienia najszczęśliwszych chwil z dzieciństwa. – Peter jest strażnikiem parku narodowego w Yosemite. Ilekroć jadę na Zachód, żeby fotografować, zatrzymuję się u niego. Przenosił się raz czy dwa do innych parków, więc miałem szansę odwiedzić te, w których pracował.

– Masz rodzeństwo, braci, siostry?

– Mam starszego brata i młodszą siostrę. – Spencer zachmurzył się. – Jak już mówiłem, nie jestem zbyt blisko z rodziną. Ojciec odziedziczył Jackson Studio, zakład fotograficzny założony przez mojego dziadka, Stettlera Jacksona, w samym centrum Richmondu. Specjalnością zakładu są zdjęcia ze ślubów i innych szczególnych okazji oraz portrety. Cała moja rodzina tam pracuje. Mama, po ślubie z moim ojcem, rozszerzyła działalność firmy o usługi cateringowe pod szyldem Jackson Catering. Zajmuje się tym nadal, razem z moją siostrą i bratową. Brat pracuje z tatą i dziadkiem.

Zola uśmiechnęła się.

– Twój dziadek nadal pracuje w firmie?

– Będzie pracował, dopóki nie wyniosą go stamtąd nogami do przodu. Wiesz, o czym mówię. On kocha tę firmę. – Spencer przyłapał się na tym, że mówiąc o rodzinie, kurczowo zaciska palce na kierownicy. Zola zdawała się nie dostrzegać jego zdenerwowanie. Dobrze wiedzieć, że nie zawsze zdawała sobie sprawę z tego, co myślał, czy czuł.

Wyrzała przez okno, obserwując turystów snujących się po ulicach Gatlinburga w niedzielne popołudnie.

– Domyślam się, że sztuki fotografowania nauczyłeś się od rodziny.

– Uczył mnie ojciec – przyznał Spencer. – Zawsze kochał przyrodę, a ja jako dziecko lubiłem chodzić z nim na spacer. Powiedział mi kiedyś, że chciał zostać biologiem i uczyć w szkole. Wiele się od niego dowiedziałem. Mojego brata to nie interesowało. Ale miłość do natury to jedyne, co miałem z ojcem wspólnego.

Spencer zorientował się nagle, że powiedział więcej, niż zamierzał.

– Dobrze, że miałeś z ojcem wspólne zainteresowania. – Zola uśmiechnęła się do niego. – To dobre wspomnienia.

Rzeczywiście, to były dobre wspomnienia i Spencer, o dziwo, zaczął

przywoływać tamte przyjemne chwile.

– Co cię zaniósło do Savannah? – zapytała, wrywając go z zamyślenia.

Spencer manewrował autem, by wjechać na pas do skrętu, i odpowiedział dopiero po zjeździe z autostrady na Ski Mountain Road.

– Wyjechałem tam na studia. Savannah College of Art and Design ma świetny program fotograficzny. Potrzebowałem zmiany, a rodzice po krótkiej różnicy zdań wsparli mnie. Pojechałem do Savannah. Mama stamtąd pochodziła. Mieszkali tam wówczas jej rodzice, Chatsworthowie. Mieli nad garażem niewielkie mieszkanie. Pozwolono mi studiować w Savannah pod warunkiem, że zamieszkać u dziadków.

Oczy Zoli zabłysły.

– Czy oni mieszkali w śródmieściu, w jednym z tych cudownych domków szeregowych?

– Tak – odparł z uśmiechem. – W starym, historycznym domu. To było wspaniałe miejsce. Nie miałem nic przeciwko mieszkaniu tam. Życie w akademiku nie pociągało mnie. To nie dla mnie.

– A dlaczego nie wróciłeś do domu, żeby pracować w rodzinnej firmie?

Dlaczego kobiety zadają zawsze tyle pytań?, pomyślał Spencer. Włączył niższy bieg, wjeżdżając stromo pod górę.

Zola patrzyła na niego z zainteresowaniem i cierpliwie czekała na odpowiedź.

Zastanawiał się, co powiedzieć.

– Na studiach odkryłem fotografowanie przyrody. Wciągnęło mnie. Pokochałem to tak, jak nigdy nie mogłem pokochać zdjęć portretowych czy ślubnych. Zaspokajało jakąś głęboko drzemającą we mnie potrzebę. Pochłonęło mnie to, wyrobiłem sobie własne nazwisko i nigdy nie oglądałem się za siebie.

Zola uśmiechnęła się.

– Uwielbiam twój album z przybrzeżnych moczarów. Nosił tytuł *Up Close on Georgia's Barrier Islands*.

Spencerowi zrobiło się przyjemnie, że zapamiętała tytuł albumu.

– To była moja pierwsza publikacja. Wystawiałem swoje zdjęcia w galerii w Savannah, w której pracował Aston. Któregoś dnia przyszedł do niego wydawca i poprosił o wskazanie fotografa, który mógłby wykonać ujęcia nadmorskich plenerów do kilku albumów. Aston powiedział mu o mnie; poprosił, żebym złożył ofertę i przesłał próbki swoich prac.

Dotarli już na szczyt góry i krętą drogą zaczęli zjeżdżać do położonego na przeciwległym zboczu domu Spencera.

– To właśnie albumy sprawiły, że zdobyłem mocną pozycję wśród fotografików.

– Wydałeś już kilka, prawda?

– Pięc, teraz pracuję nad szóstym. Pieniądze z albumów pozwoliły mi na zakup galerii w Gatlinburgu. Również fotogramy zaczynają przynosić niezły dochód.

– A nad jakim albumem teraz pracujesz? – zapytała.

Zastanawiał się, czy odpowiedzieć. Nie należał do osób, które chętnie dzielą się z innymi swoimi osobistymi sprawami. Kiedy jednak zerknął na twarz Zoli, która czekała na jego odpowiedź jak urzeczona, zapomniał o rezerwie.

– Zamierzam zatytułować nowy album „Small Pleasures in the Shadow of the Mountains”. Chcę znaleźć i pokazać na zdjęciach drobne, nieoczekiwane przyjemności, z którymi można się spotkać tu, w Smokies.

– Cudowny pomysł! – zawołała Zola.

– No, jesteśmy na miejscu. – Spencer zatrzymał samochód na podjeździe. – Mam nadzieję, że nie rozzłościś się na widok domu, który tu wybudowałem. Staralem się zaprojektować go tak, aby pasował do otoczenia. Zależało mi na tym, żeby wtopił się w krajobraz.

– Zobaczymy – odparła cicho. Spencer spojrzał na nią: siedziała z zamkniętymi oczami i zaciśniętymi pięściami. Zaniepokoił się.

– Chyba nie będziesz znowu płakała?

– Nie wiem. – Wydała ciężkie westchnienie. – To dla mnie bardzo emocjonujące przeżycie.

Spencer przewrócił oczami.

– Miejmy to już za sobą. Niezależnie od tego, jakie będą twoje uczucia, Zolo, ten dom już stoi. Nie zdołasz cofnąć czasu.

– Wiem – padła ledwo dosłyszalna odpowiedź.

Spencer obszedł samochód i otworzył drzwi po stronie pasażera.

– No już, wysiądź i popatrz. To tylko góraska chata, Zolo, nie żadna pretensjonalna rezydencja.

Wziął Zolę za rękę i zaprowadził ją przed front domu. Obserwował, jak dziewczyna uniosła powieki i zmrużyła oczy.

– Ooch...!

Spencer czekał, ale nic więcej nie powiedziała.

– Och, co?

Kamienistym podjazdem ruszyła w stronę rustykalnej chaty z grubo ciosanych bali, która wyglądała tak, jakby w naturalny sposób wyrosła na zboczu góry.

– Nie robi wrażenia nowej. Wygląda, jakby tu stała od setek lat. – W głosie Zoli zadźwięczała nutka podziwu.

Spencer odetchnął z ulgą.

– Została zbudowana ze starych drewnianych belek pozyskiwanych z chat i stodół, które budowniczy, Cooper Garrison, znajdował w Tennessee, Kentucky

i Georgii. Szczeliny pomiędzy balami uszczelniono mchem, a do budowy komina wykorzystano naturalne kamienie. Cooper włożył sporo pracy, aby stworzony przez niego dom był autentyczny. A ja dołożyłem wszelkich starań, żeby ocalić każde rosnące w pobliżu drzewo, które można było ocalić.

Kamienistą dróżką podeszła do szerokiego frontowego ganku. Roztaczał się z niego widok na przeciwległe pasma górskie i leżącą u stóp zбочa dolinę. Zola delikatnie dotknęła ręką jednej z wiejskich belek podtrzymujących dach ganku, a potem przeszła na drugą stronę i spojrzała na rozległą panoramę. Niższe pasma górskie spowijała mgła, której pasma przesłaniały widok, jakby patrzyło się przez półprzezroczyste palce.

Spencer podszedł do Zoli. Stał obok niej i wraz z nią patrzył na góry, rozkoszując się rześkim powietrzem i panoramą szczytów odcinających się ostro na tle błękitnego nieba.

Położyła rękę na jego ramieniu.

– Piękne, Spencerze. Zachowałeś ducha Raven's Den. Nie zniszczyłeś go.

Serce się w nim rozśpiewało.

Nagle rozległo się szczekanie Zeke'a, który przypominał panu o swej obecności. Spencer otworzył drzwi, wziął wielkiego owczarka na smycz i przyprowadził go do Zoli, żeby się poznali.

Nie powinien się obawiać spotkania Zoli z psem. Przykucnęła, żeby znaleźć się na wysokości pyska Zeke'a i powiedziała kilka słów w nieznanym Spencerowi języku, a potem podsunęła psu rękę do powąchania. Wkrótce Zeke podbijał łbem jej rękę, domagając się, by go głaskała i ocierał się o jej nogi. Zola roześmiała się radośnie, najwyraźniej zachwycona Zekiem, nie mniej, niż on nią.

Spencer zabrał ją na obchód domu. Pokazywał od środka uszczelnione mchem ściany, podłogi z twardego drewna przeniesione ze stuletniego domu, który uległ rozbiórce, odłamy skalne z górskiego kamieniołomu, wykorzystane do budowy wielkiego kominka w głównym salonie. Opowiadał, jak dekoratorka, Delia Cross, zdecydowała się na kolorystykę wewnątrz utrzymaną w zieleni mchu, rdzawej czerwieni i brązach ziemi, pasującą do naturalnych materiałów wykorzystanych do budowy domu i panoramy gór rozciągającej się za oknami.

– Przytulnie tu i pięknie. – Zola z lubością przesunęła palcami po kamiennym kominku i położyła płasko dłonie na drewnianych ścianach, żeby poczuć fakturę starego drewna.

Jej uznanie dla wysiłku, który Spencer włożył w stworzenie wyjątkowego miejsca, było tak szczere i spontaniczne, że zareagował na nie całym sobą – obudziło się w nim fizyczne podniecenie. Dziwne. Zaczął dostrzegać usta Zoli, jej zapach, wypukłość piersi pod koszulką.

Serce zabiło mu mocniej, kiedy dziewczyna popatrzyła na niego przez całą szerokość pokoju i z lekkim onieśmieleniem zapytała o sypialnię.

– Umieblałem dopiero jedną z gościnnych sypialni na górze. Z czasem urządzię dwie pozostałe. Ale moja sypialnia na dole jest już ukończona.

Spencer zaprowadził ją korytarzem do swojego pokoju. Zola przechodziła powoli wzdłuż ścian przestronnej izby, zdając się nie zauważać dużego łoża, które zajmowało wiele miejsca zarówno we wnętrzu, jak i w myślach Spencera. Skoncentrowała uwagę na fotografiach wiszących na ścianie.

– Wszędzie są twoje prace. – Musnęła palcami prostą, drewnianą ramę jednego ze zdjęć. – Podoba mi się ta naturalna oprawa.

– Często sam robię ramki do zdjęć. Do oprawy większości fotogramów wiszących tu, w Raven's Den, wykorzystałem obrzynki drewniane pozostawione przez budowniczych.

Zola zatrzymała się przed zdjęciem niewielkiego, zniszczonego przez pogodę białego domku, który przycupnął pod ogromnym dębem pokrytym porostami.

– Gdzie zrobiłeś tę fotografię?

– To domek, który wynajmowałem na Daufuskie. – Spencer podszedł i stanął obok Zoli. – Był mały i prymitywny, ale przywiązałem się do niego. Skończyło się na tym, że go kupiłem. Kiedy wprowadziłem się do tego domku dostałem Zeke'a. Mieszkaliśmy tam przez trzy lata i razem odkrywaliśmy wyspę i bagna.

– Aston mieszkał z wami? – zapytała Zola. Wiedziała już, że po przyjeździe w Smoky Mountains Spencer i Aston zamieszkali początkowo razem w górskim domku letniskowym.

Spencer roześmiał się.

– Aston *pochodzi* z Daufuskie. Pomógł mi znaleźć lokum na wyspie, pomógł mi nawiązać kontakty. Ale nie był zainteresowany powrotem do Daufuskie na stałe. I przez te wszystkie lata, które tam spędziłem, mieszkał w swoim ekskluzywnym apartamencie w mieście.

Zwróciła na niego miękkie spojrzenie.

– Nie czułeś się tam samotny? Przecież byłeś całkiem sam...

Tym razem Spencer nie odwrócił oczu. Przypominał sobie uzdrawiające działanie samotności. Dopiero na Daufuskie poznał samego siebie i mógł całym sercem oddać się swojej sztuce. To tam, na wyspie, pogodził się ze sobą.

– Nie, potrzebowałem tego. Samotność pomogła mi ukształtować siebie.

– Ona tak działa. – Kiwnęła głową ze zrozumieniem, nie uznała jego odpowiedzi za dziwną.

Stał za Zolą, otoczył ją ramionami i oparł plecami o siebie. Miał świadomość, że jego stan fizyczny stanie się dla dziewczyny oczywisty, ale bardzo pragnął ją dotknąć, choć przez chwilę być blisko niej. Oparł brodę na czubku jej głowy. Była znacznie niższa od niego i jej potylicą dotykała miejsca gdzieś pomiędzy jego szyją a sercem. Znowu owiał go jej lekki, leśny i owocowy zapach

– świeża woń jabłek i kwiatów jabłoni. Musiał ze sobą walczyć, żeby jego dłonie pozostały na talii dziewczyny i nie przesunęły się wyżej, w delikatne rejony pod piersiami.

– Czy Zola to twoje prawdziwe imię? – zapytał, wtulając usta w jej włosy.

Parsknęła śmiechem i odsunęła się od niego.

– To prawdziwe imię, Spencerze, ale nie całe. Moje pełne nazwisko brzmi: Zolakieran Sidella Eley Devon.

Wróciła do dziennej części domu, a Spencer podążył za nią.

– *Zola* znaczy „kula ziemską”, *Sidella* to „wieszczka”, a *Eley* „światło”. Mama sprawdziła kiedyś znaczenie słowa *Devon* i okazało się, że to „poeta”. Piekielnie dużo znaczeń jak na jedną młodą dziewczynę.

Spencer starał się zapanować nad emocjami, żeby móc udzielić rozsądnej odpowiedzi.

– Widzę, że cię zamurowało. – Znowu roześmiała się tym swoim ciepłym śmiechem. – Rodzina mojej mamy wywodzi się z królewskiego rodu tahitańskiego. Tradycja nakazywała nadawać każdemu dziecku trzy imiona. A do tego nazwisko. Dlatego nadała mnie i mojemu bratu takie imiona, jakich oczekiwał jej lud. Mój brat to Wayland Aidan Stephonera Devon. Jest o dziesięć lat starszy ode mnie. Mama przez dłuższy czas myślała, że nie będzie miała więcej dzieci. Ale potem pojawiłam się ja.

Znaleźli się z powrotem w salonie i Zola uklękła, żeby pogłaskać Zeke’a. Owczarek natychmiast przewrócił się na grzbiet i wystawił brzuch na pieszczoty.

Spencer pozazdrościł psu.

– Może zrobilibyście sobie spacer i odprowadzilibyście mnie z Zekiem kawałek w dół zbocza? – Zola zwróciła ciemne oczy na Spencera. – Muszę już wracać do domu. Spędziłam na Mooréa dużo czasu i mam długą listę rzeczy do zrobienia w domu i na farmie.

Spencer kiwnął głową i poszedł po smycz. Zeke zerwał się, kiedy padło dobrze mu znane słowo „spacer” i natychmiast podbiegł do drzwi, merdając ogonem.

Spencer parsknął śmiechem.

– Wypowiedziałas magiczne słowo na *s*, Zolo. I Zeke jest już gotów do wyjścia.

– Ja również – powiedziała i zdjęła swoją kurtkę z oparcia krzesła.

Razem wrócili na górską ścieżkę. Spencer poczuł się lepiej, gdy wyszedł na chłodne górskie powietrze.

Pokazał Zoli, jak oczyścić trakt, aby uczynić go wygodniejszym. Na rozstajach, gdzie szlak rozwidlał się, ruszyli w dół, ku dolinie. Druga ścieżka prowadziła do Shinbone Point. Po przejściu jednej czwartej mili szlak skręcał i schodził w dół ku Buckner Branch.

– Stań i słuchaj – odezwała się w pewnej chwili Zola i położyła palec na ustach. – Jeśli będziesz naprawdę cicho, to przy sprzyjającym wietrze już z tego miejsca usłyszysz wodospad.

Miała rację. Spencer pochwycił uchem cichy szum spadającej wody.

Po przejściu ćwierć mili dotarli do wodospadu. Buckner Branch spadał wysoką kaskadą ze skalnej skarpy i z impetem rozbryzgiwał się o kamienie na dole, tworząc głęboki basen. Potem wypływał z niego rwącym strumieniem i spadał z kolejnych urwisk, tworząc całą serię kaskad, zanim jego nurt uspokoił się, wpływając w dolinę. Żeby zejść w dół, należało przedostać się na drugi brzeg strumienia.

– Dalej pójdę już sama – oznajmiła Zola i postawiła stopę na szerokim kamieniu wystającym ponad wodę, żeby przejść na drugi brzeg potoku.

Spencer patrzył na nią, zachodząc w głowę, co go tak pociągało w tej dziewczynie, pomimo silnego postanowienia, by nie interesować się nią zanadto.

Zola zatrzymała się na wielkim głazie na środku strumienia, obejrzała się na niego i błysnęła zębami w szerokim uśmiechu. A potem zachęciła go gestem, żeby wskoczył na kamień, na którym stała.

Spencer wypuścił z ręki smycz Zeke'a i nakazał psu usiąść i czekać. Sam, w dwóch czy trzech susach z kamienia na kamień, dołączył do Zoli. Powietrze było świeże, przesycone wilgocią i zapachem wody, która z hukiem spadała kaskadami w dół.

Policzki Zoli zaróżowiły się od lutowego chłodu i wysiłku po wędrówce po górach. Położyła zimną dłoń na policzku Spencera.

– Dziękuję, że pokazałeś mi swój dom. Jest cudowny. Nie mam nic przeciwko jego obecności w Raven's Den.

Na usta Spencera wypłynął leniwie uśmiech zadowolenia.

– A przynajmniej nie za bardzo – dodała z uśmiechem. Wspięła się na palce i pocałowała go. Wrażenie było niesamowitym połączeniem zimna i gorąca – zimna rześkiego powietrza i gorąca przepływających między nimi uczuć.

Spencer wsunął dłonie we włosy Zoli i przyciągnął ją do siebie. Stali razem na gigantycznym głazie na środku strumienia. Na jej słodki, lekki całus odpowiedział gorącym pocałunkiem, namiętą pieśczołą, tak że wkrótce ich serca biły niczym huczący za ich plecami wodospad. Jak to możliwe, że zawsze udawało jej się stwarzać tak fotogeniczne sytuacje – tak niesamowicie pamiętne, nasycone emocjami zdarzenia? Nie wiedział i nic go to nie obchodziło. Po prostu zatonął w niej.

W końcu Zola odsunęła się od niego i uśmiechnęła się.

– Wydaje mi się, że zaczynam cię troszeczkę lubić, zamiast cię nienawidzić.
– Pogłaskała go po policzku i przeskoczyła na następny kamień, a potem na przeciwległy brzeg strumienia. – Do rychłego zobaczenia! – zawołała i ruszyła

ścieżką prowadzącą w dół, do domu.

Spencer stał, odprowadzając ją wzrokiem, dopóki nie skręciła w las. Przedtem jednak odwróciła się jeszcze i pomachała mu ostatni raz na pożegnanie. Dopiero wtedy wrócił na brzeg, skacząc po tych samych kamieniach, którymi dotarł na wielki głaz na środku nurtu.

Zeke powitał go radosnym merdaniem ogona. A potem z tęsknotą popatrzył na miejsce, w którym Zola zniknęła wśród drzew.

– To naprawdę ktoś, prawda? – Spencer podniósł smycz psa i wrócił na ścieżkę. – Musimy mieć się przy niej na baczności, bo inaczej obaj stracimy głowę.

Rozdział siódmy

Zola nie widziała Spencera przez kilka dni. Niełatwo jej było wrócić do normalnego rytmu pracy po długiej nieobecności, trwającej przez większą część stycznia i lutego. W dodatku przyszły listy przewozowe towarów, które zakupiła do sklepu na wyspach.

W środowy wieczór dosłownie padła z wyczerpania. Zasnęła ukołyszana bębnieniem deszczu o metalowy dach domu. W czwartek obudziło ją z samego rana poszturchanie Ducha. Zobaczyła olśniewające słońce na czystym, błękitnym niebie. Wygramoliła się z łóżka, żeby się ubrać.

W trzydzieści minut później, wspiąwszy się stromą ścieżką do domu Spencera, stuknęła już do drzwi. Zeke, który zdążył obudzić się, przestał szczekać, poznawszy głos Zoli, ale musiała jeszcze długo się dobijać, zanim zaspany Spencer wreszcie doczłapał do drzwi frontowych i zdumiony wyjrzał przez wizjer.

Otworzył drzwi.

– Co ty tu robisz? – Zakrył ręką usta i ziewnął. – Jest strasznie wcześnie.

– Wiem. – Weszła do domu, starając się nie zauważać, że Spencer miał na sobie tylko bokserki i luźny podkoszulek. Zeke powitał ją z psim entuzjazmem – jemu najwyraźniej nie przeszkadzało, że przyszła o siódmej rano.

Zola pochyliła się, żeby pogłaskać okazały łeb zwierzęcia. Drapiąc go za uszami, wyczuwała wełniste włosie pod zewnętrznym, gęstym i kłującym futrem owczarka.

Zauważyła, że Spencer powstrzymywał kolejne ziewnięcia.

– Ubieraj się i pakuj swój sprzęt fotograficzny, Spencerze – powiedziała. – Masz do zrobienia zdjęcia.

– Co? – Skrzywił się. – O czym ty mówisz, do licha?

Zola ze zniecierpliwieniem oparła ręce na biodrach.

– Słuchaj, Spencerze, musisz mi teraz zaufać. Mamy naprawdę mało czasu, więc pośpiesz się z przygotowaniami. Słyszysz? Przysięgam, że będziesz potem zadowolony, iż mnie posłuchałeś.

– Chwilowo zdecydowanie cię nie lubię – wymamrotał. – Do drugiej w nocy siedziałem nad cyfrową obróbką zdjęć. To zajmuje sporo czasu. Zamierzałem dzisiaj pospać dłużej.

– Ja również. – Zgromiła go wzrokiem.

Przewrócił oczami z rezygnacją.

– Dobrze. Już dobrze. – Ruszył do sypialni, ale obejrzał się za siebie. – Zjemy coś przed wyjściem?

Pokręciła głową i w odpowiedzi usłyszała wymamrotane pod nosem przekleństwo.

Wrócił po paru minutach, już ubrany. Po drodze wkładał kurtkę. Chwycił leżące na stole kapelusz i rękawiczki, po czym wszedł do pracowni po sprzęt fotograficzny.

– Zakładam, że to będzie na dworze? – Spojrzał na nią pytająco.

– Tak. Ale sam musisz zdecydować, jaki sprzęt zabrać. W tej kwestii nie udzielę ci żadnych informacji.

– Dzięki Bogu choć za to – dobiegło z tyłu niewyraźne mamrotanie.

Już w dziesięć minut po przyjeździe Zoli wyszli razem z domu. Spencer poczuł dziwną irytację, kiedy zorientował się, że dziewczyna przysłała pieszo.

– Mogłaś podjechać samochodem, Zolo. – Zmarszczył brwi. – Wczesnym rankiem jest jeszcze bardzo zimno. Szczególnie pod koniec lutego.

– Na piechotę było szybciej. A liczy się czas.

– Dokąd jedziemy? – Spencer uniósł brew, idąc za nią na parking.

– Jedź Newfound Gap Road pod górę. Zobaczysz, że to odpowiednie miejsce, kiedy tam dotrzemy. – Zola rozsiadła się wygodnie w samochodzie i zamknęła oczy.

Tracił ją łokciem.

– Co znaczy to: *będziesz wiedział?* Ja nie mam ani krzty twojego daru widzenia, Zolo.

Ziewnęła.

– Nie musisz go mieć. To będzie całkiem oczywiste.

Zapadła w sen, kiedy samochód wjeżdżał pod górę. Obudził ją okrzyk Spencera.

– O, mój Boże! Spójrz na to! Niewiarygodne!

Otworzyła oczy i zobaczyła zbocza gór pokryte białym szronem. Na każdej gałązce, na każdym pniu drzewa lśniła warstewka śniegu i lodu, w porannym słońcu całe góry wyglądały jak obsypane brylantami.

– Nigdy w życiu nie widziałem czegoś podobnego! – Spencer zwolnił, żeby podziwiać rozciągający się przed ich oczami widok. SUV ledwo się toczył.

Kiedy minęli następny zakręt, okazało się, że błyszczący szron ciągnął się milami. Pokrywał górę na całej wysokości, dokąd tylko sięgał ich wzrok i schodził w dół, aż ku dolinie. Gdziekolwiek spojrzeli, była ta olśniewająca, biała kraina czarów – błyszcząca na tle błękitnego nieba, połyskująca w jasnym słońcu.

Spencer zatrzymał samochód, wysiadł i wyładował sprzęt fotograficzny.

– Skąd wiedziałaś? – Zerknął na Zolę ze zdumieniem i zaczął rozstawiać statyw, a potem wyciągnął z torby swoją trzydziestopięciomilimetrową lustrzaną, obiektyw z zoomem i filtry.

– Nie wiedziałam. – Ziewnęła znowu. – Najwyraźniej Bóg interesuje się twoją pracą.

Spencer spojrział na nią z zachwytem.

– W takim razie podziękuj Mu, dobrze?

– Ty sam Mu podziękuj. To mu się bardziej spodoba. – Podeszła do skalnej ściany, żeby być bliżej tej białej bajki. Było niewiarygodnie pięknie.

Bardzo rzadko zdarzało się, żeby szron pokrywał całe góry, a jeszcze rzadziej miało się dość szczęścia, by to podziwiać. Kiedy słońce wzniesie się trochę wyżej, lód stopnieje. Ten mroźny przepych nie mógł się więc długo utrzymać.

Zola zwróciła wzrok na Spencera, całkowicie pochłoniętego pracą. Przechodził szybko z miejsca na miejsce i pstrykał zdjęcia z różnych ujęć. Korzystał ze statywu albo przyklękał, opierając łokieć na kolanie, żeby aparat był nieruchomy. Zaglądał co chwila w wizjer, by ułożyć najlepszą kompozycję i starannie obmyślał, z jakiej perspektywy obraz będzie się prezentował najlepiej. Eksperymentował z różnymi obiektywami, dodawał filtry. Zola domyśliła się, że chodziło o zmniejszenie oślepiającego blasku.

Używał tego dnia aparatu cyfrowego. Od czasu do czasu przerywał fotografowanie i przeglądał zrobiony już materiał. A potem po prostu szedł, pstrykając zdjęcie za zdjęciem, i nie patrzył w ogóle, jak wyglądały ujęcia. Najwyraźniej kierował się instynktem. Zapewne intuicyjnie wyczuwał, co robić, co fotografować, żeby osiągnąć efekt, na którym mu zależało. Zola odgadywała, że po prostu czuł, kiedy nacisnąć migawkę.

W pewnym momencie Spencer podniósł wzrok i zauważył, że go obserwowała. Dał jej znak, żeby podeszła i spojrzała na zdjęcie, które właśnie zrobił.

Obejrzała cyfrowy obraz.

– Niesamowite! Zdołałeś uchwycić unoszącego się nad tym wszystkim jastrzębia. – Podniosła wzrok w niebo, ponad szczyty gór, żeby sprawdzić, czy ptak nadal wisiał w powietrzu. – Wcale go nie widzę.

Spencer uśmiechnął się, złożył statyw i przymocował go znowu do torby ze sprzętem fotograficznym.

– Pojedźmy jeszcze kawałek. Zobaczymy, jak daleko to się ciągnie.

Ruszyli znowu. Po pewnym czasie znaleźli następne oszałamiające panoramy za zakrętem. I za kolejnym również.

Dopiero w dwie godziny później Spencer poczuł się usatysfakcjonowany poranną pracą i zaczął pakować sprzęt.

Pochylił się i impulsywnie pocałował Zolę. Jego usta były zimne po wielu godzinach spędzonych na świeżym powietrzu.

– Już nigdy nie powiem złego słowa o twoim darze – zapewnił z uśmiechem.

– Radzę ci o tym nie zapominać! – Nie chciała mu się przyznać, że obserwowanie go przy pracy sprawiło jej ogromną radość. Emanowała z niego twórcza energia. To było fascynujące. Z uczuciem pogłaskała go po twarzy.

– Jakie masz zimne ręce. – Odwrócił jej dłoń i ciepłym oddechem zaczął ogrzewać jej wnętrze.

Serce Zoli zgubiło rytm.

– Gdzie twoje rękawiczki? – zapytał.

– W kieszeni. Zdjęłam je, kiedy jadłam sopol.

Zaskoczony Spencer spojrział na zegarek. Zaabsorbowany pracą, kompletnie stracił rachubę czasu.

– Wsiadaj – powiedział, otwierając przed nią drzwi samochodu. – Zapraszam cię na spóźnione śniadanie. Przynajmniej tyle jestem ci winien. Dokąd masz ochotę pojechać?

– Do naleśnikarni Pancake House – odparła z uśmiechem.

Zjechali z góry, zatrzymując się jeszcze od czasu do czasu, bo Spencer wyskakiwał, żeby pstryknąć jakieś kolejne ciekawe ujęcie. W czasie pracy robił wrażenie człowieka owładniętego obsesją.

– Powiedz mi: jak to jest patrzeć na świat oczami fotografa? – zapytała go Zola później, kiedy już siedzieli przy śniadaniu, składającym się z kawy, jajek, kiełbasek i gorących naleśników z jagodami polanych jagodowym syropem.

Zamyślił się.

– Fotograf musi nauczyć się patrzeć na świat w inny sposób. Musi wyrobić w sobie umiejętność widzenia wokół siebie linii, kształtów i faktur. Podobnie jak inni artyści, musi opanować sztukę manipulacji, kształtowania scenerii, posługiwania się światłem i kolorem w różnym natężeniu, wykorzystywania ich do własnych celów. – Przełknął łyk kawy. – Aparat staje się narzędziem poznania. Doświadczony, uzdolniony fotograf potrafi uchwycić istotę rzeczy. – Zaczął gestykulować przy mówieniu. – Jak w każdym zawodzie artystycznym, naszym celem jest dzielenie się własnym doświadczeniem z innymi ludźmi, pokazanie odbiorcom świata takim, jakim my go widzimy. Dotknięcie go w inny sposób.

Zola pochyliła się do przodu, zafascynowana jego słowami.

– Kiedy fotografuję wiejski płot z drewnianych sztachet – kontynuował Spencer – to pragnę nie tylko pokazać odbiorcom ogrodzenie w rolniczej scenerii, ale chcę, żeby poczuli również rytm sztachet. – Kreślił rozłożonymi palcami łuk, jakby rysował w powietrzu ten płot. – Czasami myślę, że fotografia jest tak wyjątkowa dlatego, że potrafi wyrazić to, czego nie da się wyrazić słowami.

Zola zlizwała z palców jagodowy syrop.

– Podobają mi się przesłania twoich zdjęć i historie, które w nich opowiadasz, Spencerze. Jesteś dobry w tym, co robisz.

– Dziękuję. – Rozprostował ramiona, wyraźnie zmęczony. – Może podjechałabyś ze mną do galerii, Zolo? Chciałbym zostawić zdjęcia Clarkowi, żeby od razu zaczął je przeglądać. To ekspert w obsłudze komputera. Ma oko; bezbłędnie wyczuwa, które ujęcia będą najlepiej prezentowały się w druku.

Spencer wyjął z kieszeni pieniądze na napiwek.

– Często pozwalam mu przejrzeć zdjęcia i dokonać wyboru, a później sam je oglądam i porównuję nasze opinie. Kiedy wybierzemy już z Clarkiem kilka najlepszych ujęć, a nie jesteśmy w stanie posunąć się dalej, wtedy wkracza Aston ze swoim bezbłędnym wyczuciem, która fotografia najlepiej się sprzeda. Ale czasami ujęcia najlepsze pod względem artystycznym nie sprzedają się najlepiej.

Zola nigdy nie pomyślała, że fotografia może być dziełem zbiorowym.

– Stanowicie we trzech zgrany zespół.

– Tak. To prawda. – Spencer podniósł się, rzucił napiwek na stół, wziął rachunek za śniadanie i wyciągnął rękę, żeby pomóc Zoli wstać.

Uderzyło ją nagle, że Spencer zawsze zachowywał się jak dżentelmen. Otwierał przed nią drzwi samochodu, ujmował ją pod łokieć, kiedy przechodzili na drugą stronę ulicy, pomagał jej siadać i wstawać z krzesła.

Przyjęła jego pomoc i spojrzała mu w oczy.

– Masz dobre maniery.

Uśmiechnął się szeroko.

– Zostałem wychowany na dżentelmena z Południa. Moja siostra Rita powiedziała, że odzywa się we mnie dobra krew Chatsworthów.

Zola zwróciła uwagę na to, jak miękko wymówił imię siostry.

– Jesteś przywiązany do siostry?

Twarz Spencera pociemniała.

– Kiedyś byliśmy sobie bliscy. W dzieciństwie.

Zola zrezygnowała z drażenia tego tematu. Uznała, że Spencer opowie jej kiedyś o swoim życiu, gdy już do tego dojrzeje.

W galerii Spencer z entuzjazmem opowiedział Astonowi i Clarkowi o porannej sesji fotograficznej. Zola natomiast wędrowała po doskonale oświetlonej sali ekspozycyjnej i oglądała jego prace. Nie była w tej galerii od kilku miesięcy więc teraz, kiedy poznała fotografa, patrzyła na zdjęcia nowymi oczami.

Clark szybko wrócił do biura, żeby popracować przy komputerze, a Spencer i Aston podeszli do Zoli, która stała wpatrzona w zdjęcie przedstawiające fioletowy aster i buszującą w nim pszczołę.

– Czy wiesz, że pszczoła miodna, taka jak ta na zdjęciu, często pokonuje cztery mile, aby zebrać pyłek i nektar z kwiatów i zrobić z nich miód? – zapytała, wskazując fotografię.

Aston uśmiechnął się.

– To ogromny dystans dla tak małej pszczołki. Ciekawe, czy mają wolne weekendy, czy kiedykolwiek odpoczywają?

– A wiesz, że w niektóre dni naprawdę odpoczywają! – Zola zwróciła się ku niemu z uśmiechem. – I mają dni wolne od zbierania – kiedy pada deszcz.

Aston roześmiał się szczerym, swobodnym śmiechem.

– Więc kiedy my narzekamy na niepogodę, to pszczołki mają labę.
– Chyba tak. – Zola lubiła Astona. Ten czarnoskóry mężczyzna świetnie nawiązywał kontakt z ludźmi, był bezpośredni, niezwykle kompetentny i mądry. Spencer miał szczęście, że na niego trafił.

Aston uściskał Zolę.

– Miło mi znów cię widzieć, Zolo Devon. Kopę lat.

– Tak, dawno się nie widzieliśmy.

Cofnął się nieco, nie wypuszczając jej ręki.

– Chętnie zaprosiłbym was oboje na lunch, ale Spencer mówił, że dopiero wstaliście od śniadania.

– Fakt, mieliśmy pracowity poranek i zjedliśmy późno.

– Słyszałem. – Aston potrząsnął głową z uśmiechem. – Zazdroszczę Spencerowi, przez całe przedpołudnie miał piękną kobietę wyłącznie dla siebie! Chciałbym móc zabrać na lunch kogoś wyjątkowego.

Spencer przerwał im, spoglądając na zegarek.

– Słuchaj, odwozę już Zolę do domu. Jest zmęczona. Jej misja poderwała ją dzisiaj z łóżka bladym świtem.

Kiedy Spencer i Aston żegnali się, Zola obejrzała jeszcze kilka fotografii. Potem Spencer podszedł do niej, żeby wrócić z nią do samochodu.

Ruszyli już do wyjścia, ale Zola zatrzymała się gwałtownie. Odwróciła się do tyłu i spojrzała na Astona. Miała mu do przekazania Słowo. Właśnie pojawiło się w jej świadomości.

– Astonie, jeśli już teraz wybierzesz się na lunch, to może nie będziesz musiał zjeść go sam – powiedziała z uśmiechem. – Idź do Garden Café i rozejrzyj się za kobietą, która siedzi samotnie pod oknem w prawym rogu frontowej sali.

Aston pośpiesznie ruszył z rozjaśnioną twarzą.

– Czy ta kobieta pod oknem jest może ciemnoskóra?

Zola parsknęła śmiechem.

– Podejrzewam, że o to właśnie się modliłeś, Astonie, prawda? Bóg lubi konkretne prośby. Wydaje mi się, że ona również dorastała nad brzegiem oceanu, podobnie jak ty. Odnoszę wrażenie, że o tym również wspominałeś w modlitwach. Mówiłeś, że byłoby miło.

– Czy jest wysoka i ma miły uśmiech? – Aston miał chyba sześć stóp i cztery cale wzrostu.

Zola uśmiechnęła się do niego.

– Bóg jest szczodroblivy w spełnianiu ludzkich próśb, Astonie Parkerze.

– Glory Hallelujah!¹ – Złapał swój płaszcz zza lady i ruszył do wyjścia.

– Hej! – Spencer złapał go za ramię. – Chyba nie wierzysz w to, że Bóg zabawia się w swata! Nie wierzysz, prawda?

– Bracie, ależ z ciebie niedowiarek! I jakoś kiepsko kojarzysz. Służymy

dobremu Bogu, wiesz?

Wypadł za drzwi, po czym otworzył je ponownie i popatrzył na Zolę.

– A nie znasz przypadkiem jej imienia?

Kiwnęła głową, ujęta jego entuzjazmem. W takich chwilach najbardziej cieszyła się ze swego daru.

– Carole – powiedziała, zastanawiając się, co pomyślałaby o tym Maya. Bo kobieta, którą Zola *zobaczyła* w kawiarni, była córką Mayi Thomas.

Spencer przyglądał się Astonowi, który pędził już przez dziedziniec Laurel Mountain Village Mall. Potrząsnął głową ze zdumieniem.

– Niewiarygodne. Aston był tak podekscytowany, że zapomniał nawet zawiadomić Clarka, że wychodzi na lunch. Pozwól, że zanim wyjdziemy, wrócę i powiem Clarkowi, żeby pilnował frontowej sali. – Spencer wszedł z powrotem do galerii. – Zaraz wracam.

Zola czekała na jego powrót przy drzwiach. Nagle przed wejściem pojawił się Ben Lee, obładowany oprawionymi w ramki odbitkami.

Zola podbiegła, żeby przytrzymać mu drzwi. Benwen Lee, nazywany przez wszystkich po prostu Benem, był Chińczykiem i prowadził na terenie Gatlinburga zakład ramiarski. Zola wiedziała, że oprawił większość eksponowanych w galerii fotogramów Spencera, sama zresztą również często korzystała z jego usług, kiedy chciała oprawić obrazki do swego Kącika Natury. Był doskonałym fachowcem.

Uśmiechnęła się do Chińczyka.

– Cześć, Ben. Jak się masz?

Oparł stertę starannie owiniętych brązowym papierem fotogramów o ladę i dopiero potem odpowiedział.

– Niezbyt dobrze, panno Zolo. – Zmarszczył czoło. – Nie było tu pani, to pewnie nie słyszała pani o mojej córce.

Zola położyła rękę na sercu.

– Mam nadzieję, że nie jest chora.

– Nie. Zaginęła. Nikt nie wie, gdzie się podziewa. Jednego dnia była tutaj, a następnego zniknęła. – Ze smutkiem potrząsnął głową. – Policja szukała i szukała od początku roku, od dnia, kiedy zaginęła, ale nie trafiła na żaden ślad. Od tego czasu nie zaznałem spokoju, żadnego spokoju. Tylko wielki smutek.

Zola ze współczuciem położyła rękę na ramieniu Bena. Wiedziała, że Seng Ryon była jedyną córką Bena. I to właśnie Seng sprowadziła Bena do Stanów. Wyszła za mąż za Juana Hee Chena, właściciela Chen Palace Chinese Restaurant w Gatlinburg, a kiedy ojciec owdowiał, namówiła go, żeby wyjechał z Chin i zamieszkał z nimi w Stanach. Rzeczywiście przez pierwszy rok dzielili mieszkanie, ale potem Ben założył zakład ramiarski i przeprowadził się do apartamentu nad sklepem, ponieważ chciał być niezależny.

Zola naprawdę zmartwiła się wiadomością o Seng.

– Co się stało? – zapytał Spencer, który akurat podszedł, przerywając ich rozmowę. Pytanie skierował do Bena. Podpisał fakturę za wykonaną i dostarczoną usługę, po czym zwrócił się ku Zoli. – Córka Bena zaginęła, kiedy podróżowałaś po Południowym Pacyfiku, Zolo. Pewnego wieczora, po zakończeniu pracy w restauracji, poszła do banku i już nie wróciła. Policja wszczęła poszukiwania, ale wszelki ślad po niej zginął.

– A dotarła do banku?

– Nie. – Włączył się Ben. – Bank twierdzi, że nie przysłała. Utarg z całego dnia pracy restauracji również przepadł.

– Policja uważa, że to był napad rabunkowy. – Spencer spojrział na Bena ze współczuciem. – Nie dają większych nadziei na to, że Seng jeszcze żyje. Ale dla Bena i rodziny to bardzo trudna sytuacja. Trwają w zawieszeniu.

Ben zsunął do tyłu swój zniszczony kapelusz z garbowanej skóry. Zola nie pamiętała, czy choć raz widziała go bez tego nakrycia głowy.

– Śledztwo wciąż trwa? – Zola знаła całą rodzinę Bena i mogła sobie wyobrazić, jak ciężkie przeżywali chwile.

– Policja twierdzi, że nie mają zbyt wielu śladów, ale nie rezygnują z poszukiwań. – Ben smętnie pokiwał głową. – Juan Hee, mąż Seng, nie jest tym samym człowiekiem, odkąd zniknęła. Seng była jego prawą ręką w interesach. I bardzo mu jej brakuje, choć Frank Jie oraz Zia wzięli na siebie większość pracy.

Frank był synem Seng i Juana, a Zia jego żoną i oboje od lat pracowali w rodzinnej restauracji. Natomiast córka Seng i Juana, Nina, pracowała u Bena. Zola od dziecka znała całą rodzinę Lee, a z Niną chodziła do szkoły.

– Bardzo mi przykro, Ben. – Pochyliła się i spontanicznie uściskała Chińczyka.

– Ktoś zrobił krzywdę mojej Seng. – Popatrzył na Zolę znacząco. – Musimy się dowiedzieć, kim on jest. Postaraj się dowiedzieć, Zolo. Masz dar widzenia.

Zola bardzo starannie dobierała słowa.

– Ben, zrozum, że ja sama z siebie niczego nie wiem. Bóg posługuje się mną czasami, żeby przekazać coś, na czym Mu zależy. To Jego wiedza, nie moja. Ale będę się modliła, żeby policja znalazła ludzi, którzy popełnili tę zbrodnię.

Chińczyk wpatrywał się w nią z uporem.

– Módl się, żeby Bóg przekazał to *tobie*. *Zmuś* Go, żeby ci to przekazał.

– Posłuchaj, Ben – wtrącił się Spencer. – Rozumiem, że jesteś zmartwiony, ale ta sprawa nie leży w kompetencjach Zoli. Ona nie jest wróżką. Nie groź jej. Uważaj.

Ben zaszurał nogą.

– Naprawdę bardzo mi przykro z powodu Seng. – Zola serdecznie poklepała go po ramieniu. – Była cudowna.

Ben wyszedł, niezręczny moment dobiegł końca.

Zola podniosła wzrok na ponurą twarz Spencera.

– Właśnie o tego typu sytuacjach mówiłem, Zolo. O ludziach, którzy naciskają na ciebie, próbują cię zmusić do czegoś, wiedząc o twoim darze. To może być dla ciebie groźne.

– Czyli powinnam dziś rano zostać w łóżku, zamiast obudzić cię, żebyś mógł sfotografować szron? – zapytała spokojnie.

Roześmiał się.

– Nie będę nawet próbował na to odpowiadać! Chodź. Odwiozę cię do domu, Zolo.

Rozdział ósmy

Zdjęcia szronu okazały się znakomite. Spencer wiedział, że przynajmniej jedno z nich znajdzie się w albumie, nad którym pracował. Kilka zostało powiększonych, oprawionych i wystawionych na sprzedaż w galerii. Aston mówił mu, że ludzie zatrzymywali się przed tymi odbitkami i dyskutowali.

Luty minął, po nim marzec i wkrótce nastał kwiecień. Spencer spotykał czasem Zolę w szafasie za jego domem w Raven's Den. Którejś niedzieli pojawił się w kościele i tam ją zobaczył. Nie umawiał się z nią jednak. Była skomplikowaną kobietą i nie miał pewności, czy chce pogłębić tę znajomość.

Siedząc na rozłożystej kanapie w swojej bawialni, przyłapał się na tym, że znowu myśli o Zoli. Wbrew rozsądkowi myślał o niej zdecydowanie zbyt często. A ilekroć ją spotykał, krew zaczynała szybciej krążyć w jego żyłach. Liczył, że z czasem to minie. Nie chciał głębszego związku z tą dziewczyną.

Rozdrażniony, przeszedł z powrotem do gabinetu.

Sprawdzę e-maile i nadrobię zaległości w korespondencji, pomyślał Spencer, szukając sobie jakiegoś zajęcia. Usiadł przed komputerem i uruchomił system.

Zeke przydreptał za nim i położył się u stóp pana.

Spencer z uczuciem pogłaskał psa po grzbiecie.

– Musimy po prostu skupić myśli na czymś innym, prawda, brachu?

Przejrzał listę e-maili w skrzynce odbiorczej. Długą listę. Powinien odpowiedzieć. Nagle jego oczy spoczęły na wiadomości od Bowdena.

Spencer zawahał się, przemknęło mu przez myśl, żeby ją skasować – nieprzeczytaną. Kliknął jednak na nią i otworzył wiadomość.

Cześć, Two Spence.

Przyszło mi do głowy, że może chciałbyś obejrzeć fotografię rodzinną, którą dziadek pstryknął na urodzinach Rity. Od dawna nie widziałeś nikogo z nas i pomyślałem, że może byłbyś zadowolony z portretu rodziny.

Dalej Bowden donosił w gawędziarskim tonie o dokonaniach rodziny, o firmie Jacksonów. Pisał tak, jakby byli ze Spencerem starymi przyjaciółmi, którzy utrzymują ze sobą stały kontakt. A rzeczywistość przedstawiała się zupełnie inaczej i zawsze tak było. Nigdy nie wymieniali takich sympatycznych e-maili jak ten.

Spencer z irytacją bębnił palcami w blat biurka. Czego właściwie chciał Bowden? Dlaczego nagle zaczął dzwonić i mailować? Wrócił spojrzeniem do ekranu komputera.

Zobacz, Spencerze jak wyrosli obaj moi chłopcy. Trevor ma teraz dziewięć lat, a Austin siedem. Trevor jest bardzo podobny do mnie i dziadka. Także

w zachowaniu. Wszyscy tak twierdzą. Austin wdał się raczej w Genewę. Blondynek o jasnej cerze. To spokojny, wrażliwy dzieciak. Dziadek uważa, że powinien się urodzić dziewczynką. Zachowuje się tak jak kiedyś ty. Przyjaźni się z przybłędami i dziwnymi dziewczynkami, za cholerę nie może złapać piłki, lubi za to łązić po okolicznych lasach.

Spencer skrzywił się. Dlaczego Bowden to zrobił? Dlaczego wspomniał o Genevie? Dlaczego opowiadał o dzieciach? Spencer nigdy w życiu nie widział swoich bratanków. W ogóle ich nie znał.

Nie miał najmniejszej ochoty oglądać Genevy tulącej do piersi dzieci jego brata. Dzieci, które powinny być jego.

Próbuję oswoić cię z rodziną, żebyś czuł się swobodniej, kiedy przyjedziesz do domu na rocznicę naszych staruszków. Powiedziałem rodzicom, że postarasz się pojawić. Oni naprawdę nie mogą się doczekać spotkania z tobą.

Wróćmy do starych, dobrych czasów.

Bowden

Jakich znowu starych, dobrych czasów? Spencera świerzbiły palce, żeby wykasować zdjęcie i wiadomość. Nie mógł jednak zmusić się do tego. Zamiast tego wydrukował e-mail brata. Włożył nawet do drukarki papier fotograficzny dla uzyskania lepszej jakości.

Z rozdrażnieniem wyłączył komputer i wrócił ze zdjęciem na kanapę, żeby je lepiej obejrzeć. Pies podreptał za nim, usiadł i wpatrywał się w pana z troską. Zeke zawsze wyczuwał, kiedy Spencera coś dręczyło. Owczarki doskonale odczytywały ludzkie emocje.

– Rodzice wyglądają starzej, Zeke. – Spencer mówił do psa, żeby się uspokoić. – Ojciec bardzo posiwiiał, a i we włosach matki pojawiły się białe pasma. – Spencer uśmiechnął się i dotknął zdjęcia. Mama upięła włosy w tradycyjny kok, który był jej ulubioną fryzurą, i miała na szyi perły. Zawsze wkładała je na oficjalne uroczystości.

Oczy Spencera przesuwają się po fotografii.

– Rita dobrze wygląda. Wydaje mi się, że to jej dwudzieste szóste urodziny. – Dokonał obliczeń w pamięci i kiwnął głową.

Zeke nadstawił uszu, jakby słuchał go z uwagą.

– Rita skończyła dopiero czternaście lat, kiedy zacząłem studia. – Spencer zamilkł na chwilę i pogрузzył się we wspomnieniach. – Objęła mnie mocno ramionami i płakała, kiedy wyjeżdżałem. Miała już osiemnaście lat, kiedy zobaczyłem ją ponownie. Przyjechała z mamą i tatą do Savannah na ceremonię rozdania dyplomów. Ale w kilka lat później nie mogła już wybrać się z rodzicami na wielki zjazd rodzinny Chatsworthów. Była w samym środku nauki w szkole gastronomicznej.

Pogłaskał psa, pozwalając myślom płynąć swobodnie.

– Rita zawsze lubiła gotować, a szczególnie piec i dekorować torty. I z tego się teraz utrzymuje. Słyszałem, że jej firma prosperuje doskonale. To znaczy jej część rodzinnej firmy cateringowej, którą prowadzi wspólnie z matką.

Spencer jeszcze raz spojrzął na fotografię.

Pomimo upływu lat Rita nadal miała świeżą, radosną twarz. Jako najmłodsze dziecko i jedyna dziewczynka w rodzinie nigdy nie podlegała takiej presji jak Spencer i Bowden, nie oczekiwano, że będzie dalej prowadzić rodzinny interes i odnosić sukcesy we wszystkim. Spencer usłyszał kiedyś, jak matka mówiła, że gdyby on urodził się dziewczynką, to nie miałyby już więcej dzieci. Zawsze był przedstawiany jako „średni syn”. *To nasz starszy syn, Bowden, mały czaruś, to najmłodsza w rodzinie córeczka Rita, a to średni chłopak, Spencer.*

Spencer nie mógł już dłużej omijać wzrokiem Bowdena, Genevy i ich dwóch chłopców. Bowden nadal był gładki, pewny siebie i przystojny. Jak zawsze. Jego syn, Trevor, wyglądał tak samo jak kiedyś Bowden. Drugi chłopiec, Austin, robił wrażenie delikatnego i mniej pewnego siebie, jakby chciał wszystkich zadowolić. Spencerowi ścisnęło się serce. Biedny dzieciak. Miał nadzieję, że z czasem stwardnieje.

W końcu odważył się spojrzeć na Genewę. Nadal była piękna, ale już nie taka miękka. I obcięła włosy. Sięgały zaledwie podbródka. Przyjrzał się jej uważniej. Ona również wyglądała starzej. Spencer uświadomił sobie, że musiała mieć trzydziestkę, podobnie jak on. Bowden skończył trzydzieści cztery lata. Minęło już dwanaście lat od dnia, w którym widział ich po raz ostatni.

Spencer odłożył zdjęcie. Kusiło go, żeby podrzeć je na strzępki. Jego serce przeszył ból, równie żywy jak w chwili, gdy dowiedział się, że zamierzają się pobrać. Gdy zrozumiał, że jego brat po raz kolejny wziął sobie to, czego zapragnął. A jemu rzucił w twarz kolejne zwycięstwo.

Spencer zerwał się z kanapy i niespokojnie podszedł do okna.

– Idziemy na dwór, Zeke. – Pies poderwał się pełen oczekiwania i szczeknął z entuzjazmem. – Wyjdźmy stąd na chwilę.

Spencer szedł długimi krokami ścieżką prowadzącą do szałas. Chciał w ten sposób odzyskać spokój, bo w tym dziwnym domku, który Zola zbudowała na skalistym występie Raven's Den, zawsze go odnajdywał.

Kiedy wchodził w zakręt, za którym znajdowała się półka skalna, jego uszu dobiegł gardłowy głos i cichy, perlisty śmiech. Zola. Zatrzymał się i zmarszczył brwi. Dzisiaj nie miał ochoty jej tu spotkać.

Zola podniosła wzrok, spostrzegła go i uśmiech rozjaśnił jej twarz. Kwietniowy wiatr rozwiewał grzywę jej kędzierzawych włosów, a ciepłe, brązowe oczy błyszczały radośnie. Miała na sobie dzinsy z kolorowymi, haftowanymi lampasami po bokach. Spod starej kurtki samochodowej wycierała jaskrawożółta

koszula. Na ręce Zoli siedziała zielona jaszczurka. Dziewczyna karmiła wiewiórki i ptaki. Kiedy Spencer pojawił się, ptaki odleciały na widok jego i psa. Wiewiórki pozostały jednak w karmniku i uważnie obserwowały nowo przybyłych.

Spencer przyglądał się Zoli i mimowolnie porównywał ją z Genewą, której obraz ciągle majaczył mu w podświadomości. Geneva i Zola były tak różne. Pierwsza – jasna blondynka, zawsze wytworna, wymuskana i smukła, każdy jej ruch, każdy powściągliwy uśmiech i głos były płynne i wystudiowane, a ubrania nieskazitelnie eleganckie. Należała do tego typu dziewcząt, które uwielbiały Bowdena, a Spencera ignorowały. A jednak zakochała się w nim, a nie w Bowdenie, kiedy miał osiemnaście lat i był w ostatniej klasie szkoły średniej. Dotąd pamiętał swój zachwyt i ekscytację, że się nim zainteresowała.

Spencer potrząsnął głową i skoncentrował się na Zoli. Zoli w niedbałym, jaskrawym stroju, z liściem zaplątanym w niesforną grzywę potarganych włosów, w starych butach trekkingowych pokrytych cienką warstwą kurzu. Zoli trzymającej na dłoni zieloną jaszczurkę. Wróciły do niego słowa z e-mailu Bowdena: *Zachowuje się tak, jak kiedyś ty. Przyjaźni się z przybłędami i dziwnymi dziewczynkami*. Wydawało mu się nawet, że widzi powstrzymywany uśmiech Bowdena. Wyobrażał sobie, że gdyby brat tutaj był, to z rozbawieniem i ze złośliwym uśmieszkiem na ustach przewróciłby oczami na widok Zoli.

Spencer z wahaniem zatrzymał się na ścieżce. Ciężko pracował, żeby odnieść sukces i wyrobić sobie mocną pozycję. Żeby go podziwiano, zamiast wyśmiewać i poniżać. Kiedy był z Zolą, przeszłość wracała i prześladowała go znowu. Czuł się jak chłopak, którego jąkanie się śmieszyło wysmukłe dziewczyny, które przychodziły do domu pod rękę z Bowdenem. Przy Zoli czuł się znowu skrępowany, wystawiony na widok publiczny. Należała do typu dziewcząt określanych przez Bowdena jako „przemądrzałe pannie”, które lubiły go w szkole średniej.

Zola przechyliła głowę na bok.

– O co chodzi?

– Nie próbuj czytać w moich myślach, Zolo. – Jego głos był szorstki, ostry.

– Wiesz, że tego nie robię. Nie umiem tego robić. – Wzruszyła ramionami i podeszła do karmnika, żeby dorzucić trochę więcej jedzenia wiewiórkom.

Przemknęło mu przez myśl, żeby odejść, wrócić do domu. Ale ciągnęło go do tego szałas i rozciągającego się stąd widoku na góry i dolinę.

Spencer zszedł ścieżką w dół, do drewnianego szałas. Stał przy belce wspierającej konstrukcję i wbił wzrok w błękitne niebo. Na horyzoncie przepływały białe kłębki cumulusów.

Zola podeszła do niego po przywitaniu się z Zekiem. Spencer wyczuł jej obecność, zanim położyła mu rękę na ramieniu.

– O, ta tam. – Wskazała mu jedną z chmur. – Wygląda jak wilk. Widzisz? Te

szpiczaste uszy u góry, a dalej uniesiony pysk, jakby chciał zawyć. Widać nawet coś w rodzaju zębów. – Roześmiała się.

Spencer dostrzegł w chmurze wyraźny kształt wilka, ale go to zirytowało. Bawił się tak w dzieciństwie. Przypomniła mu się radość, jaką zawsze czerpał z obcowania z naturą, ponieważ kontakty z ludźmi nieodmiennie przynosiły mu rozczarowanie.

– Czy sprawia ci przyjemność to, że zawsze jesteś dziwna? – Zacisnął zęby.
Zola uniosła brwi.

– Po prostu jestem sobą, Spencerze. Nie boję się być tym, kim jestem. I nie chcę udawać kogoś, kim nie jestem.

Skrzywił się.

– Tylko dzieci doszukują się w chmurach rozmaitych kształtów.

– Naprawdę? – Roześmiała się dźwięcznym śmiechem, który go rozdrażnił.

– Nie powiedziałaabym o swoim dziadku, że jest dzieckiem. A on uwielbia obserwować chmury. Lubi się przechwalać, że „oko do chmur” odziedziczyła po nim. – Z rozbawieniem dała Spencerowi kuksańca w ramię i uśmiechnęła się tak, że zmarszczył się jej nos. Szczęśliwa. Odprężona.

Odsunął się od niej, żeby nie wdychać tego jabłkowego zapachu, który wyprawiał dziwne igraszki z jego umysłem. Zeke usilnie błagał spojrzeniem o zgodę na zbadanie terenu, więc Spencer spuścił go ze smyczy i pozwolił mu ruszyć ścieżką w las otaczający szałas. Zeke był doskonale wytresowany i z pewnością nie oddali się zanadto.

Zola przechyliła głowę na bok, przyglądając się uważnie Spencerowi.

– Co cię dziś ugryzło?

– Nic – warknął i skrzyżował ramiona... – Po prostu mam na głowie mnóstwo poważnych spraw. I nie mam czasu na głupoty i zabawy.

– Rozumiem. – Usiadła w jednym z foteli bujanych i zaczęła się kołysać z zamkniętymi oczami. Z jej ust nie schodził uśmiech. Najwyraźniej odgradziła się od Spencera i wyrzuciła go z myśli.

To go sprowokowało. Przecież przyszedł tutaj, żeby odzyskać spokój, który malował się teraz na jej twarzy, a który jego opuścił. Spencer oparłszy się biodrem o ścianę, patrzył na Zolę.

– Słyszałem, że madame Renee znowu przyszła do twojego sklepu z pogroźkami. – Zdawał sobie sprawę z tego, że świadomie stara się zburzyć jej spokój, ale nie dbał o to.

Uniosła jedną powiekę, aby na niego spojrzeć, i ponownie zamknęła oczy.

– Często się na mnie złości. Służymy całkiem innym panom.

– To niezwykle pompatyczne stwierdzenie jak na ciebie. – Chciał sprowokować ją do kłótni. – Skąd wiesz, czy ona nie jest również chrześcijanką?

– Och, ona twierdzi, że jest. – Zola nie przestawała bujać się rytmicznie. –

Zapewnia, że modli się, zanim zacznie wróżyć z kart czy z kryształowej kuli.

– Może więc w ten sposób komunikuje się z Bogiem. Skąd wiesz?

Zola otworzyła oczy i przyjrzała mu się.

– Nie można wzywać Boga na każde żądanie, Spencerze. Możliwe, że madame Renee ma dobre intencje. Często wydaje mi się, że tak jest. Ale wróżby, które ofiarowuje ludziom za opłatą, nie pochodzą od Boga, Spencerze.

– Uważasz się za wyrocznię w kwestii, kto słyszy głos Boga, a kto nie? – Spojrzał na nią ze zmarszczonym czołem.

Przestała się bujać i usiadła prosto.

– Czy zawsze wszczynasz kłótnie, kiedy jesteś w złym humorze, Spencerze? Jeśli tak, to nie przysparzasz sobie tym popularności.

– A co ty możesz wiedzieć o popularności? – Poczuli, że jego twarz poczerwieniała. – Jestem pewien, że nie byłaś zbyt popularna w szkole z tymi swoimi dziwactwami i niesamowitym darem.

Po twarzy Zoli przemknął cień bólu. Przeniosła spojrzenie na góry.

– Istnieje niewielka grupa ludzi, którzy zdają się rządzić klasą na każdym poziomie edukacji. Może nawet i w późniejszym życiu. I, oczywiście, starają się narzucić reszcie specyficzną lojalność wobec popularnych liderów i zmusić do podporządkowania się ustalonym przez nich normom. Możliwe, że były takie chwile, kiedy chciałam dostosować się do tych grup, ale wiedziałam zawsze, że wymagałoby to ode mnie rezygnacji z własnej indywidualności. Dlatego nigdy nie trwało to zbyt długo.

Przez moment Spencerowi było przykro, że zmusił Zolę do wspomnienia dawnych cierpień i odrzucenia. Rozumiał, co czuła.

– Bycie innym boli. Bolał szyderstwa. Wieczne pozostawanie w tyle za innymi i niemożność wyprzedzenia ich choć o krok. Brak szacunku i sympatii.

Przeniosła spojrzenie na niego.

– Czy tak się zawsze czułeś?

– Rozmawialiśmy o tobie – warknął.

– Skoro tak twierdzisz. – Ponownie rozsiadła się w fotelu i zaczęła się bujać.

Spencer uznał, że czas zmienić temat rozmowy.

– Podobno Ben Lee rozpowiada na prawo i lewo, że zamierzasz dowiedzieć się, kto skrzywdził jego córkę. Że zamierzasz znaleźć tego kogoś.

Zola westchnęła.

– Chyba powinnam jeszcze raz porozmawiać z nim na ten temat.

Spencer jeszcze raz podszedł, żeby spojrzeć na panoramę.

– Jeśli tego typu wieści będą się rozchodzić wśród ludzi, może okazać się to dla ciebie niebezpieczne. A jeśli zabójca nadal jest w pobliżu? Może poczuć się zagrożony. Może podejrzewać, że coś wiesz. Może zapragnąć cię uciszyć. Pomyślałaś kiedyś o tym?

Zola wyprostowała się.

– Miło byłoby pomyśleć, że troszczysz się o mnie, Spencerze. Sądzę jednak, że starasz się mnie rozzłościć albo sprowokować. Chcesz odebrać mi spokój, ponieważ ty nie możesz odzyskać swojego.

Zrobił krok w jej stronę i skrzywił się.

– Powiedziałem, żebyś nie próbowała czytać w moich myślach. Żebyś nie próbowała mnie analizować.

– Tym razem to był tylko domysł, ale trafny. – Wstała. – Szkoda, że przyszedłeś tu dzisiaj, Spencerze. Miałam taki dobry humor, zanim się pojawiłeś. Cieszyłam się oznakami budzącej się wiosny. Początkiem nowego życia. Myślałam o tym, jak przyroda, ludzie także, odradza się. Rozpoczyna nowy rozdział. Odrzuca to co stare.

Ruszył ku niej agresywnie, z zaciśniętymi pięściami.

– Wygłaszasz kazanie.

– Nie. Ale dobrze by ci zrobiło, gdybyś pozbył się części starych śmieci. – Potrząsnęła głową. – Równie łatwo jest być szczęśliwym, jak pogrążonym w smutku, Spencerze.

– A więc teraz twierdzisz, że jestem zropaczony i pełen starych śmieci? – Czuł narastający gniew.

– Wszystko, co powiem, przeinaczasz i naświetlasz z możliwie najgorszej strony. – Położyła dłoń na jego piersi. – Dzisiaj pokazałeś nieznaną mi dotąd stronę swojej osobowości, Spencerze Jacksonie. Ponurą, melancholijną i mroczną.

Przechyliła głowę na bok i zastanawiała się nad nim.

– Wygląda na to, że jedną nogą tkwisz w przeszłości, jak zwierzę, którego łapa dostała się we wnyki.

– Więc co mam zrobić, o wszechwiedząca Zolo? Odgryźć własną łapę jak w starych przypowieściach?

Pchnęła go w pierś.

– Nie. Po prostu otwórz wnyki i uwolnij się. Z pewnością jesteś do tego zdolny.

Tym stwierdzeniem wytrąciła mu broń z ręki. Daremnie szukał w głowie odpowiedzi.

– Bóg ci dopomoże, jeśli Go o to poprosisz, Spencerze. – Te słowa zabrzmiały miękko.

– Nie mieszaj się do mojej wiary, Zolo. – Znowu zacisnął pięści. – Mam swoje własne relacje z Bogiem, które mi w pełni odpowiadają.

– Czy wiara ci pomaga? Czerpiesz z niej siłę?

Odsunął się od niej.

– Przestań. Nie chcę, żebyś wtykała nos w moje życie, Zolo. Mam takie samo prawo żyć po swojemu jak ty. Zresztą, kim jesteś, żeby orzekać, czy jestem

zadowolony ze swojego życia? Nie podoba mi się, że ciągle mnie badasz.

Przez chwilę przyglądała mu się w milczeniu.

– Dzisiaj jesteś strasznie na mnie zły. Może chcesz, żebym sobie poszła? Chcesz, Spencerze?

Czuł emanujący z niej spokój, znowu ten spokój, który sprawił, że najeżył się i stał się grubiański.

– Tak. Dlaczego nie wyniesiesz się stąd, Zolo? Idź do domu i zostaw mnie samego.

Przyjrzała mu się, potem pomachała mu ręką na pożegnanie i odeszła. Bez słowa. Bez dalszych pytań.

Obserwował, jak schodziła w dół, dopóki nie zniknęła mu z oczu za zakrętem, wśród zawsze zielonych drzew. Nie odwróciła się, żeby pomachać mu jeszcze na do widzenia przed skrętem na północ, co zawsze robiła.

Zeke wyczuł, że Zola odeszła, i patrzył w ślad za nią z pytaniem w oczach, skomląc cichutko, przez co Spencer poczuł się jeszcze gorzej. Zagwizdał na psa, żeby nie pobiegł za dziewczyną. Często odprowadzali ją z Zekiem kawałek i pies zdążył się już do tego przyzwyczać. Teraz owczarek wrócił do szałasu, wyraźnie zawiedziony.

Spencer usiadł w fotelu bujanym i próbował odzyskać spokój, ale ten go opuścił. Wstał i zaczął krążyć po szalasiu, bijąc się z myślami. O dziwo, po odejściu Zoli czuł się jeszcze gorzej niż przedtem. Tego się nie spodziewał.

Wiedział, że zachował się wobec Zoli opryskliwie. Zazwyczaj nie był takim gburem.

Kopnął szyszkę leżącą na ziemi obok bujanego fotela. Wszystko przez Bowdena. Nie powinien był otwierać jego e-maila.

Spencer rozpamiętywał e-mail od Bowdena jeszcze przez następne dwa dni. Były takie okresy w jego życiu, kiedy marzył o tym, by starszy brat okazał mu choć ciekawość zainteresowania, kiedy wzruszyłaby wiadomość od niego. Jednak po latach znoszenia kpin Bowdena, wyrafinowanego poniżania przez niego i dotkliwej krytyki, odsunął się. A gdy Bowden ożenił się z Genewą, Spencer stracił resztkę nadziei na ciepłe, pełne miłości kontakty z bratem. Teraz odkrył, że łatwiej trzymać się z dala od rodziny i Richmond – z dala od Bowdena.

W czwartkowy poranek otworzył zamek w drzwiach Jackson Gallery i pchnął je, nadal pogrążony w ponurych rozmyślaniach i całkowicie nimi zaabsorbowany. Niespokojny i spięty.

– Witaj, bracie. – Aston Parker wstał z ławki za kontuarem. Jak zwykle podszedł do Spencera, żeby uściskać go serdecznie. Z upływem lat Spencer zdołał się przyzwyczać do otwartości Astona w wyrażaniu uczuć, choć potrzebował na to sporo czasu. W jego rodzinie nie było zwyczaju obejmowania się z nieskrywaną serdecznością.

– Przyniosłem Clarkowi do przejrzenia trochę nowych fotografii. – Położył na ladzie stosik kart pamięci. – Przeniosłem je na karty, żeby wgrać zdjęcia do komputera.

– Dzisiaj przyjdzie później. Ale dopilnuję, żeby je dostał.

Spencer przesunął dłonią po włosach. Ostatniej nocy znowu źle spał.

Aston wskazał ręką niewielki kącik z miejscami do siedzenia.

– Zostań jeszcze chwilę. Zrobię nam obu kawy. Mamy jeszcze pół godziny do otwarcia galerii.

Spencer opadł na jedną z sof, zadowolony z odrobiny towarzystwa tego ranka.

Aston przyniósł kawę i rozwalił się na jednym z krzeseł obok Spencera. Był wysokim mężczyzną o skórze w ciepłym odcieniu brązu, ciemnych, przyjaznych oczach i niezwykle szerokim uśmiechu. Przyjaźnili się od dwunastu lat. Poznali się, kiedy Spencer był na pierwszym roku studiów w Savannah.

– Brakowało mi cię tu, przyjacielu. – Aston wyciągnął długie nogi na stoliku z gazetami. – Są takie dni, kiedy górski domek wydaje się piekielnie samotny. – Aston nadal mieszkał w domu u podnóża góry, który dawniej zajmowali razem ze Spencerem.

– Naprawdę? – Spencer uśmiechnął się i po raz pierwszy od wielu dni poczuł odrobinę szczęścia.

– Mhm. – Aston przyjrzał mu się. – Jesteś jakiś sponiewierany, przyjacielu. Albo za długo łąziłeś po polach, albo masz jakieś zmartwienie.

Spencer wziął łyk kawy, niepewny, jak wiele ma chęć zdradzić Astonowi.

Aston pochylił się naprzód.

– Jesteśmy jak bracia, stary. Wiemy o sobie prawie wszystko. Ty wiesz o moim ojcu alkoholiku i o tym, że jestem nieślubnym dzieckiem, a mój brat przesiedział dwa lata w więzieniu. Przez wiele długich nocy dzieliliśmy się wspomnieniami z przeszłości, twojej i mojej. Nie raz poszliśmy w tango, żeby zapomnieć o dawnym życiu i odcinaliśmy się o niego na różne inne sposoby. – Tracił łokciem rękę Spencera. – Za późno na ukrywanie czegokolwiek przede mną.

Walił prosto z mostu. To była jedna z cech, które Spencer zawsze lubił u Astona. Drugą było to, że mógł mu zaufać.

Spencer wydał ciężkie westchnienie.

– W środę dostałem e-mail od Bowdena. Miły, przyjazny, braterski e-mail. – Czuł, że jego ręce same zaciskają się w pięści, a głos nabiera sarkastycznego brzmienia. – Przysłał mi nawet rodzinne zdjęcie.

Aston uniósł brew.

– To nie w stylu Bowdena. Domyślam się, że coś się za tym kryje. Jaki podał powód, że w ogóle do ciebie napisał?

– Zbliżająca się czterdziesta rocznica ślubu rodziców. Bowden chce mnie

nakłonić do przyjazdu. – Spencer wziął łyk gorącej kawy i z wdzięcznością poczuł, jak kofeina zaczyna krążyć w jego żyłach.

Aston prychnął.

– Jestem pewien, że Bowden wystosował zaproszenie w sposób, który nie zachęcił cię do przyjazdu. – Roześmiał się. – Ale to ważne wydarzenie. Może jednak powinieneś zastanowić się nad odwiedzinami, stary. Jesteś już w stanie stawić czoła temu, co tam zastaniesz. Minęło wiele czasu, jesteś silniejszy.

– Rozmawialiśmy już na ten temat. – Spencer sam słyszał, że jego głos zabrzmiał opryskliwie.

Aston skrzyżował ramiona.

– Tak, i będziemy rozmawiać na ten temat tak długo, aż cię przekonam, żebyś stawił czoło przeszłości i rozprawił się z nią. Dopóki tego nie zrobisz, nie posuniesz się do przodu.

Spencer spojrział na Astona sponad brzegu filiżanki.

– Jak ty zrobiłeś ze swoim tatą?

– Tak. Jak ja z tatą. – Twarz Astona pociemniała na chwilę. – To było trudne spotkanie, ale po nim poczułem się wolny. Było mi potrzebne.

Spencer popychał swoją filiżankę wokół stołu.

– To nie jest tak, że nie widziałem się z rodzicami, odkąd opuściłem dom.

– Tak, stary, ale od dwunastu lat ani razu nie byłeś w domu. To nie jest ani normalne, ani naturalne, żeby tak długo go omijać.

– Moje życie w domu nie było ani normalne, ani naturalne – warknął Spencer w odpowiedzi.

Aston machnął ręką.

– Ach. Nie było takie najgorsze. Byłeś kochany, wychowywałeś się w środowisku ludzi uprzywilejowanych, zostałeś wysłany na studia, wszystkie twoje potrzeby były zaspokajane.

– Nie – przerwał mu Spencer. – Nie wszystkie moje potrzeby były zaspokajane. I rodzice zawsze usprawiedliwiali wszelkie postęпки mojego brata. Nawet te wstrętne.

– Twój brat to śliski, cwany typ. – Aston wzruszył ramionami. – I z tego, co mówiłeś, bardzo podobny do dziadka Stettlera Jacksona, kolejnej niezbyt świetlanej postaci w waszej rodzinie. Wady twojego braciszka zapewne niezbyt raziły rodziców, mieli czas oswoić się z nimi, żyjąc latami u boku twojego dziadka. W niektórych rodzinach usprawiedliwianie wad każdego z ich członków staje się obowiązującym zwyczajem.

– Ale oni go zawsze faworyzowali. – Twarz Spencera wykrzywił grymas.

– I co z tego? Mój ojciec zawsze faworyzował moje siostry, Letitię i Damikę. I lubił tuc Jamala i mnie, kiedy był pijany. – Rozłożył ręce. – Czy to ich wina? Czy mam ich za to nie lubić?

– To nie to samo. – Spencer wypluł te słowa.

Aston ryknął śmiechem.

– Te dziewczuchy też kpiły ze mnie i prowokowały mnie. Czasami zmieniały moje życie niemal w coś okropnego. Musisz to przezwyciężyć, Spencerze. Pozwolić przeszłości odejść. I nie zamartwiać się przyszłością. Żyj dniem dzisiejszym. Ciesz się tym, co ci on przynosi.

Trącił stopą kolano Spencera.

– Znajdź sobie jakąś klawą kobitkę. Całuj się z ładną dziewczyną. Taką jak panna Zola Devon. – Aston uśmiechnął się i poruszył brwiami jak skrzydłami.

Spencer wiercił się niespokojnie.

– Mało prawdopodobne. Wszystko popsulem, kiedy byłem w tym dołku.

– Aaa. Więc za twoim podłym nastrojem stoi nie tylko Bowden Jackson. – Aston dopił swoją kawę i odstawił kubek na stół. – Opowiedz mi, co się stało.

Spencer powiedział mu o dniu w szałasie.

– Wygoniłem ją, Astonie. Zachowałem się jak cham. Przyłapałem się na tym, że w myślach porównywałem ją z Genevą. I zastawałem się, co pomyślałby o niej Bowden.

Aston parsknął śmiechem, co zirytowało Spencera.

– Musisz wreszcie zmądrzeć, stary. Jeśli spotkasz kobietę podobną do Genevy, to zamiast za nią gonić, powinieneś wziąć nogi za pas i uciekać, gdzie pieprz rośnie. Jeszcze się tego nie nauczyłeś? Zważywszy na charakterek twojego brata, należałoby unikać kobiet, które mu się podobają.

Potrząsnął głową.

– Przyjacielu, straciłeś zbyt wiele lat na poszukiwanie drugiej Genevy, dziewczyny, która wywarłaby wrażenie na twoim bracie. Kiedy zamierzasz z tym skończyć? To głupota.

Aston położył rękę na ramieniu Spencera.

– Kiedy wreszcie zrozumiesz, kim jesteś, i poszukasz tego, co jest dobre dla ciebie? Kiedy zaczniesz mieć w nosie to, co sądzą inni?

Spencer potarł swój kark.

– Nie wiem. Wydaje mi się, że w jakiś niesamowity sposób jestem uwięziony w mrocznej przeszłości, choć próbuję się z niej wyrwać. Nawet kiedy Leena Evanston mnie okradła, ja myślałem o tym, jakie wrażenie zrobiłaby na Bowdenie jej uroda, obycie w świecie i pozycja społeczna.

– Jak to możliwe, że zdajesz sobie z tego sprawę i nadal nie potrafisz się wyrwać? – Aston popatrzył na niego zde gustowany. – Szczególnie kiedy trafia ci się taka dziewczyna jak Zola, która jest zainteresowana twoją pożałowania godną osobą.

– Wątpię, czy zechce jeszcze kiedyś mnie widzieć. – Spencer w przygnębieniu wyciągnął się na sofie. – Nie zajrzała nawet do szałasu w Raven's

Den, odkąd ją wypędziłem.

Aston zerknął na zegarek i wstał.

– W takim razie ty, stary, musisz do niej pójść. Znajdź sposób, żeby ją przeprosić. – Zatrzymał się na moment. – Ona ci się naprawdę podoba, prawda?

Spencer kiwnął głową.

– Więc rusz swój żaloszny tyłek w dolinę i powiedz jej, co czujesz. Daj sobie szansę na odrobinę szczęścia, stary. Zasługujesz na to. A nie na kolejne Genevy i Leeny. Trzymaj się z daleka od kobiet, które spodobałyby się Bowdenowi. Dlaczego miałbyś pragnąć kobiet, które wołały jego?

Spencer zdawał sobie sprawę, że Aston ma rację, i poczuł ulgę po wyznaniu, jakim był idiotą. Serdecznie poklepał Astona po plecach i wstał.

– Musisz otworzyć galerię – stwierdził, wyrzawszy przez okno. Ludzie zaczęli zbierać się na dziedzińcu centrum handlowego, zapewne zdążyli już zjeść śniadanie w Garden Café.

Na myśl o Garden Café przypomniał sobie o Carole.

– A jak się sprawy mają z Carole Thomas?

Twarz Astona rozciągnęła się w szerokim uśmiechu.

– Doskonale, stary. To fajna dziewczyna, bardzo fajna. Najwyższy czas, byśmy my, starzy kawalerowie, rozejrzeli się za odpowiednimi kobietami. Każdy facet tego potrzebuje.

Rozdział dziewiąty

Zola siedziała na ganku swojego wiejskiego domu w białym, bujanym fotelu i obserwowała jak bawi się raczkujące dziecko Rachel Lee Howard. Rachel Lee siedziała niżej, na stopniu schodów, żeby w razie czego móc zerwać się szybko i błyskawicznie doskoczyć do Avy.

– Ale wyrosła pod moją nieobecność – stwierdziła Zola.

– Muszę się przy niej nieźle nabiegać – odparła Rachel Lee.

Malutka Ava śmiała się z dziecięcą radością, wchodząc i wychodząc z wielkiego, kartonowego pudła, które Zola wyniosła na podwórze, żeby mała miała się czym bawić.

– To pudło to był doskonały pomysł, Zolo. Jest takie wielkie, że Avie przypomina dom.

– Jedna partia towaru dotarła wczoraj ze statku. Wiedziałam, że wybierasz się dzisiaj do mnie, i pomyślałam, że pudło spodoba się Avie.

– Pa, pa, mamó. Pa, pa, Zee. – Ava pomachała rączką Zoli i Rachel Lee, po czym znowu weszła do kartonu, zabierając ze sobą szmacianą laleczkę. Klapnęła na kocyk wyściełający pudło, żeby pobawić się lalką i klockami, które kupiła jej Zola.

Rachel Lee wsunęła jasne włosy za uszy.

– Dziękuję, że zajęłaś się dzisiaj Avą. Mogłam pójść na umówioną wizytę lekarską. Jestem ci bardzo wdzięczna. Mama miała dzisiaj swoje babskie spotkanie, a nie chciałam zabierać ze sobą Avy do doktora.

– Cała przyjemność po mojej stronie. – Zola mówiła szczerze. Zabawa z Avą sprawiła jej autentyczną przyjemność. Wcześniej powijmowały stare zabawki z domowej skrzyni z zabawkami, a po lunchu, kiedy się ociepliło, wyciągnęły kartonowe pudło na dwór. Pudło nie straciło jeszcze uroku nowości.

Głos Rachel Lee przerwał jej rozmyślenia.

– Co jest między tobą a tym nowym fotografem, który sprowadził się w góry? – Pytająco uniosła brwi, spoglądając na Zolę. – Nadal się spotykacie?

Zola zmarszczyła nos.

– Właściwie nigdy nie *spotykałam się* ze Spencerem Jacksonem. Poznałam go, kiedy dowiedziałam się, że kupił Raven's Den. Pozwolił mi nadal zaglądać do szafasu i od czasu do czasu spotykam go tam.

– Słyszałam, że przyszedł do domu na obiad.

– Nana i Papa Devon zaprosili go na lunch, bo przyszedł do kościoła na chrzciny dziecka Tannera i Delii.

– Cóż, po tej wizycie ludzie zaczęli plotkować. Powiem ci dlaczego. Niezbyt często przedstawiasz rodzinie jakiegoś mężczyznę, Zolo. – Rachel Lee oparła się

plecami o słupek ganku i wyciągnęła przed siebie długie nogi.

– To zaproszenie nie wyszło ode mnie – odparła Zola z grymasem na twarzy.

Nie była pewna, czy akurat dzisiaj miała ochotę na rozmowę o Spencerze Jacksonie. Nawet z Rachel Lee. Nie spała dobrze przez ostatnie dwie noce, od ostatniego spotkania z nim na Raven's Den, kiedy był w takim podłym nastroju. Od tamtego czasu unikała wypraw do szafasu.

Rachel spojrzała na Zolę ze zdumieniem.

– Wydawało mi się, że Spencer zaczął ci się podobać. No, wiesz. – Poruszyła brwiami. – Mówiłaś mi przecież o jakichś iskierkach i o tym, że dobrze się czujecie w swoim towarzystwie.

– Cóż, to było kiedyś. – Zola podkreśliła ostatnie słowo. I pomachała do Avy, która znowu wchodziła do pudła i wychodziła z niego, śmiejąc się do siebie. Zola obserwowała ją z uśmiechem. Trudno mieć ponury nastrój, kiedy obok bawi się raczkujący berbec.

– Ach tak. To co się stało ze Spencerem? – dopytywała się Rachel.

Zola poddała się temu, co nieuniknione. Niewiele spraw ukrywała przed Rachel Lee. Były najlepszymi przyjaciółkami, zanim jeszcze poszły do przedszkola.

– Nie wiem, Rachel. – Wzruszyła ramionami. – Wydaje się mnie lubić. Czujemy się ze sobą swobodnie, dobrze nam razem. A potem on nagle się wycofuje. Ucieka ode mnie.

Zola odchyliła się do tyłu na bujanym fotelu i oparła stopy o poręcz ganku.

– To bardzo skomplikowany mężczyzna. Wiem, że ma pewne nie rozwiązane problemy z rodziną. Robi się strasznie spięty, kiedy rozmowa schodzi na ich temat. I nic nie chce zdradzić.

Rachel Lee wzięła do ręki jedną z grzechotek Avy i zaczęła obracać ją w palcach.

– Ale ty jesteś niezwykle ciepła, otwarta i swobodna w kontaktach z ludźmi. Może byłabyś dla niego w sam raz.

Zola potrząsnęła głową.

– Nie wiem. Ostatnio był okropnie ponury i... mroczny. Zachowywał się tak, jakby mnie nie lubił. Zaczepiał mnie i krytykował. Właściwie powiedział mi otwarcie, żebym wracała do domu. To było dziwne.

– Mnie wydaje się to po prostu chamskie. – Rachel Lee skrzywiła się. – Może coś go wyprowadziło z równowagi. David wpada niekiedy w ponury nastrój, kiedy ma za sobą ciężki dzień na uczelni. Kiedy musiał użerać się z wyjątkowo trudnym studentem czy głupim administratorem.

Zola spojrzała jej w oczy.

– Tak, ale David mówi ci o tym. Rozmawia z tobą o tym. Nie zamyka się przed tobą.

– Chyba tak. – Wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się. – A jeśli nawet próbuje, to z reguły udaje mi się wyciągnąć to z niego, kiedy się trochę postaram. Mam swoje sposoby, żeby radykalnie poprawić mu humor. – Zachichotała.

Zola rzuciła w przyjaciółkę listkiem, który miętoszyła w palcach.

– Założę się, że potrafiysz! – Obie roześmiały się głośno. – Jesteście z Davidem stworzeni dla siebie. Cieszę się, że udało się wam na siebie trafić.

– Chciałabym kiedyś poznać Spencera. Wyrobić sobie o nim własne zdanie. – Rachel przeciągnęła się i wstała. – Popilnujesz Avy przez chwilę? Pobiegnę do łazienki, a potem spakuję jej rzeczy. Muszę ją zabrać do domu na popołudniową drzemkę.

Zola kiwnęła głową. Wstała i zeszła na podwórko, żeby jeszcze ostatni raz pobawić się z Avą w „akuku”.

Przykucnęła za drzwiami domu i raz pokazywała Avie klocki, a raz je chowała. Nagle dziewczynka oznajmiła:

– Duży pan.

Zola poczuła, że pada na nią jakiś cień, podniosła wzrok i zobaczyła Spencera. O wilku mowa, pomyślała.

– Cześć, co tu robisz?

Nie odpowiedział. Szeroko otwartymi oczami wpatrywał się w Avę. Zbladł.

– Twoja?

Zola przewróciła oczami.

– No co ty, Spencerze? Rusz głową. To niebieskooka blondyneczka, a ja, jak sam stwierdziłeś, wyglądam jak Cyganka. – Wstała.

Spencer zaszurał nogami, wyraźnie stropiony.

– Tylko zapytałem.

W tym momencie na ganek wyszła Rachel Lee.

– Ava to dziecko mojej przyjaciółki, Rachel Lee. – Zola wskazała ją Spencerowi.

Rachel stała na stopniu schodów z pytająco uniesionymi brwiami.

– Rachel Lee Howard, podejdź tu i poznaj Spencera Jacksona, naszego nowego sąsiada, który zamieszkał w Raven’s Den. Mówiłaś, że chciałabyś go poznać.

– Miło mi, Spencerze. – Rachel podeszła i uścisnęła wyciągniętą na powitanie rękę Spencera. – Dziadkowie Zoli dobrze się o tobie wyrażają. No i wszyscy się ucieszyli, że nie zabudowałeś nadmiernie Raven’s Den.

Zola zauważyła, że Spencer z zachwytem przesunął spojrzeniem po Rachel, z wyraźnym uznaniem dla jej olśniewającej urody. Potem podniósł wzrok na górę.

– Czy ty także wspinałaś się tam, kiedy byłaś mała, Rachel?

Pobiegła spojrzeniem w górę.

– Czasami. Ale Raven’s Den i wędrówki po górach to była zawsze domena

Zoli, nie moja.

Zola widziała, że przyjaciółka starała się ocenić Spencera podczas tej rozmowy.

– Wiesz, chciałabym, żebyś poznał mojego męża, Davida. Nie jest fotografem, tylko profesorem historii w Maryville College, ale lubi fotografować miejsca historyczne. Pasjonuje się starymi zdjęciami, możliwe, że niektóre z nich mogłyby cię zainteresować.

– Zawsze interesowała mnie historia i lubię stare fotografie. Może uda nam się spotkać któregoś dnia.

Zola zauważyła, że Spencer był tego dnia w towarzyskim nastroju i zachowywał się jak dżentelmen. Wyglądało na to, że zły humor go opuścił.

Rachel rozpromieniła się.

– Może jutro przyszlubycie z Zolą do nas na obiad? Nie miałam jeszcze okazji zaprosić Zoli po jej powrocie. Będzie fajnie. Nasz dom jest naprawdę blisko, tylko kawałek wzdłuż Little Cove Church Road. Trzeba skręcić koło takiego starego kościoła z cegły.

Zola spostrzegła, że zainteresowanie Spencera wzrosło.

– Chciałem sfotografować ten kościół.

– No to jesteś szczęściarzem. – Rachel uśmiechnęła się do niego zachęcająco. – Mój tata jest tam pastorem. A David ma stare zdjęcia tego kościółka, z pewnością chętnie je obejrzysz.

Spencer zwrócił pytające spojrzenie ku Zoli.

Kiwnęła głową i uśmiech rozjaśnił jego twarz. *Ojej, co za zmiana!*

– Przyjdziemy z prawdziwą radością, Rachel – powiedział.

– Mów mi Rachel Lee. Wszyscy tak się do mnie zwracają. – Popatrzyła na niego rozpromieniona. – Z radością będę czekać na was jutro wieczorem.

Sięgnęła w głąb kartonowego pudła, żeby wyciągnąć Awę.

– O szóstej? – zapytała, sadzając sobie dziecko na biodrze. – Przez pewien czas będzie z nami Ava, ale potem położę ją spać i będziemy mogli odetchnąć wyłącznie w towarzystwie dorosłych. – Zachichotała, najwyraźniej bardzo z siebie zadowolona.

Zola poddała się temu, co nieuchronne.

– Co gotujesz, żebym wiedziała, co przynieść?

– Hmm. Zastanówmy się. – Rachel przyłożyła palec do brody w zamyśleniu.

– Chyba zrobię schab pieczony z zapiekaną kaszą kukurydzianą i zielonym groszkiem, który zawekowałam latem. Potem podam słodką kukurydzą i duszone jabłka. Zrobię też biszkopciki i upiekę placek z orzechami. Mama dała mi trochę mrożonych orzeszków pecan, mogę je wykorzystać. A na wierzchu będzie świeżo ubita śmietana.

Zola zauważyła, jak rozjaśniły się oczy Spencera.

Uśmiechnęła się do niego.

– Wszystkie kobiety Uptonów to doskonałe kucharki. Na pewno nie przeżyjesz zawodu, Spencerze.

Rachel Lee uściskała Zolę na pożegnanie.

– Tym razem nie musisz nic przynosić. Wiem, że jutro pracujesz.

Przeniosła na Spencera zatroskane spojrzenie.

– Chyba nie jesteś jakimś tam wegetarianinem czy kimś w tym rodzaju? Zawsze zapominam zapytać.

– Nie, ma'am.

Westchnęła z ulgą.

– Miło mi to słyszeć. Nigdy nie wychodziło mi tofu, ani żadne tam potrawy z roślin strączkowych. – Po czym ruszyła do samochodu.

Ava pomachała im na do widzenia i matka przypięła ją do fotelika w samochodzie.

– Pa, pa, Zee. Pa, pa, pan. – Popatrzyła tęsknym wzrokiem na pudło. – Pa, pa, domku Avy.

Zola zauważyła, że lalka dziewczynki została na kocu w kartonowym pudle. Rachel zdążyła już uruchomić silnik.

– Czeka! Ava zostawiła Sue-Sue. Zaraz przyniosę.

Zola złapała ukochaną lalkę Avy i podała ją dziewczynce przez okno. A potem pochylała się i pocałowała ją z uczuciem.

– Pa, pa, kochanie. Zee przyjedzie jutro do ciebie.

Kiedy samochód cofał się z podwórka, usłyszała śmiech Spencera.

– Sue-Sue?

Zola zmarszczyła brwi.

– Ava ma dwadzieścia jeden miesięcy, Spencerze. Trudno oczekiwać, że nazwie swoją lalkę Susannah Delores. Nie mogłaby tego wymówić.

– A kto powiedział, że Sue-Sue mi się nie podoba? – powiedział z uśmiechem.

Zola wyjęła koc i klocki z tekturowego domku.

– Czy mógłbyś zanieść to pudło do szopy za domem? Moi bratankowie mogą też mieć ochotę kiedyś się w nim pobawić. To ogromny karton. – Weszła po schodkach na ganek. – Zaniosę te rzeczy do środka. Spotkamy się potem na zabudowanej werandzie na tyłach domu. Przyniosę mrożoną herbatę.

W kilka minut później wyszła tylnymi drzwiami i znalazła go siedzącego na huśtawce i odpychającego się lekko nogą od podłogi werandy.

– Byłam pewna, że zajmiesz fotel bujany. – Z uśmiechem podała mu szklankę herbaty, a sama usadowiła się w sfatygowanym, zielonym fotelu.

Spencer nie przestawał kołysać się stopą na huśtawce.

– To też się buja. – Wychylił duszkiem pół szklanki herbaty, po czym

odstawił resztę na boczny stolik i rozciągnął długie ramiona na oparciu huśtawki.

Zola obserwowała go.

– Niewątpliwie jesteś dzisiaj w lepszym humorze.

Skrzywił się.

– Wtedy zachowywałem się jak niedźwiedź.

Zola czekała.

Ponad osłoną werandy spojrzął na drzewa, na których zaczynały się już zielenić wiosenne pączki.

– Postanowiłem sprawdzić, czy znajdę na farmie jakieś obiekty do fotografowania, a przy okazji wpadnę, żeby przeprosić za swoje fatalne maniery.

– Czy były jakieś szczególne powody do demonstrowania tak fatalnych manier, o których chciałbyś porozmawiać?

Widziała, jak zacisnął zęby.

– Nie. Nie chcę o tym rozmawiać. Nie moglibyśmy po prostu o tym zapomnieć? – Poruszył się niespokojnie.

Zola przeniosła spojrzenie na zalane słońcem otoczenie. Dzień był cudowny – pogoda wręcz wymarzona. Wszędzie zaczynały pękać pąki na gałęziach. Z ziemi zaczynały wyłaniać się wczesne kwiaty. Na farmie przychodziły na świat młode zwierzęta. Nie miała ochoty zagłębiać się w przykre wspomnienia.

Spojrzała na Spencera, który nie spuszczał z niej wzroku.

– Widzę, że wzięłeś ze sobą aparat. Pewnie resztę potrzebnych rzeczy masz w kieszeniach kamizelki.

Poklepał kilka kieszonek starej, skórzanej kamizelki rybackiej, którą narzucił na brązowy podkoszulek.

– Kiedy wybieram się na krótką wyprawę fotograficzną albo na wspinaczkę, wolę potrzebne rzeczy chować do kieszonek kamizelki wędkarskiej – klisze, jeden czy dwa mniejsze obiektywy z zoomem optycznym, kilka filtrów.

– W tym stroju wyglądasz jak sportowiec. – Zola uśmiechnęła się do niego. – Masz ochotę na towarzystwo podczas fotografowania czy wolisz iść sam?

Wyprostował się na fotelu, demonstrując pełną gotowość.

– Masz sugestie, gdzie mógłbym zrobić parę dobrych ujęć?

Zola podniosła oczy do nieba.

– Nie, nie mam. Naprawdę rzadko zdarza mi się odbierać takie wiadomości, Spencerze. Proszę, nie myśl o mnie tak jak Ben Lee. To tylko część mojej osobowości, w dodatku taka, która ujawnia się tylko od czasu do czasu. – Pochyliła się ku niemu z entuzjazmem. – Ale i bez podpowiedzi znam kilka miejsc, które stwarzają wiele możliwości. Czasami zdarza mi się zauważyć coś i pomyśleć: *To byłby cudowny obraz.* – Spuściła wzrok. – A czasem myślę: *Och! Tutaj Spencer zrobiłby wspaniałe zdjęcie.*

Podniosła wzrok i przekonała się, że Spencer patrzy na nią poważnie swymi

orzechowymi oczami.

– Ja także czasem podczas spacerów myślę o tobie, patrząc na to czy owo. Kiedy widzę coś wyjątkowego, rzadkiego, myślę: *To spodobałoby się Zoli*.

Intensywność jego spojrzenia sprawiła, że Zolę przeszył dreszcz. I nie był to dreszcz podniecenia, nie ciągnęło jej do niego, raczej miała ochotę się odsunąć. Dzisiaj mógł być słodki jak miód, a następnego dnia okrutny. I wcale nie miała pewności, czy chciała ponownie otworzyć się przed nim i znowu narazić na zranienie. Teraz już wiedziała, że musi się z tym liczyć.

Wstała z fotela i ruszyła do drzwi werandy.

– Przejdę się z tobą po farmie, Jacksonie. Lubię spacerować i odkrywać świat. Patrząc na kielkującą wiosnę. Na zachwycające drobiazgi, które znajdziemy. Jesteś gotów?

Kiwnął głową, akceptując najwyraźniej, że Zola nie chciała przyjąć jego zaproszenia do bliskości. Wtedy zdawał się niemal nią gardzić. Zoli nie podobał się wyraz jego oczu, gdy na nią patrzył – jakby spadła w jego ocenie na niższy poziom, jakby jej czegoś brakowało. To bolało. Odepchnął ją tamtego dnia. A teraz wrócił.

Teraz mogła odegrać się na nim. Powiedzieć, że jest zajęta. Pokazać mu figę. Pozbyć się go. Jednak, pomimo wszystko, Spencer interesował ją. Miał w sobie coś bardzo pociągającego. Mogła poświęcić mu jeszcze trochę swojego czasu, żeby odkryć, co to było. W końcu przyszedł do niej z przeprosinami. To już coś.

Wyprowadziła go na słońce.

– Zanim wyruszymy na farmę, chodźmy najpierw za szopę. Jeśli nam szczęście dopisze, to znajdziemy tam jeszcze pajęczą sieć, którą widziałam dziś rano.

Przeszli na tyły starej szopy i Zola pokazała Spencerowi pajęczynę rozwieszoną pomiędzy ścianą zniszczonego przez warunki atmosferyczne budyneczku a pniem pobliskiego drzewa. Misterna, biała sieć lśniła w blasku słońca. Istny raj dla pajaków.

– Wczesnym rankiem była ładniejsza, bo błyszczały na niej krople rosy. – Zola uśmiechnęła się na to wspomnienie.

Spencer wyjął aparat.

– Poranki i wieczory to zawsze najlepsza pora na robienie zdjęć. Ale nie byłem pewien, jak zostanę przyjęty, jeśli pojawię się u ciebie o świcie, a nie chciałem szwendać się po farmie bez eskorty i zaproszenia. – Uśmiechnął się do Zoli. – Nie zapomniałem twojego ostrzeżenia, że dziadek Devon ma wielką strzelbę.

Zola zignorowała jego słowa, całą uwagę skupiła na pajęczynie.

– To okrągła sieć, o klasycznym kształcie, pleciona przez wiele gatunków pajaków. Zazwyczaj pajęczycza czatuje cierpliwie w samym centrum jedwabistej pułapki. Jeśli jakiś soczysty owad wpadnie w jej sieć, pędzi do niego, gryzie go

i wlecze na środek. Wyczuwa vibracje nitek, kiedy coś uderzy w jej pajęczynę.

Spencer już pstrykał zdjęcie, opierając rękę o ścianę szopy, żeby ustabilizować aparat.

– Patrz! – Zola wyciągnęła rękę. – Widzisz tę jedwabną nitkę łączącą pajęczynę z najbliższym drzewem? To lina asekuracyjna pajęczycy. Pozostawia taką linę, kiedy opuszcza swoją pajęczynę, i posługuje się nią potem, by móc bezpiecznie wrócić do domu.

Spencer z zainteresowaniem spojrział na nią pomiędzy jednym a drugim naciśnięciem migawki.

Zola stała pod ścianą szopy i przyglądała się jego pracy.

– Czy wiesz, że pająk potrafi zwinąć liść, przytwierdzić go swoją nitką i zrobić z niego hamak, w którym ucina sobie drzemkę? Czasami, jeżeli rozejrzysz się uważnie po drzewach w pobliżu sieci pajęczej, to znajdziesz taki hamak z liścia, może nawet ze śpiącą w nim pajęczycą.

Spencer obejrzał zrobione przed chwilą zdjęcie, po czym podniósł wzrok i popatrzył w oczy Zoli.

– Uwielbiam sposób, w jaki postrzegasz naturę – jakby wszystko miało własny charakter i osobowość. Dzięki tobie i ja zaczynam patrzeć na świat innymi oczami.

– Przyroda budzi mój zachwyt. Bez trudu mogę sobie wyobrazić Matkę Naturę, która włada swoim królestwem i wyznacza rządzące w nim prawa. Obawiam się, że w dzisiejszych czasach większość ludzi nie szanuje przyrody. Eksploatują ją, albo mijają ją samochodem.

– I nie mają oczu, które potrafią dostrzec jej urok – dokończył za nią.

Zola uwielbiała chwile, kiedy był taki jak teraz. Wrażliwy artysta o poetyckiej duszy – otwarty na świat, promieniujący wewnętrznym ciepłem. Tak różny od tamtego mrocznego, ponurego mężczyzny sprzed paru dni.

Zatrzymała jednak te myśli dla siebie. Czekwała cierpliwie, aż Spencer skończy fotografować pajęczynę.

Podniósł oczy.

– Czy mogę przyjść tu kiedyś wczesnym rankiem, żeby zrobić zdjęcie pajęczyny z kroplami rosy?

– Jasne, uprzedź mnie tylko poprzedniego wieczora. Żeby nie umarła ze strachu, że jakiś mężczyzna łązi o świcie po moim podwórzu.

– Zadzwoń. – Zamknął aparat i schował do kieszonki kamizelki obiektyw z niewielkim zoomem. – Dokąd zaprowadzi nas teraz twoja intuicja, Zolo? Na koniec tęczy?

Popchnęła go żartobliwie.

– Nie. Zejdziemy na farmę. Oznaki wiosny i młode zwierzęta pojawiają się w rozmaitych miejscach. Na przykład w obórce u wujka Raya i cioci Augusty są

małeńkie jagnięta. Możliwe, że wyszły już dzisiaj na dwór, bo jest bardzo ciepło. Chciałabym też przejść obok stawu i zobaczyć, czy kijanki zaczęły już wyskakiwać na brzeg.

– Żeby zmienić się w małe, zielone żabki? – zapytał idący za Zolą Spencer.

Dziewczyna prowadziła go ścieżką wiodącą przez las od jej domu do właściwej Farmy Devonów. Obejrzała się na niego przez ramię i kiwnęła głową.

– Wczoraj zauważyłam, że z boków niektórych kijanek zaczynają wylaniać się nóżki. Większość zachowała jeszcze ogonki, ale założę się, że wkrótce wchłoną się w ich ciała. Domyślam się, że jakieś apetyczne, małe owady skusiły je już do wyskoczenia z wody na przekąskę.

– Te maluchy zmieniają się w prawdziwie żarłoczne maszyny, kiedy osiągną to stadium rozwoju. – Spencer pośpiesznie wtrącił się w opowieść Zoli. – Czytałem kiedyś, że w ciągu sezonu żaba potrafi skonsumować dziewięć tysięcy owadów.

– Tak. A najlepsze jest to, że pożerają przeważnie najmniej pożyteczne owady. Dla farmera to naturalna ochrona przed szkodnikami.

W pobliżu stawu znaleźli żaby w kilku stadiach rozwojowych – niektóre jeszcze pod postacią skrzeku podobnego do zielonych rybek, inne o kształcie kijanek, nieco bardziej przypominających żaby, a część skakała już radośnie po błotnistym, porośniętym trawą brzegu stawu jako malutkie żabki. Ciszę ciepłego dnia przerywało od czasu do czasu ich rechotanie.

Zola usiadła na zwałonej kłodzie i obserwowała krajobraz, podczas gdy Spencer robił zdjęcia.

W pewnym momencie podniósł na nią oczy.

– Powiedziałaś, że tamten pająk był pajęczycą. A co z tymi żabiętami?

Obdarzyła go zalotnym uśmiechem.

– Upieram się, że ta mała żabka tutaj to chłopczyk. – Wskazała mu. – Połyka pokarm w całości. Niewątpliwie brak mu dobrych manier. I przed chwilą pożarł jednego z kumpli, mniejszą kijankę. To doprawdy paskudne, agresywne zachowanie. Z pewnością nie ma instynktu opiekuńczego.

Spencer wybuchnął głośnym, głębokim śmiechem.

– Tak, te typki tutaj to zdecydowanie osobniki aktywne, wyjątkowe łobuzy. Mogę zrozumieć, dlaczego żaba z serii książeczek Beatrix Potter została przedstawiona w taki sposób przez autorkę, która obserwowała wylęgające się zielone żabki.

Zola z zachwytem kiwnęła głową.

– Och, mówisz o panu Jeremym Fischerze!

– Tak. – Spencer spojrzał na nią znad aparatu. – Zapomniałem, jak się nazywał.

– Pan Jeremy Fosher to niezwykle żywa postać. Pamiętam, że nosił śliczny, czerwony fraczek i wzorzystą kamizelkę, oraz że lubił mieć mokre stopy, ale nigdy

się nie przeziębiał. Kochałam opowiadania Beatrix Potter i jej bohaterów.

Spencer roześmiał się i pstryknął jeszcze kilka zdjęć.

– Masz imponującą pamięć. A jak się nazywała niecna ropucha z książeczki *O czym szumią wierzby?* Pamiętasz jej imię?

– Oczywiście. Ropuch z Ropuszego Dworu. – Zola położyła się na plecach w pewnym oddaleniu od błotnistej brzozy stawu i wystawiła twarz do słońca. Zamknęła oczy i rozkoszowała się przypiekającymi promieniami i symfonią głosów młodych żabek.

Wyczuła, że Spencer przyklęknął obok niej na jedno kolano.

– Spójrz na to. – Przysunął do niej aparat cyfrowy, żeby mogła obejrzeć ujęcie żaby w trakcie skoku.

Zola parsknęła śmiechem.

– Zabawnie wygląda, prawda? Jak postać z bajki.

Nie doczekała się odpowiedzi, więc podniosła oczy na Spencera. Patrzył na nią z pożądaniem.

– Rozweselasz mnie, Zolo Devon. Rozjaśniasz mi świat jak słońce.

Otworzyła usta, żeby mu odpowiedzieć, ale natychmiast zamknęła je swoimi wargami. To był gorący pocałunek. Namiętny. Umyślny. Jak mogła mu się oprzeć?

Zola rozchyliła wargi, oddając mu się i objęła Spencera ramionami. Pochylił się, przylgnął do niej niemal całym ciałem i wsunął palce w jej włosy. Słyszała, jak gwałtownie wciągnął powietrze, czuła, jak mocno bije mu serce.

Spencer uniósł się i popatrzył na nią z góry. Przesunął palcem po jej policzku i wargach.

– Jesteś niezwykłą i piękną kobietą, Zolo Devon.

Cień zasnuł jej myśli.

– Tamtego dnia zdecydowanie tak nie uważałeś. Chciałeś się mnie pozbyć. Byłeś na mnie zły.

Na moment odwrócił spojrzenie.

Zola dotknęła jego twarzy.

– Jestem kompletnie zdezorientowana twoją zmiennością. Czasami podejrzewam, że nie wyzwoliłeś się jeszcze z przeszłości i to nie pozwala ci cieszyć się teraźniejszością.

– Tak właśnie jest, Zolo. – Uśmiechnął się do niej. – To są właśnie te moje mroczne chwile.

Położyła dłonie na jego torsie.

– Ale ta chwila nie jest mroczna?

– Nie. Ani trochę. – Pochylił się i pocałował ją znowu.

Zatonęli w tym pocałunku i w swoich objęciach, aż głośnie krowie muczenie sprawiło, że czar prysł. Oboje parsknęli śmiechem. Bydło z farmy przyszło nad staw, żeby się napić i jedna wielka, brązowa krowa mleczna stanęła nad nimi,

przyglądając się im z zainteresowaniem.

Spencer i Zola odzyskali rozsądek i wstali z ziemi. Spencer podniósł swój aparat i kamizelkę, którą zdążył zdjąć.

– Chodź. – Zola ruszyła przez pole. – Ścigajmy się do obory. Napijemy się z węża ogrodowego, zrobisz parę zdjęć owcom.

Reszta popołudnia przypominała kiczowatą pocztówkę, na której zostały utrwalone szczęśliwe wspomnienia. Zola prawie zapomniała o tamtym ponurym Spencerze z początku tygodnia. Śmiali się, odkrywając razem uroki farmy.

Spencer fotografował jagnięta i kozy należące do dzieci. Zrobił kilka zdjęć Papie Vernowi pracującemu przy ulach, starym oborom rozrzuconym po całym terenie farmy i młodym roślinkom wyrastającym spomiędzy zeszłorocznych liści. Zola uwielbiała obserwować go przy pracy.

Kiedy popołudnie dobiegało końca, Spencer odprowadził ją do domu.

– Zeke tęsknił się za tobą – powiedziała Zola, żeby ukryć pragnienie dotknięcia Spencera. Ciągnęło ją do tego mężczyzny o głębokiej duszy artysty.

– Prawdę mówiąc, Zeke tęskni za tobą, Zolo. Może weszłabyś na górę, żeby się z nim zobaczyć?

Zola ucieszyła się, że miała powód, aby odmówić. Tego dnia żar między nią a Spencerem był nieco zbyt intensywny.

– Nie mogę. Muszę dzisiaj popracować za Mayę aż do zamknięcia sklepu. Wybiera się z córkami, Carole i Clarissą, do Knoxville, żeby obejrzeć disnejowską rewię na lodzie.

– Brzmi fajnie. – Spencer nie odrywał od niej wzroku.

– Tak. To prawda. – Wsunęła ręce do kieszeni, żeby go nie dotknąć. – Muszę już iść, żeby zdążyć się przebrać i zjeść coś przed wyjściem do sklepu.

– Okay. – Podszedł nieco bliżej i przesunął dłonią po jej policzku. – Miło spędziłem ten dzień, Zolo.

– Ja też – odparła, mocno wciskając ręce w głąb kieszeni.

Uśmiechnął się i pocałował ją w nos.

– Przyjadę po ciebie jutro przed szóstą i razem pojedziemy do Rachel Lee. Obowiązują stroje wieczorowe?

– Nie. Wystarczy codzienne ubranie.

Odwrócił się i ruszył pod górę.

Zola weszła po schodkach na ganek, ale tam stanęła i nadstawiła uszu.

Usłyszała pogwizdywanie Spencera z oddali. Uśmiechnęła się, kiedy rozpoznała melodię. Gwizdał piosenkę z disnejowskiego filmu „Zip-a-Dee- Doo-Dah”.

Zola potrząsnęła głową. Tak – och, tak! – to był naprawdę cudowny dzień.

Rozdział dziesiąty

Jadąc po Zolę, następnego wieczora Spencer przypomniał sobie słowa Astona. Cieszył się, że Aston namówił go do pogodzenia się z Zolą, a jeszcze bardziej – że mu wybaczyła. Zgodnie z radą Astona w tym celu zwłóknął się poprzedniego dnia z góry.

Dzień okazał się znacznie przyjemniejszy, niż mógł oczekiwać. Zola była naprawdę wyjątkową kobietą, choć trochę dziwną. Podobnie jak Aston, należała do osób ciepłych i otwartych. Jej towarzystwo dawało mu radość. Przy każdym spotkaniu wydarzało się coś, co wprawiało go w euforię.

Zola sprawiała, że czuł się młody i beztroski, jeśli tylko sam na to pozwalał. Dawała mu szczęście. Jej wrodzona spontaniczność i wspaniałomyślność sprawiały, że jako mężczyzna wręcz rozkwitał. Nie mógł przestać myśleć o zasypywaniu Zoli pocałunkami na zalanej słońcem łące. Nie zasługiwał na uczucia Zoli, a jednak ich pragnął.

Czekała na niego na ganku, w starym bujanym fotelu.

– Spóźniłem się? – zapytał, otwierając drzwi samochodu.

– Nie. Siedzę tu i napawam się pięknym wieczorem.

Duży biały kot umościł się na kolanach Zoli i spał, zwinięty w kłębek. Otworzył zaspane oczy i spojrzał na Spencera, który wchodził po schodkach na ganek.

Spencer oparł jedną nogę na stopniu i przyjrzał się kotu.

– On ma jedno oko niebieskie, a drugie złociste.

– To jest ona, nie on, i ma na imię Posey. – Zola pogłaskała kotkę. – Poprzedni właściciel chciał ją utopić właśnie dlatego, że była inna. Bo miała oczy nie do pary. Świat nie zawsze jest łaskawy dla nonkonformistów i odmieńców.

Spencer zachmurzył się, zastanawiając się, czy nie mówiła przypadkiem o nim.

– Miałam na myśli Posey. – Zola przesadziła kotkę na sąsiedni fotel i wstała.

– Ja również jestem inna. Czy utopisz mnie za to, Spencerze?

Zastanowił się, skąd mogła jej przyjść do głowy taka myśl, i poczuł się niezręcznie.

Poklepała go po policzku.

– To się dopiero okaże, prawda? – Zola zdjęła z oparcia fotela pasek torebki i zawiesiła ją sobie na ramieniu. Torebka była oryginalna: ze złotego materiału, zdobiona kolorowymi cekinami i haftami. Zola zaś miała na sobie długą, ciemnoczerwoną spódnicę i wpuszczoną w nią wiejską bluzkę ze szczypankami i gustownymi stebnówkami. Tego wieczora naprawdę wyglądała jak Cyganka. Rozsiewała zapach jabłek i kwiatów jabłoni.

W drodze do domu Rachel Lee i Davida Howardów rozmawiali o zwykłych, codziennych sprawach. Spencer wyciągał szyję, mijając stary, ceglany kościółek przy skrócie z Jonas Creek Road. Świątynia miała bardzo interesującą architekturę.

– Jak Rachel Lee poznała profesora z Maryville College? – zapytał.

– Pracowała w collegu, jeszcze jako studentka. – Zola wystawiła rękę przez okno, żeby poczuć na skórze pęd powietrza, tak jak robią dzieci. – Kiedy David przeniósł się do Maryville, żeby wykładać historię, natychmiast zwrócił na nią uwagę. Przynajmniej tak twierdzi. Gdyby Rachel Lee tylko pracowała na uczelni, miałby pełne prawo się z nią spotykać, ale ponieważ jeszcze studiowała, musiał się wycofać.

– Zakaz kontaktów profesor – student?

– Tak. – Zola kiwnęła głową z uśmiechem. – Ale tydzień przed rozdaniem dyplomów David umówił się z nią na randkę w następny weekend. – Zachichotała. – Reszty możesz się chyba domyślić. Są ze sobą szczęśliwi. Sam zobaczysz.

Spencerowi wystarczyło parę chwil w towarzystwie Davida i Rachel Lee Howardów, by zrozumieć, co Zola miała na myśli. Panowała między nimi naturalna harmonia. David był wyraźnie starszy od Rachel Lee, miał na oko trzydzieści pięć lat. Był intelektualistą oraz typowym akademikiem, na jego biurku i w gabinecie piętrzyły się książki i papiery, a rozmowę ubarwiał często anegdotami ze swej pracy dydaktycznej oraz z pasjonującej go historii. Rachel pasowała jednak do niego pod wieloma względami i uzupełniając jego osobowość naturalnym, domowym ciepłem typowym dla tradycyjnego, wiejskiego Południa.

Spencer był poruszony, obserwując uczucie łączące Davida z żoną i maleńką córeczką. Dziecko najwyraźniej go ubóstwiała, a David bawił się z nim z przyjemnością. Podrzucał śmiejącą się wniebogłosy małą do góry albo huśtał ją na kolanie w rytm dziecięcej rymowanki.

Ava pamiętała Spencera.

– Duży pan – stwierdziła, kiedy wszedł.

Spencer nie był w stanie jej nakłonić, by wypowiedziała jego imię. Nie umiała go wymówić, ale zanim wieczór dobiegł końca, zaczęła nazywać go „Pence”.

Howardowie mieszkali w nowym domu wybudowanym w stylu starych, wiejskich siedzib. Wewnątrz był ciepły i przestronny, bez wyraźnego podziału na kuchnię, jadalnię i salon, co sprawiało miłe wrażenie, tworząc nastrój gościnności.

Zola miała rację, że Rachel Lee była obdarzona zdolnościami kulinarnymi. Wszystko smakowało wyśmienicie, w dodatku zaś w jej wykonaniu wydawało się łatwe do przyrządzenia.

Po obiedzie David pokazywał Spencerowi stare zdjęcia rozmaitych obiektów w okolicy, a Rachel Lee i Zola posprzątały po posiłku i położyły Avę spać.

– W górach Smokies są wspaniałe miejsca do sfotografowania, o których

ludzie nie wiedzą. – David przerzucił kilka stron albumu. – To stary kościół i dom w dolinie Cataloochee położonej w części gór należącej do Karoliny Północnej, za autostradą międzystanową, jeśli się jedzie w stronę Asheville. Zarówno kościół jak i dom stoją przy trakcie Little Cataloochee, którego używali dawni osadnicy. Lubię też wąwóz Cades, jeszcze nie odkryty przez turystów, więc nie zatłoczony. Robiłeś tam zdjęcia?

– Nie – odparł Spencer, oglądając fotografie z zainteresowaniem.

– To oczywiście nie jest obecny wygląd tych miejsc. Te zdjęcia zrobiono dawno, ale park narodowy zadbał o zachowanie tego kościoła i domu oraz kilkunastu innych obiektów historycznych w nienaruszonym stanie. – Postukał palcem w starą fotografię budynku szkoły. – Spędziliśmy z Rachel Lee cały dzień, odkrywając te tereny, zanim Ava przyszła na świat. Powinieneś się tam wybrać. To mniej uczęszczany rejon niż inne partie gór Smokies. Zrobiłbyś tam pewnie sporo ciekawych ujęć.

Spencer cieszył się, że od początku złapał dobry kontakt z Davidem. Polubił go, podobnie jak polubił Rachel Lee emanującą entuzjazmem i naturalnym ciepłem.

– Chcę sfotografować kościół, w którym ojciec Rachel Lee jest pastorem. – Spencer rozparł się na sofie i położył ramię na oparciu. Trochę za dużo zjadł i czuł się nieco zbyt pełny. – Zola powiedziała, że mogę przyjść któreś niedzieli. Mówiła, o ile pamiętam, że Rachel Lee gra na pianinie podczas mszy. Chodzisz do tego kościoła?

David uśmiechnął się.

– Tak. To kościół pełen prawdziwego ducha. Zupełnie inny od episkopalnego, do którego przedtem chodziłem.

Spencer wyczuł z tonu Davida, że za tym ostatnim twierdzeniem kryje się jakaś historia.

– To stanowiło jakiś problem?

– Wątpię, czy mógłbym ożenić się z Rachel Lee, gdybym nie zrewidował trochę mojej postawy religijnej. Cała rodzina Rachel Lee uczęszcza do Jonas Creek Missionary Alliance Church. – Wyszczrzył zęby w uśmiechu. – Byłem już wystarczająco podejrzany jako profesor uniwersytetu i przyjezdny z Północy.

Spencer roześmiał się.

– I jak się za to zrehabilitowałeś?

– Cóż, chyba najcelniejsze było ostrzeżenie pastora Uptona. – Podrapał się po podbródku. – Ostrzegł mnie, że jeśli będę zbyt długo prowokował Boga, spacerując po śliskim brzegu potoku, mogę spaść do wody. Albo zepchnie mnie Duch Święty.

Usta Spencera rozciągnęły się w szerokim uśmiechu.

– Wiem, o czym mówisz. Przez większą część studiów chodziłem z moim

przyjacielem Astonem Parkerem do kościoła AME Zion pod Savannah. Zdążyłem przywyknąć do takich przypowieści jak ta o chodzeniu po bardzo śliskim brzegu strumienia.

– To może ci pomóc z Zolą. – David zamknął albumy, które pokazywał Spencerowi i wygodnie rozparł się w fotelu.

Spencer czekał.

– Zola jest absolutnie wyjątkowa. Unikalna. Maszeruje nie w takt. – David spojrzał na Spencera. – Ale ty też. Powinieneś więc to rozumieć.

– Tak sądzisz? – Spencer wzruszył ramionami. – Ja się niczym nie wyróżniam. Jestem zwyczajnym facetem.

David roześmiał się.

– Zapominasz, że byłem w twojej galerii, Spencerze. Fotografie zdradzają, w jaki sposób patrzysz na życie. Ostatnie, co mógłbym o tobie powiedzieć, Spencerze, to to że jesteś zwyczajnym facetem.

Spencer poczuł nagłe rozdrażnienie.

David nie spuszczał z niego oka, więc musiał dostrzec zmianę w jego twarzy. Uśmiechnął się do Spencera.

– Jako dziecko byłem mołem książkowym. Noszę okulary od dziesiątego roku życia. Byłem do niczego w piłce nożnej i koszykówce. Co sobotę jeździłem trzy mile na rowerze, żeby wypożyczyć książki z biblioteki. Byłem zafascynowany historią, dawnymi miejscami, starymi opowieściami. A teraz jestem profesorem historii. Jestem sobą.

Spencer poruszył się niespokojnie.

David oparł się wygodnie w fotelu i ciągnął:

– Nie byłem zwyczajnym dzieciakiem i nie jestem zwyczajnym facetem. Już dawno przestałem pragnąć być zwyczajnym facetem. A z czasem przekonałem się, że większość tak zwanych zwyczajnych facetów w głębi duszy chciałaby być taka jak ja czy ty, Spencerze. Albo jak Zola. Ale, oczywiście, nigdy się do tego nie przyznają.

Spencer nie był pewien, czy podobają mu się słowa Davida.

– A może ja wolałbym być takim zupełnie zwyczajnym facetem?

David uśmiechnął się.

– Dajże spokój. Nie okłamuj się. Zajrzyj w annały historii. Kogo podziwiasz? Kto przychodzi ci na myśl? Wyjątkowi faceci, inni od wszystkich, którzy dokonali niezwykłych rzeczy, czy ci przeciętniacy? Tak naprawdę marzysz o tym, żeby wyróżniać się z tłumu. Miej odwagę się do tego przyznać.

Spencer zastanowił się nad jego słowami.

– Mam poczucie, że uraczyłeś mnie wykładem, który często wygłaszasz.

– Możliwe. – David założył nogę na nogę. – Często pracuję ze studentami, którzy uczą się dopiero cenić własną wyjątkowość, którzy, zaczynają

przewycięzać pragnienie dostosowania się do powszechnych norm i zaczynają rozwijać własną osobowość.

Spencer poczuł przypływ irytacji.

– Uważasz, że ja jeszcze się z tym nie uporałem? Z tym pragnieniem dostosowania się do powszechnych norm?

– A jak ty uważasz? – David pytająco uniósł brew.

Spencer rzucił w niego poduszką z sofy.

– Uważam, że bardzo przypominasz mojego przyjaciela, Astona Parkera.

David ze śmiechem uchylił się przed poduszką.

– Spotkałem kiedyś Astona w galerii. Miły gość. Chciałbym go lepiej poznać.

Spencer zastanowił się nad tym.

– Może wydam w najbliższym czasie przyjęcie w Raven's Den. W rewanżu za dzisiejszy obiad. Zaproszę też Astona z Carole, to dziewczyna, z którą się teraz spotyka. A także Rachel Lee, ciebie i Zolę. Może jeszcze Clarka Venable'a, drugiego faceta, z którym pracuję.

Kiedy Spencer wypowiadał te słowa, do pokoju wróciły Rachel Lee i Zola.

– Zapowiada się zabawa! – zawołała Rachel Lee. Usiadły z Zolą w bawialnej części pomieszczenia. – A z kim spotyka się Clark?

– Z nikim szczególnym. – Spencer podniósł poduszkę, którą rzucił w Davida i odłożył ją z powrotem na sofę.

– To może znajdziemy mu kogoś. – Rachel Lee przytknęła palec do brody i zamyśliła się. – Zastanówmy się.

Spencer uniósł brew i z przekornym uśmiechem spojrzął na Zolę.

– Może Zola będzie miała jakiś pomysł. To ona w pewnym sensie skojarzyła ze sobą Astona i Carole.

– Nie mogę nikogo znaleźć tak na poczekaniu. – Zola posłała mu wymuszony uśmiech, wiedziała, że ją prowokował.

– Znam tego Clarka – podjęła Rachel Lee. – To typ maniaka komputerowego. Ze szmerem na punkcie natury. W przeciwieństwie do Astona nie przychodzi do pracy w galerii elegancko ubrany. Przez całe życie biega w dżinsach. Hmm. – Podniosła palec do góry. – Już wiem! Skojarzymy go ze Stacy.

Zaskoczona Zola wyprostowała się w fotelu.

– Z moją kuzynką Stacy?

Rachel Lee skrzyżowała ramiona.

– A ile znamy kobiet imieniem Stacy, Zolo?

– No, nie wiem. Stacy rzadko się z kimś spotyka i nie wiem, czy przyjdzie.

– Będzie doskonała. Jeśli nie zdołasz jej namówić, żeby przyszła, ja to zrobię. Jest mi coś winna.

– Co? – zainteresowała się Zola.

Rachel Lee machnęła ręką.

– Nieważne. Coś. – Z ciepłym uśmiechem zwróciła się do Spencera. – To kiedy mamy przyjść, Spencerze? Umieram z ciekawości, żeby zobaczyć, co zrobiliście z Raven's Den.

Zanim wyszli, termin składkowego przyjęcia w domu Spencera na Raven's Den został ustalony na piątek. Rachel Lee zaplanowała wszystko błyskawicznie, zanim Spencer zdążył się zorientować, co się dzieje.

– Dobra jest – stwierdziła Zola ze złośliwym uśmieszkiem, kiedy wsiedli do samochodu.

– Kto?

– Rachel Lee. Jest dobra. Z łatwością potrafi namówić każdego na wszystko.

– Miała na ciebie zły wpływ w dzieciństwie? – zapytał Spencer z uśmiechem.

– Nie. Miała na mnie dobry wpływ. Rachel Lee należała zawsze do ludzi miłych z natury. I wszystko, do czego nakłania innych, zwykle wychodzi im na dobre.

– Na przykład zmuszenie cię do jedzenia szpinaku?

Zola parsknęła śmiechem.

– Widziałeś, jak dzisiaj namówiła Avę do zjedzenia groszku, śpiewając jej piosenkę o groszku?

– Prawda. – Spencer roześmiał się w odpowiedzi. – To dobrzy ludzie, Rachel Lee i David. Doskonale się bawiłem.

– Cieszę się. – Zola odchyliła głowę do tyłu i zamknęła oczy.

Otoczyła ich wieczorna cisza.

– Posłuchaj – odezwała się cicho. – To pohukiwanie sowy.

Spencer usłyszał je także. Chociaż przedtem, zanim Zola zwróciła jego uwagę, puszczał je mimo uszu. Teraz jednak cieszył się, nasłuchując wołania sowy w ciemności.

– Jak sądzisz, jaki to gatunek? – zapytał.

– To prawdopodobnie płomykówka. – Zola nadstawiła uszu. – Można poznać po rodzaju wydawanych przez nią dźwięków, zupełnie innych od sowy hukającej.

Zastanawiał się nad tym, kiedy zapalił silnik i tyłem wycofał samochód z podwórka.

– Sowa płomykówka ma białe oblicze w kształcie serca, prawda?

– Tak. – Uśmiechnęła się. – Za moim domem, w pobliżu starej obory jest gniazdo płomykówek. Może słyszymy akurat jedną z nich. Krąży tu i poluje na polne myszy.

– Wiesz, gdzie jest to gniazdo? – zapytał Spencer z zainteresowaniem. –

Myślisz, że udałoby mi się pstryknąć im kilka ujęć?

– Może. – Roześmiała się. – Niełatwo zrobić zdjęcie sowom, Spencerze. Szczególnie płomykówkom. Trudno je dostrzec. Wtapiają się w otoczenie, wyglądają jak kora drzewa. Ale możesz przyjść i spróbować. Pokażę ci, gdzie widziałam ich gniazdo.

Kiedy podjechali pod dom Zoli, nie zaprosiła go do środka. Stała na schodach i odwróciła się, żeby powiedzieć mu dobranoc.

– Dziękuję za podwiezienie do Davida i Rachel Lee.

– To była randka, Zolo. Miałem obowiązek po ciebie przyjechać.

Przechyliła głowę na bok i popatrzyła na niego pytająco.

– To naprawdę była randka? Wydawało mi się, że to nie ty, a Rachel nas do siebie zaprosiła. Ty mnie nigdzie nie zapraszałeś.

Spencer pochylił się ku niej i poczuł, że włoski na jego ramionach zaczęły kłuć, kiedy znalazł się blisko niej.

– A chciałabyś, żebym cię gdzieś zaprosił, Zolakieran Sidello Eley Devon?

Zola szeroko otworzyła oczy ze zdumienia.

– Zapamiętałeś pełne brzmienie mojego nazwiska.

– Pamiętam dużo rzeczy związanych z tobą. – Przesunął dłońmi wzdłuż jej ramion i poczuł, jak zadrżała pod wpływem jego dotyku.

Przełknęła ślinę i starała się zdobyć na swobodny ton.

– A jakie jest twoje pełne nazwisko, Spencerze?

– Spencer Gordon Jackson. Mógłbym wyryć nasze inicjały na drzewie, ale to byłoby sporo rzeźbienia.

– I krzywda dla drzewa – dokończyła.

Uśmiechnął się i przysunął się jeszcze bliżej.

– Umówmy się na randkę jutro wieczorem, Zolo Devon. Na randkę, na którą ja cię zapraszam. Sobotni wieczór to doskonała pora na randkę.

Zola głośno zaczerpnęła powietrza.

– To dobra pora na randkę. Ale jutro pracuję do szóstej.

– W takim razie przyjadę po ciebie o szóstej i zjemy coś w Gatlinburgu. Co ty na to?

– Dobrze. – Odsunęła się odrobinę. – Mogłabym jutro pojechać do pracy z Faith; dzięki temu nie będę musiała odstawić samochodu do domu. Faith pracuje u mnie i mieszka w pobliżu. Nie wiem, czy wiesz, to siostra Rachel Lee.

– Nie wiedziałem.

Zola zaczynała paplać – stawała się przy nim nerwowa. Uznał, że to dobrze. Aż nazbyt często brała nad nim górę.

Wziął jej twarz w dłonie i przysunął się.

– Chyba powinnam już wejść do domu – wyszeptwała.

W odpowiedzi musnął wargami jej usta, wsunął dłonie w gęstwinę jej

czarnych, kręconych włosów i wyszeptał jej imię.

Spojrzał na nią. Zamknęła oczy, żeby móc bez reszty oddać się przyjemności.

Z nią zawsze tak było. Magicznie. Pamiętnie. Zawsze potrafiła zrobić coś takiego, żeby nigdy nie mógł zapomnieć chwil spędzonych z nią.

Nie otwierając oczu, zacisnęła palce na jego koszuli. A potem przesunęła dłonie w górę, po jego szyi, do ust i twarzy.

– Chcę poznać twój dotyk, nie patrząc na ciebie. – Jej głos przeszedł w cichy szept.

Spencer również zamknął oczy i rozkoszował się tą chwilą wraz z nią, dotykał jej, błędził palcami po jej twarzy. Wzajemna bliskość uderzyła im do głowy i wkrótce oddech obojga stał się szybszy, zaczął się rwać.

Spencer niecierpliwie przyciągnął Zolę do siebie i pocałował gorąco, zapamiętając. W głowie kręciło mu się z podniecenia. Powoli opuścił dłonie na jej biodra.

Zola odsunęła się i nakryła rękami jego dłonie. Podniosła na niego bardzo poważne oczy.

– Nie posunę się dalej, Spencerze. Chcę, żebyś wiedział o tym już teraz. Nie mogę tego zrobić, gdy chodzę w obecności Pana. Dary boże nie spływają tam, gdzie jest grzech. Za bardzo szanuję to, co zostało mi ofiarowane, aby okazać brak szacunku Temu, kto przekazał mi Swój dar.

– Próbujesz mi powiedzieć, że nie sypiasz z każdym na prawo i lewo. – Spencer starał się uspokoić bicie swego serca.

Westchnęła.

– Wiele moich randek kończyło się bardzo szybko z tego właśnie powodu.

Przyjrzał się jej twarzy, oczom, w których nadal błyszczała namiętność, wargom, jeszcze miękkim i wilgotnym od pocałunków. Wypowiedziane przez nią słowa nie oznaczały, że go nie pragnęła.

Spuściła wzrok, ale po chwili znowu podniosła oczy na Spencera.

– Nie musisz przyjeżdżać po mnie jutro, jeśli nie masz ochoty.

Widział w jej oczach zmartwienie, cień żalu i rozczarowania. Znał te uczucia.

Pocałował jej palce, nadal obejmujące jego dłonie.

– Chcę iść z tobą na randkę, Zolo. Przyjadę po ciebie o szóstej. – Pochylił się i cmoknął ją w nos. Nie ufał sobie na tyle, by znowu zatonać w jej ustach.

– Ok. – Odsunęła się i zaczęła wchodzić po schodkach na ganek, grzebiąc w torebce w poszukiwaniu kluczy do drzwi wejściowych.

Spencer złożył palce w ramkę i w wyobraźni pstryknął jej zdjęcie w momencie, gdy odwróciła się, żeby powiedzieć mu dobranoc. Światło padające przez otwarte drzwi otoczyło ją ciepłym blaskiem, który podkreślił jej niebanalną

urodę.

– Dobranoc – odezwała się cicho, wchodząc w drzwi.

– Dobranoc, piękna Zolo – odpowiedział.

Odwróciła się.

Spencer uśmiechnął się, przepelniony niespodziewaną czułością.

– Powiedziałaś wcześniej, że jesteś inna, Zolo. Ja również jestem inny. Nie utopisz mnie z tego powodu, prawda?

– Nie – zapewniła z uśmiechem. – Będę cię za to cenić. Myślę, że zgodnie z bożym zamysłem, mamy się od siebie różnić.

Pomachała mu ręką i zamknęła drzwi.

Wracając do samochodu, Spencer zastanawiał się z troską nad tym, czy przypadkiem nie mógł zatonać w Zoli Devon w innym tego słowa znaczeniu. Zastanawiał się również, jak mogła go przez to zmienić.

Rozdział jedenasty

Następnego dnia Zola siedziała za ladą Kącika Natury i prze glądała stertę zamówień, podczas gdy Faith Upton Rayburn zajmowała się dwoma klientami. Zola uśmiechnęła się do siebie, słuchając jej przy pracy. Faith miała typową dla mieszkańców Apalachów umiejętność szybkiego zaprzyjaźniania się z nieznajomymi.

– O, rany, to niesamowite, prawda? – Faith skłoniła głowę przed starszą kobietą, z którą rozmawiała. – Jeśli pani mąż nazywa się Bales, to prawdopodobnie jesteśmy w jakimś stopniu spokrewnieni.

Błysnęła w stronę kobiety swoim słonecznym uśmiechem.

– Moja matka jest z domu Bales! Jej rodzina wywodzi się od Ephraima i Minervy Balesów. Ich stara chata nadal stoi przy Roaring Fork Nature Trail. Czy była już tam pani z panem Balesem?

Starszy dżentelmen nadstawił uszu. Chciał dowiedzieć się, jak trafić na Tanure Trail pod Gatlinburgiem.

Faith wyjaśniła parze turystów, jak dotrzeć do chaty Ephraima Balesa.

– Przy tej samej drodze stoi również chata Jima Balesa. Możecie kupić u nas krótki przewodnik po trasach samochodowych, w którym znajdziecie wszelkie informacje. Kto wie? Może to wasi prapradziadkowie?

Wywiązała się pogawędka o przodkach.

Faith podeszła do sterty ręcznie wykonanych kołder, które leżały na półce obok jedwabnych *pareo*.

– A wiedzą państwo, że dwie z tych kołder wyszły spod ręki Minnie Bales Jenkins? Minnie mieszka w tym rejonie. I prawdopodobnie również jest z wami spokrewniona. Powinniście obejrzeć jej dzieła. Możliwe, że to wasza kuzynka ze strony Balesów.

Małżonkowie z Ohio wydawali nad kołdrami okrzyki zachwyty; skończyło się na tym, że kupili dwie dla swoich zameężnych córek z Cleveland.

– Jestem pewna, że nasze dzieci będą zachwycone kołdrami ręcznej roboty, w dodatku być może wykonanymi przez ich krewną z Appalachów! – zawołała kobieta.

Starsi państwo opuścili sklep, uszczęśliwieni dokonanymi zakupami i gotowi natychmiast wyruszyć na Roaring Fork Nature Trail, żeby obejrzeć dwie chaty Balesów.

– Dobra robota. – Zola uśmiechnęła się do Faith. – Dzisiaj udało nam się dokonać dużej sprzedaży.

– Co? – Faith była zawsze autentycznie zaskoczona, że jej praca przynosiła sklepowi korzyści. Jej nieodparty urok polegał w głównej mierze właśnie na tym,

że wrodzone zainteresowanie ludźmi zawsze brało w niej górę nad żyłką handlową.

Ledwie dzień wcześniej Maya gderwała na temat tej cechy Faith.

– Ta kobieta każdego przegada. I z każdym się zaprzyjaźni.

– Tak, ale sprzedaje więcej niż którakolwiek z nas – odparła Zola ze śmiechem.

To była prawda.

– Nie sądzisz, że to niesamowite? – Faith podeszła i oparła się o ladę obok Zoli. – Wchodzi do sklepu para turystów z Ohio i okazuje się, że mogą być ze mną spokrewnieni.

– Tak, rzeczywiście. – Zola uśmiechnęła się do niej.

Faith nie odpowiedziała jednak uśmiechem, tylko zmarszczyła czoło i zachmurzyła się.

– Wiesz, Zolo, martwi mnie, że Ben Lee ciągle rozpowiada wszystkim naokoło, iż zamierzasz odkryć, kto skrzywdził jego córkę.

Takie zmiany tematu również były typowe dla Faith.

Ostrzegawczo pogroziła Zoli palcem.

– Córka Bena najprawdopodobniej została zamordowana, więc to może okazać się niebezpieczne. Nie podoba mi się, że Ben rozpowszechnia takie pogłoski. – Faith nakryła ręką dłoń Zoli. – A co będzie, jeśli ludzie uwierzą, że potrafisz odkryć mordercę? Zbrodniarz może nadal przebywać gdzieś w pobliżu i zacząć polować na ciebie.

– Wątpię. – Zola włożyła do teczki plik zamówień, zadowolona, że wszystkie były w porządku.

Faith w zamyśleniu przesuwiała palcem po muszlach, stojących w koszyku na ladzie.

– To naprawdę smutne, co się stało z córką Bena. Seng Ryon była małomówną, rzeczową kobietą, ale dobrym człowiekiem. I bardzo ciężko pracowała w restauracji. To musi być dla rodziny straszne, że nie wiedzą nawet, co się z nią stało.

Zola z sympatią słuchała paplaniny Faith. Faith była starszą o dziesięć lat siostrą Rachel Lee i często opiekowała się obiema młodszymi dziewczynkami. Obecnie żyła w szczęśliwym małżeństwie z Daltem Rayburnem, który grał na skrzypcach w zespole Rock Hill Boys, wykonującym tradycyjną, południową odmianę muzyki country and western. Rodzina Dalta mieszkała w Wears Valley i Dalt, podobnie jak jego ojciec, był strażakiem w tamtejszym oddziale Straży Pożarnej. Jego matka była główną kucharką i szefową kuchni w Buckeye Knob Camp.

– Jak się mają twoje dzieciaki, Faith? – zapytała Zola. Od kilku minut w sklepie panował zastój, więc mogły sobie pozwolić na pogawędkę.

– Wielkie nieba! Logan wszedł w okres dojrzewania i nagle wszystkie

spodnie zrobiły się na niego za krótkie. Lila też rośnie jak na drożdżach, zaczyna interesować się ciuchami i chce się malować. – Faith przewróciła oczami. – Ostrzegłam ją, żeby przypadkiem nie pokazała się dziadkowi Uptonowi ze szminką na ustach! Wiesz, co by na to powiedział!

Zola uśmiechnęła się na myśl o surowych zasadach wielebnego Uptona w kwestii makijażu i stroju dziewcząt.

– Pamiętam, że nie pozwalał Rachel Lee na szminkę, dopóki nie skończyła szesnastu lat. Smarowała usta sokiem jagodowym.

Faith parsknęła śmiechem.

– Lila robi to samo. Alicia ją naśladuje. Jest teraz w pierwszej klasie. Pokażę ci jej najnowsze zdjęcie ze szkoły.

Faith zaczęła grzebać w torebce, w poszukiwaniu zdjęć czworga swoich dzieci.

– Taylor, mój trzeci. – Postukała palcem w fotografię. – Odziedziczył po ojcu talent do skrzypiec. Właśnie wygrał konkurs dla młodych skrzypków w swojej grupie wiekowej. Bóg mi świadkiem, że on naprawdę potrafi grać!

– Założę się, że jest z niego dumny.

– Jasne. Ale jest dumny ze wszystkich dzieciaków. Każde z nich ma jakieś zdolności.

Zadzwonił telefon, przerywając im rozmowę.

Faith odebrała.

– Kącik Natury, mówi Faith.

Przez chwilę słuchała bez słowa, po czym powoli odłożyła słuchawkę.

– Dziwaczny telefon, Zolo. Jakiś facet mamrotał coś niewyraźnie o bombie. Czy to nie dziwne? – Popatrzyła na Zolę zmieszana. – Bełkotał, że jesteś odpowiedzialna za jego nieszczęścia i musisz za nie zapłacić.

Zanim Zola zdążyła odpowiedzieć, frontowe drzwi sklepu otworzyły się i ubrany na czarno mężczyzna w narciarskiej masce na twarzy wrzucił coś do środka. Potem zatrzaskał za sobą drzwi i zaczął biec ile sił w nogach przez dziedziniec centrum handlowego Laurel Mountain Village Mall.

Po podłodze sklepu toczył się dymiąc i gwizdząc, przedmiot przypominający puszkę.

– O, mój Boże! – Serce Zoli zaczęło szybciej bić. – Szybko, Faith, do tylnego wyjścia! – Złapała Faith za rękę i pociągnęła ją na zaplecze. Kiedy wybiegły na alejkę na tyłach sklepu, usłyszały odgłos eksplozji. Włączył się sklepowy alarm i w całym centrum handlowym zapanował chaos.

W trzydzieści minut później, kiedy Zola siedziała i cierpliwie wypełniała raport z szefem policji Gatlinburga, Billem Magee, do sklepu wdarł się Spencer.

– Nic ci się nie stało, Zolo? – zapytał, odpychając łokciem policjanta, który próbował własnym ciałem zatarasować drzwi.

– Zostaw, Raymondzie – mruknął Bill Magee, bo jego młody podkomendny zaczął ostro protestować przeciwko obecności Spencera. – Jackson jest właścicielem jednego z pobliskich sklepów. To naturalne, że jest przejęty. I bez wątplenia zna Zolę.

Policjant wypuścił ramię Spencera i pozwolił mu wejść do środka. Spencer podszedł do Zoli, wpatrując się badawczo w jej twarz i z niepokojem przesuwając wzrokiem po jej postaci.

Zolę załapała fala ciepła. Martwił się o nią!

– To była tylko bomba dymna – zapewniła go. – Całkowicie niegroźna, chociaż wyglądała przerażająco i narobiła mnóstwo hałasu.

Bill Magee podniósł wzrok znad papierów.

– Faith i Zola odebrały telefon z pogroźkami, a zaraz potem jakiś mężczyzna wbiegł do sklepu i wrzucił bombę dymną. Kobiety zachowały się rozsądnie i wybiegły tylnym wyjściem. Kiedy bomba wybuchła, włączył się alarm. Teraz szukamy sprawcy.

– Co to były za pogroźki? – Na twarzy Spencera odmalował się gniew. – I kto groził Zoli?

Magee wzruszył ramionami, skoncentrowany na papierach.

– Coś na temat nieszczęścia spowodowanego przez Zolę.

Zanim Spencer zdążył odpowiedzieć, włączył się młody policjant.

– Właśnie odebrałem telefon, szefie. Złapali faceta, który wrzucił bombę. Ujęto go dzięki opisowi samochodu i numerowi rejestracyjnemu podanemu przez turystów.

Zola zwróciła na niego spojrzenie.

– Wiadomo, kto to jest?

Policjant kiwnął głową.

– Tak. Aldo Toomey, miejscowy chłopak, który rozwozi po mieście zamówienia. Wiecie, ten, od Beardsleya. – Podrapał się po głowie. – Nie przypominam sobie, żeby były z nim wcześniej jakiegokolwiek problemy.

W czasie, gdy jego podwładny odpowiadał na pytanie Zoli, komendant zadzwonił na komisariat. Odsunął się jak najdalej w poszukiwaniu odrobiny prywatności podczas połączenia z aresztem.

– Znam Alda. – Zola jeszcze trwała w zdumieniu po słowach policjanta.

– Ja też! – włączyła się Faith. – To taki podobny do żaby dzieciak. Wpada tu czasami i opowiada, śliniąc się z emocji, o swej przyszłej wygranej na loterii albo w Powerball. Zawsze ma głowę pełną nierealnych marzeń. – Przeniosła zdumiona spojrzenie na Zolę. – Aldo nie wygląda mi na zamachowca.

– Nie wygląda – przyznała Zola, próbując przypomnieć sobie wszystko, co wiedziała o Aldzie.

Komendant odłożył słuchawkę.

– Wydaje mi się, że tutaj już skończyliśmy. Potem poproszę was o przyjsście na komisariat. Zobaczmy, czy zidentyfikujecie Toomeya.

Faith podniosła wzrok.

– Całe ubranie miał czarne, do tego maskę narciarską na twarzy, ale wzrost by się zgadzał. – Podrapała się po głowie. – Ale teraz, kiedy tak o tym myślę, nie mogę sobie wyobrazić, kto mógłby go namówić do czegoś podobnego. No, wiecie, Aldo nie należy może do szczególnie błyskotliwych, ale nie jest też tępy czy ograniczony umysłowo.

– Nie jest. – Zola zmarszczyła brwi. W zamyśleniu postukiwała palcami o blat, potem spojrzała na szefa policji z determinacją. – Pojadę z panem na komisariat, komendancie Magee. Chcę usłyszeć, co Aldo ma na ten temat do powiedzenia.

– Nie sadzę, żeby to był dobry pomysł – włączył się Spencer z ponurą miną. – To może być niebezpieczne. On ci groził.

Zola rzuciła mu ostrzegawcze spojrzenie.

– Zrobię to, co uważam za stosowne, Spencerze Jacksonie. Myślę, że przełożymy na kiedy indziej tę zaplanowaną na dziś randkę.

Dochodziła szósta, godzina, na którą umówili się na obiad. To dlatego Spencer znalazł się w pobliżu.

Zwróciła się w stronę Faith.

– Czy dasz radę sama tutaj posprzątać, a potem zamknąć sklep, Faith? Chyba po tym wszystkim musimy zamknąć wcześniej. Na razie jeszcze pełno dymu, ale do rana powinno wywietrzeć. Poza tym ludzie przychodziliby teraz z ciekawości, a nie żeby coś kupić.

Faith kiwnęła głową.

– Pozamiatam i przed wyjściem rozpylę odświeżacz. – Machnęła ręką przed sobą, bo w powietrzu nadal unosiły się szare pyłki sadzy. – Ten dym mógłby drażnić oczy klientów, gdyby sklep został otwarty. Ale do rana na pewno się rozwieje.

Zola sięgnęła pod ladę po swoją torebkę.

– Na pewno nie chcesz, żebym z tobą poszła? – zapytała Faith. – Jestem, podobnie jak Spencer, trochę zaniepokojona twoim pomysłem konfrontacji z Aldem. Chłopak może być nadal zdenerwowany i zachowywać się jak wariat.

Zola potrząsnęła głową.

– Ja z nią pójdę. – Spencer wysunął się do przodu.

Zola zwróciła się ku niemu, gotowa zaprotestować.

Uniósł dłoń.

– Mamy dzisiaj randkę, pamiętasz? – przypomniał. – Kiedy sytuacja się wyjaśni, pójdziemy coś zjeść, zgodnie z planem. – I zanim zdążyła otworzyć usta, dodał z zadowoloną miną. – Poza tym nie masz przecież samochodu. Przyjechałaś

z Faith. Ja odwiozę cię potem do domu.

Zola uświadomiła sobie, że Spencer miał rację. Przyjechała tu z Faith.

– Jeśli na pewno nie masz nic przeciw temu – mruknęła. Za wiele miała na głowie, żeby się teraz sprzeczać.

Bill Magee ruszył do drzwi.

– Do zobaczenia na posterunku. – Odwrócił się i spojrzał na Zolę. – Będiesz mogła porozmawiać z Aldem, tylko jeśli dojdę do wniosku, że to coś da. Że rzuci nowe światło na tę sprawę. Zapamiętaj to sobie, Zolo.

Okazało się, że Zola miała jednak możliwość rozmawiania z Aldo Toomeyem. Opowiedziała o tym Spencerowi podczas obiadu. Zabrał ją do restauracji Howarda w centrum handlowym, która od ponad pięćdziesięciu lat działała w Gatlinburgu i słynęła ze znakomitych steków.

– Mam nadzieję, że lubisz steki – powiedział, parkując samochód.

– Tak. – Zola zdobyła się na uśmiech, choć nadal była zdenerwowana i spięta.

– To dobrze – mruknął z chłopięcym uśmiechem. – Restauracja Howarda to moje ulubione miejsce na randki.

Spojrzała na niego z urazą.

– To znaczy, że nie wybrałeś go z myślą o mnie?

– Nie znam w Burgu żadnej tahitańskiej knajpy. – Uśmiechnął się szeroko.

Zola roześmiała się i część napięcia z niej wyparowała.

– No to postaram się, żeby randka ze mną drogo cię kosztowała – odrzekła. – Na przekąskę zamawiam te ich przepyszne smażone grzyby.

– Umm. – Wziął ją pod rękę, kiedy przechodzili przez ulicę. – Ja też lubię te grzyby. Podzielimy się.

Zola nie wiedziała, czemu po dramatycznych wydarzeniach tego popołudnia Spencer był w tak wyśmienitym humorze, ale dziękowała za to losowi. Miała za sobą niezwykle stresujące popołudnie, bomba wrzucona do sklepu wstrząsnęła i przeraziła Zolę. Owszem, tylko bomba dymna, ale w pierwszej chwili ani ona, ani Faith o tym nie wiedziały.

Siedzieli już w przytulnej łoży, a Spencer zabrał się za jedną z dwóch świeżych sałatek obiadowych, jednej ze specjalności Howarda. Przyćmione światła i cichy szmer toczonych wokół rozmów działały kojąco.

Zola zlizwała z palca żurawinowy sos, rozmyślając o swojej rozmowie z Aldem.

– Jesteś w stanie o tym rozmawiać? – zapytał Spencer, jakby czytał w jej myślach.

Zola wypuściła z płuc powietrze.

– Chyba tak. Słyszałeś, jak Faith mówiła, że Aldo zawsze wpadał w niezwykle podniecenie, kiedy opowiadał o swoich przyszłych wygranych na

loterii albo w Powerball. No więc powiedział mi dzisiaj, że przysniły mu się szczęśliwe numery, a następnego dnia zobaczył te numery ze snu na paczce, którą miał doręczyć.

Potrząsnęła głową.

– Aldo doszedł do wniosku, że jest w posiadaniu numerów, które zdobędą główną wygraną w Powerball. A pula wzrosła do kilku milionów dolarów. Kupa forsy! Wygadał się z tym swoim przekonaniem przed madame Renee, wróżką mieszkającą przy autostradzie do Sevierville. Pewnie dostarczył jej jakąś przesyłkę i przy okazji ucieli sobie pogawędkę.

– To ta sama madame Renee, z którą już dawniej miałaś przeprowady? – zapytał Spencer.

– Tak – odparła Zola. – Madame Renee zajrzała w kryształową kulę i powiedziała chłopcu, że te numery wygrają w Powerball. Określiła to jako serię szczęśliwych znaków.

– I co się stało? – zapytał Spencer, nadziewając na widelec kawałek sałatki.

– Aldo wpadł w jeszcze większe podniecenie i zaczął planować, co zrobi z wygraną. Postanowił rzucić szkołę, rzucić pracę i wziąć udział w wyścigu samochodowym NASCAR. Na początek zamierzał kupić corvette i wystartować w wyścigach lokalnych, a potem przejść dalej. – Potrząsnęła głową, przypominając sobie jego słowa. – Przyszedł do sklepu jakiś tydzień temu i opowiadał mi o tym wszystkim. Wysłuchałam go cierpliwie i powiedziałam, że nie powinien kupować corvetty, ani rzucać szkoły i pracy. Powiedziałam, że rozumiem jego podniecenie spowodowane przypadkową zbieżnością numerów, ale że nie wierzę, by te numery wygrały w Powerball.

Zola westchnęła.

– Widziałam wyraźnie, że nie wygrają.

Spencer pochylił się do przodu i oparł łokcie na stole.

– I z tego powodu cię zaatakował?

– Nie. To nie wszystko. – Zjadła parę kęsów sałatki, zanim podjęła opowieść. – Aldo nie posłuchał mnie. Kupił samochód, rzucił naukę i złożył wymówienie u Beardsleya. Policja twierdzi, że biegał po całym mieście i opowiadał o swym przyszłym bogactwie.

– Rozumiem, że nie wygrał – powiedział Spencer i włożył do ust kawałek smażonego grzyba.

– Nie, nie wygrał i był wściekły. Nie mógł zapłacić za corvette i nie wiedział, czy będzie mógł wrócić do dawnej pracy. – Westchnęła. – W zdenerwowaniu poszedł do madame Renee i wykrzyczał, że powinien być posłuchać mnie, a nie jej. Twierdził, że to przez nią wpadł w tarapaty, bo zapewniała go, że wygra.

Spencer zastanawiał się nad tym przez moment.

– Cóż, to z pewnością nie pomogło takiemu gościowi jak Aldo.
– Nie pomogło. – Upiła łyk białego wina zamówionego przez Spencera.
– Co zrobiła madame Renee?
– To jest właśnie najgorsze. Wmówiła temu dzieciakowi, że przeklęłam jego szczęście i przez to nie wygrał w Powerball.

Spencer uniósł brew.

– Rozumiem, że ta pani należy do ludzi, którzy za nic w świecie nie przyznają się do winy.

– Najwyraźniej. – Zola mięła w palcach serwetkę. – Aldo również się do nich zalicza. Jest zawsze święcie przekonany, że problemy, jakich sobie narobił w życiu, powstały z winy innych. Nigdy z jego własnej. Więc, oczywiście, rozzłościł się na mnie.

Spencer przerwał jej z irytacją.

– I postanowił cię ukarać, grożąc ci i wrzucając bombę dymną do twojego sklepu?

Zola kiwnęła głową.

– Właśnie.

– Powiedział ci to? – Spencer z rozdrażnieniem bębnił palcami o blat stołu.

– Tak. Wydaje mi się, że niemal natychmiast pożałował tego, co zrobił. – Rozłożyła ręce.

Spencer prychnął.

– A jeszcze bardziej pożałował, kiedy został ujęty i zrozumiał, że to odsiedzi.

Rozmowę przerwało im podanie steków i wymiana zdań z kelnerem, który przyniósł im posiłek. Zamówili dwa steki firmowe Howarda z pieczonymi ziemniakami.

Zola położyła kawałeczki świeżego masła na swój ziemniak i popatrzyła przez stół na Spencera.

– Nie wniosłam przeciwko niemu formalnego oskarżenia. Aldo będzie musiał wyjaśnić to i owo policji, ale nie chciałam mu jeszcze dokładać od siebie.

Spencer odkroił kawałek mięsa i odłożył nóż.

– Zrobiło ci się go żal. – Jego usta rozciągnęły się powoli w uśmiechu.

Zola przyjrzała się uważnie jego twarzy.

– Myślałam, że będziesz na mnie zły, iż nie wniosłam oskarżenia.

– Nie. Jak mógłbym być na ciebie zły? Przecież ja też nie wezwałem policji, żeby aresztowała Leenę Evanston, kiedy próbowała mnie okraść. Więc jak mógłbym krytykować ciebie?

– Zapomniałam o tym – mruknęła z uśmiechem.

Wzruszył ramionami i wziął do ust kawałek steku.

– Jedz. – Wskazał na stek. – Jest wspaniały. Słyszałem, że czerwone mięso pomaga przezwyciężyć stres.

Zola zauważyła, że jego wargi leciutko drgnęły.

– Wcale nie słyszałeś o takim działaniu czerwonego mięsa. Nigdy w życiu! – zarzuciła mu i nadziała kawałek mięsa na widelec.

Spencer uśmiechnął się szeroko.

– Może i nie, ale jestem pewien, że to prawda. Nie ulega wątpliwości, że gdzieś są prowadzone badania, które potwierdzą tę tezę.

Roześmiała się.

– Cieszę się, że byłeś przy mnie, Spencerze. I że jednak zabrałeś mnie dzisiaj na obiad.

– Mówisz szczerze? – Uniósł brew i przyglądał się jej badawczo swoimi chmurnymi, orzechowymi oczami.

– Szczerze. Dzięki tobie ten wieczór stał się lepszy.

Potem, kiedy już odwiózł ją do domu i odprowadził po schodkach na ganek, położył rękę na jej ramieniu.

– Jak sądzisz, czy madame Renee to osoba mściwa, która może ci sprawiać dalsze problemy?

Zola zmarszczyła nos w zamyśleniu.

– Nie. Wydaje mi się, że kiedy dowie się o tym, co się wydarzyło, będzie się obawiała, że to się na niej odbije.

Uśmiechnął się.

– Zapewne odczuje złośliwą satysfakcję, że twój lokal został zadymiony bombą.

Zola głośno wypuściła z płuc powietrze.

– Pewnie tak. To kobieta obdarzona silną wolą i zadufana w sobie. No i niezwykle ambitna.

– Widzi w tobie konkurentkę.

– Chyba tak – westchnęła Zola.

Spencer podniósł rękę do jej twarzy.

– Przykro mi, że napuściła na ciebie Alda.

– Mnie również.

Spencer pochylił się, żeby ją pocałować, i Zola zeszywniała. Zatrzymał się, zanim ich wargi się spotkały.

– To tylko pocałunek, Zolo. Nie proszę o więcej, niż możesz mi dać.

Uśmiechnęła się do niego w blasku księżyca.

– A gdybym poprosiła, żebyś zabrał mnie znowu na sesję fotograficzną któregoś poranka, to byłoby „więcej niż możesz mi dać”?

– Odpowiedziałbym, żebyś była gotowa jutro o siódmej rano – odpowiedział Spencer, muskając ustami jej usta. – Zaczynam wcześnie.

Objęła go ramionami i pocałowała.

– Naprawdę mnie ze sobą zabierzesz?

– Oczywiście – szepnął ustami wtulonymi w jej szyję. – Przynosisz mi szczęście.

– Mam nadzieję, że przynoszę ci błogosławieństwo – mruknęła, przesuwając palcami po jego ramionach.

– To też – zapewnił cicho i objął ją znowu.

Po chwili odsunął się nieco, by na nią spojrzeć.

– O czym myślisz? – zapytała cichutko.

– Że wyglądasz pięknie w blasku księżycy, i że chciałabym mieć przy sobie aparat, aby uwiecznić ten moment i zapamiętać go na zawsze.

Dotknęła jego twarzy.

– Zapisz go w pamięci. Takiego zdjęcia nigdy nie stracisz.

Pstryknął palcami, naśladując dźwięk migawki aparatu.

– Już. Zrobione. Ta chwila na zawsze przetrwa w pamięci.

Spencer zrobił krok do tyłu, szykując się do odejścia.

– Dziękuję, że byłeś dziś ze mną. Doceniam to.

– Zawdzięczam ci to i owo, Zolakieran. Cieszę się, że mogłem być przy tobie.

Zola otoczyła się ramionami, bo wieczór był chłodny i odprowadzała wzrokiem Spencera. To on sprawił, że ten początkowo okropny wieczór stał się miły.

Stała na ganku, dopóki jego samochód nie skręcił z podjazdu i nie zniknął jej z oczu.

– Myślę, że musimy po prostu poczekać i zobaczyć, co z tego wyniknie, Ojczy – powiedziała cichutko, gdy skończyła modlitwę weszła do domu. – Poczekamy, zobaczymy.

Rozdział dwunasty

Spencer położył się do łóżka, myśląc o Zoli, i wstał rano z takimi samymi myślami. Ta kobieta o władnęła nim. Nie był jeszcze pewien, czy to dobrze, czy źle.

Poczłapał na ganek, żeby wypuścić Zeke'a i sprawdzić światło. Dzień dopiero się budził, ale wydawał się odpowiedni do fotografowania – niebo było czyste, bez śladu deszczowych chmur.

Spencer przeciągnął się i zaczął robić plany na ten dzień. Była połowa kwietnia i zaczynały rozkwitać polne kwiaty. Pojawiły się też motyle i owady. Wracaly wędrownie ptaki, a małe zwierzęta, które przesypiały zimę, albo przeczekiwały ją ukryte w głębokich norach, wychodziły na świat, żeby rozkoszować się wiosną. Spencer postanowił połączyć wybranymi na chybił trafił ścieżkami i przekonać się, na jakie rozkoszne widoki dzisiaj trafi. To był odpowiedni dzień, by zabrać ze sobą Zolę.

Zawołał Zeke'a i wrócił do domu. Owczarek nie odstępował go ani na krok w drodze do kuchni.

– Zola raczej nie miałaby ochoty towarzyszyć mi w niektórych wyprawach fotograficznych, kiedy muszę brnąć przez bagna, albo godzinami siedzieć bez ruchu, obserwując gniazdo kaczek.

Spencer pogłaskał psa po głowie i wsypał mu do miski suchą karmę.

– Zajadaj, brachu, a potem zabiorę cię na krótki spacer, zanim wyjdę.

Spencer podjechał pod dom Zoli na krótko przed siódmą, ale dziewczyna czekała już na niego na ganku. Podniosła leżący na podłodze przy jej fotelu plecak i wzięła ze stołu kartonowe pudło.

Spencer wysiadł, żeby otworzyć jej drzwi samochodu, i spojrzał na nią z lekką kpina.

– Widzę, że nie zabrałaś ciężkich bagaży.

– Właściwie nie – padła przekorna odpowiedź. – Na szlak wezmę tylko plecak. W pudle jest coś do zjedzenia na śniadanie i kilka dodatkowych butelek wody.

– Ja wziąłem kawę. – Pokazał jej termos i dwa kubki, kiedy już wsiadła do SUVa.

– To dobrze, lubię kawę – powiedziała i zapięła pas bezpieczeństwa. – Ale lubię również zjeść coś rano.

– Batoniki? – zapytał. Usiadł za kierownicę, włączył silnik i zapiął pas.

– Lepiej. – Sięgnęła do pudełka i wyjęła gorące bajgle i opakowanie twarożku. Plastikowym nożykiem zaczęła smarować bajgiel kremowym serkiem.

– Jedzenie dla grzecznych dziewczynek – stwierdził Spencer z uśmiechem.

– Nie skreślaj go, dopóki nie spróbujesz – powiedziała, po czym włożyła mu

do ust kawałek pieczywa posmarowanego serkiem.

Ciepły bajgiel miał pszeniczny smak i był nadziewany słodkimi rodzynkami.

– Mmm, całkiem dobre.

– Jadłeś coś zanim po mnie przyjechałeś? – zapytała.

– Nie. – Rozejrzał się w obie strony, zanim zjechał z podjazdu na Jonas Creek Road. – Zwykle zabieram ze sobą batony i jakieś gotowe dania. Jem, kiedy jestem głodny.

– Też miałam taki pomysł, ale uznałam, że skoro nie siedzę za kierownicą, to będzie lepsze. – Obrwała dużą pomarańczę, oderwała jedną soczystą cząstkę i podała mu do ust.

– Czuję się jak pisklak karmiony przez mamę.

– To szeroko otwieraj dziób. – Z uśmiechem włożyła mu do ust drugi kawałek pomarańczy.

Złapał jej rękę i skubnął ustami jej palec.

– To podniecające uczucie, być karmionym przez kobietę.

– Zapewniam cię, że o siódmej rano nie odczuwam podniecenia. – Oswobodziła swoją rękę, żeby przygotować następną kęs bajgla.

Spencer pozwolił sobie na zerknięcie w jej kierunku. Zola miała na sobie dzinsy i obcisły podkoszulek. Dla ochrony przed porannym chłodem zarzuciła na ramiona szarą, robioną na drutach bluzę z kapturem. Ciemne, falujące włosy szesała do tyłu i spięła spinką, ale drobne loczki już zdążyły się wyzwolić z uwięzi i wiły się po jej szyi.

– A wyglądasz seksownie. – Spencer spojrzał jej w oczy i przesunął palcem po jej policzku.

Zaskoczyła go nieufność, jaką dostrzegł w jej spojrzeniu. Najwyraźniej nie tylko on zastanawiał się nad ich związkiem.

Zola przeniosła jego rękę na kierownicę.

– Wydaje się, że jesteś dzisiaj w całkiem dobrym humorze.

Podświadomie czuł, że myślała o chwilach, kiedy zachowywał się jak ponurak. Widziała go przecież również w złej formie.

Jechał w milczeniu, zastanawiając się nad tym. Zola sięgnęła po leżącą na siedzeniu samochodu gazetę i zaczęła przeglądać pierwszą stronę. Od czasu do czasu wkładała mu do ust kawałek bajgla albo pomarańczy.

O tak wczesnej porze udało im się szybko przejechać przez Gatlinburg. Ulice nie były jeszcze zakorkowane, bo turyści przeważnie smacznie spali i miasto dopiero zaczynało się budzić. Jedynymi miejscami, w których o tej porze panował pewien ruch, były restauracje serwujące śniadanie i hotele wymeldowujące gości, którzy wracali do domu.

– O, nie! – Z zamyślenia wyrwał Spencera pełen przejęcia głos Zoli. Wpatrywała się w stronę gazety. – Małe dziecko zaginęło w górach. Rodzice

muszą szaleć z niepokoju. – Spencer nalał kawę do dwóch kubków samochodowych.

– Widziałem już tę informację – stwierdził i wziął od Zoli kolejny kawałek bajgla.

Widział, jak przesuwiała wzrokiem po artykule.

– Piszą, że biwakował w górach z grupą skautów i oddalił się. – Zamilkła i cień niepokoju przesłonił jej twarz. – Na litość boską, Spencerze, ten chłopczyk ma dopiero osiem lat, a spędził całą noc pod gołym niebem. Szukają go od wczorajszego popołudnia.

– Mówili o tym w wieczornym dzienniku telewizyjnym. – Przy Sugerlands Visitor Center Spencer zjechał na pas do skrętu w prawo. – Reporter poinformował, że ośmiu młodszych skautów wybrało się w góry krótkim szlakiem z Clingmans Dome Road do szaleścu na Mount Collins, gdzie mieli zanoćować. Jeden z chłopców oddalił się od grupy, kiedy szukali chrustu wokół terenu obozowiska. Pozostali skauci i ich opiekun zaczęli go szukać dopiero w godzinę po tym, jak zniknął im z oczu, a strażników leśnych wezwali jeszcze później, kiedy nie udało im się go znaleźć.

– Mały głuptasek. Musi być śmiertelnie przerażony. Mam nadzieję, że go dzisiaj znajdą.

Spencer wyjął jej z palców następną cząstkę pomarańczy i zaszeleścił gazetą.

– A nie ma tam żadnych dobrych wiadomości?

Zola uśmiechnęła się do niego.

– Są, oczywiście. Dolly Parton przyjechała do miasta na jakąś imprezę związaną z jej Biblioteką Wyobraźni. – Urwała, żeby wypić łyk kawy. – Czy to nie wspaniałe, że co roku rozdaje dzieciom darmowe książki? Musi być cudowną osobą.

Spencer zmienił bieg i zaczął wjeżdżać pod górę.

Zola wyrzała przez okno.

– A swoją drogą, dokąd jedziemy na te zdjęcia? Dawno już opuściliśmy Gatlinburg.

– Zamierzam dzisiaj fotografować polne kwiaty, może uda mi się znaleźć jakieś wiosenne cuda do mojego albumu. Pomyślałem, że odpowiednim miejscem będzie Little River Trail za Elkmont.

– To mój ulubiony szlak! – Zola zwróciła się ku niemu z promiennym uśmiechem. – W górnej partii, za mostem, jest zachwycające pole floksów, a u stóp szlaku można znaleźć śnieżne orchidee, jeśli się umie szukać.

– Tak słyszałem. – Spencer uśmiechnął się do niej.

Westchnęła.

– Wdrapię się na jeden z wielkich głazów w strumieniu i posiedzę sobie na słońcu, kiedy ty będziesz pstrykał zdjęcia.

– Dobrze. Ale musimy trzymać się razem, Zolo. To ważne. – Zmarszczył brwi.

– Myślisz o tym dziecku, prawda? Gdyby trzymał się z innymi albo pilnował się opiekuna, to z pewnością by nie zaginął.

– Tak. To jedna z pierwszych rzeczy, których należy się nauczyć w skautingu: trzymanie się kumpla.

Zola poklepała go po kolanie.

– No to dzisiaj ja będę twoim kumplem, Spencerze Jacksonie. A warto się mnie trzymać, bo lunch, który ze sobą zabrałam, jest jeszcze lepszy od śniadania.

Z trudem oparł się pokusie, by nakryć dłonią jej rękę i przytrzymać ją na swoim kolanie.

– A co masz na lunch?

– Kanapki z szynką i serem. Ze świeżo upieczoną szynką Nany Etty! Chipsy, pikle, kawałki świeżego ananasa w torebce strunowej i domowej roboty ciasteczka z cukrem.

– Brzmi nieźle.

Kiwnęła głową.

W godzinę później mieli już za sobą co najmniej milę wspinaczki pod górę szlakiem Little River Trail. Spencer sfotografował mnóstwo trójlistów, kwitnących zarówno na żółto, jak i na biało. Odkryli ogień różowy, storczyk *Galearis* i bogactwo rozmaitych fiołków. Spencer zszedł trochę ze szlaku, żeby sfotografować stary, kompletnie przerdzewiały samochód, pozostały z czasów, gdy prowadzono tutaj wycinkę lasów.

– Czytałam, że ten wrak był kiedyś eleganckim cadillakiem należącym do nadzorca drwali – powiedziała Zola, kiedy wrócili na szlak.

– Teraz nie wygląda zbyt elegancko. – Spencer uśmiechnął się i zarzucił sobie statyw na ramię.

Zola szła przed siebie, wymachując radośnie rękami.

– Czy sfotografowałaś dzisiaj coś wyjątkowego, co nadaje się do nowego albumu?

– Możliwe. Ten znaleziony przez ciebie squawroot jest interesujący.

Zola zmarszczyła nos.

– Wiesz, że to pasożyt? Dlatego jest żółty, a nie zielony jak inne rośliny. Kradnie chlorofil drzewom, pod którymi rośnie.

Zatrzymała się, żeby zdjąć kurtkę i zawiązać ją wokół talii.

– Squawroot jest w górach Smokies dość pospolity, Spencerze. A ten album miał być poświęcony ukrytym skarbowi i niespodziewanym odkryciom. Może wpadniemy na coś bardziej wyjątkowego.

Spencer wyciągnął rękę i dał jej znak, żeby zwolniła.

– Chyba już wpadliśmy, Zolo. Bądź uprzejma zejść na lewą stronę ścieżki.

Podążyła wzrokiem za jego spojrzeniem i głośno wciągnęła powietrze.

– To grzechotnik, Spencerze. – Jej głos przypominał zdławiony szept. – Lepiej go nie zaczepiaj. Jest duży.

Wielki wąż leżał zwinięty w kłębek na słonecznej plamie z boku ścieżki. Jego brunatna, nakrapiana skóra zlewała się niemal z podłożem.

– Po prostu wyleguje się na słońcu na poboczu dróżki. – Spencer przyjrzał mu się uważnie. – Nie zamierzam go niepokoić, ani zakłócać mu sjesty, ale jeśli będziemy cicho, to może uda mi się zrobić mu parę zdjęć.

Zola wycofała się do tyłu i wdrapała się na wielki głaz obok traktu.

– Rzadko spotyka się węże na tak uczęszczanych szlakach jak ten. Nie przepadają za ludźmi i starają się trzymać z dala od tras turystycznych.

Spencer nastawił aparat.

– Tak, ale jest wcześnie. Nie spotkaliśmy na szlaku nikogo poza tymi dwoma facetami, którzy schodzili z Jakes Creek, kiedy wysiadaliśmy z samochodu. Wąż pewnie uznał, że zdąży uciąć sobie drzemkę w wiosennym słońcu, zanim turyści wylegną na trakt.

Usłyszał, że Zola wypuściła z płuc powietrze.

– Wolalabym uniknąć tego spotkania, Spencerze, i prześliznąć się obok tego olbrzyma. Dlaczego nie damy mu spokojnie pospać? Nie przepadam za węzami.

– Jeszcze minutkę. – Przykucnął, żeby wybrać odpowiedni kadr. – Ten grzechotnik tak cudownie wtopił się w trakt i skały za nim. Myślę, że to będzie świetne zdjęcie.

Pstryknął kilka fotografii, a wielki wąż nawet nie drgnął. Potem jakby wyczuł błysk lampy w aparacie, uniósł łeb. Rozległo się ciche grzechotanie, kiedy spostrzegł intruzów.

– To ostrzeżenie. Czas zniknąć – powiedział Spencer, wycofując się w stronę Zoli. Podał jej rękę i pomógł zejść ze skały.

Szybko wspinali się ścieżką, trzymając się jak najdalej od węża. Spencer usłyszał, że Zola odetchnęła z ulgą, kiedy znaleźli się poza zasięgiem wzroku gada.

– Mam nadzieję, że nie będzie go tam, kiedy będziemy wracać. – Wzdrygnęła się lekko na tę myśl. – Naprawdę powinniśmy trzymać się jak najdalej od niego.

– Tak, masz rację. Ale zrobiłem parę świetnych ujęć. – Spencer zatrzymał się i cofnął zdjęcia w aparacie cyfrowym, żeby pokazać Zoli fotografie.

– Ojej. – Skrzywiła się. – Nastawiłeś zoom tak, że wygląda, jakbyś stał tuż nad nim, a nie w bezpiecznej odległości.

Spencer uśmiechnął się.

– Zdjęcia wyszły doskonale. Możliwe, że umieszczę któreś z nich w nowym albumie.

– Hmm. – Prychnęła z lekkim niesmakiem. – Ja nie nazwałabym raczej

grzechotnika niespodziewanym skarbem gór Smokies.

Roześmiał się i odpowiedział:

– Wszystko zależy od spojrzenia widza, Zolakieran.

Trochę wyżej znaleźli przy ścieżce kępę fioletowych floksów, którą Zola pamiętała z poprzednich wędrówek tą trasą. Kwiaty rozrosły się bujnie na dobrze nasłonecznionym miejscu po drugiej stronie mostu przerzuconego nad Little River. W gęstych zaroślach nad brzegiem strumienia Zola znalazła również dorodny rozchodnik, którego białe, podobne do gwiazd kwiaty Spencer sfotografował. To było naprawdę przepiękne miejsce.

– Jeśli chcesz, możemy usiąść tutaj na trawie i zjeść lunch – zaproponował Spencer. Przyjrzał się pobliskiemu zbocz. – Powyjmuj wszystko, co potrzeba, a ja wejść jeszcze na górę i zrobię kilka zdjęć tych paproci obrastających zwalony pień drzewa.

Zola kiwnęła głową i uśmiechnęła się, kiedy zaczął się wspinać na zbocze.

Spencer wrócił po chwili i znalazł Zolę siedzącą na pniu drzewa obok mostu. Jedzenie nadal było w plecaku. Milczała i wyglądała na spiętą.

– Co się stało? – zapytał i przykucnął obok niej.

Podniosła na niego wielkie oczy.

– Widzę dziecko.

– Jakie dziecko? – Spencer usiadł przy niej, kompletnie zaskoczony. –

O czym ty mówisz, Zolo?

– Tego zaginionego chłopca. Widzę go.

Zimny dreszcz przebiegł po krzyżu Spencera. Miał nadzieję, że Zola nie ujrzała dziecięcych włosów.

– Nic mu nie jest? – zapytał w końcu.

– Jest ranny. – Zamknęła oczy, wyglądała, jakby ją coś bolało. – Stopa lub kostka u nogi, nie jestem pewna. Czuję, jak bardzo cierpi. Nie może chodzić.

– Gdzie on jest? – Spencer położył rękę na jej ramieniu. – Widzisz to, Zolo? Widzisz, gdzie jest?

– Tylko w przybliżeniu. – Potrząsnęła głową. – Pan mówi, że ty będziesz wiedział, gdzie to jest.

Spencer wstał, nieco rozdrażniony.

– Nie szalej, Zolo. Skąd miałbym wiedzieć? – Zmarszczył brwi. – Jasnowidzenie to twoja branża.

Wzięła go za rękę i również wstała.

– Nie, Spencerze. Prawdę zna jedynie Duch Święty. My jesteśmy zaledwie pośrednikami albo depozytariuszami darów Ducha. A Bóg nie wyróżnia nikogo. Każdy ma w sobie głęboko ukryty dar. Rzecz w tym, że nie wszyscy potrafią wniknąć w siebie.

Spencer skrzywił się.

– Nie sędę, abym mógł być w tej sytuacji pomocny, Zolo.

Zaprowadziła go do dużego głazu przy trakcie.

– Usiądź tu ze mną. Opowiem ci, co widzę, a ty módl się, żeby zobaczyć resztę. Inaczej go nie odnajdziemy.

Westchnął z irytacją.

– Dlaczego nie pójdziemy po prostu do strażników leśnych? Lepiej, żebyś to im opowiedziała, co widzisz. Mam w samochodzie telefon komórkowy. Możemy do nich zadzwonić.

Na ustach Zoli pojawił się lekki, cierpliwy uśmiech.

– Straż leśna i policja liczy się z faktami, Spencerze, a nie ze „spekulacjami”, jak je nazywają. Nie mają zaufania do duchowych rozwiązań w praktycznych sprawach. Zastanów się nad tym, a sam zrozumiesz, że to nie jest dobry pomysł.

Zastanowił się.

– Tak, chyba masz rację. Nawet ja muszę przyznać, że to brzmi idiotycznie.

Potrząsnęła głową.

– Musimy go odnaleźć, Spencerze. Jest niezbyt daleko stąd. Wiem to na pewno. I modli się o pomoc.

Spencer wydał głębokie westchnienie.

– Więc powiedz mi, co wiesz.

– On nie chciał się zgubić. Myślał, że przez to wzgórze dojdzie na skróty do obozowiska. Tylko że nie wszystko poszło zgodnie z planem.

– W górach Smokies nie można schodzić z wyznaczonych szlaków. – Spencer z irytacją kopnął patyk leżący pod głazem, na którym siedzieli. – Jeśli człowiek zejdzie z trasy, zawsze wpakuje się w tarapaty.

Zola położyła rękę na jego nodze.

– On nie chciał zabłądzić, Spencerze. I teraz bardzo żałuje, że próbował iść na skróty.

– Mówiłaś, że jest ranny.

Kiwnęła głową.

– Długo wędrował, próbując znaleźć drogę powrotną. Ale zamiast tego zagłębiał się coraz bardziej w las. – Znowu zamknęła oczy. – Wydaje mi się, że w pewnym momencie trafił na strumień i uznał, że dobrze będzie iść wzdłuż niego.

– Tego uczą skautów – wtrącił Spencer. – Jeśli pójdziesz z biegiem strumienia, z reguły dokąds cię doprowadzi i unikniesz kręcenia się w kółko. A na dodatek będziesz miał pod dostatkiem wody.

Zola wsunęła rękę w jego dłoń i kontynuowała.

– O zmroku odnalazł szlak. Był bardzo podekscytowany. Liczył, że tą drogą dotrze do swojego obozu. Ale szybko zorientował się jednak, że znalazł się w zupełnie innym miejscu. – Zrobiła pauzę. – Szedł nadal szlakiem wzdłuż strumienia, bo nie miał innego pomysłu. A potem jego noga wpadła w jakąś dziurę

i upadł.

Zola skrzywiła się, jakby poczuła ból.

– Wtedy właśnie zranił się w stopę. Kuśtykał dalej w ciemnościach, przerażony nocnymi odgłosami, dopóki nie trafił na miejsce, które uznał za bezpieczne.

Spojrzała na Spencera pociemniałymi oczami.

– Tego nie widzę zbyt dobrze. Miejsce znajduje się w pobliżu strumienia i odnoszę wrażenie, że obok szlaku jest jakaś otwarta przestrzeń. Widzę dwa strumienie i dwa szlaki blisko siebie. Szlak, którym szedł chłopiec, biegł stromo w dół.

Zola zamilkła i wzruszyła ramionami.

– To wszystko, co wiem.

Spencer zachmurzył się.

– To może być wszędzie, Zolo. Połowa szlaków w Smokies biegnie wzdłuż strumieni i krzyżują się ze sobą w setkach miejsc.

Spojrzała na niego z uporem.

– Ale on tam jest, Spencerze. I to niezbyt daleko stąd, bo inaczej nie dostalibyśmy wskazówek, które pozwolą go odnaleźć.

Spencer wstał, owładnięty nagłym niepokojem.

– Nie ma w tym wszystkim żadnych „nas”, Zolo. To tobie dany jest dar widzenia.

– Pomódlmy się oboje – poprosiła, spoglądając na niego błagalnie. – Może dostaniemy dodatkowe wskazówki. Musimy go odnaleźć.

Opuściła głowę i jej wargi zaczęły się poruszać, więc Spencer dołączył się do jej cichej modlitwy. Prosił Boga, żeby – jeśli odnalezienie tego dziecka w ogóle jest realne – Zola mogła zobaczyć wystarczająco dużo, by on mógł się zorientować, gdzie chłopczyk się znajduje.

– Zobaczyłaś coś więcej? – zapytał w końcu.

Pokręciła głową.

– W takim razie opowiedz mi dokładniej, co widziałaś poprzednio. – Oparł stopę na pniu, na którym siedziała Zola. – Podaj każdy szczegół, choćby wydawał ci się pozbawiony najmniejszego znaczenia.

Zamknęła oczy i skupiła się.

– Zanim chłopiec dotarł tam gdzie jest teraz, schodził w dół szlakiem, który w kilku miejscach przekraczał strumień. To były prowizoryczne przepawy, chłopiec bał się przechodzić na drugi brzeg. W pewnym momencie trafił na zawalony mostek i nie odważył się na niego wejść.

Spencer starał się sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek był na takim szlaku. Potrząsnął głową, głęboko sfrustrowany.

– Widzisz coś jeszcze, Zolo? Co z miejscem, w którym teraz przebywa? Jest

tam coś dziwnego, niezwykłego?

Zmarszczyła nos.

– Jest tam znak ostrzegający przed niedźwiedziami.

Spencer gwałtownie uniósł głowę.

– Chyba już wiem, gdzie może być. – Poczul przyływ adrenaliny. – Daleko w górze, przy Little River Trail, jest obozowisko. Jakies półtorej do dwóch mil stąd. Strażnicy postawili tam znak ostrzegawczy, bo znaleźli ślady aktywności niedźwiedzi. Poza tym nigdzie na tym szlaku nie ma takiego znaku.

Kiedy mówił, Zola złapała go za rękę i ścisnęła.

Spencer popatrzył na prowadzącą w górę ścieżkę.

– Wyruszył spod szałas na Mount Collins, więc byłoby znacznie bardziej prawdopodobne, gdyby wędrował Appalachian Trail lub Sugarland Mountain Trail. To wbrew wszelkiej logice, że pokonał górskie grzbiety, by wreszcie trafić na końcowy odcinek szlaku Little River Trail. Niewiele osób tam dociera ze względu na trudne przeprawy przez strumień. – Starał się ożywić pamięć. – Wydaje mi się, że przy samym końcu trasy znajduje się stary, kompletnie przerdzewiały most. Zawędrowałem tam kiedyś, fotografując jastrzębie.

Spencer odwrócił się i spojrzał na pełną nadziei twarz Zoli.

– Tylko raz szedłem tym szlakiem, Zolo. Pamięć może mnie mylić. Nie miałem żadnej wizji ani niczego w tym rodzaju. Ale to chyba jedyne miejsce, które pasuje do twojego opisu.

– Wydaje mi się, że masz rację. – Zeskoczyła z kamienia i złapała Spencera za rękę. – Pośpieszmy się. On potrzebuje pomocy i jest przerażony.

Spencer wskazał drogę i zaczęli się wspinać oznakowaną ścieżką coraz wyżej, w góry Smokies. Po drodze uwagę Spencera zwróciły płatany o łuszczących się pniach i pożałował, że nie mogli się zatrzymać, żeby zrobić kilka zdjęć. Był to piękny teren. Na prawo od szlaku płynęła rwąca rzeka, często spadająca w dół ryczącymi kaskadami.

Po przejściu mili dotarli do skrzyżowania szlaków. Zola rzuciła Spencerowi pytające spojrzenie. Odczuł dziwną przyjemność, wskazując jej, by szła prosto. Oceniał, że od obozowiska dzieliło ich jeszcze mniej więcej pół mili drogi pod górę.

– Czy znasz imię tego dziecka? – zapytał, ciekaw, jak głęboki był jej dar.

– Eddie – odparła bez najmniejszego wahania. – Ma na imię Eddie.

Potrząsnął głową ze zdumienia, nie zwalniając kroku.

Przeszli przez mostek nad kolejnym strumieniem – wpływającym z lewej strony – a potem, przeskakując z kamienia na kamień, pokonali rozlewisko Little River. Spencer wskazał Zoli obozowisko, które wyłoniło się po prawej stronie.

Zola mocno ścisnęła rękę Spencera i oboje zaczęli rozglądać się po okolicy. Nigdzie nie dostrzegli śladu dziecka.

– Eddie! – zawołał głośno Spencer.

Z kępy drzew wyłoniła się drobna postać – jedną ręką przytrzymała się pnia drzewa, a w drugiej ścisnęła kij.

– Tutaj! – zawołał chłopiec, wymachując ręką. – Tutaj jestem!

Fala ulgi zalała Spencera na widok dziecka.

Chłopiec bardzo starał się powstrzymać łzy szczęścia, że wreszcie nadszedł ratunek, kilka jednak uronił. Potem Spencer posadził go na pniu zwałonego drzewa, żeby zbadać jego nogę.

– Nie widzę żadnych złamań – stwierdził po obmacaniu kostki i stopy Eddiego. – Przypuszczam, że to mocne naciągnięcie może naderwanie więzadeł.

Pogrzebał w plecaku, znalazł bandaż i sprawnie unieruchomił kostkę Eddiego, owijając ją w ósemkę.

– Dobra robota – zauważyła Zola, śledząca jego poczynania. – Gdzie się tego nauczyłeś?

– Byłem orlim skautem. Skauting uczy wielu rzeczy, bardzo przydatnych w nagłych wypadkach.

Eddie zwiesił głowę.

– Zachowałem się jak półgłówek, próbowałem wrócić do obozu na skrót, przez górę. Wydawało mi się, że Garrett poszedł tamtędy, ale musiało mi się coś pomylić. Garrett to mój kumpel i mieliśmy trzymać się razem. Przez pewien czas nie zdawałem sobie sprawy, że zabłądziłem, a potem nie wiedziałem, co robić. Zacząłem krzyczeć, myślałem, że ktoś mnie usłyszy i odpowie, ale nikt się nie odezwał. Zawróciłem i próbowałem iść tą samą drogą, którą przyszedłem, ale musiałem coś spartolić. Las robił się coraz gęstszy.

Skrzywił się, kiedy Spencer skończył bandażowanie.

– Szedłem strasznie długo i dopiero o zmroku trafiłem na strumień. Z podręcznika dla skautów zapamiętałem, że jeśli się zgubię, to mam poszukać strumienia i iść wzdłuż niego.

Spencer uśmiechnął się do Zoli. Tak jak mówił!

– Potem dotarłem do tego szlaku i byłem ogromnie podekscytowany, bo myślałem, że doprowadzi mnie do obozowiska, ale nie doprowadził. Na szczycie góry jest koniec szlaku, więc zacząłem schodzić w dół w nadziei, że kogoś spotkam. Byłem naprawdę zadowolony, że wydostałem się z lasu, z tych krzaków i zagajników. – Potarł zadrapania na twarzy i ramionach.

Spencer zaczął przemywać skaleczenia wodą i czystą chusteczką. Podał Zoli tubkę maści do posmarowania oczyszczonych zadrapań.

– Myślę, że radziłem sobie całkiem dobrze jak na swój wiek, dopóki nie zrobiło się ciemno. Nic nie widziałem i dostałem gęsiej skórki ze strachu. – Wykrzywił buzię. – Ale nie przestawałem iść, dopóki nie wpadłem w jakąś dziurę. Człowieku, ależ ta kostka bolała, kiedy próbowałem na niej stanąć. Udało mi się

zejść jeszcze kawałek szlakiem, podpierając się kijem, i wreszcie znalazłem to obozowisko.

Głos mu się załamał.

– Wiedziałem, że nie powinienem dalej iść. Przespałem się tam, pod tym nawisem skalnym. – Pokazał ręką. – Przykryłem się liśćmi, żeby nie zmarznąć.

– To było bardzo rozsądne – skomentował Spencer.

Eddie uśmiechnął się szeroko.

– Widziałem to w jakimś programie telewizyjnym. – Po czym dodał, już nieco mniej zawadiacko. – I pomyślałem, że może w tych liściach nie znajdą mnie dzikie zwierzęta.

– Na pewno znak ostrzegający przed niedźwiedziami nie dodał ci ducha.

Eddie szerzej otworzył oczy.

– Zobaczyłem go dopiero rano. Cieszę się, że nie widziałem go w nocy.

Spencer musiał się roześmiać, wbrew sobie.

– Jesteś głodny, Eddie? Przynieśliśmy z Zolą lunch. Możesz zjeść z nami, a potem zniosę cię na dół na barana. – Przeniósł spojrzenie na Zolę. – Jak sądzisz, dasz radę nieść mój plecak i statyw, jeśli ja poniosę Eddiego?

– Jasne – zapewniła z uśmiechem.

– Ależ się cieszę, że przyszlście – powiedział Eddie. – Skąd wiedzieliście, jak mam na imię i gdzie mnie szukać?

– Modliłeś się? – zapytała Zola i nakryła dłonią rękę chłopca.

Eddie spuścił wzrok.

– Tak. Przez cały czas.

– Bóg to usłyszał i przysłał nas.

– Żartujesz? – Eddie był wyraźnie zdumiony. – Jak On to zrobił?

– Zobaczyłam w głowie pewien obraz, a Spencer pomógł mi zlokalizować to miejsce, które widziałam, bo chodził po tych górach, robiąc zdjęcia.

– Fajnie. – Eddie wodził wzrokiem od Zoli do Spencera z wyraźnym zachwytem w oczach. – Czy Bóg powiedział ci też, jak mam na imię?

– Tak. Był tobą bardzo przejęty.

– Jej! Opowiem o tym dziadkowi. Jest nie tylko moim dziadkiem, ale i naszym pastorem. Powtarzał mi zawsze, że Bóg wysłuchuje naszych modlitw i że bym nigdy nie zapominał się pomodlić. Wygląda na to, że miał rację, prawda?

Zola uśmiechnęła się.

– Tak, miał rację. – Podała mu połowę kanapki. – Proszę, zjedz. Mam jeszcze trochę chipsów i ciasteczek z cukrem.

Eddie pochłonął lunch. Spencer – po zjedzeniu swojej porcji – zrobił mu kilka zdjęć, a potem zaczęli schodzić z góry.

Od obozowiska do parkingu u podnóża było trzy i pół mili, ale mieli szczęście i na skrzyżowaniu z Huskey Gap Trail napotkali innych turystów. Dwaj

mężczyźni na zmianę nieśli Eddiego na barana aż do miejsca, w którym rozpoczynał się szlak. Jeden z nich miał przy sobie telefon komórkowy, więc gdy tylko zeszli na poziom, na którym był zasięg, mógł zawiadomić strażników leśnych o odnalezieniu Eddiego.

– Jak się nazywasz? – zapytał jeden z mężczyzn.

– DeLozier – odpowiedział chłopiec. – Eddie DeLozier. Jestem z 284 zastępu skautów z Knoxville, a naszym drużynowym jest pan Warren. – Przygryzł wargę. – To nie wina pana Warrena, że się zgubiłem. Niech pan im to powie.

Spencer uśmiechnął się do Zoli po tych słowach.

Na chwilę przed dotarciem do końca szlaku Zola położyła rękę na policzku Eddiego.

– Ciesz się, że nic ci się nie stało, Eddie. Byłabym wdzięczna, gdybyś powiedział strażnikom tylko tyle, że znaleźliśmy cię, robiąc zdjęcia przy Little Rover Trail.

Uśmiechnęła się do niego.

– Oczywiście dziadkowi i rodzicom możesz powiedzieć, że Bóg wysłuchał twoich modlitw, ale myślę, że strażnikom i prasie lepiej o tym nie mówić. Jestem pewna, że na końcu szlaku czekają już na nas fotografowie i reporterzy z różnych gazet, uradowani, że będą mogli przekazać czytelnikom informację o twoim szczęśliwym powrocie. Widzisz, wszyscy się o ciebie martwili.

Chłopiec kiwnął głową ze zrozumieniem.

– W gazetach słowa o Bogu brzmią czasem głupio. Słyszałam, jak dziadek rozmawiał kiedyś o tym z tatą. Tata mówił, że to dlatego, iż opowieści o Bogu nie brzmią zbyt rzeczowo. A gazety lubią rzeczowość, tak powiedział.

– W tym rzecz, Eddie. – Zola pochyliła się i ucałowała go w policzek.

Mężczyzna niosący Eddiego roześmiał się.

– Kiedy ci wszyscy ludzie z mediów trafią do nieba, będą zaskoczeni, co jest naprawdę rzeczowe, prawda?

– Oj tak. – Zola roześmiała się wraz z nim. – Z pewnością.

Pomimo prób Eddiego, by ich osłonić, Zola i Spencer trafili jednak do gazet jako wybawcy chłopca. Ta historia stanowiła naprawdę łakomy kąsek dla prasy. Nawet dwaj mężczyźni, którzy pomagali nieść Eddiego, zostali sfotografowani jako ci, którzy przyczynili się do bezpiecznego odtransportowania dziecka na dół.

Ponad tydzień później Spencer dostał e-mail od Eddiego. Wieczorem zadzwonił do Zoli, żeby jej o tym powiedzieć.

Usłyszał w słuchawce jej ciepły, melodyjny śmiech.

– Co napisał, Spencerze? Przeczytaj mi.

– Píše: „Droży panno Zolo i panie Spencerze... Dziękuję, że przyszliście mnie znaleźć, kiedy zabłądziłem. Byłem przerażony i naprawdę bardzo się ucieszyłem na wasz widok. Jak to dobrze, że posłuchaliście informacji od Boga,

gdzie jestem. To było cool... Dziękuję też za unieruchomienie mojej kostki. Nie była złamana, ale mam opatrunek usztywniający, dopóki skręcenie się nie wygoi. Wszystkie zadrapania już zniknęły i tylko raz miałem koszmary sen, że zjada mnie niedźwiedź... Dziadek i rodzice obiecali przywieźć mnie na spotkanie z wami, kiedy wyzdrowieję. Mam nadzieję, że nie macie nic przeciwko temu... Wasz przyjaciel na zawsze, Eddie”.

– Ach – westchnęła głośno. – Czy to nie najlepsza nagroda? Dziękuję, że zadzwoniłeś i przeczytałeś mi to przed snem. Gdybyś tu był, ucałowałabym cię mocno, Spencerze. Cały dzień wydaje się piękniejszy po tym liście.

– Zachowaj tego całusa do jutra. Odbiorę go sobie, kiedy przyjedziesz pomóc mi przygotować dom na przyjęcie gromady przyjaciół, którzy przychodzą na obiad.

Parsknęła śmiechem.

– Ojej, prawie zapomniałam, że to już jutro.

– Obiecałaś pomóc mi w przygotowaniach.

Usłyszał, że ziewnęła.

– Twój dom jest piękny, Spencerze. Nie wiem, czym się martwisz. Przychodzą przecież sami przyjaciele: David i Rachel Lee, Aston i Carole, Clark i Stacy, no i ja. – Zachichotała. – Wiesz, nadal nie mogę zrozumieć, jak Rachel Lee wpadła na pomysł skojarzenia ze sobą Clarka i Stacy. Powiedziała mi, że byli już na pierwszej randce i całkiem nieźle im się układa.

– Wydaje mi się, że Clark jest zadurzony.

Spencer wyszedł na werandę, żeby sprawdzić, dlaczego buszujący w krzakach Zeke robi tyle hałasu.

– Clark mówi, że Stacy lubi *Star Trecka* i *Star Wars* oraz że ma świetną kolekcję komiksów z X-Menem. Jest oczarowany.

Na linii znowu rozległ się śmiech Zoli. Spencera ogarniało ciepłe poczucie szczęścia, ilekroć słyszał ten śmiech.

– Eddie przysłał swoje zdjęcie – powiedział, zmieniając temat.

– Tak? – W głosie Zoli brzmiało podekscytowanie.

– Nie podniecaj się tak. To tylko szkolna fotografia, chociaż całkiem fajna. Ale mam lepsze, które sam zrobiłem.

– Ale to urocze, że przysłał zdjęcie, prawda?

– Tak.

Nagle ton głosu Zoli zmienił się, pojawiła się w nim nutka napięcia.

– Odwołaj Zeke’a, Spencerze. Szczeka pod drzewem, przy którym osy zaczęły budować gniazdo. Nie chcę, żeby go użądliły. Ani ciebie.

Spencer zagwizdał na owczarka, zanim jeszcze skończyła mówić. Pies z wyraźną niechęcią odszedł od pnia, pod którym węszył, posłuchał jednak wezwania pana. Nawet z ganku Spencer dostrzegł kilka os krążących w pobliżu.

– Jak już zabierzesz psa, Spencerze, wpompuj do gniazda trutkę na osy. Ale dopiero po zapadnięciu ciemności, kiedy wszystkie owady wrócą już na noc do gniazda. Potem nakryj gniazdo plastikową płachtą, a na wierzch połóż kamienie i zasyp to ziemią, żeby wydusić osy. Na razie gniazdo nie jest jeszcze zbyt duże, więc uporanie się z nim nie powinno być niebezpieczne.

Zrobiła pauzę.

– Ale zaczekaj, aż osy się uspokoją, Spencerze. Zeke rozdrażnił je, rozkopując gniazdo.

Spencer nie pytał już, skąd Zola może o tym wszystkim wiedzieć, nie będąc w pobliżu i nie widząc krążących wokół owadów.

– Obiecuj, że będziesz ostrożny, słyszysz? Rozdrażnione osy bywają okropne. – Westchnęła głośno. – Koniecznie zadzwoń do mnie, kiedy już się z nimi uporasz, żeby zameldować, że nic ci nie jest. Obiecujesz? W przeciwnym razie nie będę mogła zasnąć z niepokoju.

– Zadzwonię – oświadczył Spencer. Wpuścił Zeka do domu i poszedł do kuchni szukać trutki na osy.

– Jest w szafce pod zlewem – podpowiedziała Zola i rozłączyła się.

Spencer przewrócił oczami i odłożył słuchawkę.

– Ta kobieta czuwa nad tobą, Zeke – zwrócił się do psa. – Ale ten jej dar widzenia przyprawia mnie czasem o gęsią skórkę.

I znów zaczął się zastanawiać, czy dałoby się znieść życie z taką kobietą.

Rozdział trzynasty

Zola skończyła posypywać tort wiórkami kokosowymi i sprawdziła stan kulek kielbasiano-serowych w piekarniku. To był jej wkład – zakąska i deser – na dzisiejsze przyjęcie składkowe u Spencera.

Zerknęła na listę przymocowaną magnesem do lodówki. Spencer zamówił pieczoną szynkę, a sam zapewniał napoje. Rachel Lee i Davis mieli przynieść świeży zielony groszek i sałatkę ziemniaczaną, Stacy ciasteczka czekoladowe jako drugi deser, a Clark sos do *nachos* i chipsy *tortilla*. Aston przygotowywał zapiekanekę fasolową, a Carole obiecała przynieść jabłka duszone z przyprawami. Z pewnością jedzenia nie mogło im zabraknąć.

Usłyszała pukanie do drzwi, więc wytarła ręce w ścierkę, zanim poszła otworzyć.

Ze zdziwieniem przekonała się, że odwiedził ją Perry Ammonds z kościoła.

– Cześć, Zolo – powiedział. – Byłem z wizytą u Maude Gardner i pod wpływem impulsu postanowiłem do ciebie wstąpić. Mam nadzieję, że nie przeszkadzam.

– Ależ skąd, Perry. – Zola szeroko otworzyła drzwi i zaprosiła go do środka. – Chodź ze mną do kuchni, bo muszę pilnować piekarnika. Zrobię ci mrożoną herbatę i pogadamy, a ja będę miała oko na piekarnik.

– Mmm, pięknie pachnie. – Z uznaniem pociągnął nosem, wchodząc za nią do kuchni.

– To kulki kielbasiano-serowe. Dam ci kilka na spróbowanie, kiedy wyciągnę je z piekarnika. – Wskazała mu krzesło przy stole. Wyjęła z kredensu dwie szklanki i napełniła je zimną herbatą z lodówki.

Perry pociągnął łyk napoju, który postawiła przed nim Zola.

– Słyszałem, że to tobie zawdzięczam propozycję objęcia tymczasowo posady pastora w Highland.

Zola usiadła przy stole naprzeciw niego.

– Nie do końca. Ja tylko zasiałam ten pomysł w głowie wielebnego Madisona. Jestem pewna, że i bez tego zaproponowałby ci tę posadę. Jesteś dobrym pastorem, Perry.

– Od teraz jestem już *wielebnym* Ammondsem, Zolo – oświadczył z chłopięcym uśmiechem.

Parsknęła śmiechem. Znali się z Perrym od dziecka. I razem chodzili do szkoły średniej.

Perry bawił się stojącym na stole kompletem z drzewa palmowego składającym się z solniczki i pieprzniczki.

– Prawdę mówiąc, Vernon Madison powiedział, że prawdopodobnie *nie*

pomyślałby o mnie, gdyby nie twoja sugestia. Uważałby, że mam zbyt dużo pracy w kaplicy ślubnej, aby przyjąć na siebie obowiązki pastora. Tak twierdził.

– A jesteś zbyt zajęty? – zapytała Zola.

Uśmiechnął się.

– Może i byłbym, gdyby nie to, że emerytowany pastor Henry Wheaton wprowadził się kilka miesięcy temu do domu obok Tracie i mnie. Henry zastępował mnie już kilkakrotnie w Creekside przy ceremoniach ślubnych. Teraz odprawia niemal wszystkie, odkąd mam pełny etat w kościele. I wszystko działa jak w zegarku.

Zola przypomniała sobie coś, o co dawniej zapytał ją Spencer.

– A gdzie kończyłeś studia teologiczne, Perry? W jakim obrządku zostałeś wyświęcony? Chyba nigdy o tym nie mówiłeś.

– Nawróciłem się w szkole średniej i kiedy poczułem powołanie do stanu duchownego, pierwszą osobą, której o tym powiedziałem, był ówczesny pastor kościoła Highland Presbyterian, wielebny Downey.

Zola nie zdołała się powstrzymać i przerwała mu.

– Kochałam wielebnego Downeya. Był takim dobrym, szlachetnym człowiekiem.

– Do kościoła chodziłem jedynie podczas odwiedzin w Highland u Tannera Crossa, więc wielebny Downey był jedynym duchownym, jakiego znałem. Pomógł mi dostać stypendium na studia, ale, oczywiście, miał kontakty jedynie w Cumberland Presbyterian College. Więc poszedłem tam.

Zola uśmiechnęła się.

– Więc masz *naprawdę* dobre przygotowanie teologiczne.

– A czy może być złe przygotowanie teologiczne, Zolo? – zapytał Perry ze zdumieniem.

– Chodziło mi o to, że masz odpowiednie wykształcenie teologiczne oraz odpowiednie doświadczenie, aby objąć na stałe posadę pastora w Highland, jeśli otrzymasz taką propozycję.

– Aa. I widzisz, że powinienem ją przyjąć? – Znowu uśmiechnął się do Zoli.

– Jasne, że tak. – Wstała, żeby zajrzeć do piekarnika. Kulki były już gotowe, więc wyjęła pierwszą brytfankę i włożyła drugą. – Świetnie się nadajesz.

– Dziękuję za twoją wiarę we mnie, Zolo. Ale muszę jeszcze dużo się modlić i wiele przemyśleć, zanim nabiorę przekonania, że Bóg tego ode mnie oczekuje. To dla mnie ważne.

– Wiem o tym. – Podała mu kilka kulek na serwetce. – Właśnie dlatego, że wiem, jak blisko twojemu sercu do Pana, uznałam, że do ciasta potrzebuje Highland, Perry.

Spojrzał jej w oczy pytająco.

– Czy to był *twój* pomysł, Zolo, czy też pomysł Boga, abym został

tymczasowym pastorem?

Zola ponownie usiadła naprzeciw niego.

– Pierwotnie to był pomysł Boga. Został mi objawiony w tej samej chwili, co wiadomość o wyjeździe pastora Madisona. Ale kiedy zastanawiałam się nad tym później, doszłam do wniosku, że zgadzam się z Bożą decyzją. To doskonały wybór.

Uśmiechnęła się do Perry'ego, wesoło marszcząc nos.

Perry potrząsnął głową.

– Jesteś obdarzona niezwykłym darem, Zolo. Martwię się jednak, że niekiedy korzystasz z niego z nadmierną swobodą, bez zastanowienia nad możliwymi konsekwencjami. Takimi jak historia z Aldo Toomeyem. Gdyby wrzucił do sklepu prawdziwą bombę, obie z Faith mogłyście odnieść obrażenia. Niepokoją mnie również rozpuszczane przez Bena Lee pogłoski, że zamierzasz znaleźć mordercę jego córki. Tego typu sprawy mogą narazić cię na niebezpieczeństwo, Zolo.

Przyjrzała mu się bacznie.

– Chcesz powiedzieć, że twoim zdaniem nie powinnam przekazywać ludziom tego, co Bóg chce im przekazać?

Perry wyciągnął ręce przez stół i ujął obie jej dłonie.

– Doskonale wiesz, że nie to chciałem powiedzieć, Zolo. Chcę tylko, abyś wiedziała, że jeśli zapragniesz kiedyś podzielić się z kimś swymi wizjami, zanim je rozgłosisz, to z radością cię wysłucham.

Zola poruszyła się niespokojnie na krześle.

– To nie działa w ten sposób, Perry. Wiedza objawia mi się w momencie, w którym ma zostać przekazana. To nie jest coś, nad czym można się zastanawiać czy deliberować, trzeba się tym podzielić natychmiast.

– Daj mi przykład – poprosił, wkładając do ust pieczoną kulkę.

Opuściła oczy i zastanawiała się przez chwilę, zanim podniosła wzrok na Perry'ego.

– Pamiętasz, jak przed tygodniem zaginał w górach mały chłopiec?

Kiwnął głową.

– Wybrałam się w góry ze Spencerem Jacksonem na poranną sesję fotograficzną, kiedy zobaczyłam to dziecko, Perry. Widziałam, gdzie siedziało, widziałam, jak wyglądało, czułam jego ból i strach. Widziałam, że chłopiec modlił się o pomoc, i wiedziałam, że to Spencer i ja mamy go uratować.

Potrząsnęła głową.

– Jak mogłam siedzieć spokojnie, Perry? Jak mogłam czekać na czyjeś potwierdzenie, zanim podjęłam działanie? Dziecko mogło umrzeć. Miałam obowiązek natychmiast je ratować.

Zola widziała, że Perry rozważał tę kwestię.

– Rozumiem. Czy to zawsze jest równie pilne?

– Może nie zawsze sprawa jest tak poważna, ale zawsze mam bardzo silne poczucie, że muszę natychmiast podzielić się tym, co objawił mi Duch Święty. Natychmiast, nie potem. Ten brak jakiegokolwiek zwłoki to akt posłuszeństwa z mojej strony.

Perry zjadł następną kulkę i popił ją herbatą, zastanawiając się nad słowami Zoli.

– Twój dar wydaje się połączeniem słowa mądrości i słowa poznania danych Koryntianom. Niewiele osób ma udział w obu.

Zamyślił się.

– Znam cię od dziecka i wiem, że ten dar zawsze czynił cię inną. Osobną. Czasami to musiało być dla ciebie trudne, Zolo.

– Już jako mała dziewczynka pogodziłam się z tym, że jestem inna, Perry – odparła z uśmiechem. – Miałam szczęście, że moja rodzina akceptowała ten dar; gdyby nie to, byłoby mi naprawdę ciężko.

Sięgnęła przez stół po rękę Perry'ego.

– Dziękuję, że chciałeś mi pomóc, a nawet martwisz się o mnie. To ładnie z twojej strony.

Wstała i wyjęła z pieca resztę kielbasiano-serowych kulek.

Perry odchrząknął.

– Jestem twoim przyjacielem z dzieciństwa... a teraz i pastorem, Zolo. Chcę, żebyś wiedziała, że zawsze możesz się do mnie zwrócić, ze wszystkim.

– Dzięki – powiedziała, wyłączyła piekarnik i wróciła na swoje miejsce.

Perry przez kilka minut siedział w milczeniu. Zola domyśliła się, że coś mu chodziło po głowie.

– Spotykasz się ze Spencerem Jacksonem – powiedział w końcu. To nie było pytanie, tylko stwierdzenie. – Jak on sobie radzi z tym aspektem twojej natury?

– To niełatwe dla niego – odrzekła szczerze.

– Nie dziwię się. – Wziął do ust ostatnią kulkę.

Zola roześmiała się.

– Wydaje mi się, że lepiej znosi poważne sprawy, jak przy poszukiwaniu zaginionego dziecka, niż codzienne drobiazgi, które czasem widzę.

– Chcesz, żebym z nim o tym porozmawiał? – Spojrzał na nią pytająco swymi dobrymi oczami.

– Nie. Nie jesteśmy jeszcze na tym etapie, a poza tym Spencer ma mnóstwo własnych problemów, z którymi muszę się uporać. – Zmarszczyła nos. – Do dzisiaj dręczą go pewne traumy z dzieciństwa.

Perry wstał, szykując się do wyjścia.

– Cóż, nie zamierzam wtrącać się do spraw dwóch osób, które się spotykają. Będę po prostu modlił się, aby Bóg wspomagał wasz rozwijający się związek.

Zola uśmiechnęła się szeroko.

– Ten plan bardzo mi odpowiada.

Perry parsknął śmiechem.

– Lubię cię, Zolo. Pamiętaj o tym, a gdybyś potrzebowała kiedykolwiek przyjaciela – albo pastora – to wiesz, gdzie mnie szukać.

– Jeszcze raz dziękuję, Perry. – Zola potrząsnęła jego ręką. – Naprawdę to doceniam.

Stała na ganku i machała ręką odjeżdżającemu Perry’emu.

Potem wróciła do kuchni i posprzątała, a jej myśli pobiegły ku Spencerowi. Czasami żałowała, że nie mogła „zobaczyć” czegoś, co pomogłoby jej w codziennych kontaktach z nim, ale jej dar w ten sposób nie działał.

– Panie, przydałaby mi się niewielka pomoc w rozwikłaniu ciemnych spraw Spencera Jacksona – pomodliła się głośno. – Naprawdę chciałabym móc mu pomóc, ale on nie dopuszcza do siebie nikogo.

Nie otrzymała jednak odpowiedzi, więc zajęła się pakowaniem kulek serowo-kielbasianych do pojemnika.

Dzień upłynął bardzo szybko i wkrótce była już zaangażowana bez reszty w pomoc Spencerowi w przygotowywaniu Raven’s Den na przyjęcie gości. A potem, po obiedzie, siedziała w przestronnym salonie Spencera wśród przyjaciół i cieszyła się ich towarzystwem.

Koło ósmej wszyscy dojadali desery i delektowali się poobiednią kawą. Wentylator nad ich głowami obracał się z cichym szumem i ten szum – oraz dobiegające zza okna kumkanie żab – stanowił tło dla ogólnej rozmowy.

Aston oparł długie nogi na podnóżku.

– Chyba wszyscy słyszeliście najnowsze doniesienia o Aldo Toomeyu? – Uśmiech rozjaśnił jego twarz.

Zaskoczona Stacy podniosła wzrok.

– Czy to ten gość, który wrzucił bombę do sklepu Zoli?

Aston kiwnął głową.

– Oświeć nas – zachęcił go David.

– Cóż, jak pewnie wiecie, wyszedł na zwolnienie warunkowe, ponieważ było to jego pierwsze wykroczenie, a Zola nie wniosła przeciwko niemu skargi. – Pociągnął łyk kawy ze swojego kubka.

– Odzyskał też dawną posadę – uzupełniła Zola. – Przyszedł mi o tym powiedzieć. Wycofał swoje wypowiedzenie i pozwolono mu zostać u Beardsleya.

Rachel Lee wychyliła się do przodu.

– Ray mi powiedział, że kompania odebrała mu jednak corvette.

– To mnie nie dziwi – stwierdziła Zola.

Aston uśmiechnął się szeroko.

– Ale to jeszcze nie wszystko.

Spencer trącił go lekko stopą.

– Wyrzucić to wreszcie z siebie, Astonie. Co wiesz?

Aston roześmiał się.

– Wydaje się, że madame Renee zrobiła sobie krótkie wakacje i wyjechała z miasta. Pod jej nieobecność ktoś wypisał czerwoną farbą na dachu jej domu „oszustka”. Napis jest widoczny z autostrady, gdy się przejeżdża obok jej firmy. Napisano również „kanciara” na jej podjeździe. Graffiti pozostawało tam przez prawie dwa tygodnie, dopóki nie wróciła. Naturalnie wpadła w szał i pognęła na komisariat policji z żądaniem ujęcia niegodziwca, który to zrobił.

Znowu parsknął śmiechem.

– Oczywiście zarówno Madame Renee, jak i wszyscy, którzy słyszeli o tej historii, mieli własne domysły, kto mógł zrobić jej ten kawał, ale nie było dowodu. A zapytany o to Aldo Toomey zachowywał się z niewinnością noworodka.

Zola zachichotała wbrew sobie – pozostali również.

Rachel Lee położyła rękę na ustach.

– Nie powinniśmy się z tego śmiać, ale przyznaję, że wiele bym dała, by móc zobaczyć wyraz twarzy madame Renee w chwili, gdy wróciła do domu. Narobiła Zoli mnóstwa kłopotów, odkąd tu zamieszkała.

– To ona nie pochodzi stąd? – zapytał Spencer.

– Nie, z New Jersey. – Rachel skrzywiła się. – I chciałabym, żeby tam wróciła. Spowodowała mnóstwo problemów wśród parafian taty i pozostałych okolicznych pastorów.

Carole zmieniła temat.

– Przywieźliśmy z Astonem grę Catch Phrase. Zagrajmy sobie: dziewczyny przeciw chłopakom. Jest fajna. Daje się wskazówki pozwalające wszystkim odgadnąć następne słowo. Graliśmy w to z moją siostrą Clarissą i jej przyjaciółmi, i Astonowi tak się spodobało, że ją kupił.

– Tak, a ponieważ zapłaciłem za nią kupę szmalu, musimy w nią zagrać. Koniec dyskusji! – Aston wyjął grę i już wkrótce wszyscy zaśmiewali się i przekazywali sobie z rąk do rąk elektroniczne urządzenie najszybciej, jak się da.

Około dziesiątej powiedzieli sobie dobranoc, zapakowali swoje półmiski z resztkami potraw i rozjechali się do domów. Zola pomogła Spencerowi posprzątać kuchnię, a potem wyszli razem na ganek, żeby obserwować gwiazdy na nocnym niebie. Sierp księżycy, który wyrzwał zza ciemnych drzew, wyglądał jak lśniąca kołyska.

– Wszyscy świetnie się bawili. – Zola stopą wprawiła w łagodny rytm stojący na ganku fotel bujany. – I wszyscy podziwiali twój dom.

Spencer milczał znacznie dłużej, niż się spodziewała.

– Coś się stało? – zapytała.

– Nie. Myślałem tylko o tym, jak przyjemny może być wieczór z twoimi przyjaciółmi. Jak można cieszyć się obiadem w swobodnej atmosferze. Śmiać się

i grać w coś, nie rywalizując i nie wpadając w dołek. I czuć się dobrze, kiedy wieczór dobiegnie końca.

Zola wiedziała, że porównywał ten wieczór z jakimiś innymi, z przeszłości, którym towarzyszyło przykre napięcie. Zastanawiała się, co powiedzieć.

– Jako mała dziewczynka – odezwała się w końcu – większość czasu spędzałam z dorosłymi. Byłam późnym dzieckiem, mój brat Wayland jest ode mnie starszy o dziesięć lat. Kiedy ja miałam sześć lat, on był już szesnastolatkiem. Wayland rzadko zgadzał się zagrać ze mną w cokolwiek. A rodzice byli zaabsorbowani własnym życiem na wyspie i praktyką lekarską taty.

Zamilkła na chwilę.

– W dodatku różniłam się od większości dzieci na wyspie: mój tata był Amerykaninem i człowiekiem wykształconym, a mama pochodziła z królewskiego rodu. Nie byliśmy bogaci jak na standardy amerykańskie, ale posiadaliśmy więcej niż większość wyspiarzy. Nasz biały dom stał na zboczu góry, był piętrowy, pokryty czerwoną dachówką i miał werandę dookoła. Prowadziła do niego kręta droga od szosy przybrzeżnej, a z frontowego ganku widać było górskie zbocza schodzące aż do oceanu. Był piękny. Wszyscy moi wyspiarscy koledzy wpadali w zachwyty, kiedy do mnie przychodzili. Większość z nich mieszkała w parterowych chatkach krytych strzechą, albo w prostych, drewnianych domach. Dla nich zawsze byłam tą bogatą dziewczynką, w dodatku dziwną: pół-Tahitanką i pół-Amerykanką.

Zola westchnęła.

– Mój dar objawił się, kiedy miałam cztery lata. To sprawiło, że dla innych dzieci stałam się jeszcze dziwniejsza.

– Brat nie był dla ciebie dobry? – zapytał Spencer niespodziewanie. – Lubił cię?

To było dziwaczne pytanie, ale Zola postanowiła nie komentować go.

– Zawsze wiedziałam, że Wayland mnie kocha. Droczył się ze mną oczywiście, jak wszyscy starsi bracia, ale nie miałam wątpliwości co do jego uczuć. Wayland zawsze bardziej przypominał rodzinę mojej mamy, Kasiorów. To mu pomagało. Bardziej pasował do wyspiarzy. Miał wielu przyjaciół.

– A jak jego przyjaciele odnosili się do ciebie?

Roześmiała się.

– Przeważnie mnie ignorowali, jak zwykle koledzy starszego brata młodszą siostrę przyjaciela. Wydaje mi się, że moje życie było raczej typowe, podobne życia do każdej córki lekarza na misji.

– Rozumiem.

Zola nie miała pojęcia, co ten komentarz miał oznaczać.

– Wayland ożenił się z wyspiarą, którą znał od dziecka. Ma na imię Samira. Zawsze kochał klinikę, w której pracował ojciec, więc wyjechał na studia, a potem

wrócił i został doktorem na wyspie. – Zachichotała. – Najzabawniejsze jest to, że Wayland studiował również przez parę lat weterynarię, więc na Mooréa leczy również zwierzęta.

W świetle padającym z domu dostrzegła na twarzy Spencera cień uśmiechu. Ucieszyła się na ten widok.

– A więc w poczekalni obok ludzi można znaleźć też psa czy papugę?

– Czasami. – Zachichotała znowu. – Klinika była niegdyś domem plantatora, który ofiarował go na ten cel po swojej śmierci, jako że zmarł bezpotomnie. Tym komiczniej wygląda koza wprowadzana po schodach na ganek i do poczekalni.

Zola usłyszała głośny śmiech Spencera. Szczery śmiech.

– Lubię, jak się śmiejesz – powiedziała.

Pochylił się do przodu i wziął ją za rękę.

– Ty sprawiasz, że się śmieję, Zolo. – Wstał i pochylił się nad bujanym fotelom, kładąc obie ręce na podłokietnikach. Schylił się, by ją pocałować. – I sprawiasz, że jestem szczęśliwy.

– Cieszę się. – Cmoknęła go figlarnie w nos.

Usiadł w bujanym fotelu obok niej i wprowadził go w ruch w tym samym tempie, co ona. Zapadło przyjazne milczenie.

– Spencerze, opowiedz mi o swojej rodzinie. – Miała nadzieję, że odpowie, że zacznie mówić.

Nie odpowiedział – po prostu milczał.

Przez chwilę obawiała się, że już nigdy nie odpowie, ale wreszcie zdecydował się odezwać.

– Bowden jest o cztery lata starszy ode mnie. Zarówno on, jak i rodzice chcieli, żeby następnym dzieckiem była dziewczynka, aby rodzina była kompletna. Mama pochodzi z Savannah, więc spodziewanej córce postanowiła dać na imię Savannah. Mówiono mi, że Bowden wpadł w szal, kiedy zostałem przywieziony ze szpitala, i domagał się, by mnie odesłać, bo nie byłem Savannah. Ciągłe powtarzał, że wzięli do domu niewłaściwe dziecko. Dziadek uwielbia powtarzać tę historię w nieskończoność.

Zola czekała cierpliwie, kołysząc się w fotelu.

– Przypuszczam, że brat od początku za mną nie przepadał.

Ugryzła się w język, aby powstrzymać słowa, które cisnęły jej się na usta: że Bowden miał tylko cztery lata i że dzieci w tym wieku wygadują rozmaite głupstwa.

– Gdy miałem cztery lata, mama urodziła Ritę. – Spencer przesunął rękami po włosach. – Nie uznała za stosowne dać jej na imię Savannah, bo to było jedno z przezwisk, jakimi obrzucał mnie Bowden, kiedy był w paskudnym nastroju.

Po krzyżu Zoli przebiegł dreszcz.

– W niejednej rodzinie czasem trudno wytrzymać, prawda? – Siliła się na

swobodny ton.

– Tak, zdarzają się w nich rozmaite odchyły. Naszą rodziną rządził dziadek Stettler. Mój ojciec spełnił jego oczekiwania i podjął pracę w rodzinnej firmie. Na szczęście dziadek Stettler polubił moją mamę, Marion. Pochodziła z Chatsworthów, starej, dobrej rodziny Południowców. Miała wdzięk i urok, wiedziała, jak się zachować i robiła to, co powinna była robić.

Urwał na chwilę.

– Dziadek Stettler szybko odkrył jej zalety i zaakceptował jej marzenia o własnej firmie cateringowej. Tylko że dawniej planowała ją stworzyć w Savannah, a zrealizowała swoje marzenia w Richmond, jako przybudówkę do rodzinnego zakładu fotograficznego Jacksonów. Mama miała talent i dzięki jej zdolnościom wzrósł majątek całej rodziny. Rita jest podobna do mamy, tylko mniej poważna i wytrwała. Ona jedna z całej rodziny śmiejąc się, robi to spontanicznie, ale bez złośliwości.

Spencer ciężko westchnął.

– Bowden wyrósł na sobowtóra dziadka Stettlera, więc dziadek hołubił go od samego początku. Bowden był jego faworytem i, zdaniem dziadka, nie był zdolny do zła. Jeśli z jakiegokolwiek powodu wpadał w tarapaty, dziadek wybaczał mu, wyciągał z nich. To pozwoliło Bowdenowi rozwijać wrodzoną skłonność do tyranizowania innych, za którą nigdy nie był karcony.

Zola nie musiała pytać, żeby wiedzieć, iż to Spencer często padał ofiarą brata uwielbiającego tyranizować słabszych. Skrzywiła się, opierając się pokusie pocieszenia go i przytulania. Wiedziała, jak trudno dziecku znieść wszelkie znęcanie się, również to ledwie widzialne.

Starła się zdobyć na lekki ton.

– Miałeś więc okropnego starszego brata i dość zabawną młodszą siostrę. Chyba mogło być gorzej.

Spencer spojrział na nią i zrobił ponurą minę.

– Myślę, że powinienem już odwieźć cię do domu. Zrobiło się późno. Muszę jutro wcześniej wstać na poranną sesję fotograficzną.

Zola zdała sobie sprawę, że musiała powiedzieć coś niezręcznego, co sprawiło, że Spencer znowu się przed nią zamknął.

Poszła do kuchni po swoje naczynia.

– Ładnie z twojej strony, że gościłeś u siebie nas wszystkich. – Uśmiechnęła się do niego. – I zapoczątkowałaś serię. Aston mówi, że następne spotkanie zorganizuje u siebie, z pomocą Carole.

Dała mu żartobliwego kuksańca.

– A kolejny plus, że planowanie dzisiejszego spotkania pomogło połączyć Clarka i Stacy. Naprawdę sędzę, że spodobali się sobie. To piękne, że tak się zgadzają ze sobą, choć każde z nich jest trochę dziwne.

Spencer zeszywniał pod wpływem jakiejś myśli, jego twarz pociemniała, stała się ponura.

No, świetnie, pomyślała Zola. Co za wspaniałe zakończenie dnia. Spencer znowu wpadł w swój czarny humor.

W drodze do jej domu prawie nie przerywali milczenia, więc Zola z ulgą powiedziała Spencerowi dobranoc i zostawiła go jego mrocznym rozważaniom. Towarzystwo mu w takich chwilach działało na nią przygnębiająco. A nie miała pojęcia, co zrobić, żeby mu pomóc.

Rozdział czternasty

Spencer zdawał sobie sprawę z tego, że Zola nie czuła się dobrze w jego towarzystwie, kiedy odwoził ją do domu. Myślała pewnie, że powinien być wesoły na zawołanie, jak ona. Trudno, on ulepiony był z innej gliny.

Podobnie jak Aston, Zola próbowała pomóc mu dostrzec, że jego życie rodzinne nie było najgorsze. Jednak ani Aston, ani Zola nie przeżyli takiego dzieciństwa, jakie miał on. Nie musieli patrzeć na to, jak Bowden zawsze dostawał wszystko, czego zapragnął. Nie musieli patrzeć na to, jak Bowden zawsze unikał kary za rozmaite podłości, które wyrządzał innym, również Spencerowi.

Ulubioną linią obrony Bowdena karconego za dokuczanie bratu było: „Och, to przecież tylko żarty. Spencer o tym wie”. Było to jednak coś więcej. Bowden był okrutny i Spencer odczuwał to bardzo mocno.

O dziwo, Bowden nigdy nie zachowywał się perfidnie wobec Rity. Często nazywał ją Rita– Savannah. Kochał ją i doceniał jej talenty. Zapewne z tego powodu Rita nie rozumiała, jak czuł się Spencer, kiedy starszy brat wpadał w nastrój, którym dręczył i wyszydzał Spencera. Ona nigdy nie stanowiła ich celu.

Bowden z reguły znęcał się nad Spencerem poza domem, żeby rodzina tego nie widziała. W sąsiedztwie, w szkole, na podwórku. Może dlatego Spencer już w młodym wieku nauczył się wycofywać się, wtapiać się w otoczenie, unikać Bowdena za wszelką cenę.

Snując takie rozważania, Spencer chodził tego ranka po polach i pstrykał zdjęcia. Fotografował króliki, wiewiórki ziemne i owady – stworzenia żyjące na dzikich łąkach, wzrastające wraz z ziarnami i roślinami. Włożył wysokie buty i dżinsy, żeby chronić nogi przed jeżynami. Był w ponurym nastroju, ale zdjęcia na tym nie ucierpiały. Zrobił bajeczne ujęcie królika, który stał słupka, z błyszczącymi oczami i nastawionymi na wiatr uszami.

Spencer przyszedł tutaj, ponieważ wiedział o króliczych norach ukrytych głęboko wśród wysokich traw. Szczęście mu dopisało i udało mu się nawet upolować zdjęcie maleńkich króliczków, zwiniętych w kłębek i śpiących w gnieździe.

Zrobił jeszcze ostatnie zbliżenie delikatnych, zielonych modliszek, niemal idealnie zlewających się z rośliną, do której przylgnęły, po czym schował aparat i ruszył do domu. Słońce stało już wysoko, prosto nad głową, robiło się coraz cieplej, zapowiadał się upalny dzień. Było niezwykle gorąco jak na koniec kwietnia i mokra od potu koszula przykleiła się do pleców Spencera.

Łąki, które fotografował tego dnia, rozpościerały się w pobliżu domu Zoli i Jonas Creek Road. Spencer minął jej dom i rozpoczął wspinaczkę powrotną na Raven's Den.

Wpadło mu do głowy, żeby zajrzeć do Zoli, ale zawahał się. Nie wiedział, jak sobie poradzić z uczuciami do tej dziewczyny. Był rozdarty pomiędzy pragnieniem, by zacząć bardziej intensywnie zabiegać o jej względy, a impulsem, by się wycofać.

Myśli Spencera pobiegły znowu ku niej, gdy zbliżył się do spadającego z góry wodospadu. Przypomnił sobie dzień, w którym Zola pocałowała go z taką słodyczą na kamieniu pod kaskadą.

Gdy podszedł bliżej do basenu u stóp wodospadu, poczuł mrowienie przebiegające po kręgosłupie. Znał już to uczucie. Oznaczało, że Zola była gdzieś w pobliżu.

Usłyszał ją, zanim jeszcze ją dostrzegł. Nuciała jakąś pogodną, liryczną melodię. Spencer ukrył się za pnem wielkiego tulipanowca i słuchał, porwany tą piosenką. Ostrożnie wyjrzał zza drzewa i poszukał wzrokiem Zoli. Dostrzegł ją w basenie. Mówiła mu, że lubi tu pływać w ciepłe dni. Spencer uśmiechnął się. Był zgrzany po robieniu zdjęć na łąkach i pozazdrościł jej chłodnej wody.

Zola złapała grunt pod nogami, stanęła i radośnie wyrzuciła ramiona nad głowę. Spencer wstrzymał oddech. Była całkiem naga, pływała bez najmniejszego strzępka materiału na ciele.

Stał w ukryciu i napawał się jej urodą. Jako mężczyzna mógł się spotkać z zarzutem bezwstydnego podglądania, ale Spencer patrzył na nią również okiem fotografa. To był niewiarygodnie piękny obrazek. Uśmiechnięta, rozśpiewana dziewczyna z niezwykłą gracją kreśliła rękami na wodzie jakieś wzory w rytm piosenki. Ręka Spencera sama sięgnęła po aparat. Podniósł go, żeby pstryknąć zdjęcie, ale powstrzymał się. Sfotografowanie jej w tym momencie bez jej zgody stanowiłoby naruszenie jej prywatności. Byłoby nieetyczne.

Zola wyszła z wody i Spencer o mało nie udławił się własnym językiem. Strużki wody spływały po jej kuszących kształtach, niczym nie osłoniętych przed jego spojrzeniem. Z wdziękiem podeszła do skały, na której zostawiła złożone jedwabne *pareo*. Zręcznie związała je w prostą sukienkę, usiadła na kamieniu i rozpuściła włosy.

Teraz Spencer pozwolił sobie na zrobienie jej paru zdjęć: Zola rozpuszczająca włosy, Zola podpierająca się na łokciach i z radością patrząca w niebo, Zola śpiewająca i gestami ilustrująca słowa piosenki. Taka szczęśliwa i zachwycona światem. Potrafiła czerpać radość z najprostszyc rzeczy. Zazdrościł jej tego.

Odwróciła się nagle i zauważyła go.

– Od dawna tu jesteś? – Gdy zadawała to pytanie, motyl przefrunął obok jej ramienia. Wyciągnęła rękę, a on usiadł na jej wyprostowanych palcach.

Spencer nastawił zoom i pstryknął jeszcze parę zdjęć.

– Od niedawna – odparł i podszedł bliżej.

Zola wyciągnęła nogi do słońca i przeczesywała palcami wilgotne włosy. Przez kilka minut przyglądała mu się w zamyśleniu, po czym uśmiechnęła się.

– Wygląda na to, że i tobie przydałaby się kąpiel.

Spencer spojrział na swój przepocony podkoszulek.

– Prawdopodobnie tak.

– Możesz pływać w bokserkach. Na Mooréa widywałam tubylców w jeszcze skromniejszym przyodziewku. Niełatwo mnie zaszokować – zapewniła z ciepłym uśmiechem. – I nie będę ci robić żadnych zdjęć.

Spencer zmarszczył czoło.

– Nie jestem podglądaczem. Robiłem zdjęcia jako artysta, żeby utrwalić piękny obrazek, który aż się prosił, by go uwiecznić.

Zola podniosła na niego ciemne oczy.

– Kiedy zacząłeś fotografować?

– Kiedy już się ubrałaś – odpowiedział zgodnie z prawdą. – Nie byłoby w porządku, gdybym zaczął wcześniej. Choć miałem na to ochotę.

– No, cóż. – Przesunęła ręką po włosach. – Nieczęsto się zdarza, żeby mężczyzna podziwiał kobietę jako obiekt fotograficzny.

Spencer popatrzył na nią podejrzliwie.

– Chyba nie chcesz, żebym jakoś odpowiadał na tę uwagę, Zolakieran.

Spuściła wzrok.

– Chyba nie. I nie chciałam cię tymi słowami prowokować.

Zola podeszła do wielkiego głązu, usiadła i pluskała stopami w wodzie.

– To jedno z moich ulubionych miejsc, Spencerze. Ilekroć tu jestem, ogarnia mnie radość i poczucie oczyszczenia.

Spencer podszedł do płaskiego kamienia obok drzewa i położył na nim swój ekwipunek. Potem zdjął kamizelkę i przepocony podkoszulek. I jakby przejął od Zoli jej swobodę w traktowaniu własnego ciała, pozbył się skarpetek i dżinsów. Jedyne w prostych bokserkach wszedł do głębokiego, zielonego basenu. Brodząc dotarł do głębszego miejsca i zanurzył się.

Woda była chłodna i orzeźwiająca. Przepłynął cały basen, a potem odwrócił się na plecy i rozkoszował się opływającą jego ciało wodą. Dał się ponieść nurtowi potoku aż na płyciznę.

Wstał i żartobliwie chlapanął wodą na Zolę.

– A może wróciłabyś do basenu?

Uśmiechnęła się do niego.

– Wolę za bardzo nie kusić losu, Spencerze Jacksonie. Jesteś bardzo przystojny, kiedy tak stoisz w słońcu, ociekając wodą.

– Znam to uczucie – odparł z szerokim uśmiechem.

– Spodziewam się! – zawołała i prysnęła na niego wodą.

Spencer popływał jeszcze trochę, czując, jak opuszcza go napięcie całego

dnia, a potem wyciągnął się w słońcu na wielkim głazie obok Zoli.

– Znowu mnie zamoczyłeś – poskarżyła się.

– Wyszniiesz. – Spojrzał na nią przekornie i potrząsnął głową, pryskając na nią wodą z włosów.

Zaskoczyła go jej reakcja: przechyliła się i pocałowała go. To był kolejny słodki i spontaniczny całus. Roześmiała się potem i objęła rękami jego twarz.

– Przystojny z ciebie facet, Spencerze Gordonie Jacksonie. – Z uznaniem powiodła po nim spojrzeniem.

Odnalazł jej usta i oddał jej pocałunek. Odsunął się nieco, odgarnął do tyłu jej włosy i pocałował ją w czoło.

– A ty jesteś piękną kobietą, Zolakieran Sidello Eley Devon.

Zaśmiała się ciepłym, nieco schrypniętym śmiechem.

– Jesteś jedyną osobą, która zawsze pamięta moje pełne nazwisko.

Roześmiał się wraz z nią i podparł się na łokciach, żeby spojrzeć w niebo, podobnie jak ona robiła wcześniej.

– Zapisałem ten dzień w pamięci, utrwaliłem go w głowie jak fotografię.

– Uwielbiam, kiedy jesteś taki jak teraz, Spencerze. – Wyciągnęła się w słońcu na skale, a Spencer poszedł za jej przykładem i położył się obok.

Słońce stało wysoko na niebie i świeciło tak mocno, że nagrzana skała niemal parzyła ich w plecy.

– Zawsze najlepiej się czułem na dworze – powiedział cicho Spencer.

Przez kilka minut leżeli w milczeniu i chłonęli uroki pięknego dnia.

Spencer uświadomił sobie, że niewiele takich chwil zaznał w życiu. Szkoda.

Napłynęły przykre myśli, ale zaraz poczuł rękę Zoli ujmującą jego dłoń.

– Opowiedz o tym – zwróciła się do niego Zola. – Powierz swój ból słońcu i niebu. Niech go zabiorą.

Przeniósł na nią spojrzenie.

– To nie takie proste.

– Może być proste – powiedziała Zola. – Po prostu zamknij oczy i spróbuj. Powiedz: słońce i niebo, oddaję wam dzisiaj swój ból. Weźcie go i zabierzcie ode mnie.

Spencer zastanowił się. Dziecięca zabawa. Igraszka.

I bez dłuższego namysłu powtórzył:

– Słońce i niebo, zabierzcie ból, który pozostał we mnie po tych wszystkich sytuacjach, kiedy brat mnie zranił.

Zola wymamrotała jakieś słowa, których nie zrozumiał, i położyła miękką dłoń na jego przeponie.

– I niech ból na zawsze opuści Spencera Jacksona. Zabierzcie dzisiaj tyle, ile zdołacie, słońce i niebo, i nie dopuście, aby ta część powróciła.

Spencerowi było trochę głupio, ale odczuł znaczną ulgę.

– Twoja kolej – powiedział.

Uniosła w górę ramiona.

– Słońce i niebo, zabierzcie, proszę, nawiedzający mnie czasami dziwny smutek, spowodowany tym, że tak wcześnie straciłam matkę.

Zola położyła dłoń na własnej przeponie.

– Niech odejdzie na zawsze – powtórzyła. – Zabierzcie dzisiaj tyle, ile zdołacie, słońce i niebo, i nie dopuście, by ta część powróciła.

Spencerowi wydawało się, że widział strzępy jej cierpienia wznoszące się w błękitne niebo. Odczuł ulgę Zoli, usłyszał jej ciche westchnienie.

Zabawa wciągnęła go.

– Słońce i niebo, zabierzcie wszystkie moje dawne żale spowodowane tym, że rodziców nie było przy mnie wtedy, gdy ich potrzebowałam. Abym mógł im wybaczyć. Abym zapomniał o rozczarowaniu. Abym wyrwał się z przeszłości. Abym był wolny.

I znowu Zola położyła dłoń na jego przeponie i wymamrotała słowa, których nie potrafił zrozumieć.

– Niech znikną na zawsze! – zawołała gorąco. – Zabierzcie dzisiaj tyle, ile zdołacie, słońce i niebo, i nie dopuście, by ta część powróciła.

A potem uniosła ręce do nieba.

– O, Wielki Panie na Wysokości. Powierzamy Ci dzisiaj nasze rany i cierpienia z przeszłości. Oddajemy je Tobie oraz słońcu i niebu. Powierzamy je Tobie i uwalniamy się od nich. Wybacz, że nie daliśmy Ci ich wcześniej.

Kiedy skończyła, Spencerowi zrobiło się dziwnie lekko na sercu.

Zola usiadła prosto, opuściła rękę i podniosła z ziemi garść małych, gładkich kamyków leżących u podnóża głazu.

– Proszę. – Podała mu połowę z nich. – Wrzucaj je do wody, jeden po drugim, myśląc o tych wszystkich złych uczynkach i przykrościach, od których chciałbyś się uwolnić. To kolejny symboliczny sposób zrzucenia z siebie ciężaru. Jest zapisany w Biblii, wiesz? Jako element dawnych świąt.

Na widok jej głębokiego zaangażowania, Spencer poczuł rozbawienie i zaczął wrzucać swoje kamyczki do rwącej wody.

Spojrzała na niego i skrzywiła się.

– Musisz wierzyć, że naprawdę je od siebie odrzucasz, Spencerze – skarciła go.

Skoncentrował się i zaczął przy każdym kolejnym kamyku nazywać w myślach przykrości, od których chciał się uwolnić, o których nie chciał więcej myśleć. Zola miała rację: to rzeczywiście przynosiło odczuwalną ulgę.

Potem siedzieli obok siebie w przyjaznym milczeniu, każde zatopione we własnych myślach.

– Jesteś dla mnie dobra – powiedział z otwartością. – Próbowałem zwalczyć

uczucie do ciebie sam nie wiem dlaczego, ale chcę, żebyś wiedziała, iż darzę cię silnym uczuciem.

– A ja ciebie – przyznała, spuszczać wzrok. – I też wielokrotnie próbowałam z nim walczyć.

Wierzchem dłoni pogładził jej policzek.

– Myślisz, że jestem normalny? – zapytał impulsywnie.

Roześmiała się gardłowo.

– Nie. Myślę, że jesteś utalentowany, a to znacznie lepiej. Kto chciałby być normalny, jeśli mógłby być utalentowany?

Spencer potrząsnął głową.

– Jakbym słyszał Davida.

Zola wzruszyła ramionami.

– David mówi czasem całkiem mądre rzeczy. – Objęła kolana ramionami i zwróciła na niego pytające spojrzenie. – Dlaczego chciałbyś być tylko normalny, Spencerze?

Zastanowił się.

– Może dlatego, że zawsze na rozmaite sposoby wyśmiewano moją odrębność. – Odwrócił wzrok.

Zola zachichotała.

– Maya określiłaby tych, którzy wyśmiewali cię, że jesteś, jaki jesteś, mianem *bootoos*: tępych głupców.

Spencer uśmiechnął się do niej.

– A czy ty, Zolo, lubisz mnie takiego, jakim jestem?

Zlustrowała go uważnie, od stóp do głów.

– Zewnętrzna powłoka podoba mi się bardzo, Spencerze Jacksonie. I to, co zobaczyłam dzisiaj wewnątrz, również dość mi się spodobało. Kiedy pozwalasz sobie na bycie naturalnym, jak dzisiaj, ogromnie cię lubię. Lubię kryjącego się w tobie twórczego artystę i myśliciela. I radosnego mężczyznę, który potrafi się cieszyć darami natury.

Jej słowa poruszyły go i dotknęły bolesnego miejsca w jego duszy.

Puścił kaczkę po powierzchni wody.

– Czasami wyruszam na wyprawę fotograficzną jeszcze przed świtem i przez godzinę czy dwie czaję się w ukryciu, za zasłoną gęstych krzaków, żeby zrobić zdjęcie wodnych ptaków, które wylatują po raz pierwszy w światło dzienne. Albo żeby utrwalić pierwsze promienie słońca tańczące na wodach jeziora. – Ujął dłoń Zoli. – Przy tobie odczuwam podobną radość, Zolo. Wniosłaś w moje życie światło. Piękno i wdzięk. Jestem ci za to wdzięczny.

Podniósł jej rękę do ust i pocałował.

Zola wtuliła się w jego ramiona, objęła go mocno i poszukała jego ust. To była jeszcze jedna z tych ekstatycznych chwil – gdy trzymał ją w objęciach

i całował w ciepłych promieniach słońca, w huku spadającego za ich plecami wodospadu. Spencer znajdował dziwną przyjemność w tym, że tylko całował ją i tulił do siebie, choć byli przecież prawie nagi, on tylko w bokserkach, z gołym torsem, ona owinięta cieniutkim *pareo*.

Podnieśli się na kolana, aby być jeszcze bliżej, obejmować się mocniej, intymnie i blisko. Jedną z tych sytuacji gdy człowiekowi uderza do głowy.

Spencer wyczuł, kiedy przyjemność zaczęła przeradzać się w gorącą namiętność i odsunął się. Zola roześmiała się i próbowała przyciągnąć go znowu do siebie, ale on pokręcił głową, zsunął się ze skałki i ruszył w stronę sterty pozostawionych na brzegu ubrań.

Kiedy pożądanie stało się tak silne, że przestraszył się, iż straci nad sobą kontrolę, przypomniał sobie ostrzeżenie dziadka Zoli przed naturalnym, spontanicznym, ognistym temperamentem, który zawdzięczała swemu pochodzeniu. Dzisiaj, ogarnięty namiętnością, mógłby posunąć się daleko, ale to nie byłoby dobre.

Włożył dzinsy i wciągnął przez głowę podkoszulek, który zdążył tymczasem wyschnąć. Potem usiadł, żeby włożyć skarpety i buty.

Zola uśmiechała się do niego ze skały.

– Nie jestem pewna, czy nadal mam ochotę cię obejmować, kiedy masz na sobie ten przeпоcony podkoszulek. – Skrzywiła się z niesmakiem.

– To dobrze – odparł Spencer z uśmiechem. – Potrzebuję ochrony przed czarem, jaki na mnie rzuciłaś, wyspiarko.

– Rzuciłam? – Zola wyglądała na zadowoloną.

– I to potężny.

Dziewczyna zsunęła się ze skały i rozejrzała się za własnym ubraniem. Odwróciła się tyłem, żeby włożyć szorty pod *pareo*, a potem wsunęła stopy w tenisówki.

Spencer uśmiechnął się do niej.

– Pracujesz jutro?

– Tak – odpowiedziała.

– A pojutrze?

– Mam wolne – stwierdziła z uśmiechem.

– Skoro jesteś wolna, to wybierzemy się w jakieś wyjątkowe miejsce.

Zalotnie przechyliła głowę na bok.

Roześmiała się.

– Przyjdę po ciebie po śniadaniu i zabiorę cię na jeden ze szczytów górskich, powyżej granicy lasów. Ja zrobię trochę zdjęć, a ty możesz w tym czasie podziwiać widoki. Co ty na to?

– Brzmi zachęcająco.

Spencer odwrócił się i zaczął się wspinać ścieżką prowadzącą do domu.

Musiał odejść, bo nie ufał sobie, kiedy Zola była w takim nastroju.

– Jesteś znacznie lżejszy, Spencerze! – zawołała za nim.

Odwrócił się i spojrzał na nią pytająco.

– Z pewnością to czujesz. – Uniesioną ręką nakreśliła kółko nad głową. – Już nie przygniata cię taki ciężar. Nie czujesz zmiany?

Spencer musiał w głębi ducha przyznać jej rację, choć nie miał ochoty tego głośno potwierdzić.

– To był dobry dzień, Zolo – powiedział zamiast tego.

Uśmiechnęła się.

– Tak, to prawda.

W drodze powrotnej do Raven's Den Spencer zastanawiał się, czy gra, w którą zabawiali się z Zolą, rzeczywiście pomogła mu pozbyć się części dawnych smutków, które tak długo nosił w sobie. Na razie nie mógł mieć jeszcze pewności, czy było mu lżej na duchu z powodu przyływu uczuć do Zoli po upojnych chwilach przy wodospadzie, czy też naprawdę pozbył się części ciemności spowijających jego duszę. Może następnego dnia będzie mógł powiedzieć na ten temat coś więcej. Na razie mógł tylko powtórzyć jeszcze raz, że to był cudowny dzień. I że tej nocy z pewnością będzie śnił o wodnej nimfie, którą zobaczył wynurzającą się z basenu pod wodospadem. Przecież nie był ślepcem!

Rozdział piętnasty

Schodząc z góry, Zola uświadomiła sobie, że tego dnia przekroczyli ze Spencerem Jacksonem pewną granicę. Wreszcie otworzył się przed nią, zwierzył się jej przynajmniej z niektórych cierpień sprzed lat. I wyznał uczucie, jakie do niej żywił.

Och, nie powiedział na razie, że ją kocha. Może jednak jeszcze nie czas na to. Zola również nie była pewna, czy sama jest już gotowa wypowiedzieć te słowa. Niemniej czały się one zarówno w jej sercu, jak i w jego.

Kiedy ścieżka zakręciła w stronę jej domu, Zola zobaczyła na ganku znajomą postać. Nie powinna być zaskoczona widokiem Nany Etty siedzącej na ganku i czekającej na jej powrót, a jednak była.

Kiedy podeszła bliżej, spostrzegła, że babcia robiła na szydełku kolorowe łąпки do podnoszenia garnków. Nana Etta zawsze musiała mieć zajęte ręce.

– W moim życiu pojawił się mężczyzna, tak naprawdę – wyznała Zola, wchodząc na ganek.

– Tak, widziałam to. Dlatego przyszłam.

Zola pochyliła się i pocałowała babcię.

– Niewiele osób wie, że masz dar widzenia, Nano.

– Objawia się tylko czasami i wyłącznie w sprawach praktycznych. – Babcia zauważyła przemoczone *pareo* Zoli. – Pływałaś nago z tym mężczyzną?

– Nie. – Zola otworzyła drzwi domu i sięgnęła po podkoszulek, który zostawiła przewieszony przez oparcie krzesła. Odwróciła się do babci plecami, rzuciła mokre *pareo* i włożyła podkoszulek. – Robił zdjęcia i wracając do domu przyłapał, mnie w basenie pod wodospadem. – Rozwiesiła *pareo* na oparciu fotela na słońcu, żeby wyschło. – Do niczego nie doszło, jeśli nie liczyć pewnych wyznań i odrobiny tego, co twoja przyjaciółka Judy nazywa pieszczotkami.

– Hmm – mruknęła Nana.

Zola usiadła w dużym fotelu bujanym na ganku i zaczęła się huśtać. Wolałaby teraz rozkoszować się rozmyślaniami o wydarzeniach tego dnia, niż poddawać się surowemu egzaminowi babci.

Nana wróciła do pracy nad szydełkowym uchwytem do garnków.

– Widziałam na własne oczy, że chłopak jest chrześcijaninem, ale jego relacja z Bogiem nie jest tak bliska jak twoja.

– A czyja jest, Nano? – Zola sama usłyszała w swoim głosie kłótlivy ton.

– Masz trochę racji – przyznała babka. – Dałaś dzisiaj temu chłopakowi wyzwolenie. – Popatrzyła na Zolę znacząco. – Myślisz, że to zrozumiał?

– Nie. – Uśmiechnęła się. – Ale wie, że jest mu lżej. Widziałam, że część jego dawnych cierpień i smutków odeszła.

– Jak udało ci się tego dokonać bez sprzeciwu z jego strony?

Zola uśmiechnęła się od ucha do ucha.

– Zabawiłam się z nim w pewną grę, w którą grywała ze mną mama. Oddawaliśmy rozmaite dręczące nas rzeczy słońcu i niebu. A ja w trakcie zabawy niepostrzeżenie ofiarowywałam zasadniczą część naszych cierpień Bogu. Przecież Bóg jest we wszystkim, Nano. Jest w słońcu i niebie.

– Tak, ale ta zabawa ociera się o praktyki pogańskie i sama o tym wiesz. – Starsza kobieta obrzuciła Zolę karcącym spojrzeniem. – Aczkolwiek wiem, że Bóg pragnie, aby ten chłopak zrzucił z siebie część brzemienia z przeszłości.

– Dowiedziałaś się o tym czegoś konkretnego, Nano? – Zola spojrzała pytająco na babkę.

– Troszeczkę wiem. Niewiele. – Nana Etta podjęła szydełkowanie. – Miał wiele traumatycznych przejść w początkowym okresie życia. Musi upłynąć trochę czasu, zanim się z tym wszystkim upora. Przeszłość może od czasu do czasu ożywać i ranić was oboje, jeśli wasz związek będzie trwał. Jesteś na to gotowa?

– Jeżeli on może zaakceptować moje dziwactwa, to chyba ja mogę przyjąć jego. – Zola zachichotała. – Najtrudniej mu pogodzić się z drobiazgami, które czasem widzę.

I opowiedziała babce o tym, jak zobaczyła osy pod jego drzewem, i poinformowała go o truciźnie pod kuchennym zlewem.

Nana parsknęła śmiechem.

– Pamiętam swoją reakcję, kiedy jako mały szkrab przyjechałaś tu, by z nami zamieszkać i widywałaś tego typu rzeczy. Chwilę potrwało, zanim się z tym oswoiłam.

– Ty przecież też widzisz, Nano.

Potrząsnęła głową.

– Nie w ten sposób, dziewczyno. I bardzo rzadko się zdarza, żeby dobry Bóg prosił, bym przekazała coś innym. Ja po prostu odbieram od czasu do czasu pewne informacje.

– Martwisz się moim związkiem ze Spencerem?

– Trochę – przyznała. – Ale oboje z Vernem lubimy Spencera. I nie mamy obiekcji wobec twoich kontaktów z nim... chyba że on sam sprawi, że zmienimy zdanie.

Zola westchnęła. Ulżyło jej, że dziadkowie dobrze myśleli o Spencerze. W przeciwnym razie byłoby jej przykro.

Nana utkwiała w jej twarzy spojrzenie pełne dezaprobaty.

– Chwilowo znacznie bardziej mnie martwi ta historia z Aldo Toomeyem i madame Renee oraz rozpuszczane przez Bena Lee pogłoski, że zamierzasz rozwiązać zagadkę zaginięcia jego córki. – Pogroziła palcem przed nosem Zoli. – Nie podoba mi się, że narażasz się na niebezpieczeństwo.

– Och, Nano, przecież wiesz, że Aldo Toomey jest całkowicie niegroźny.
– Tak, ale Renee Dupres stoi po stronie ciemności. Nie podoba mi się to, co myśli i mówi o tobie, Zolo. Myślami i słowami ściąga chorobę.
– Zacznę się więcej modlić za nią, Nano.
– Powinnaś. Nie wolno nie doceniać wroga, Zolo. – Zwróciła na nią poważne spojrzenie. – Trzymaj broń w pogotowiu. I nie zapominaj o życiu w modlitwie.

Zola kiwnęła głową.

Babka wstała.

– Idź również porozmawiać z Benwenem Lee. Wyjaśnij mu to i owo. Módl się, by znaleźć odpowiednie słowa, które do niego trafią. Trzeba powstrzymać tę gadaninę, Zolo. To nie ułatwia ludziom zrozumienia, kim jesteś.

– Dobrze. – Zola zdawała sobie sprawę, że babcia miała rację. Już zbyt długo tolerowała plotki rozsiewanie przez Bena.

Nana podchwyciła jej spojrzenie.

– Jutro spodziewam się dokładnej relacji z twojej rozmowy z Benem.

W ten właśnie sposób babcia zawsze z nią postępowała: bardzo jasno przedstawiała swoje oczekiwania, żeby Zola nie mogła odkładać na później tego, co powinna zrobić. Babka zdawała sobie sprawę z tego, że Zola miała skłonność do unikania trudnych problemów w nadziei, że rozwiążą się same, bez podejmowania przez nią jakichkolwiek działań.

Westchnęła.

– Czy powinnam również iść porozmawiać z Renee?

Nana prychnęła.

– Ta kobieta nie chciałaby cię nawet wysłuchać, choćbyś przedstawiała jej najbardziej racjonalne argumenty. Możesz tylko modlić się, żeby doznała oświecenia. I wyszła z mroku. Dopiero wtedy będzie w stanie usłyszeć i zrozumieć słowa prawdy. Na razie trzymaj się po prostu od niej z daleka.

Zola uznała słuszność słów babki. Wszelkie dotychczasowe rozmowy z Renee okazywały się bezowocne.

– Odwieźć cię do domu? – zapytała Zola.

– Nie! – rzuciła Nana Etta z irytacją i zaczęła schodzić po schodkach z ganku. – Kiedy przyjdzie taki dzień, gdy nie zdołam przejść na piechotę tych paru kroków po własnej farmie i będę potrzebowała podwózki, dam ci znać.

Zola zasłoniła dłonią uśmiech.

Nana zatrzymała się, żeby schować robótkę do kieszeni fartucha.

– Może wpadałabyś dzisiaj do nas na obiad, jeśli nie będziesz zbyt zajęta myśleniem o niebieskich migdałach? Mam kurczaka z kluskami i upiekłam placek z jagodami, które uzbierałam minionego lata.

– Dobrze, przyjdę. – Zola pomachała jej na pożegnanie.

Nana popatrzyła na nią z marsową miną.

– I włóż pod te ciuszki jakąś bieliznę. Chodzenie bez bielizny jest nieprzyzwoite.

Zola przewróciła oczami, kiedy babcia ruszyła ścieżką do swojego domu.

Okazało się, że przed obiadem u dziadków Zola nie znalazła zbyt wiele czasu na marzenia. Nieco lepiej było następnego dnia, w pracy, kiedy oddawała się im w przerwach pomiędzy poszczególnymi klientami. Uznała stan, gdy czuła się niemal zakochana, za całkiem przyjemny – miło było mieć o kim myśleć i marzyć.

Spencer zadzwonił poprzedniego wieczora dwa razy, najpierw dość wcześnie, a potem znowu, kiedy już kładła się do łóżka po długim dniu.

– Dzwonię koło dziesiątej – powiedział – bo wiem, że o tej porze chodzisz spać.

– Czy to w porządku? – zapytała Zola z uśmiechem.

– Tak. Lubię rozmawiać z tobą na chwilę przed zaśnięciem. – Jego głos zabrzmiał nieco ochryple. – Myślę, że dziesiąta stanie się moją stałą porą telefonowania do ciebie.

Ziewnęła.

– Możesz mi opowiadać bajki na dobranoc albo śpiewać kołysanki.

– Albo szeptać do ucha słodkie słówka. – Jego głos stał się bardzo miękki.

Zola wtuliła się w poduszkę.

– To mogłoby mi się spodobać.

– Za to ja miałbym później trudności z zaśnięciem! – Spencer roześmiał się.

– Może powinienem poruszać mniej osobiste tematy, na przykład poinformować cię, że osy całkowicie wyginęły. Wiesz, jestem ci bardzo wdzięczny, że zapobiegłaś uządleniu ciekawskiego psiego nosa.

– Zeke to świetny pies. Od kiedy go masz?

Rozmowa potoczyła się w tym duchu, coraz bardziej swobodna i naturalna. Zola wspominała te ciepłe chwile, gdy podążała za Spencerem wąską, przeznaczoną dla jednej osoby ścieżką prowadzącą na trawiastą łąkę na jednym ze szczytów Smoky Mountains.

Spencer miał na sobie kamizelkę fotografa i aparat zawieszony na szyi. Niósł też plecak z wodą i częścią lunchu oraz przerzucony przez ramię statyw. Idąca za nim Zola podziwiała jego szerokie barki.

Ona również miała niewielki plecak z pozostałą częścią lunchu. Pod pachą niosła starą kołdrę, zrolowaną i związaną sznurkiem.

– Kiedy powiedziałeś, że idziemy na wysokogórską łąkę, byłam pewna, że wybieramy się na Andrews Bald albo na Gregory Bald.

– Wszyscy tam łążą. – Spencer obejrzał się przez ramię i uśmiechnął się do niej. – Poza tym, czy schodziłaś kiedyś z góry na Andrews Bald?

Zostawili samochód na parkingu przy końcu Clingmans Dome Road u stóp

góry. Zola wiedziała, że trakt na szczyt biegł południowym zboczem wzdłuż Forney Ridge.

Grzebała w pamięci.

– Wydaje mi się, że z Andrews Bald jest wspaniała panorama gór.

– Tak. I to wszystko. – Spencer roześmiał się. – Szlak prowadzący ze szczytu w dół, ku łące jest nieciekawy, a na otwartej przestrzeni roi się od komarów i innych owadów. Trudno się od nich opędzić. A trawa rośnie tam naprawdę po pas. Rozczarowało mnie to miejsce. Znam znacznie przyjemniejsze i nie mniej malownicze szlaki prowadzące na inne górskie łąki.

– Więc dokąd prowadzi szlak, którym idziemy? – Skierowali się z parkingu na północny zachód i skalistym grzbietem wspinali się do skrzyżowania z Appalachian Trail idącego od Clingmans Dome.

Spencer poprowadził ją dalej skalistym grzbietem. Wyciągnął rękę.

– To trasa na Mount Buckley. Widzisz ją na wprost. Stąd to już tylko krótki spacer.

Na lewo od szlaku ich oczom ukazała się trawiasta łąka w leżącej wyżej partii górskiego zbocza. Panorama gór była imponująca. Zola stanęła, by ją podziwiać.

Spencer odwrócił się do niej z uśmiechem.

– Najpierw dojdziemy do tego miejsca na Mount Buckley, gdzie chcę robić zdjęcia, a potem wrócimy tutaj, rozłożymy kołdrę i zrobimy sobie piknik. Wtedy będziesz mogła napatrzeć się do syta, Zolo. To wspaniałe miejsce.

– Rzeczywiście. – Obejrzała się za siebie. – I niezbyt oddalone od parkingu. Ciekawe, dlaczego moi krajanie nie przychodzą tutaj, żeby podziwiać widoki?

Był dzień roboczy, więc niewielu turystów wyruszyło w te okolice i nikt z nich nie wybrał tego szlaku. Wszyscy poszli w góry szlakiem prowadzącym do Clingmans Dome Tower albo zeszli Forney Ridge Trail na bezdrzewną łąkę.

– Ludzie są jak lemingi. – Spencer przeniósł statyw na drugie ramię. – Idą tam, gdzie zmierzają inni, albo wybierają miejsca, o których słyszeli od innych.

Zola uśmiechnęła się do siebie. Dobrze było wiedzieć, że Spencer sam przyznawał, iż woli chodzić własnymi drogami.

Szlak biegnący na szczyt Mount Buckley, stawał się bardziej stromy.

– Jaką wysokość ma Mount Buckley? – zapytała Zola.

– 6580 stóp. Dzisiaj weszliśmy naprawdę wysoko. Mount Buckley to czwarty pod względem wysokości szczyt Smoky Mountains. Najwyższy jest Clingmans Dome, tam za nami. Ma 6643 stopy. W pogodny dzień z wieży na szczycie rozciąga się widok na sto mil.

– Dziś jest pogodnie, ani śladu mgły, która tu czasem zalega. – Zola z zadowoleniem wiodła wzrokiem po poszarpanej linii górskich szczytów. – Wiedziałaś, że dzisiaj będzie dobra widoczność?

– Śledziłem prognozy pogody – przyznał Spencer uczciwie. – Chciałem przyjść tutaj w taki dzień, żeby zrobić dobre zdjęcia górskich grzbietów. One zawsze dobrze się sprzedają.

– Wszyscy lubią górskie krajobrazy, zamglone barwy, blednące w oddali. – Westchnęła, nie odrywając oczu od panoramy.

– Dam ci fotogram do oprawienia, jeśli znajdziesz dla niego miejsce w swoim domu.

– Znajdę – zapewniła Zola. – A ty skup się na znalezieniu odpowiedniego miejsca do zrobienia wspinających zdjęć.

Roześmiał się.

– Taki mam zamiar.

Na szczycie Mount Buckley wśród skał rosły drzewa. Poniżej wierzchołka rozciągały się skalne rumowiska, jeszcze niżej połacie trawy. Zola usiadła na kamieniu, żeby odpocząć i podziwiać widoki, a Spencer fotografował.

Zamknęła oczy, rozkoszując się ciszą i spokojem. Z doliny dobiegało stukanie dzięcioła. W powietrzu unosiło się cichutkie brzęczenie owadów. Słyszała wysokie nuty śpiewaka z rodziny gajówek, który zapewne wrócił z końcem kwietnia w wyższe partie gór. W panującej ciszy pochwyciła nawet uchem podobny do fletu głos drozdka brunatnego. Ten ptaszek zazwyczaj śpiewał tylko o świcie i o zachodzie słońca.

– Ranek już w pełni, za późno na śpiewanie, mój mały przyjacielu, ale cieszę się, że mogłam cię usłyszeć. – Babka nauczyła Zolę rozróżniać głosy ptaków, kiedy była jeszcze małą dziewczynką. Taka wiedza zdobyta w dzieciństwie na długo pozostaje w pamięci.

– Do czego tak się uśmiechasz? – zapytał Spencer. Podeszedł i pocałował ją w czoło.

Ten gest ujął ją za serce.

– Jeśli posłuchasz uważnie, to usłyszysz śpiew drozdka brunatnego. Myślę, że siedzi na drzewie za tą granią. Nie widzę go.

Spencer stał bez ruchu i nasłuchiwał. Podobny do fletu głos rozległ się znowu. Rozglądał się po drzewach w poszukiwaniu ptaszka. Nastawił aparat z zoomem w kierunku, z którego dobiegał śpiew, i przeszukiwał teren.

Zola widziała, że w pewnym momencie uśmiechnął się i zrobił kilka zdjęć.

– Naprawdę go znalazłeś?

– Chyba tak. To mały, brązowy ptaszek podobny do strzyżyka? – Pokazał jej cyfrowe zdjęcie.

– Tak, to on. – Uśmiechnęła się z zadowoleniem. – Rzadko udaje się zrobić zdjęcie tym małym śpiewakom. Nana z pewnością będzie chciała zobaczyć tę fotografię.

– Mogę oprawić to zdjęcie i przekażesz je Nanie ode mnie jako prezent.

Zola zarzuciła mu rękę na szyję i pociągnęła go w dół, by móc go pocałować.

– Uwielbiam spędzać z tobą czas – wyznała.

– A ja z tobą – odpowiedział jej z uśmiechem.

Potem, kiedy Spencer zakończył już poranną sesję fotograficzną, siedzieli oboje leniwie na kocu, który rozłożyli na niewielkiej trawiastej łączce z widokiem na błękitne pasma gór. Zjedli kanapki, a potem chrupali zielone, winogrona bez pestek, napawając oczy panoramą gór.

– Spójrz. – Spencer wskazał ręką grzbiety gór. – Między szczytami widać stąd jezioro Fontana.

Zola spostrzegła błysk wody w miejscu, które wskazywał.

– Widzę – stwierdziła. – To niesamowite, że widać aż na taką odległość.

Spencer położył się z rękami pod głową i zamknął oczy.

W czasie gdy on odpoczywał, Zola badała łąkę na szczycie wzniesienia. Zerwała kilka polnych kwiatów, choć wiedziała, że powinno się zostawić to miejsce w nienaruszonym stanie. Ale rosło tu tyle kwiatów! A przez cały dzień nie spotkali w pobliżu żywej duszy.

Wróciła na koc z bukietem roślin. Rozłożyła swą zdobycz na kolanach.

– Co tam masz? – Spencer był ciekaw co znalazła.

– Parę dzikich irysów. – Podsunęła mu jeden z kwiatów, żeby mógł się lepiej przyjrzeć. – Czy wiedziałeś, że w parku narodowym rosną aż cztery różne odmiany? Odmiana liliowa jest nazywana błękitnooką trawą. Jej żółte środki przyciągają pszczoły. Tam w dole po prawej jest ich cały rój.

Pokazała mu ręką, a potem wręczyła mu kolejny kwiat i uśmiechnęła się.

– A to, oczywiście, moje ulubione jaskry. Takie wesołe, żółte kwiatki.

Przykląkł obok niej na jedno kolano, a wówczas Zola żartobliwie wsunęła kwiat w dziurkę od guzika jego koszuli.

Uśmiechnął się i wsunął drugi kwiat w jej włosy za uchem.

Zola musnęła palcami jego wargi. Kochała, kiedy tak się uśmiechał.

– Wiesz, Ralph Waldo Emerson powiedział, że „kwiaty to uśmiechy ziemi”. Mnie również skłaniają do uśmiechu. To takie radosne dzieła Stwórcy.

Wsunęła kwiat do kieszonki koszuli Spencera, zakreślając przy tym palcami krąg wokół jego serca.

Jego oczy pociemniały.

– W takich chwilach jak ta doprowadzasz mnie do obłędu z pożądania, Zolakieran. Jesteś taka piękna i pełna życia.

Otoczył ją ramionami i pochylił głowę do pocałunku. Zola wsunęła palce w jego włosy i pocałowała go z radością.

To była piękna chwila, gdy tak klęczeli na starym kocu, obejmując się ramionami, na kwitnącej łące pośród oszałamiających krajobrazów Smoky

Mountains.

Usłyszała westchnienie Spencera, gdy przeniósł wargi z jej ust na policzek, a potem we włosy nad uchem.

– Wiesz, że zaczynam kochać się w tobie – szepnął ochryłym głosem.

Serce Zoli rozśpiewało się.

– A ja w tobie, Spencerze Jacksonie. – Znowu poszukała jego ust i spleceni w uścisku padli na koc.

Spencer opierał się na Zoli. Cudowny był dotyk jego ciała w ciepłych promieniach słońca. Całowali się i szeptali sobie do ucha czułe słowa, rozkoszując się tą chwilą i świadomością rodzącej się miłości.

Zola swawolnie przygryzła ramię Spencera i dmuchnęła mu w ucho. Wyczuła, jak jego ciało sztywnieje. Coś się w nim zmieniło. Coś zajęło jego myśli. Oddalił się od niej.

Sfrustrowana, poszukała znowu jego ust. Tym razem całował ją inaczej, dużo mocniej. I zaczął szybciej oddychać. Wsunął język pomiędzy jej zęby, a jego dłonie przesuwaly się po jej ciele swobodniej.

Czy sprawy wymykają się nam spod kontroli?, zastanawiała się Zola, poddając się jego pieścizdom, a jednocześnie paradoksalnie zachowując dystans.

Wargi Spencera przemknęły jej szyję i zaczęły zsuwać w dół, ku piersiom. Miała na sobie tylko cienki podkoszulek w prążki, żeby wystawić jak największą część ciała do słońca. Usta Spencera błdziły po jej skórze. Nic jednak nie było w porządku.

Oto nagle usłyszała go – ten głos w swojej głowie. Powtarzał imię innej kobiety, tej, o której Spencer myślał, całując ją. Wspominał namiętne chwile z przeszłości.

Geneva, Geneva, usłyszała w myślach jego głos.

Wstrząśnięta Zola zaczęła, aż przed oczami jej duszy pojawi się ostry obraz. I wtedy wiedziała. Myślał o swej dawnej kochance. Gorzej, myślał o kobiecie, która była żoną jego brata.

Zrodził się w niej bunt. Odepchnęła Spencera od siebie i uderzyła go, żeby przestał ją całować. Ogarnęła ją furia.

Zerwała się z koca, żeby zwiększyć dzielącą ich odległość. Nie chciała, by ją dotykał.

Spencer otworzył oczy i spojrzał na nią zdezorientowany.

– Jak śmiesz! – Otoczyła się ramionami w obronnym geście. – Leżysz tu ze mną, całujesz mnie i mówisz, że zaczynasz się we mnie kochać, a myślisz o żonie swojego brata!

Spencer próbował znowu wziąć ją w ramiona, ale uniosła rękę, gotowa go uderzyć.

– Niech ci nawet do głowy nie przyjdzie, żeby mnie dotknąć, Spencerze

Jacksonie. Ani teraz, ani nigdy.

Westchnął ciężko i przeczesał palcami włosy.

– Przedtem nie myślałem o niej, Zolo. I to, co mówiłem, było szczere. Ale zrobiłaś coś... między nami wydarzyło się coś... co na moment obudziło dawne wspomnienia. Ale to bez znaczenia.

Zgromiła go wzrokiem.

– To bez znaczenia, że powtarzasz w myślach imię innej kobiety, że myślisz o pocałunkach innej kobiety, że wspominasz namiętność i miłość innej kobiety, kiedy jesteś ze mną? Masz mnie za szaloną, jeśli sądzisz, że to zaakceptuję.

Nerwowo przeciągnął ręką po szyi.

– Przepraszam, Zolo. Czasami zdarza mi się myśleć o przeszłości. Wydarzenia sprzed lat powracają. Nic na to nie poradzę.

Mocniej skrzyżowała przed sobą ramiona.

– Mogę pogodzić się z wieloma twoimi problemami z przeszłości, Spencerze. Nawet z takimi, których nie zdecydowałeś się jeszcze ze mną podzielić. Ale nie pogodzę się z tym, że wspominasz inną kobietę, i to akurat wtedy, kiedy się kochamy. Za dużo tego dobrego, jak dla mnie.

Wzdrygnęła się.

– Szczególnie, kiedy kobieta, której pożądasz i o której myślisz, jest żoną twojego rodzonego brata. To obrzydliwe! Romansowałeś z nią już po jej ślubie z twoim bratem? A może to jest przyczyna poczucia winy, cierpienia, które nosisz w sobie? To, że zdradziłeś go z jego własną żoną?

Twarz Spencera wykrzywił gniew. Zola przestraszyła się, widząc, jak zacisnął pięści.

– Byliśmy zaręczeni! – warknął. – Geneva i ja byliśmy zaręczeni. Bowden uwiódł ją, kiedy wyjechałem do college’u. Ożenił się z nią i odebrał mi ją. Tak jak odbierał mi wcześniej wiele innych rzeczy. Była po prostu jeszcze jedną rzeczą, którą mi ukradł. I cieszył się z tego. Zadzwoił, żeby mnie o tym zawiadomić z poczuciem triumfu, choć udawał, że starał się przekazać mi tę wiadomość możliwie delikatnie. Powiedział, że ona nigdy naprawdę mnie nie kochała i że powinienem być zadowolony, iż dowiedziałem się o tym przed ślubem.

Zola obserwowała jego gniewną twarz.

– A czy ona ciebie kochała, ta twoja Geneva?

– Tak! – Spencer nerwowo zaciskał i otwierał pięści zwieszonych po bokach rąk. – Mówiła, że mnie kocha. Okazywała mi miłość.

Zola zaczęła zbierać swoje rzeczy.

– Ludzie często mówią coś, czego nie myślą, Spencerze. I często udają namiętność, której wcale nie czują. – Rzuciła mu znaczące spojrzenie. – Jak dzisiaj, na przykład.

Spencer nie odrywał spojrzenia od jej rąk, którymi pakowała plecak.

– Powinniśmy o tym porozmawiać, Zolo. To nie tak, jak myślisz.

– Nie. Jest gorzej, niż myślałam. – Zepchnęła Spencera, żeby móc zrolować koc. – Przyczyną twoich cierpień nie są wyłącznie rany zadane przez rodzinę i terroryzującego cię brata, ale również utrata kogoś, kogo kochałeś. I nie otrząsałeś się z tego jeszcze.

– Zolo, niepotrzebnie to wyolbrzymiasz ...

Łzy napłynęły jej do oczu.

– Była bardzo piękna, prawda? Bardzo wyrafinowana. Wytworna i pewna siebie. Typ kobiety, która przyciąga spojrzenia wszystkich mężczyzn, wchodząc do pokoju.

Spencer siedział w milczeniu, z kwaśną miną.

Spojrzała mu w oczy.

– A ja jestem jej przeciwieństwem, prawda? Czułam wielokrotnie, że porównywałeś mnie do niej. – Jej głos załamał się, przeszedł w szloch. – I zawsze wypadałam gorzej od niej, prawda?

Spencer wyciągnął do niej rękę.

– To nie było tak, Zolo.

– Nie było tak? – rzuciła wyzywająco.

Znowu wsunął palce we włosy i wyraźnie szukał odpowiednich słów. Nie znajdował ich jednak.

– Chcę wrócić do domu, Spencerze. Poszłabym na piechotę, żeby nie musieć jechać z tobą, ale to za daleko. – Wstała.

Spencer pakował swój ekwipunek, starając się powiedzieć coś, co zmniejszyłoby napięcie. Żadne słowa nie wydawały mu się jednak właściwe ani prawdziwe.

Kiedy schodzili w dół, spróbował znowu.

– Chciałbym, żebyś mnie zrozumiała, Zolo. Było mi bardzo ciężko, kiedy Geneva i Bowden się pobrali. A rodzice i Rita nie widzieli nic złego w tym, że oni się zeszli, gdy tylko zniknąłem z pola widzenia. Stało się tak, jak działo się zawsze. Bowden dostał to, czego chciał. Rodzice zachowywali się, jakby wszystko było w porządku. Nawet nie zauważyli, co przeżywałem. Nie obchodziły ich moje uczucia.

Zola popatrzyła na niego.

– Ile lat temu to się stało, Spencerze?

– Dwanaście – przyznał ponuro.

– I od dwunastu lat dąszasz się z tego powodu? Od dwunastu lat użalasz się nad sobą i chowasz urazę? – Z gniewem ciskała w niego tymi słowami. – Co za niesamowita strata!

– Nie rozumiesz! – wyrzucił z siebie ze złością. – To nie było w porządku!

– Och, daj spokój, Spencerze. Życie w połowie składa się z rzeczy, które nie

są w porządku. Ale należy się koncentrować na tej drugiej połowie. I cieszyć się nią. W przeciwnym razie naprawdę staniesz się kimś godnym politowania. – Odsunęła się od niego jak najdalej i oparła się o drzwi, jakby chciała zwiększyć dzielący ich dystans.

Nie odpowiedział, ale zauważyła, że znowu ścisnął rękami kierownicę i ciężko dyszał, walcząc z przyływem emocji.

W milczeniu zjechali z góry. Wreszcie Zola odezwała się ponownie.

– Mają już wspólne dzieci, prawda? Mają dzieci i mogę się założyć, że nawet ich nie widziałeś.

– A dlaczego miałbym je oglądać? – rzucił w odpowiedzi. – Dlaczego miałbym oglądać ich synów? – W jego głosie brzmiało napięcie i ból.

– Dlatego że to twoi bratankowie, Spencerze. Twoja rodzina. – Zwróciła się ku niemu z sercem ściśniętym bólem. – To tylko dzieci, mali chłopcy. Tacy jak Eddie, którego znaleźliśmy w górach. W tym wszystkim nie ma ich winy, a ty każesz im za to płacić, pozbawiając ich swojej miłości przez tyle lat. Nie pozwalając im poznać stryja Spencera.

Zbyt ostro wszedł w zakręt, wyraźnie zdenerwowany.

– Łatwo patrzeć na tę sprawę racjonalnie, Zolo. Ale dużo trudniej to przeżywać. Czasami tak już jest. Nie da się czegoś zrozumieć, dopóki się tego nie przeżyje. – Zwrócił na nią udręczone spojrzenie.

– Rozumiem tylko, że ty sam skazałeś się na cierpienie z tego powodu przez te wszystkie lata. To ty zatrzymałeś czas w momencie, gdy to się stało. Wszyscy inni żyją dalej. To smutne, Spencerze. – Głos Zoli brzmiał łagodniej.

– Nie chcę twojej litości, Zolo. – Jego głos był ochryply.

– Nie chcesz? – zapytała. – Ale ci, którzy żyją przeszłością, budzą powszechną litość, Spencerze.

– Szkoda, że nie starasz się mnie zrozumieć, Zolo – odezwał się cicho Spencer, kiedy podjechali pod jej dom. – Było mi wtedy bardzo ciężko. I niekiedy te przeżycia do mnie wracają, od czasu do czasu. Ale to, co mówiłem o swoich uczuciach do ciebie, jest prawdą. Przykro mi, że zajrzałaś w moje myśli. To, że potrafisz przejrzeć najskrytsze myśli człowieka, sprawia mi w naszej relacji ogromną trudność. To naprawdę nie fair.

Zola popatrzyła na Spencera i wysiadła z samochodu.

– Tak, chyba to rzeczywiście nie jest fair. Ale czuję głęboką wdzięczność, że dane mi było dzisiaj dostrzec prawdę, chociaż jej odkrycie okazało się bolesne. Z drugiej strony wolę nawet nie myśleć o tym, jak bardzo bym cierpiała, gdybym dowiedziała się o tym później. Kiedy już zaangażowałabym się całym sercem.

Spencer westchnął.

– Słuchaj, zadzwonię do ciebie wieczorem. Porozmawiamy dłużej.

– Nie, Spencerze. Nie dzwoń. I nie porozmawiamy dłużej ani dzisiaj, ani

jutro, ani w najbliższym czasie.

Zatrzasnęła drzwi samochodu, ale zatrzymała się jeszcze na moment, odwróciła się i popatrzyła na niego przez otwarte okno.

– Życzę ci z całego serca, żebyś zszedł ze złej drogi, jaką podążasz w życiu, Spencerze Jacksonie. Powiedziałam ci to już raz i powtórzę ponownie: możesz zejść z tej drogi, jeśli tylko zechcesz. Ja w każdym razie nie chcę być z tobą, dopóki nie zrobisz kroku we właściwym kierunku.

– Zola, proszę... – zaczął, ale Zola mu przerwała.

– Nie, Spencerze. Na razie nie ma o czym mówić. – I odeszła.

Rozdział szesnasty

Następne tygodnie należały do najgorszych w życiu Spencera. Jego tajemnica została odkryta, przeszłość ujawniona, a jego związek z Zolą należał do przeszłości. Wielokrotnie próbował zobaczyć się z nią, opowiedzieć jej więcej o swym dawnym życiu – tak, by zrozumiała. Zola nie chciała jednak nawet z nim rozmawiać. Unikała go wszelkimi sposobami. I już nigdy więcej nie umówiła się z nim.

Osy próbowały wrócić do dawnego gniazda za domem Spencera, a to już nie było to samo gniazdo. Zostało zniszczone. Tam, gdzie dawniej czuły się dobrze, teraz nie znajdowały schronienia. Spencer rozumiał je doskonale. Niemal współczuł im, gdy widział, jak krążyły wokół miejsca, które kiedyś było ich domem.

Siedział z psem na ganku i obserwował je.

– Wiem, jak one się czują, Zeke. Ich świat stanął do góry nogami. Jak mój.

Spencer z miłością pogłaskał psa po grzbiecie.

– Pamiętasz, mówiłem ci kiedyś, że obawiam się, iż Zola ściągnie na nas kłopoty. Że nas zmieni. I niewątpliwie to zrobiła. Będę miał kolejne bolesne wspomnienia. Czuję, że straciłem kontrolę nad własnym życiem. Wszystkie moje uczucia uległy zmianie i żadne nie wydają mi się już właściwe. To niedobry czas, piesku.

Zeke zaskomlił cicho, współczująco.

Spencer próbował przeanalizować swoje uczucia, a nigdy nie był w tym mocny. Szukał w pamięci takiej chwili, kiedy po raz ostatni czuł się naprawdę dobrze. Przebiegał we wspomnieniach ostatnie tygodnie i cofnął się aż do dnia przy wodospadzie.

– Chodźmy nad wodospad – powiedział nagle. Przypomniał sobie, że wielokrotnie odnajdował tam spokój.

Dzień był upalny, więc zanim dotarli do wodospadu, zarówno on, jak i owczarek marzyli już o zanurkowaniu w chłodnej, górskiej wodzie. Z daleka słyszeli huk wodospadu Buckner Branch, spadającego z wysokości dwudziestu stóp do głębokiego basenu u stóp klifu. Spencer rozebrał się do bokserek, zanurkował i pływał leniwie w chłodnym nurcie. Potem wyszedł z wody i wygrzewał się na wielkim kamieniu.

Westchnął, gdy zalała go fala wspomnień. Na tym samym gładzie leżeli z Zolą tamtego dnia i bawili się w tę jej głupią zabawę w słońce i niebo.

Co mówiła? „Oddaj swoje cierpienia i smutki słońcu i niebu, a potem powiedz, że nie chcesz, aby kiedykolwiek powróciły”?

Spencer gorączkowo pytał samego siebie, czy ta metoda mogłaby pomóc

teraz. Zamknął oczy.

– Boże, nie umiem robić tego tak jak Zola. Nie mam szczególnych uzdolnień, ani daru widzenia, jakim obdarzyłeś Zolę. Ale chciałbym, aby przeszłość odeszła, jeśli to tylko możliwe. I pragnę, abys mi w tym dopomógł. Marzę o pozbyciu się wszystkich udręk z przeszłości. Tylko nie wiem jak.

Spencer wyznawał rozmaite trudne przeżycia sprzed lat i próbował podjąć grę, której nauczyła go Zola. I pod wieloma względami poczuł się lepiej, ale bólu z powodu zerwania z Zolą nie ukoił.

Spencer wytarł się i ruszył wraz z psem w drogę powrotną do Raven's Den. Na ganku zastał Astona, który siedział w bujanym fotelu, ze stopami opartymi o poręcz ganku.

– Długo tu jesteś? – zapytał Spencer.

– Niezbyt długo.

Spencer przerzucił ręcznik przez oparcie krzesła i opadł na fotel bujany obok Astona.

– Poszliśmy z Zekiem popływać w basenie pod wodospadem.

– Pomogło? – Aston uniósł pytająco brew.

Spencer potrząsnął głową.

– Nie. Nie bardzo.

– Człowieku, musisz załatwić tę sprawę. Cierpi na tym twoja praca. Klienci dzwonią. Chcą odebrać zamówienia. Chcą z tobą rozmawiać, a ty nie oddzwoniasz. Nie dotrzymałeś już kilku terminów realizacji projektów, nad którymi pracujesz. – Urwał i popatrzył na Spencera. – I marnie wyglądasz, stary.

Spencer westchnął i zamknął oczy.

– Ciężko przeżyłem utratę Genevy, ale to jest znacznie gorsze, Astonie. Tym razem nie czuję gniewu ani złości, ale ból i żal są naprawdę okropne.

– Próbowales z nią poroz...

– Tak – przerwał mu Spencer. – Setki razy, Astonie. Co najmniej. Nie odbiera telefonu, a kiedy pojawia się osobiście, jest uprzejma i chłodna.

Przesunął ręką po włosach z irytacją.

– Prosiłem o ją wybaczenie, przepraszałem za wszystko, ale to na nic. Zola powtarza w kółko, że nie może być ze mną, dopóki nie zacznę zmieniać swojego życia we właściwym kierunku. Staram się, ale cokolwiek robię, to nie jest to, czego ona ode mnie oczekuje. Próbowalem już z kwiatami, prezentami, słodyczami, naprawdę wyjątkowymi, które miały, jak mi się wydawało, trafić jej do serca. Wszystko na nic. Nie wybaczyła mi. Nie wiem, co jeszcze mógłbym zrobić, Astonie. Po prostu nie wiem, co robić.

Aston poklepał go współczująco po ramieniu.

– Jadłes coś dzisiaj, chłopie?

Spencer próbował sobie przypomnieć.

– Chyba jakiś batonik czy coś w tym rodzaju do kawy.

Aston wstał.

– Chodź do domu. Przygotuję dla nas obu solidne śniadanie. Jak wiesz, to jedyne, co potrafię ugotować, więc będziemy mieli śniadanie na lunch.

– Ok. Działaj. – Spencer wstał, zadowolony z towarzystwa, które pozwoliło mu oderwać myśli od problemów osobistych.

W kuchni Spencer usadowił się na stołku barowym przy blacie, a jego przyjaciel zabrał się do roboty. Wziął do ręki patelnię i poprosił Spencera, żeby odsunął pocztę i prospekty reklamowe zaściełające cały blat.

– Spencer, przejrzałeś przynajmniej pocztę? – Aston zmarszczył brwi. – Tam może być coś ważnego.

– Tak, jasne. – Spencer przerzucał listy, dopóki nie trafił na dużą, kremową kopertę. – Na przykład to zaproszenie. Mam przyjechać do domu na rocznicę ślubu rodziców. Baaardzo ważne! – Jego głos ociekał sarkazmem. Pomachał kopertą Astonowi przed nosem, a potem wrzucił ją do śmieci.

Aston wyciągnął kopertę z kosza i otworzył. Przeczytał uważnie i stwierdził:

– Masz rozwiązanie, Spencerze. Sposób, aby odzyskać Zolę.

Spencer skrzywił się i przesunął ręką po potarganych włosach.

– O czym ty mówisz?

Aston, wyraźnie ożywiony, przysiadł na stołku obok Spencera.

– Zola powiedziała, że musisz jej udowodnić, że naprawdę starasz się zmienić. To jest to. – Jeszcze raz spojrzał na zaproszenie. – Rocznica ślubu twoich rodziców wypada już w ten weekend. Idź do Zoli i powiedz jej, że jesteś gotów zacząć, wyzwać się od przeszłości i dawnych problemów. A początkiem tego procesu będzie wyjazd na obchody tej rocznicy. I powiedz Zoli, że chcesz, by pojechała z tobą.

Spencer osłupiał.

– Zwariowałaś? Ostatnia rzecz, na którą mam ochotę, to zawiezenie Zoli do mojej rodziny!

– Błąd! Kiedy ich pozna, lepiej cię zrozumie. Jeżeli poprosisz ją, żeby z tobą pojechała, będzie wiedziała, że wiele dla ciebie znaczy. Twoja rodzina również. W dodatku Zola wesprze cię podczas konfrontacji z rodziną. Dobrze mieć ją przy sobie, kiedy trzeba stawić czoło problemom. Wiesz o tym.

Spencer zastanawiał się nad tym przez kilka minut.

– Sądzisz, że to naprawdę podziała?

Aston wstał i wrócił do gotowania.

– Tak sądzę, Spencerze. Naprawdę. Od dawna ci tłumaczę, że spotkanie z rodziną pomogłoby ci uporać się z przeszłością, zamknąć ten rozdział ostatecznie.

Przewrócił na drugą stronę plasterki bekonu na patelni i spojrzał na Spencera.

– Minęło dwanaście lat, Spencerze. Zmieniłeś się. I oni się zmienili. Teraz zobaczysz wszystko w innym świetle. Jesteś już mężczyzną i to mężczyzną, który zna swoją wartość, a nie niepewnym siebie chłopcem. Nie będą cię traktowali w taki sposób jak dawniej, a gdyby próbowali, to im już na to nie pozwolisz.

– Tak sądzisz? – W głosie Spencera pobrzmiwały wątpliwości i on sam zdawał sobie z tego sprawę.

Aston pogroził mu palcem.

– Wiem o tym. I podoba mi się myśl, że twoja rodzina zobaczy cię z Zolą, spotka się z nią. Że zrozumie, że w twoim życiu pojawił się ktoś tak dobry, tak wspaniały jak Zola.

Spencer parsknął sarkastycznym śmiechem.

– Wątpię, by moja rodzina dostrzegła zalety Zoli Devon.

Aston odwrócił się z grymasem na twarzy.

– Nie doceniasz siły Zoli, Spencerze. Ona jest uosobieniem dobra. To zawsze rzuca się w oczy. I ma wielką moc.

Spencer zastanawiał się nad tym, przesuując papiery na blacie.

– Nie chcę, żeby ją zranili, Astonie. W tej kwestii ja sam zrobiłem już dość złego.

– Myślę, że Zolakieran Devon da sobie radę, Spencerze. I że bardzo szybko ustawi wszystko na właściwym miejscu.

Aston zdjął bekon, wytarł patelnię papierowym ręcznikiem i wybił na nią jajka. Wrzucił również do tosterka kilka kromek chleba.

– Możesz, zastanawiając się nad tym, wyjąć talerze i nalać nam obu po szklance soku? Śniadanie już prawie gotowe.

W parę chwil później siedzieli przy ladzie, pałaszując śniadanie.

– Naprawdę myślisz, że to się uda? – zapytał znowu Spencer.

Aston kiwnął głową, nie przerywając jedzenia.

– Jasne. Przychodząc tu dzisiaj, nie wiedziałem, po co idę. Ale teraz już chyba wiem. Wydaje mi się, że ten wyjazd może naprawdę wiele zmienić, w tobie i w twoich relacjach z Zolą Devon.

Spencer milczał, więc Aston zwrócił na niego swe ciemne oczy.

– Ty naprawdę kochasz tę kobietę, prawda? Bo jeśli nie, to lepiej daj temu spokój i przebolej zerwanie z nią. Nie chcę, żebyś jeszcze bardziej skrzywdził tę dziewczynę. Chyba że twoje intencje są czyste.

– Gdyby nie były czyste, Zola natychmiast by się zorientowała, Astonie. – Spencer potrząsnął głową. – Niełatwo żyć z kobietą, która potrafi cię przejrzeć na wylot. Nie będę mógł mieć przed nią żadnych sekretów.

Aston roześmiał się.

– To może okazać się dla ciebie zbawienne, bo stanowczo zbyt wiele w sobie tłamsisz. Te mroczne tajemnice zżerały cię przez większą część życia. Może ona

rozproszy cały ten mrok. I uczyni z ciebie otwartego, szczęśliwego człowieka.

Spencer przełknął ostatni kęs jajka i spojrzał na przyjaciela.

– Zdziwiłbyś się, jak bardzo tego pragnę, Astonie.

– Te słowa świadczą, że już zrobiłeś pewien postęp. Przynajmniej na moje oko. – Aston wstał i poklepał Spencera po plecach.

Zaniósł nakrycia do zlewu, żeby je opłukać przed wstawieniem do zmywarki, i zerknął na kuchenny zegar.

– Może od razu zszedłbyś na dół i porozmawiał z Zolą?

Spencer ze zmarszczonym czołem wpatrywał się w kremowe zaproszenie leżące na blacie. Na pewno był jakiś inny sposób odzyskania Zoli, bez konieczności stawienia czoła rodzinie.

– Skąd wiesz, że jest w domu?

– A wydawało mi się, że naprawdę chcesz zmiany... – Aston wziął do ręki zaproszenie.

– Jesteś równie okropny jak Zola – mruknął gderliwie. Wiedział, że przyjaciel wyczuł jego rezerwę.

– Zola jest teraz w domu. Rachel Lee poprosiła ją, żeby zaopiekowała się Avą. Wiem to z najlepszego źródła, od Faith Rayburn ze sklepu. Więc nie masz już wymówki, żeby odkładać to na później, Spencerze.

Aston wygładził zgniecione zaproszenie, a potem zajął się sortowaniem zalegającej na blacie makulatury. Układał reklamy na jedną kupkę, korespondencję na drugą, a rachunki na trzecią. Zawsze działał w sposób metodyczny i zorganizowany.

Spencer uśmiechnął się.

– Dobrze. Spróbuję. Chyba nie mam nic do stracenia.

Aston przyjrzał mu się od stóp do głów.

– Ale przed wyjściem idź się wykapać i ogolić. Wyglądasz jak nieboskie stworzenie.

– Wcale nie, to ty tak wyglądasz – mamrotał Spencer, maszerując korytarzem w stronę swojej sypialni.

W niespełna godzinę później, czysty, ogolony i ubrany w granatowe spodnie oraz jasnoniebieską koszulę – która zdaniem Astona podkreślała jego opaleniznę – Spencer zajechał pod dom Zoli. Od razu ją dostrzegł, siedziała na kocu pod drzewem i bawiła się z Avą.

– Duży pan – oświadczyła Ava i uśmiechnęła się, poznawszy go.

Spencer uśmiechnął się na powitanie. Zauważył, że Zola nie zdołała się powstrzymać i odpowiedziała uśmiechem. Bardzo szybko jednak na jej twarzy pojawił się chłód.

– Co tu robisz, Spencerze? – zapytała.

– Mam dla ciebie zaproszenie. – Podał jej kremową kopertę.

– Słuchaj, Spencerze, rozmawialiśmy już na ten temat wielokrotnie i...

– Przeczytaj – poprosił.

Westchnęła i otworzyła kopertę.

Przeczytała uważnie i podniosła na Spencera pytające spojrzenie.

– Nie rozumiem.

– Chciałbym pojechać, spróbować uporać się z przeszłością i, miejmy nadzieję, pójść dalej. I zależy mi na tym, żebyś pojechała ze mną. – Spojrzał jej prosto w oczy. – Żebyś poznała moją rodzinę taką, jaka jest. I może poznała wraz ze mną moich bratanków.

Zola przyglądała mu się badawczo przez dłuższą chwilę. A potem znowu zerknęła do koperty.

– Rocznicą ślubu twoich rodziców wypada w najbliższy weekend, Spencerze.

Kiwnął głową.

– Wiem. Warunkowo zarezerwowałem telefonicznie dwa miejsca w samolocie na piątek. Na miejscu możemy wynająć samochód. Lot powrotny mamy w niedzielę wieczorem. Znam miły hotel w pobliżu domu moich rodziców i parku, o którym ci opowiadałem.

Spencer zauważył, że jej twarz złagodniała. W jego sercu zabłysła iskierka nadziei.

– Pokażę ci swoje ulubione miejsca z dzieciństwa, przekonamy się, czy przetrwał mój domek na drzewie. Wątpię, ale co szkodzi sprawdzić.

Wstała i podeszła do niego.

– Mówisz poważnie? Naprawdę chcesz zrobić ten krok?

Oparł się pokusie, żeby wyciągnąć do niej rękę.

– Chcę, Zolo. Nie wiem, czy to coś da, ale chcę spróbować. Aston uważa, że to może pomóc. Świącie wierzy, że kiedy stawia się czoło przeszłości, można przezwyciężyć jej demony.

Zola wpatrywała się w niego tymi swoimi poważnymi, brązowymi oczami.

– Myślę, że to może wyjść ci na dobre, Spencerze. I pojedę z tobą.

Serce mu podskoczyło, a z ust wyrwało się westchnienie ulgi.

Podeszła bliżej i położyła rękę na jego twarzy.

– Tęskniłam za tobą, Spencerze – wyznała miękkiem głosem.

Dopiero teraz odważył się dotknąć Zolę, otoczył ją ramionami i przyciągnął do siebie. Gdy poczuł jej ciepło, gdy owiał go jabłkowy zapach jej włosów, zdało mu się, że jest w raju...

Zaprzagnął jeszcze raz zapewnić ją o swej miłości, ale ugryzł się w język, nie chciał kusić losu. Wystarczy, że znowu otworzyła dla niego serce. Był jej za to nieskończenie wdzięczny.

Wtem poczuł szarpnięcie za nogawkę.

– Awę też uściskać!

Spojrzeni oboje na uśmiechniętą dziewczynkę, która stała z uniesionymi do góry ramionkami.

Spencer podniósł ją z ziemi i przytulił razem z Zolą. Jego serce było teraz tak wielkie, tak pełne ciepła, że gotów był dzielić się swą radością z całym światem. Jego radość dopełniła się, kiedy usłyszał głęboki, gardłowy śmiech Zoli.

Rozdział siedemnasty

W piątek Spencer tuż po lunchu przyjechał po Zolę, żeby zabrać ją na lotnisko. Miniony tydzień wypełniła im bieżączka. Niewiele mieli czasu na przygotowania do wyjazdu, więc rzadko się widywali, ale dość często rozmawiali przez telefon.

Zola otworzyła drzwi i przyjrzała się Spencerowi. Obciął włosy. To właśnie od razu rzuciło jej się w oczy. I od stóp do głów był ubrany z najwyższą elegancją, a przez ramię przerzucił niedbale torbę na garnitury. Kiedy przeszedł obok niej, zostawił za sobą smugę niezwykłego, świeżego zapachu. To również ją zaskoczyło, bo Spencer rzadko używał wody toaletowej.

– O! – Wymownie uniosła brwi i ostentacyjnie zlustrowała go wzrokiem.

Uśmiechnęła się i również przyjrzała się z wyraźnym uznaniem jej szytemu na miarę szaremu spodniom oraz miękkiej różowej bluzce i prostej biżuterii. Zola zdawała sobie sprawę z tego, że wyglądała zupełnie inaczej niż zwykle, bo na jej styl składały się raczej jaskrawe kolory i okrągłe kolczyki w uszach. Kiedy rozmawiali na temat weekendu, Spencer wspomniał, że jego rodzina jest szalenie tradycyjna, Zola uznała więc, że nie powinna manifestować swojej oryginalności.

Spencer pochylił się i pocałował ją w policzek.

– Ty również ładnie wyglądasz, Zolo. Bardzo ładnie.

Powiesił marynarkę na bambusowym wieszaku stojącym przy drzwiach. Kiedy odwrócił się do niej plecami, Zola zauważyła, że nie miał już z tyłu związanego rzemykiem kucyka. Naprawdę dokonał zasadniczych zmian w swoim wyglądzie.

Przyjrzała się jego nowej fryzurze – schludnej i eleganckiej. Bez wątplenia odwiedził fryzjera na początku tygodnia, bo zdążył już opalić kark, który dotychczas zawsze zakrywały długie, związane z tyłu włosy.

– Obciąłeś włosy – stwierdziła z lekkim grymasem na twarzy. Nie była przekonana, czy podobała się jej ta zmiana. – Wydaje ci się, że musisz całkowicie zmienić swą osobowość dla rodziny, Spencerze, żeby zostać zaakceptowanym?

Odwrócił się i rzucił jej wyzywające spojrzenie.

– Prawdę mówiąc, Zolo, to, kim jestem, nie zależy od tego, jak się ubieram czy czeszę.

W kącikach jej ust czaił się uśmiech.

– Dobrze powiedziane, Spencerze.

– Pracuję nad tym, Zolo – odparł z szerokim uśmiechem.

Obserwując go, spostrzegła, że wydawał się tego dnia swobodniejszy. To ją zaskoczyło, biorąc pod uwagę to, co ich czekało.

– Moje bagaże są tutaj, jestem gotowa do wyjścia. – Wskazała walizkę

i neseser, które stały obok krzesła i spojrzała na zegarek. Przyjechał wcześniej.

– Wiem, że przyjechałem za wcześniej – stwierdził, jakby czytał w jej myślach. – Ale po drodze wpadłem jeszcze do twoich dziadków.

– Naprawdę? – To ją zaskoczyło.

Spencer potarł ręką kark, jakby brakowało mu włosów opadających na plecy.

– Tak. Chciałem zapewnić twoich dziadków, że nie zamierzam cię wykorzystać podczas tego wyjazdu do Richmond.

Zola czuła, jak jej policzki zalewał rumieniec.

Chmura przemknęła po twarzy Spencera.

– Powiedziałem im, że moja matka nalegała, żebyśmy w czasie tego weekendu mieszkali w domu, a nie w hotelu. Twoi dziadkowie wydawali się z tego zadowoleni. Ja wolałbym inne rozwiązanie, oczywiście, ale doszedłem do wniosku, że skoro już mam nurkować, to mogę od razu wskoczyć na głęboką wodę.

– Rozumiem. – Uśmiechnęła się szeroko.

Niepewnie zaszurał nogami – wahał się, czy powiedzieć więcej.

Zola obserwowała go, zastanawiając się, co jeszcze miał jej do powiedzenia.

Znowu potarł kark.

– Przy okazji poruszyłem również inny temat. – Podchwycił spojrzenie Zoli, jego brązowe oczy wpatrywały się w nią bardzo poważnie i przenikliwie. – Poinformowałem twoich dziadków, że zamierzam prosić cię o rękę i poprosiłem o ich błogosławieństwo.

Kolana ugięły się pod Zolą. Wyciągnęła rękę do tyłu, żeby złapać się oparcia kanapy i odzyskać równowagę. Nie spodziewała się tego. A z pewnością nie w tym dniu.

Spencer, z ciepłym wyrazem twarzy, przesunął wierzchem dłoni po jej policzku.

– Kocham cię, Zolo Devon. – Głos miał nieco schrypnięty. – Już ci to mówiłem i mówiłem szczerze.

Sięgnął po płaszcz, który zawiesił na bambusowym wieszaku.

– Chcę przedstawić cię rodzinie jako swoją narzeczoną. – Wyjął z kieszeni płaszcza sfatygowane etui na biżuterię i podał Zoli. – Ten pierścionek należał do matki mojej babki Chatsworth. Był przekazywany w rodzinie z pokolenia na pokolenie. Jest bardzo stary. Babcia miała nadzieję, że pewnego dnia ofiaruję go swojej przyszłej żonie. Mam nadzieję, że ci się spodoba. – Jego oczy spoczęły na wypłowiałym niebieskim pudełeczku. – Jeśli nie, to znajdziemy jakiś inny.

Nadal oszołomiona Zola otworzyła pudełeczko i zobaczyła owalny rubin otoczony drobnymi, błyszczącymi brylancikami. Kamienie były oprawione w stare złoto o ciepłym połysku. Pierścionek był piękny i zdawał się opowiadać o trwałej, nieprzemijającej miłości, którą symbolizował.

Cenny stary pierścień wabił Zolę, a jednak się wahała.

Spojrzała Spencerowi w oczy.

– Czy prosisz mnie o rękę, żeby to cię chroniło przed rodziną – i przed Genevą – podczas pobytu w Richmond?

Spencer drgnął, jakby go uderzyła.

– Gdybym nawet był tak słaby, by potrzebować ochrony, a załóżmy, że naprawdę jestem, to i tak nie byłbym aż tak głupi, żeby prosić kobietę, by powierzyła mi swoją przyszłość i życie tylko po to, by ukryć się za nią przed kilkoma nieprzyjemnymi sytuacjami, które mogą mi się przydarzyć.

Rumieniec wędrował w górę po szyi Zoli, ogarnęło ją poczucie winy.

– Przepraszam, Spencerze. Nie pomyślałam co gadam.

Oparł się ramieniem o ścianę.

– Wiem, że nie jesteś zachwycona tym, jak wyglądają moje stosunki z rodziną, Zolo. Ale spotkanie ciebie było naprawdę jednym z najszcześniejszych wydarzeń w moim życiu.

Spuściła wzrok, pełna mieszanych uczuć.

Spencer odepchnął się od ściany i ujął obie jej dłonie.

– Jesteś pierwszym jasnym promieniem, jaki pojawił się w moim życiu od wielu lat, Zolo. Rozgrzałaś moje serce, życie, krew.

Spojrzał jej w oczy.

– Możesz teraz zajrzeć w głąb mojej duszy, Zolo. Nie zobaczysz w moich myślach innej kobiety. Chcę spędzić z tobą życie, dzielić z tobą wszystkie dni, mieć z tobą dzieci i zestarzeć się przy tobie.

Te słowa brzmiały cudownie, ale Zola zastanawiała się jednak, czy gdyby zajrzała mu w oczy innego dnia, to również zobaczyłaby w jego myślach wyłącznie siebie, tak jak w tej chwili.

Wciąż patrzył na nią przenikliwym wzrokiem. Wiedziała, że czekał na odpowiedź.

– Dobrze – odezwała się w końcu. – Zrobimy pierwszy krok i zobaczymy, jak się sprawy ułożą.

Usłyszała, że wydał westchnienie ulgi – najwyraźniej długo wstrzymywał oddech – a potem pochylił głowę i obdarzył ją gorącym pocałunkiem. Potem odsunął się, wyjął z pudełka pierścioneł i wsunął go na jej palec.

Jego głos znowu zabrzmiał ochryple:

– To cudowna chwila, Zolo. Chciałbym bardzo utrwalić ją na zdjęciu.

Powoli wyciągnęła rękę przed siebie, żeby podziwiać pierścioneł.

– Upamiętnij ją fotografią zapisaną w sercu, Spencerze.

– Tak zrobię. – Uśmiechnął się do niej.

Zola zauważyła ze zdumieniem, że pierścioneł pasował jak ulał.

– Kazałem go dopasować – powiedział Spencer, jakby w odpowiedzi na jej myśli. – Maya Thomas podała mi odpowiedni rozmiar. – Uśmiechnął się szeroko. –

Powiedziała mi, żebym już nigdy więcej nie był *bootoo*, żebym dbał o ciebie i kochał cię.

Zola uniosła brew.

– Tak powiedziała?

– Tak – odparł. – Opowiedziała mi również kilka ciekawych historyjek o tobie. Na przykład o tym, jak przyszedł do niej po śmierci męża i zaproponował jej pracę w sklepie. Również o tym, jak pomogłaś jej i dziewczynkom znaleźć dom do wynajęcia, kiedy zostały wyrzucone z ośrodka wypoczynkowego, w którym pracował jej mąż.

Zola spochmurniała.

– Ośrodek wypoczynkowy zapewniał im bezpłatne mieszkanie, ponieważ Nigel Thomas był dyrektorem do spraw sprzedaży, ale dosłownie w dzień po jego pogrzebie kazali Mayi z dziewczynkami się wynosić. Powiedzieli, że mieszkanie jest potrzebne dla nowego dyrektora, który przyjeżdża na jego miejsce. Odebrali jej również pracę w miejscowym sklepie z pamiątkami. Została potraktowana w wyjątkowo paskudny sposób. Stare na śmietnik, witamy nowe – tak się zachowali.

Na samo wspomnienie Zolę ogarnął gniew.

– Musiały wynieść się do motelu. Maya miała problemy ze znalezieniem nowej pracy ze względu na swe mieszane pochodzenie.

– Słyszałem o tym. – Spencer znowu pogładził jej policzek wierzchem dłoni.

– Bardzo ładnie postąpiłaś

– Nie do końca. To Bóg nas połączył. Ja otwierałam sklep i potrzebowałam jej pomocy, a ona potrzebowała mojej. Maya jest znakomitą sprzedawczynią. To prawdziwe błogosławieństwo, że na nią trafiłam.

– Im więcej o tobie wiem, tym bardziej cię kocham. – Pochylił się i pocałował ją znowu.

Poczuł dreszcz napiętości. Zbliżył się do Zoli, wsunął palce w jej włosy, a potem przesunął je w dół po plecach i przyciągnął ją bliżej.

Odsunął się niechętnie i zerknął na zegarek.

– Z przykrością przerywam tę upojną chwilę, przyszła pani Jackson, ale musimy zdążyć na samolot.

Zola zastanawiała się nad tymi słowami przez kilka następnych godzin – kiedy jechali samochodem na lotnisko, a potem na pokładzie samolotu do Richmond w Virginii. Lot skrócił czas podróży z siedmiu godzin, jakie zajęłaby jazda samochodem, do czterdziestu pięciu minut.

Z lotniska odebrał ich ojciec Spencera – ruszył ku nim z szerokim uśmiechem na twarzy, kiedy tylko weszli do terminalu. Był podobnie zbudowany jak Spencer i miał miłą twarz. We włosach, niegdyś ciemnych, pojawiły się już siwe pasma, a na czole zarysowały się zakola. Jego oczy miały tę samą orzechową

barwę co oczy Spencera.

Mocno uściśnął rękę syna na powitanie, a potem uściśnął go nieco skrępowany. Uścisk Spencera również zdradzał zażenowanie, ale Zola spostrzegła w kąciku jego oka łzę.

Stała z tyłu w milczeniu i obserwowała ich powitanie. Minęło dwanaście lat od ostatniej wizyty Spencera w domu rodzinnym. Wiedziała, że widywał się z rodzicami od czasu do czasu, podczas ich wizyt w Savannah. Odkąd jednak przeniósł się do Gatlinburga, nie spotkali się ani razu.

Zola zauważyła miłość w oczach ojca Spencera i od razu zrobiło się jej lżej na duchu. Niezależnie od tego, co się stało, ten mężczyzna nadal żywił w sercu głębokie uczucia do syna. Uznała to za wielce obiecujące.

Po wzajemnej prezentacji odebrali bagaże i odnaleźli na lotniskowym parkingu nieskazitelny, luksusowy samochód Gordona Jacksona. Międzynarodowy port lotniczy leżał na wschód od Richmond, więc droga do domu Jacksonów wiodła najpierw na południe, a potem skręcała na wschód. Jadąc autostradą, ojciec Spencera zabawiał ich rozmową na temat mijanych widoków i zmian, jakie zaszły w mieście od wyjazdu Spencera. Wyraźnie starał się być miły, żeby oboje się odprężyli. Zola uznała, że to ładnie z jego strony.

Kiedy samochód skręcił w wiejską okolicę, zbliżając się do rodzinnego domu Spencera, Zola zauważyła, że jej narzeczony wychylił się do przodu z tylnego siedzenia.

Odstąpił Zoli przednie siedzenie obok kierowcy, żeby to ona odpowiadała grzecznie na komentarze jego ojca. Jednak wbrew sobie włączył się teraz do rozmowy, wskazując Zoli znajome miejsca. Jego ekscytacja wzrosła, gdy wjechali w aleję łagodnie prowadzącą do wiejskiej rezydencji należącej do rodziny Jacksonów.

Dom, rozłożysta, budowla o ostrych kątach z wieloma szczytami i gankami, była otoczona malowniczym płotkiem z białych sztachet. Ściany, częściowo wykładane kamieniem, częściowo otynkowane na biało, kontrastowały z ciemnoszarym dachem. Budynek stał na pochyłym, starannie utrzymanym zielonym trawniku, na tle drzew, a frontowe wejście obrastał bluszcz.

Na pierwszy rzut oka nie mieściło się w głowie, że w tym domu mogło brakować szczęścia.

– Jest piękny – stwierdziła Zola.

Ojciec Spencera uśmiechnął się do niej, podczas gdy sam Spencer rzucił jej znaczące spojrzenie z ukosa. Nie czuł się wcale tak swobodnie, jak się wydawało.

Kiedy podjechali, z domu wyszła uśmiechnięta kobieta. Ruszyła ku nim, nie odrywając oczu od Spencera, który wysiadł akurat z samochodu. Najwyraźniej była jego matką. Z miłością wyciągnęła do niego ramiona, choć – jak zauważyła Zola – starała się zachowywać przy tym z wystudiowanym opanowaniem.

Uściskała Spencera, a potem odsunęła go na długość ramion.

– Doskonale wyglądasz, synu. Witaj w domu.

Zola zastanawiała się, czy rodzice zauważyli, jak zmieniła się twarz Spencera przy ostatnim słowie. I jak drgnął. Ze sztucznym, przylepionym do twarzy uśmiechem podniósł pełne rezerwy oczy na dom.

Ojciec Spencera wziął Zolę za rękę i dokonał prezentacji.

– Marion, to przyjaciółka Spencera, Zola Devon. Zolo, zapewne domyśliłaś się już, że to moja żona i matka Spencera, Marion Jackson.

Zola uprzejmie uściśnęła dłoń kobiety, po której Spencer odziedziczył chyba tylko brązowe włosy, bo poza tym był podobny raczej do ojca. Pani Jackson nosiła włosy upięte w kok, a w uszach miała małe perełki. Jej ubranie było drogie i modne: kremowa, jedwabna bluzka wpuszczona w jasnobrązowe, szyte na miarę spodnie oraz pantofle bez pięt i gustowny pasek z garbowanej skóry w tym samym kolorze.

Spencer wziął Zolę pod rękę i przyciągnął ją do swego boku.

– Zola jest moją narzeczoną. – Wysunął do przodu jej rękę ozdobioną pierścieniem z rubinem.

– O, pierścionek mojej babci. – Marion przyglądała mu się z tęsknym wyrazem twarzy. – Mama mówiła mi, że dała ci go kilka lat temu. Prawie już o tym zapomniałam.

Uśmiechnęła się do Zoli.

– Pamiętam, że moja babcia, a prababcia Spencera, Amelia Chatsworth, nosiła ten pierścionek. – Na jej twarzy odmalowała się tęsknota. – Zawsze bardzo kochała mojego dziadka, Randalą Gaynora Chatswortha. Ten pierścionek symbolizuje wielkie uczucie.

Zaskoczona Zola uważniej przyjrzała się matce Spencera.

– Wyczuwam to – stwierdziła. – Ale dziękuję, że mi pani o tym powiedziała.

Marion, trochę zakłopotana tą chwilą rozmarzenia, szybko przywołała się do porządku.

– Trzeba najpierw zaprowadzić was do waszych pokojów, żebyście mogli się rozgościć – powiedziała. – Spencerze, tobie dałam twój dawny pokój. Choć, oczywiście, po twoim wyjeździe został przemeblowany. A Zolę umieścimy w dawnym pokoju Rity. Jest teraz gustownie urządzone niebrzydkimi antykami, które udało mi się znaleźć na aukcji, i liczę, że będzie jej w nim wygodnie.

Spencer przysunął się do Zoli i szepnął jej do ucha:

– Mama zawsze zaciskała zęby na widok dekoracji wewnątrz wybieranych przez Ritę do jej sypialni. Jestem pewien, że rzuciła się do zmiany wystroju, gdy tylko Rita wprowadziła się z domu.

– Wszystko słyszałam! – zawołała matka. – Twoja siostra jest utalentowana, ale jako nastolatka miała fatalny gust. Jej pokój był zawsze kalejdoskopem

jaskrawych barw, a ściany malowała co roku na inny, bijący w oczy kolor.

Po wejściu na górę przekonali się, że kolorystyka pokoju utrzymana była w wysmakowanych odcieniach naturalnej skóry i kremu, które doskonale współgrały z meblami z drzewa sandałowego i delikatnymi roślinnymi wzorami na ścianach.

– Mam nadzieję, że będzie ci tu wygodnie, Zolo – powiedziała Marion Jackson.

– Na pewno będę się tutaj czuła jak w domu – zapewniła Zola z uśmiechem.

Zauważyła złośliwy uśmieszek na twarzy Spencera, który ustawiał akurat jej walizkę na niskim stoliku. Wiedziała, że myślał o żywych barwach i eklektycznym umeblowaniu jej starego wiejskiego domu w Tennessee.

Po odświeżeniu się Zola zastąpiła szary żakiet, który nosiła w podróży, zgrabnym, małym bolerkiem. Zostawiła je rozpięte – było to jedyne odstępstwo od oficjalnego charakteru ubioru, na jakie sobie pozwoliła, schodząc na obiad.

Na dole spostrzegła Spencera, który nadal miał na sobie ciemne spodnie i koszulę w cieniutkie prążki. Szybko okazało się, że w piątki obiad podawano we wspianiałej jadalni, na lśniących kryształach i posrebrzanej porcelanie.

Kucharka czy gospodyni zaczęła zaraz wносить do jadalni wazy z zupą oraz sałatki. Zola westchnęła. Nie ulegało wątpliwości, że zapowiadało się jedno z tych sztywnych, oficjalnych przyjęć, których serdecznie nienawidziła.

Zanim weszli, pochyliła się do ucha Spencera.

– Czy tak wyglądają normalne wieczorne posiłki w twoim domu?

– Tak. – Potoczył ręką dokoła. – Tak właśnie wygląda typowy spokojny obiadek w domu Jacksonów. – Zacisnął wargi.

– Ostrzegałem, że to będzie coś zupełnie innego niż to, do czego przywykłaś, Zolo. A należy się spodziewać, że będzie jeszcze gorzej, kiedy zjawi się cała rodzina. Chyba że pod moją nieobecność wszystko się tutaj zmieniło.

Nie zmieniło się. I nastrój wieczoru rzeczywiście jeszcze się popsuł.

Zebrana tego wieczora w jadalni rodzina składała się z rodziców Spencera, dziadka, Stettlera Jacksona, oraz jego obecnej żony Charlene, siostry Spencera, Rity i jej chłopaka, Bryana Halla, oraz brata Spencera, Bowdena z dwoma synami, dziewięcioletnim Trevorem i siedmioletnim Austinem. Brakowało jedynie żony Bowdena, Genevy.

Chłopcy byli najwyraźniej bardzo ciekawi stryja Spencera i zadowoleni z drobnych prezentów przywiezionych im przez Zolę i Spencera. Byli jeszcze na tyle mali, że ucieszyli się z dwóch torebek plastikowych dinozaurów i dwóch kolorowych latawców.

Z entuzjazmem wysypali dinozaury na podłogę, ale ojciec kazał im odłożyć je na boczny kredens do czasu zakończenia obiadu.

– Genewę zatrzymały dzisiaj obowiązki w organizacji charytatywnej –

oznajmił Bowden, kiedy wszyscy zasiedli do jedzenia. – Bardzo żałuje i z niecierpliwością czeka na spotkanie ze wszystkimi podczas jutrzejszych uroczystości.

Zola była bardzo ciekawa spotkania z Genevą, ale rozsądek podpowiadał jej, że opóźnienie go powinno być powodem do ulgi. I bez niej przy stole panowało nieznośne napięcie.

– Jak poznałaś Spencera? – Bowden oparł łokieć na stole, żeby dokładnie przyjrzeć się Zoli, rzucając przy tym bratu wyzywające spojrzenie z ukosa.

Zola wyczuwała napięcie Spencera, widziała też, jak wykrzywił się do Bowdena. Zostali ze Spencerem posadzeni przy stole naprzeciw siebie, więc doskonale widziała wyraz jego twarzy. Był spięty i czuł się niepewnie.

Uśmiechnęła się do Bowdena, ignorując jego otwarcie taksujące spojrzenie.

– Galeria Spencera i mój sklep, Kącik Natury, sąsiadują ze sobą w centrum handlowym w Gatlinburgu – odpowiedziała. Nie zamierzała wdawać się w bardziej osobiste wyjaśnienia.

– Czy to jeden z tych sklepików New-Age, sprzedających dziwaczne pachnidła, kadzidełka i kominki zapachowe? – wpadł jej w słowo dziadek Spencera.

Pytanie było równie niegrzeczne jak to, które zadał Bowden. Stettler jednak uśmiechał się tak czarująco, jakby miał pełne prawo pytać wszystkich o wszystko, co chciał wiedzieć.

Zola przyjrzała mu się uważnie. Starszy pan miał na sobie tradycyjny garnitur, a jego siwe włosy kontrastowały z opaloną, pobrużdżoną przez wiek twarzą. Oczy jednak lśniły bystrością ich spojrzenie pozbawione było jakiegokolwiek łagodności, a na ustach, pomimo uśmiechu, malował się grymas okrucieństwa. Od chwili, gdy zasiedli do obiadu, nie ulegało wątpliwości, że sprawował pełną kontrolę nad rodziną. Zbeształ nawet własną żonę, kiedy w pierwszej chwili starała się okazać Spencerowi serdeczność i sympatię. Zola zauważyła, że kobieta natychmiast potulnie się wycofała. Chłopcy byli również dobrze wytresowani i nie odzywali się przy jedzeniu. Najwyraźniej tylko dorośli mieli prawo rozmawiać podczas obiadu.

– Mój sklep nie ma nic wspólnego z New-Age, panie Jackson, choć rzeczywiście wśród innych produktów sprzedaję również kominki zapachowe. Ludzie bardzo je lubią, więc sprzedają się doskonale.

– Podobnie jak te kretyńskie brzęczące wiechcie, które zwisają z ganków i dzwonią za każdym razem, kiedy człowiek o nie zawadzi. Nie znoszę takich rzeczy. – Stettler Jackson uśmiechnął się szeroko, rozbawiony własnym stwierdzeniem. – Czy pani i Spencer zarabiacie jakieś pieniądze w tych waszych sklepikach w turystycznym miasteczku?

Naprawdę nieznośny człowiek, pomyślała Zola.

– Daj spokój, dziadku – wtrąciła się Rita. – Przecież wiesz, że Spencer odniósł sukces. Przestań czepiać się jego i Zoli.

– Ja tylko pytam o ich interesy, dziewczyno. – Pogroził jej widelcem. – Zresztą, to dla ciebie typowe, że nie przywiązujesz wagi do interesów. Tobie zawsze wystarczało do szczęścia, że mogłaś kręcić się po kuchni i bawić w dom, dekorując torty.

Zola zauważyła, że przez twarz Rity przemknął cień irytacji, który szybko pokryła uśmiechem.

– Ta zabawa w dom przy dekorowaniu tortów zapewniła mi w tym roku wygraną w Konkursie Kulinarным stanu Virginia, dziadku.

Stettler nie przestawał wymachiwać widelcem w powietrzu.

– Tak, a naszą firmę zaczęto rozpoznawać, kiedy twoje zdjęcie trafiło do gazet.

– Cieszę się, że moja praca pomogła firmie. – Rita uśmiechnęła się, najwyraźniej mile połączona przebiegiem rozmowy. Uniosła brwi i zwróciła rozbawione spojrzenie na swojego towarzysza przy stole, Bryana Halla. Uśmiechnął się do niej porozumiewawczo, jakby knuli coś razem.

Oboje przypadli Zoli do gustu. Rita miała krótko obcięte ciemne włosy, brązowe jak wszyscy Jacksonowie. Jej rozwichrzona fryzura sięgała tuż za podbródek. Włożyła odpowiednią na wieczór jedwabną fioletową bluzkę i czarną spódnicę, ale bluzka nie miała bardzo oficjalnego charakteru, tym bardziej, że na szyi Rita zawiązała swobodnie ładny szal. Kolczyki w jej uszach, podobne do srebrzystych rybek, odbijały światło żyrandola. Podczas oficjalnej prezentacji i początkowych rozmów zapoznawczych Rita wydawała się być jedyną oprócz Bryana Halla osobą, która nie poddała się napięciu przy stole.

Popatrzyła teraz na Zolę.

– Bryan jest prezydentem wiadomości w lokalnej stacji telewizyjnej WXV2 – oznajmiła. – Poznaliśmy się, kiedy zajmowałyśmy się z mamą cateringiem na ślub jego siostry.

Bryan rzucił Zoli uśmiech prezentera telewizyjnego.

– Rodzice zapłacili za ten ślub więcej, niż ja za mój ostatni samochód.

– Cicho bądź, Bryanie. – Marion żartobliwie pogroziła mu palcem. – My z Ritą z tego żyjemy: przygotowujemy catering na wesela i inne uroczystości.

– Pieniędźmi z zakładu fotograficznego też nie gardzą. – Bowden uniósł w stronę Bryana kieliszek wina, jakby wznosił toast.

A potem przeniósł spojrzenie na Spencera.

– Szkoda, że nie związałeś swojej kariery z firmą Jacksonów, Two Spence. Lepiej byś na tym wyszedł, gdybyś został z rodziną, zamiast rozpoczynać działalność na własną rękę.

– No, no, Bowdenie. – Matka rzuciła Spencerowi uśmiech. – Nie pozwalaj

sobie na krytykowanie Spencera za jego wybór drogi życiowej. Przecież wszyscy cieszymy się, że jest wśród nas. I Zola również.

Zola usłyszała, jak dziadek Spencera wyszeptał do swojej żony:

– Spencer ma klitkowatą galeryjkę w jakiejś turystycznej dziurze, a mógłby pracować dla Jackson Studio. Nigdy tego nie zrozumie. Chłopak nigdy nie miał za grosz zdrowego rozsądku.

Była to wstrętna, podła uwaga, ale nikt się nie sprzeciwił, nawet na nią nie zareagował.

Zola otworzyła usta, żeby zaprotestować, ale Spencer ostrzegawczo pokręcił głową.

Ciekawe, że to Bryan Hall pospieszył z pomocą.

– Jesienią byłem w DC, Spencerze, akurat wtedy, gdy miałeś tam wystawę i seria twoich fotografii zdobyła Brighton Award. Ceremonia wręczenia nagród była naprawdę wspaniała i bardzo mi się podobało twoje wystąpienie, w którym opowiadałeś, gdzie robiłeś te zdjęcia. – Rozejrzał się wokół stołu. – Spencer wyrobił sobie nazwisko wśród fotografów przyrody. I wydał pięć bestsellerowych albumów fotograficznych. Rita ma je wszystkie, są naprawdę zachwycające.

Bryan wyglądał na autentycznie zaskoczonego tym, że rodzina nie zdawała sobie sprawy z sukcesu, jaki odniósł jeden z jej członków.

Wszyscy nagle zainteresowali się jedzeniem.

Bowden przerwał milczenie, zmieniając temat.

– Zgadnij, kogo spotkałem któregoś dnia, Spencerze? Tę małą Connerównę. No, wiesz, tę, która kochała się w tobie w liceum. Taka niezdarna dziewczynina z ciemnymi, kręconymi włosami. Miała w sobie trochę meksykańskiej krwi, o ile pamiętam. Pytała o ciebie. Zawsze pociągałeś takie nietypowe dziewczyny.

Przy ostatnich słowach Bowden spojrzał na Zolę.

Była to tak ewidentna obelga pod jej adresem, że Zola nie mogła uwierzyć, iż rzucił ją przy stole podczas obiadu. Aluzja do jej pochodzenia była jednoznaczna, podobnie jak chęć obrażenia Spencera.

I znowu nikt się nie odezwał. Wydawało się, że nikt nie zwrócił na to uwagi, a tym bardziej nie zbeształ za to Bowdena. Co za rodzina! Zola zaczynała rozumieć, dlaczego Spencer z taką niechęcią wspominał dzieciństwo spędzone w tym gronie.

Podchwyciła przepaszające spojrzenie Rity, która potrzęsnęła lekko głową i przewróciła oczami, jakby chciała powiedzieć: „cały Bowden; niech sobie gada”.

Natomiast Stettler Jackson był wyraźnie zachwycony kierunkiem, jaki przybrała rozmowa.

– Najlepiej pamiętam taką małą chłopczycę z kucykami, Annę Kabotsky. Całkiem wdała się w matkę, za grosz urody. Wszędzie łąziła za Spencerem i tym Peterem Bradleyem, z którym się bawił. No, wiecie, tym chłopakiem, który nie

poszedł na prawo jak jego ojciec, tylko wstąpił do straży leśnej ku wielkiemu rozczarowaniu rodziny. A mógł zajść daleko. A ta dziewczyna, Anna, nie wyszła za męża. Rozumiem dlaczego, oczywiście.

– Dziadku – wtrąciła się Rita. – Anna Kabotsky została lekarzem. Jest teraz cenionym pediatrą.

Stettler spojrział na nią i skrzywił się.

– Cóż, kobieta musi sobie znaleźć jakąś pracę, jeśli żaden facet nie chce się z nią ożenić.

Zoli zaczęło się robić mdło.

Ci ludzie błyszczeli jedynie zewnątrz. Owszem, odnieśli sukces i na pewno odebrali doskonale wykształcenie. Wewnątrz jednak byli twardzi, niemiłosiernie krytyczni i niezdolni do miłości. Jakie smutne musiało być dzieciństwo Spencera, skoro znosił to co dzień! Nic dziwnego, że uciekł i nie chciał tu wracać.

Popatrzyła przez stół na starszego brata Spencera. Bowden był uderzająco przystojnym mężczyzną, najurodziwszym z całej rodziny, a w dodatku obdarzonym wdziękiem i charyzmą. Bez wątpienia odniósł sukces w swojej dziedzinie, niestety odczuwał jednak potrzebę poniżania innych, upokarzania ich drobnymi, ciętymi uwagami. Aż wstyd!

Zola spostrzegła, że Spencer ją obserwował. Zauważyła smutek w jego twarzy. Może liczył na to, że jego rodzina zmieniła się z biegiem lat, ale najwyraźniej tak się nie stało.

Uwaga dziadka skoncentrowała się nagle na Zoli i Spencerze.

– Sypiacie ze sobą? Zdaje się, że w dzisiejszych czasach wszyscy młodzi to robią.

Kolejna nietaktowna uwaga. A przecież przy stole siedziało dwóch małych chłopców. Podnieśli teraz na nich szeroko otwarte oczy.

Zola zauważyła, że po twarzy Spencera przemknął stalowy wyraz.

– Dość tego, dziadku. Zola jest moją narzeczoną i pochodzi z porządnej, dobrej rodziny. Nie zniosę, żebyś odzywał się do niej w obraźliwy sposób przy naszym stole.

– To raczej nie jest twój stół, skoro nie raczyłeś pojawić się w domu przez dwanaście lat – odpalił Stettler Jackson. – Wygląda na to, że przywędrowałeś z powrotem dopiero wtedy, kiedy znalazłeś sobie dziewczynę, z którą się chciałeś pokazać. Choć nie wytrzymuje porównania z twoją poprzednią narzeczoną.

Tym razem nawet matka Spencera zareagowała oburzeniem.

– Wydaje mi się, że ta uwaga przekroczyła granice dobrego smaku – stwierdziła, spoglądając na teścia znacząco.

Zola zauważyła, że Bowden był zachwycony kierunkiem, w jakim toczy się rozmowa.

Spencer wstał.

– Jakoś straciłem apetyt.

Spojrzał na Zolę.

– Zolo, jeśli skończyłaś, to może pójdziemy się przejść. Jeszcze nie miałaś okazji zobaczyć jeziora za domem. Prowadzi do niego piękna ścieżka.

Zola wstała z przyjemnością.

Kiedy wychodzili, usłyszała mamrotanie Stettlera:

– Ten chłopak nigdy nie potrafił stanąć do walki. Zawsze tchórzliwie zmykał w obliczu sportowej konfrontacji. Znajdował wymówkę, żeby zwać. Widzę, że nie zmienił się ani na jotę.

– A ja widzę, że dałeś mu kilka doskonałych powodów, by znowu nie pojawił się w domu przez długi czas, dziadku – oświadczyła Rita. – Naprawdę! Ty i Bowden zawsze się go czepialiście.

Przynajmniej jedna osoba nazywa rzeczy po imieniu.

Rozdział osiemnasty

Spencer wziął Zolę pod rękę i poprowadził nad jezioro

– Przepraszam, Zolo. Moja rodzina potraktowała cię niegrzecznie.

Zola prychnęła.

– To mało powiedziane! – Przycisnęła do boku rękę Spencera. – Przykro mi ze względu na ciebie. Miałaś nadzieję, że po tylu latach coś się zmieniło.

Wydał z siebie ciężkie westchnienie.

– Czy oni zawsze byli tacy, kiedy byłeś mały?

– Tak. – Kopnął leżącą na ścieżce szyszkę. – Oczywiście najgorzej było wtedy, kiedy przychodził do nas dziadek. A tradycyjnie pojawiał się w piątek wieczorem. W niedzielę z kolei my jechaliśmy do niego po nabożeństwie w kościele w Richmond. – W jego głosie pojawiła się nutka sarkazmu. – Pamiętam, że to również były upiorne chwile.

– Powiedz mi, jakie miałeś dzisiaj spostrzeżenia. Ubierz je w słowa. Teraz jesteś już dorosły. Nie byłeś w domu od bardzo dawna. Powinieneś patrzeć na to z innej perspektywy.

Spencer spojrział w poważne, brązowe oczy Zoli, wpatrujące się w niego w oczekiwaniu na odpowiedź. Dobrze, czemu nie, pomyślał.

– Widzę, że nic się nie zmieniło, Zolo. Dziadek nadal jest zadufanym w sobie dupkiem. Wciąż wszystkich obraża, plecie, co mu ślina na język przyniesie i nikt słowa mu za to nie powie. Jego nowa żona, Charlene, to kolejna marionetka. Chichotała przy każdym jego słowie, jakby mówił coś zabawnego. Wygląda na osobkę nieinteligentną.

Z irytacją odłamał z krzaka uschniętą gałązkę.

– Charlene jest jedną z całego szeregu podobnych do niej kobiet, którymi dziadek się otaczał, a często nawet poślubiał, bo jego pierwsza żona, Sylvia, umarła młodo. Nigdy jej nie poznałem; zmarła przy porodzie drugiego syna. Dziecko również zmarło, więc mój ojciec był jedynym potomkiem Jacksonów. Żadna z kobiet, z którymi spotykał się, a potem żenił dziadek, nie urodziła mu już dziecka.

Teraz, kiedy wyszli z kręgu światła padających z domu, zrobiło się ciemniej, ale drogę oświetlał im księżyc w pełni.

– Zauważyłem dzisiaj, jak inny jest mój ojciec, kiedy dziadka nie ma w pobliżu. Kiedy przyjechaliśmy, wydawał mi się niemal dobry i troskliwy.

– Ja również to zauważyłam – stwierdziła Zola. – Był autentycznie uszczęśliwiony na twój widok.

W tym momencie wybuchła nagromadzona w Spencerze złość.

– To dlaczego siedział cicho, kiedy jego ojciec zachowywał się tak, jak się

zachowywał, i obrażał jego gości? Dlaczego przechodził do porządku dziennego nad brakiem taktu dziadka i chamstwem? – Spencer skrzywił się. – Tak samo reaguje, kiedy Bowden robi to samo. Udaje, że tego nie widzi. Puszczą wszystko mimo uszu. Bardzo rzadko się zdarza, żeby on albo mama przyszli z pomocą gościowi czy członkowi rodziny, którym tamci dwaj dokuczają. Nigdy nie potrafiłem tego zrozumieć, Zolo. Zawsze mnie to wkurzało.

– Zauważyłam, że twój dziadek reaguje wściekłym atakiem, nigdy przeprosinami – odparła cichym głosem. – Może dlatego.

Spencer roześmiał się cicho.

– Tak, szybko zrozumiałaś, że z dziadkiem Stettlerem i z Bowdenem lepiej nie wchodzić w spór, tylko siedzieć cicho. Jeśli będziesz się bronić czy protestować, narazisz się tylko na jeszcze więcej obelg.

– No to masz odpowiedź. – Zola uściśniła jego rękę. – Twój ojciec przywykł do tego od dziecka. Od małego był tresowany, żeby trzymać buzię na kłódkę. Podobnie jak teraz twój bratankowie.

– Tak, przykro na to patrzeć. Dwaj chłopcy, jeszcze tacy mali, a już całkiem stłamszeni. Może oni również byli poniżani, jeśli ośmielili się odezwać lub zwrócić na siebie uwagę.

Zola położyła głowę na jego ramieniu.

– To przemili chłopcy. Zastanawiam się, czy nie udałoby się czasem ściągnąć ich do nas w góry, Spencerze. Dać im poznać inny rodzaj życia rodzinnego.

Uśmiechnął się, patrząc na nią z góry.

– Taki jak w twojej rodzinie? – Pochylił się i pocałował ją w głowę. – Jesteś dobra, skoro martwisz się o tych chłopców.

– Powinieneś wiedzieć, jak oni się czują. – Urwała i zamyśliła się. – Spencerze, jaka rodzina pozwoliła ci zrozumieć, że twoja była... – Szukała odpowiedniego słowa.

– Toksyczna? – dokończył za nią ze śmiechem. – Rodzina mojego przyjaciela, Petera Bradleya. Była zdrowa, wbrew temu, co powiedział dzisiaj dziadek. Właściwie nie zaskoczyło ich, że Peter nie wybrał prawa, tylko studia na wydziale leśnictwa, a potem został strażnikiem w parku narodowym. Nie sądzę również, żeby Peter ich rozczarował, jak twierdzi dziadek.

– Chciałabym kiedyś poznać tego Petera – oświadczyła Zola z uśmiechem.

Spencer poszukał jej dłoni.

– Zaprosimy go na nasz ślub. Jest mi to winien, bo ja byłem na jego. – Roześmiał się. – A my wybierzemy się kiedyś z wizytą do Wyoming. Mieszka teraz z żoną w Parku Narodowym Yellowstone.

Dotarli nad spokojne jezioro i usiedli razem na ławeczce. Światło księżyca odbijało się subtelnymi, migotliwymi refleksami w ciemnych wodach. Spencer

zawsze lubił to miejsce.

– Wiesz, podczas obiadu odnosiłam wrażenie, że twoja siostra Rita dobrze sobie z tym wszystkim radzi – Zola wróciła do przerwanej rozmowy o zajściach w czasie posiłku. – Zauważyłeś, że wymieniają z narzeczonym rozbawione spojrzenia, jakby ich to po prostu śmieszyło?

– Zauważyłem. – Spencer kiwnął głową. – Zawsze czułem, że Rita potrafi dostrzec komizm sytuacji panującej w naszej rodzinie i bawi się tym doskonale. Dlatego radziła sobie z tym wszystkim znacznie lepiej ode mnie.

– Ty jesteś poważny z natury i bierzesz sobie wszystko do serca – powiedziała Zola.

– To dobrze czy źle? – Spochmurniał.

Zola uśmiechnęła się do niego.

– Po prostu taką masz naturę. Jesteś wrażliwym artystą, człowiekiem uczuciowym. Ludzkie reakcje na jakieś wydarzenia zależą od tego, jaką ktoś ma osobowość. Jedni potrafią się w danej sytuacji śmiać, a inni nie.

Spencer zastanowił się nad jej słowami. Podobało mu się jak Zola prosto i zwięźle ujęła istotę jego przeżyć. On sam nigdy nie umiał ich nazwać.

Zola wrzuciła do jeziora niewielki kamyczek. Obserwowali kręgi rozchodzące się w świetle księżyca.

– Twoja matka odgrywa po prostu rolę pełnej wdzięku pani domu, prawda, Spencerze? Właściwie ani ona, ani twój ojciec nie brali udziału w toczącej się przy stole rozmowie. Czy kiedy byłeś mały odzywali się częściej?

– Kiedy o tym myślę, wydaje mi się, że nie. Nie rozmawiali zbyt dużo. Oboje byli zawsze cisi i pełni rezerwy.

– Introwertycy.

– Chyba tak. Łatwiej się otwierali, kiedy było się z nimi sam na sam. W większej grupie wtapiali się w otoczenie.

– Oni również nie są z natury wojownikami.

– Nie. Nie sądzę. – Skrzywił się. – Zastanawiam się, czy nie było im ciężko żyć przez cały czas pod kontrolą dziadka. Wciąż mieć z nim do czynienia.

Zola weszła mu w słowo:

– Masz na myśli obrażanie przez niego ich przyjaciół, chamstwo wobec gości, dominowanie na zebraniach towarzyskich i to, że rzadko zdarzało mu się powiedzieć o kimkolwiek coś dobrego?

Uściskał jej rękę.

– Dzięki tobie zaczynam im współczuć.

– Może powinienesz. – Pogłaskała go po ramieniu. – Tobie udało się uciec. Oni nie mogli.

– A myślisz, że chcieli? – Ta myśl była dla niego czymś nowym.

Zola uniosła ku niemu twarz opromienioną księżycowym blaskiem.

– Mógłbyś ich o to zapytać.

Roześmiał się.

– Nie wiem, czy starczy mi odwagi.

– Hmm. Odniosłam wrażenie, że zarówno w twojej matce, jak i w ojcu kryje się całkiem inna, kompletnie stłamszona osoba. Dostrzegłeś kiedykolwiek tę część ich osobowości?

– Sam nie wiem. Muszę się nad tym zastanowić.

I zastanawiał się, przez całą noc i następny dzień.

Śniadanie upłynęło spokojniej. Kiedy Spencer schodził po schodach do kuchni, zatrzymał się w holu, słysząc głosy rodziców. Matka i ojciec rozmawiali ze sobą serdecznie. Czasem nawet śmiali się.

Zdumiało go to. Uświadomił sobie, że on, Bowden i Rita wyprowadzili się już z domu. Rodzice wrócili do relacji, jakie łączyły ich, zanim dzieci przysły na świat, kiedy byli młodzi i zakochani.

Gdy Spencer wszedł do kuchni, podnieśli na niego wzrok i uśmiechnęli się. Emanowała z nich miłość – co go całkowicie zaskoczyło. Był zadowolony, że Zola weszła zaraz za nim i nastrój tej dziwnej chwili nieco się zmienił.

Teraz przemierzał z Zolą stare szlaki w Pocahontas State Park – ścieżki, które wydeptywał miliony razy jako chłopiec – pełne wspomnień z dzieciństwa.

Był ciepły czerwcowy dzień, więc oboje mieli na sobie szorty, podkoszulki i wygodne tenisówki. Spencer niósł na ramionach stary, zniszczony plecak, który znalazł na gwoździu w garażu.

– Czuję, że wspominasz wiele szczęśliwych chwil – odezwała się Zola.

Ujął ją przyjaźnie za rękę.

– Tak. Tutaj przypominałem sobie, że w moim dzieciństwie było ich jednak niemało. Przynależność do rodziny Jacksonów miała nie tylko ciemne strony. Jak słusznie zauważył Aston, nikt mnie nie bił, nigdy mi niczego nie brakowało, moi rodzice nie byli alkoholikami czy narkomanami. Nikt nigdy nie zamykał mnie w szafie.

Westchnęła.

– Aston dobrze zna niektóre z tych przeżyć, prawda?

– Tak, ale przetrwał, uporał się z nimi. – Spencer potrząsnął głową. – Chyba powinienem się wstydzić, że jakieś problemy z dzieciństwa tak bardzo mnie do dzisiaj dręczą. Kiedy Aston opowiadał mi rozmaite historie ze swojego życia, zaczynałem czuć się winny, że ja nie radzę sobie z moimi emocjami.

– Niełatwo uleczyć cierpienia z dzieciństwa.

Spencer rozejrzał się dokoła z zadowoleniem.

– Tutaj zawsze czułem się szczęśliwy. Łaziłem po lasach i łąkach, bawiłem się nad jeziorem i przy strumykach w tym parku. Właziłem na drzewa, i szperałem. Udawałem rozmaite postacie z chłopięcych gier i wierzyłem w spełnienie

nierealnych snów.

Zola uścisnęła jego rękę.

– Po powrocie do domu staraj się częściej wspominać te dobre chwile, a rzadziej złe. Równie łatwo przywoływać dobro jak zło, wystarczy nad tym popracować.

– Ty tak robisz? – Zaskoczyła go ta myśl.

Uśmiechnęła się tak, że aż cała twarz jej pojaśniała.

– Oczywiście. Stosunek do życia zależy od naszego wyboru, Spencerze. Możesz wybrać szczęście, skoncentrować się na tym co dobre, szczerze. Albo wybrać nieszczęście i skupić się wyłącznie na tym co złe, przykre.

Zola zatrzymała się.

– Spróbuj. – Odwróciła się i popatrzyła na niego. – Zrób specjalnie ponurą minę i zacznij myśleć o sprawach naprawdę paskudnych i nieprzyjemnych.

Posłusznie zastosował się do instrukcji.

– Zaczynasz pograżać się w ponurym nastroju, prawda? Ciężkim, depresyjnym?

Musiał przyznać jej rację.

Zola uśmiechnęła się do niego.

– A teraz spróbuj czegoś innego. Uśmiechnij się szeroko i pomyśl o tych najlepszych, najszczęśliwszych chwilach.

Uśmiechnął się do niej i posłuchał jej.

– Czujesz, że ciężar staje się mniejszy, prawda? – Przechyliła głowę na bok. – Widzisz, jaki masz wpływ na swój nastrój i nastawienie do życia? W znacznym stopniu wynika to z wyboru.

– To jak w Piśmie Świętym. – Szukał w pamięci. – Wszystko, co jest prawdziwe, co godne czci i sprawiedliwe, co czyste...

– I miłe – dokończyła Zola. – Tak. Miej to na uwadze. A Bóg pokoju niech będzie z tobą².

Wyciągnął rękę i delikatnie pogładził jej włosy.

– Wiesz, powiedziałem kiedyś Zeke'owi, że zmienisz nas, jeśli pobędziemy w pobliżu ciebie za długo.

Roześmiała się.

– Cóż, nie wydaje mi się, żebym jakoś wpłynęła na twojego psa, Spencerze. Ale jeśli tobie dałam trochę więcej miłości i spokoju, to nie żałuję.

Objął rękami jej twarz i pocałował ją.

– Ani ja, Zolo. Ani ja. I jestem ci wdzięczny za to.

Ruszyli dalej, trzymając się za ręce.

– Patrz! – zawołał nagle, wskazując w górę. – Mój stary domek tam – na tym dużym klonie. – Zszedł z dróżki i przedzierając się przez zarośla, stanął u stóp potężnego drzewa. Uśmiechnął się do Zoli. – Nie sądziłem, że jeszcze tu będzie.

Podeszła do niego, wybierając wydeptaną ścieżkę.

– Zachował się w zadziwiająco dobrym stanie, Spencerze. Wydaje mi się, że ktoś dbał o niego i naprawiał go w ostatnim czasie. Widzę kilka świeżych desek wśród tamtych starych.

Stali u podnóża potężnego klonu, spoglądając na umieszczony wysoko w górze domek.

– Wdrapmy się tam – rzucił impulsywnie Spencer. Postawił stopę na pierwszej poprzeczce i zaczął wspinać się po przybitych gwoździemi deskach.

Był ciekaw, czy Zola okaże się dość dzielna, by wdrapać się na stare drzewo po spróchniałych deszczułkach. Domek był ulokowany wysoko w konarach klonu. Zola zaskoczyła go, wspinając się tuż za nim.

Spencer oprowadził ją po podniebnym domku, a potem usiedli oboje na podłodze z desek i oparli się plecami o pień drzewa. Opowiadał jej historie ze swego dzieciństwa i zabawne anegdotki z tamtych lat. To były dobre wspomnienia i cieszył się, że mógł się z nią nimi podzielić.

– Szkoda, że nie znałam cię, kiedy byłeś mały. – Skrzyżowała wyciągnięte przed siebie nogi. – Myślę, że moglibyśmy zostać przyjaciółmi, ty i ja.

– Nie wiem, Zolo. – Ze śmiechem pokazał jej sylwetkę dziewczynki wycięty w pniu drzewa i przekreślony grubym wymalowanym farbą znakiem X. – To domek, do którego „dziewczynom wstęp wzbroniony”. Dziewczyny nie miały prawa tu wchodzić, bez żadnych wyjątków. Peter Bradley i ja zawarliśmy pakt w tej sprawie.

– Rozumiem. – Wyglądała na zawiedzioną.

Przysunął się bliżej i wziął ją w ramiona.

– Mali chłopcy nie wiedzą wielu rzeczy, które powinni wiedzieć. – Pocałował ją powoli, z namaszczeniem. – Życie jest zdecydowanie lepsze, kiedy są w nim dziewczynki.

Zaśmiała się i pocałowała go w odpowiedzi.

Spencer był zadowolony z tych szczęśliwych chwil przed wieczornym zgromadzeniem rodzinnym. Wiedział, że na przyjęciu z okazji rocznicy ślubu będzie musiał znowu stawić czoło dziadkowi i bratu. I stanie oko w oko z Genevą. Spencer naprawdę nie wiedział, czego się po tym spodziewać. Niepokoilo go również to, że Zola będzie świadkiem ich spotkania. Jeżeli tliły się w nim jeszcze jakieś uczucia do Genevy, trudno mu będzie ukryć je przed Zolą. Na samą myśl o czekającym ich wieczorze ogarniał go nerwowy niepokój. Miał nadzieję, że nie zepsuł wszystkiego z Zolą, przywożąc ją ze sobą do Richmond.

Rozdział dziewiętnasty

Przyjęcie z okazji rocznicy ślubu rodziców Spencera zostało zorganizowane w historycznej części Richmondu, w jednym z eleganckich, prestiżowych lokali. Colony Club był wytworny, ekskluzywny i wspaniale udekorowany. Spodziewano się ponad dwustu gości. Gordon i Marion należeli do stałych mieszkańców miasta i właściciele firmy działającej w Richmond od dawna, więc wielu znajomych i partnerów w interesach chciało złożyć im gratulacje z tak wyjątkowej okazji.

Zola spędziła prawie całe życie na wiejskich terenach Tennessee, ale w jej żyłach płynęła królewska krew władców Tahiti. Brała udział w uroczystościach na wyspach i potrafiła się odpowiednio ubrać i zachować w najlepszym towarzystwie.

Zauważyła, że wzrok Spencera znowu przesunął się po niej z uznaniem, kiedy ruszyli do głównej sali balowej klubu. Migotliwe światła żyrandoli odbijały się w cekinach na jej sukni.

– Wyglądasz bardzo pięknie, Zolakieran Devon.

Uśmiechnęła się.

– Już mi to mówiłeś, Spencerze Jacksonie, ale oczywiście miło mi to znowu słyszeć. Ty również jesteś niezwykle przystojny.

Była to oficjalna uroczystość, więc Spencer, podobnie jak większość panów, miał na sobie smoking. Kobiety wystroiliły się w długie, lśniące kreacje. Suknia Zoli o wysokim stanie składała się z wierzchniej części naszywanej białymi cekinami, narzuconej na część spodnią z czarnymi cekinami. Niesforne loki upięła grzebieniami wysadzanych kamieniami szlachetnymi, w uszach miała kolczyki z czarnymi perłami z wysp, a na szyi naszyjnik z takimi samymi perłami. Tę sukienkę włożyła kiedyś podczas jednej ze szczęśliwych rodzinnych uroczystości... teraz dodawała jej ona pewności siebie. Zola wiedziała, że wygląda w niej oszałamiająco.

Spencer poprowadził Zolę przez tłum do miejsca, w którym rodzice witali gości – była to niewielka wnęka obok rzędów bankietowych stołów. Stoły uginały się od smakowicie wyeksponowanych potraw, a z boku stał piękny tort składający się z kilku warstw.

Zola pochyliła się w stronę Spencera.

– Czy ten tort jest dziełem Rity?

– Tak. – Spencer popatrzył na ciasto z uśmiechem. – Fantastyczny, prawda?

Zola kiwnęła głową. Tort był istnym dziełem sztuki, z cukrowymi wstęgami, które wyglądały zupełnie jak prawdziwe satynowe wstążki, opasującymi kolejne warstwy ciasta i z niesamowitą, delikatną kompozycją kwiatową spływającą z wierzchu na boki.

Spencer i Zola dołączyli do grupki przyjaciół i rodziny, która otaczała

rodziców. Pozostali tam na prośbę Gordona i Marion, wraz z Ritą i jej chłopakiem, Bryanem Hallem, rodzice chcieli bowiem przedstawić ich przyjacielom, którzy nie mieli jeszcze okazji ich poznać.

Zola zdołała, pomiędzy powitaniem, pochylić się ku Ricie, by pochwalić jej dzieło.

– Jestem zachwycona tym tortem, Rito. Naprawdę niesamowity.

Rita uśmiechnęła się.

– Mogę przygotować tort i na wasz ślub, jeżeli mnie zaprosicie. Polubiłam cię, Zolo. I chciałabym poznać cię bliżej, z dala od łona naszej szczęśliwej rodziny. – Jej głos pod koniec wypowiedzi zabarwił się tonem ironicznego rozbawienia. Uniosła znacząco brwi i poruszyła nimi jak skrzydłami.

Zola ledwo powstrzymała się od śmiechu.

Rita nachyliła się do niej.

– Kochanie, przy takiej rodzinie człowiek musi nauczyć się śmiać. To jedyny sposób, by nie zwariować. – Wskazała w stronę drzwi. – Na przykład tych dwoje. Zawsze przychodzą na każdą uroczystość spóźnieni, żeby mieć wielkie wejście. Dziadek i jego ostatnia pani pojawiają się zaraz za nimi.

Zola spojrzała ponad tłumem na stojących w drzwiach sali balowej Bowdena i Genevę. Bowden, podobnie jak Spencer, miał na sobie smoking – nieprzeciętnie przystojny mężczyzna, świetnie prezentujący się w oficjalnym, eleganckim stroju. Geneva, zgodnie z przewidywaniem Zoli, była niezwykle piękna.

Przechodzili przez tłum jak para hollywoodzkich gwiazd, ściągając na siebie powszechną uwagę dzięki pewności siebie i urodzie. Stanowili olśniewającą parę. Jak urodzeni dyplomaci przystawali po drodze i witali się ze znajomymi.

Kiedy podeszli bliżej, Zola przyjrzała się dopasowanej, wąskiej czerwonej kreacji Genevy. Głęboko wycięta z przodu suknia została uszyta z gładkiego jedwabiu, który opinał jej kuszące kształty. Blond włosy lśniły w blasku żyrandoli, podobnie jak brylanty w uszach oraz liczne bransoletki na rękach.

Zola spojrzała na Spencera, który śledził wzrokiem każdy krok kobiety. Westchnęła. Nie podobało jej się to, co zobaczyła.

Geneva uprzejmie przywitała się z Marion i Gordonem oraz z Ritą i Bryanem, a potem stanęła przed Spencerem.

– No, no – mruknęła gardłowym głosem. – Kogo my tu mamy...

Ujęła jego rękę, splotła je za swoimi plecami, a potem przyłgnęła do Spencera i pocałowała go w same usta.

– To już tak dawno – mruknęła przeciągle i odsunęła się lekko, by mu się przyjrzeć, ale ani na chwilę nie wypuściła jego rąk splecionych za swoimi plecami.

Bowden stał obok i obserwował to z pobłażliwym uśmiechem.

Geneva cofnęła się, pewna już wrażenia, jakie zrobiła. Zaskoczyła go tym pocałunkiem i wytrąciła z równowagi. Zola słyszała, że oddychał głębiej niż

zazwyczaj. Nie do wiary!

Bowden ujął Genewę pod rękę.

– Nie miałaś jeszcze okazji poznać narzeczonej Spencera, małej Zoli Devon. Zola jest właścicielką jakiegoś sklepiku z naturą, czy czymś w tym rodzaju, w pobliżu galerii Spencera w tym małym turystycznym miasteczku w górach.

Była to typowa dla Bowdena uwaga.

Geneva leniwym gestem wyciągnęła rękę do Zoli.

– O, jaka śliczna złocista skóra, Zolo. Większość z nas musi spędzać w solarium wiele godzin, żeby uzyskać taki efekt. Wspaniale mieć coś takiego z natury. Jesteś z Hawajów czy z Azji?

Zola zignorowała wyciągniętą rękę.

– Mój ojciec wyjechał jako lekarz na misję na Mooréa, jedną z wysp południowego Pacyfiku. Tam ożenił się z moją matką.

– Poślubił tubylczą dziewczynę. Jakie to urocze.

Zola uśmiechnęła się do Genevy.

– Poślubił jedną z córek Kasiora z dynastii Pomare.

Bryan, prezydent telewizyjny, aż podskoczył z wrażenia.

– Słyszałem o tej dynastii. Obecnie już nie panuje, ale jej członkowie nadal są rozpoznawani. – Zamyślił się. – Czyli jesteś w pewnym sensie księżniczką krwi, pochodzisz z królewskiego rodu, prawda?

– Chyba tak. – Zola wzruszyła ramionami. Zauważyła, że Geneva zeszywniała, a w jej oczach pojawił się ostry błysk.

– Bowdenie – powiedziała słodko i wsunęła rękę pod ramię męża. – Arnsworthowie wchodzą. Musimy z nimi porozmawiać. Wybaczcie nam, prawda?

– Przesunęła po nich wszystkich chłodnym, lekceważącym spojrzeniem i odeszła wraz z Bowdenem.

Obejrzała się jeszcze przez ramię.

– Zamawiam u ciebie szósty taniec, Spencerze. O ile pamiętam, szósty taniec należał do naszej tradycji.

Spencer nie odpowiedział.

Rita poklepała Zolę po plecach, kiedy para oddaliła się.

– Dobra robota, księżniczko. Zniszczyłaś koronę królowej. – Odsunęła się i uściskała Bryana. – A ty, Bryanie Hallu, właśnie zdobyłeś u mnie punkt. To było naprawdę świetne posunięcie!

Bryan parsknął śmiechem.

– Cieszę się, że mogłem się na coś przydać. Hej! Widzę, że ludzie zaczęli przechodzić do bufetu. Czy to oznacza, że my również możemy?

– Prowadź! – Rita wzięła go pod ramię i ruszyli do tworzącej się już kolejki.

Zola odwróciła się i spojrzała na Spencera. Nie odrywał oczu od stojącej na drugim końcu sali Genevy. Cholera! Śledził ją wzrokiem jak zahipnotyzowany.

Spencer widocznie wyczuł, że jest obserwowany, i zwrócił spojrzenie Zole.

– Naprawdę jesteś księżniczką? – zapytał z wyrazem zdumienia na twarzy, kiedy udało mu się skoncentrować na niej uwagę.

– Tylko z urodzenia, Spencerze. Dynastia Pomare nie sprawuje już władzy na wyspach.

– Nigdy mi o tym nie mówiłaś.

Wzięła go za rękę i pociągnęła w stronę kolejki do bufetu.

– Ten temat po prostu nigdy się nie pojawił, to wszystko. Jeśli chcesz, opowiem ci potem wszystko.

Wydawał się usatysfakcjonowany. A może tylko roztargniony. Złotowłosa Geneva w seksownej czerwonej sukni z pewnością nawet z drugiego końca sali mogła przyprawić mężczyznę o roztargnienie.

Nałożyli sobie na talerze jedzenie z bufetu i skubiąc je, krążyli wokół sali. Wiele osób pamiętało Spencera i chciało się z nim przywitać. Zola stwierdziła z nieklamana przyjemnością, że dorobek zawodowy Spencera był wśród jego znajomych z Richmond lepiej znany i wyżej ceniony niż w rodzinie.

Krępa kobieta o obfitym biuście wystrojona w drogocenną suknię położyła rękę na ramieniu Spencera.

– Mamy kilka twoich cudownych fotogramów w holu reprezentacyjnym, Spencerze. – Uśmiechnęła się do stojącego obok męża, łysiejącego mężczyzny o sympatycznej twarzy i równie jak ona pękatego w pasie. – Oboje z Robertem lubimy informować gości, że autorem tych zdjęć jest jeden z naszych sąsiadów. I że jako chłopiec lubił wspinać się na nasze drzewa.

Spencer odpowiedział coś z roztargnieniem. Zola zauważyła, że jego oczy nadal biegały za Genewą. Jej perlisty śmiech dobiegał aż tutaj z drugiego końca sali, gdzie stała w gronie swoich znajomych.

Rozpoczęły się tańce. Zola i Spencer grzecznie zaczekali, aż jego rodzice rozpoczną pierwszego walca i przy powszechnym aplauzie okrążą parkiet. Dopiero potem również oni weszli na parkiet. Natychmiast złapali wspólny rytm.

– Bardzo dobrze tańczysz, Spencerze.

– Wszyscy byliśmy w dzieciństwie posyłani na lekcje tańca. – Z niesmakiem zmarszczył nos. – Nienawidziłem ich, ale nauczyłem się, czego trzeba.

Obrócił ją z wprawą wokół własnej osi.

– Ty również dobrze tańczysz, Zolo.

Podniosła wzrok i przekonała się, że tym razem jego spojrzenie było skoncentrowane wyłącznie na niej. Jego oczy wypełniało ciepło, podziw i uczucie.

Uśmiechnęła się do niego.

– Oboje potrafimy też porządnie posprzątać w razie potrzeby.

– To prawda – roześmiał się Spencer.

Mocniej objął ją w tańcu i wirowali wokół sali balowej. Miło było znaleźć

się znowu w centrum uwagi Spencera.

Potem Zola tańczyła z wieloma różnymi mężczyznami. Ojciec Spencera poprosił ją do walca, a Bryan Hall podczas jakiegoś przeboju z lat pięćdziesiątych cały czas ją rozśmieszał. Spencer również musiał odbyć rundę obowiązkowych tańców z członkami rodziny i dawnymi znajomymi.

Kilkakrotnie Zola zauważyła Genevę. Trudno było przeoczyć jej czerwoną suknię. Zola dostrzegła, że blond piękność nie tylko wobec Spencera zachowywała się z nadmierną, jak na kobietę zamężną swobodą. Flirtowała z wieloma panami obecnymi na sali.

Spojrzenie Zoli biegło w takich chwilach w stronę Bowdena, ale on również flirtował na potęgę – nawiązywał kontakty, tańczył z wieloma kobietami, prowadził poufałe pogaduszki. Najwyraźniej nie przejmował się Genevą.

Szósty taniec, który wedle słów Genevy tradycyjnie należał do niej i Spencera, okazał się wolny i zmysłowy. Poirytowana Zola zastanawiała się, czy Geneva specjalnie to zaaranżowała. Tańcząc z gadatliwym dentystą, który wspominał swoją wycieczkę w Smoky Mountains, Zola miała na oku tamtą parę. Geneva wręcz przykleiła się do niego. Śmiała się i wciągała go w intymną rozmowę. Zoli nie podobał się wyraz twarzy Spencera: kompletne oczarowanie.

– Od dawna mieszka pani w Tennessee, panno Devon?

To pytanie oderwało Zolę od budzących niepokój obserwacji. Ponownie zajęła się swym partnerem, który okazał się miłym człowiekiem, i już wkrótce zaangażowała się w rozmowę z nim na temat ulubionych miejsc w Gatlinburgu.

Kiedy taniec dobiegł końca, Zola rozejrzała się za Spencerem, ale nigdzie nie mogła go dostrzec. Postanowiła trochę odetchnąć od hałasu i upału panujących w sali balowej, więc bocznymi drzwiami wymknęła się na pełne uroku podwóreczko.

Usłyszała tu szum wody z fontanny i szmer rozmowy. Kiedy rozpoznała głosy Spencera i Genevy, stanęła ukryta za filarem i ścianą zieleni.

Znad górnej krawędzi wysokiej donicy z fikusem obserwowała, jak stojąca przy fontannie Geneva przesuwając rękami po torsie Spencera.

– Och, daj spokój, Spencerze. Nie mów, że nie myślałeś o mnie, że nie zastanawiałeś się nad tym, jak by to było być znowu ze mną. – Opuszkami palców pogładziła jego policzek, Zola widział z oddali jaskrawoczerwony lakier na jej paznokciach. – Bo ja z pewnością o tobie myślałam. I bardzo mi się podoba ten przystojny, pewny siebie mężczyzna, którym się stałeś.

Zarówno poufny ton jej głosu, jak i całe zachowanie zdecydowanie nie harmonizowały ze statusem kobiety zamężnej. Zola miała wyrzuty sumienia ze względu na fakt, że podsłuchiwała i podglądała, ale chciała zobaczyć, jak zareaguje Spencer. To miało to dla niej niebagatelne znaczenie.

Na razie milczał i wpatrywał się intensywnie w Genevę.

– Czy wciąż uważasz, że jestem piękna, Spencerze? – zapytała Geneva i przesunęła ramiona do przodu, żeby powiększyć i tak głęboki dekolt, odsłaniając większy fragment biustu.

Zola podniosła oczy do nieba. Co za prostacka sztuczka!

Spencer jednak gwałtownie wciągnął powietrze. Wspaniale!

Geneva przysunęła się do niego, oferując mu swoje usta.

Spencer cofnął się o krok.

– Jesteś mężatką, Genevo.

Znowu położyła dłonie na tego torsie.

– I co z tego? Z pewnością zauważyłeś, że dajemy sobie z Bowdenem wiele swobody.

Spencer skrzywił się.

– Możliwe – powiedział. – Ale ja jestem zaręczony, Genevo. W moim życiu jest już ktoś inny.

– Ta ładniutka wyspiarka? – Geneva zaśmiała się z lekceważeniem. – Doprawdy, Spencerze. Z pewnością nie zamierzasz ożenić się z tą małą. Ona nie jest w twoim typie.

– Nie? – Głos Spencera zabrzmiał twardo. – A kto jest w moim typie?

– No... zawsze było nam ze sobą dobrze – zagruchała Geneva.

Spencer cofnął się.

– Może kiedyś. Ale ty się zmieniłaś, Genevo. Albo to ja się zmieniłem. Nie przypominam sobie, żebyś dawniej była taka powierzchowna, tak niewrażliwa na uczucia innych. Ani tak skoncentrowana wyłącznie na sobie.

Urażona Geneva cofnęła się, w jej oczach zapłonął gniew.

– Nigdy nie znałeś się na ludziach, Spencerze, brakowało ci przenikliwości w ocenie innych. Zawsze byłeś naiwny i nieżyciowy. Martwiło mnie to. – W jej głosie brzmiała irytacja.

Geneva przyglądała się własnym paznokciom, każdemu z osobna, wyraźnie starała się odzyskać panowanie nad sobą. Zola widziała to wyraźnie, nawet z dużej odległości.

– Czy ty mnie kiedykolwiek naprawdę kochałaś, Genevo? – zapytał Spencer, przyglądając się uważnie byłej narzeczonej. – Zastanawiałem się zawsze, jak to możliwe, że z taką łatwością zamieniłaś mnie na Bowdena... i nawet nie raczyłaś zadzwonić, żeby osobiście powiadomić mnie, że między nami koniec. To nie było honorowe zachowanie.

Geneva przewróciła oczami i potrząsnęła głową.

– Nigdy nie użyłabym w stosunku do siebie określenia: honorowa, Spencerze. To słowo bardziej pasuje do ciebie. – Jej głos ociekał sarkazmem. – Mnie lepiej opisują przymiotniki: utalentowana, bystra i ambitna. Dwanaście lat temu, kiedy ty byłeś młodym marzycielem i nie bardzo wiedziałeś, kim jesteś

i czego pragniesz, ja już doskonale wiedziałam, czego chcę. I szybko zorientowałam się, że dla mnie korzystniejsze byłoby małżeństwo z Bowdenem niż z tobą.

Geneva odsunęła się od Spencera, a jej oczy stały się nagle twarde.

– Między Bowdenem i mną zawsze istniała niezaprzeczalna chemia. Pożądaliśmy się nawzajem. Postanowiłam wykorzystać to, że Bowden lubił współzawodniczyć z tobą. – Uśmiechnęła się do własnych myśli. – Przyznaję, że to był jeden z powodów, dla których cię uwiodłam. Żeby obudzić w nim ducha współzawodnictwa. Zawsze manipulowałam wami dwoma, niemal od początku.

Oczy Spencera rozszerzyły się, gwałtownie wciągnął powietrze.

Geneva wzruszyła ramionami i podciągnęła wyżej bransoletki.

– Mówiąc otwarcie, Spencerze, trzymałam cię w odwodzie, bo nie byłam pewna, czy Bowden spełni moje oczekiwania. – Uśmiechnęła się znowu i postukała go w pierś długim, czerwonym paznokciem. – Widzisz, ja postanowiłam wejść do rodziny Jacksonów i do ich firmy. Wiedziałam, że dzięki temu moja kwiaciarnia rozkwitnie, a na tym mi naprawdę zależało. Studio fotograficzne Jacksonów to najbardziej prestiżowa firma tej branży w Richmond, wyrobiliście sobie pozycję i nazwisko, a twoja matka i siostra, dzięki swoim zdolnościom w dziedzinie cateringu, jeszcze je wzmocniły... rozwinęły. Czułam, że to idealne miejsce dla mojego własnego interesu, że będzie pasował idealnie do profilu działalności Jacksonów. Niewielka kwiaciarenka mojej matki to nic w porównaniu z tym, do czego mogliśmy dojść dzięki połączeniu z Jackson Studio.

Geneva podeszła do ławeczki z kutego żelaza i oparła na niej stopę, żeby poprawić jaskrawoczerwony sandałek na wysokim obcasie, odsłaniając przy tym spory kawałek długiej nogi.

– Nigdy nie mogłam zrozumieć, dlaczego postanowiłeś wyjechać na studia do innego miasta, odsunąć się od Jacksonów. Rodzinny interes pachniał prestiżem i pieniędzmi. Twój dziadek Stettler wzenił się w Winthropów i odziedziczył ich wspaniałą, starą rezydencję w samym centrum miasta na siedzibę firmy. To było z jego strony sprytne posunięcie. Słyszałam, że ta mała Sylvia Winthrop, pierwsza żona Stettlera, była przygłupia. Ale twój dziadek to, podobnie jak ja, człowiek ambitny.

Geneva spacerowała w zamyśleniu.

– Winthropowie byli miękkimi, ciepłymi, dobrymi ludźmi. Dostrzegam ich cechy w twoim ojcu, w tobie również je widziałam. I to mnie martwiło. Natomiast Bowden jest taki jak twój dziadek. I ja. My chcemy do czegoś dojść. Chcemy pieniędzy.

Odgarnęła krótkie, jasne włosy.

– Widzisz, Spencerze, pieniądze i prestiż to wszystko, co się naprawdę w życiu liczy. Rozejrzyj się dzisiaj po klubie. Do tego właśnie zawsze dążyłam.

Nie byłam pewna, czy ty chcesz pójść w tym samym kierunku. Och, pewnie udałoby mi się nakłonić cię do tego. Ale prościej było związać się z Bowdenem. Jesteśmy do siebie tak bardzo podobni.

Podeszła i ponownie przesunęła ręką po torsie Spencera.

– Bowden daje mi wolną rękę niemal we wszystkim. A ja jemu. Ty w takiej sytuacji mógłbyś nie czuć się komfortowo.

Zola zauważyła, że Spencer stężał. Geneva jednak nie spostrzegła tego.

– Na moją korzyść działało również to, że twój dziadek mnie lubił. Stary, dobry Stettler. – Roześmiała się. – On wiedział, że będę pasowała do firmy i do rodziny. Myślę, że martwił się również tym, czy ty będziesz kiedykolwiek nadawał się do rodzinnego interesu. I wiesz, przyłapał nas kiedyś z Bowdenem na kanapie w biurze, kiedy jeszcze byłam z tobą zaręczona. I ten stary drań był zachwycony!

Znowu przysunęła się bliżej do Spencera.

– Nie musiałeś przez tyle lat trzymać się z dala od domu tylko dlatego, że wyszłam za Bowdena. Mogliśmy cieszyć się sobą, oczywiście gdybyśmy zachowali dyskrecję. I możemy teraz.

Zsunęła dłoń po torsie Spencera na dół, aż do paska spodni. A potem i poniżej.

– Mogę spotykać się z tobą w jakimś ustronnym miejscu.

– Wątpię, czy coś z tego będzie, Genevo. Ale możesz bawić się tą myślą, jeśli masz ochotę. – Poklepał ją po pośladku, odwrócił się i odszedł do sali balowej.

Geneva została przez chwilę przy fontannie, odprowadzając go wzrokiem, potem zaś odwróciła się na pięcie i przeszła do dalszej części dziedzińca, żeby wrócić do sali innymi drzwiami niż Spencer.

Zola stała bez ruchu za filarem, nadal oszołomiona tym, co usłyszała.

Nagle ktoś chrząknął za jej plecami. Odwróciła się gwałtownie, spodziewając się zobaczyć Spencera. Obawiała się, że przyłapał ją na podsłuchiwanie. Ku swemu zaskoczeniu zobaczyła przed sobą ojca Spencera.

Patrzył na nią łagodnie.

– Może teraz rozumiesz, dlaczego oboje z żoną odczuliśmy pewną ulgę, kiedy Geneva zdecydowała się wybrać Bowdena, a nie Spencera. Myślę, że ona zniszczyłaby Spencera... a przynajmniej zraniłaby go głęboko. Nigdy tak naprawdę go nie kochała, a Spencer potrzebował miłości.

– Dlaczego mu nie powiedzieliście?

Gordon Jackson wzruszył ramionami.

– Nie uwierzyłyby mi. Szczególnie, że w grę wchodził Bowden. – Oczy starszego pana posmutniały.

Zola przyjrzała mu się uważnie i być może w tej jednej chwili zobaczyła więcej, niż powinna.

– Jak pan może znieść tę rodzinę, panie Jackson? Jak pan może żyć wedle

reguł, które panu narzucono?

Ojciec Spencera nie wyglądał na zaskoczonego tym pytaniem.

– Byłem jedynym synem. Nikt poza mną nie mógł przejąć prowadzenia Jackson Studio. Z wielu względów kocham tę firmę. Uwielbiam fotografować i z radością utrwalam na zdjęciach szczęście ludzi w ważnych dla nich chwilach. Nie jestem zbyt dobry w prowadzeniu biznesu, ale mój ojciec jest. Bowden również. Ich zdolności w tej dziedzinie pozwalają mi koncentrować się na tym, co najbardziej kocham: na robieniu zdjęć.

Oparł stopę na ceglany murku otaczającym trawnik.

– Kiedyś myślałem o fotografowaniu dzikiej przyrody albo o nauczaniu biologii. Ale porzucenie studia, które również kochałem, byłoby głupotą. Czasami zastanawiam się, czy Spencer wróciłby i podjął pracę w rodzinnej firmie, gdyby nie ta historia z Genewą. Czy on też mógłby znaleźć tutaj szczęście?

Zola zastanowiła się nad tym.

– Nie... Myślę, że co innego było mu pisane, panie Jackson. I myślę, że odnalazł swoje przeznaczenie. Słyszałam, jak opowiadał o swojej pasji. Wiem, jak bardzo pociąga go fotografowanie natury i jak bardzo kocha życie, które wybrał. Obserwowałam go również przy pracy. Jest w swojej dziedzinie wspaniały, panie Jackson. Wie pan o tym?

– Oczywiście. – Gordon Jackson robił wrażenie zaskoczonego, niemal poirytowanego tym pytaniem. – Mamy w domu wszystkie albumy Spencera. Zrobiliśmy z żoną księgę wycinków z recenzjami jego osiągnięć. Niektóre z jego fotogramów wiszą w moim studio, a Marion zawiesiła kilka w swojej bawialni. Jesteśmy z niego dumni, Zolo. Cierpieliśmy jedynie dlatego, że był tak strasznie daleko. Zrozumiesz to kiedyś, gdy będziesz miała własne dzieci.

Zola zerknęła na drzwi, którymi Geneva wróciła ukradkiem na salę balową.

– A nie martwi was, że macie za synową Genewę, że jest żoną waszego syna Bowdena?

Starszy pan wzruszył ramionami.

– Stanowią z Bowdenem dobraną parę. Nie wiem, na ile głęboka jest ich miłość, ale szanują się nawzajem. Oboje są utalentowani, towarzyscy i ambitni. Ich małżeństwo jest całkiem udane i są potrzebni w Jackson Studio.

Zola powstrzymała się od komentarza. Potrzeby firmy były bardzo istotnym czynnikiem dla wszystkich Jacksonów. Z wyjątkiem Spencera. Serce Zoli ścisnęło się boleśnie na myśl o tym, czego nasłuchiwał się dzisiaj od Genevy. Musiało go to zabołeć.

Jej oczy pobiegły ku drzwiom, przez które przeszedł Spencer. Zastanawiała się, gdzie jest i co robi.

– Lepiej chyba, żeby już wróciła do sali. – Zola położyła dłoń na ramieniu starszego człowieka. – Byłoby miło, gdyby podzielił się pan ze Spencerem tymi

myślami, którymi przed chwilą podzielił się pan ze mną. Spencer nie rozumie, dlaczego państwo zachowali się w tak bezduszny sposób po jego zerwaniu z Genewą.

Gordon Jackson kiwnął głową.

– Postaram się zrobić to przed waszym wyjazdem. Może to odpowiednia chwila, żeby porozmawiać ze Spencerem.

Zola ugryzła się w język. A może odpowiednia chwila była dwanaście lat temu?, pomyślała z gniewem. Najwyraźniej cała rodzina wiedziała o niewierności Genevy i to na długo przed wyjazdem Spencera z domu. Wiedzieli również, że jej uczucia do Spencera były fałszywe. Powinni byli przynajmniej próbować go ostrzec.

Wróciła do sali balowej i odszukała Spencera, który rozglądał się za nią, trzymając już w ręku jej okrycie i torebkę.

– Chcę już stąd wyjść, Zolo. Pożegnałem się w imieniu nas obojga.

Zola kiwnęła głową i wzięła go pod rękę. Żałowała, że nie znajdowała właściwych słów, by go pocieszyć.

Rozdział dwudziesty

Spencer wrócił do domu po porannej sesji fotograficznej na opuszczonej, zarośniętej farmie. Był bardzo zadowolony ze zdjęć bluszczu i powojów obrastających starą szopę oraz ze wspaniałego ujęcia wielkiego gniazda szerszeni, zwisającego z drzewa obok obory. Był zadowolony nawet z niezliczonych ujęć szczurów, które rozpleniły się w starym wiejskim domu. Spencer ukrył się za zasłoną i niewidoczny dla zwierząt cierpliwie obserwował, jak szczury niezmordowanie wbiegały do labiryntu nor, które wybudowały pod gankiem, i wybiegały, a ich drobne szczęki pracowały gorączkowo, bez przerwy gryząc coś i żując.

Zeke machał ogonem na powitanie niczym flagą, więc Spencer przykucnął, żeby poświęcić psu trochę uwagi.

– Chętnie rozgoniłbyś te wszystkie szczury, które dzisiaj znalazłem, Zeke.

Podrapał psa za uszami, w jego ulubionym miejscu. Na widok jego dużych siekaczy przypomniał sobie pewien fakt dotyczący szczurów.

– Wiesz, Zeke, czytałem, że gdyby szczury nie gryzły bez przerwy, ścierając przy tym dolne zęby, to siekacze wrosłyby im w czaszki. Gryzą nawet cement i cegły. Widziałem, jak to robiły.

Owczarek nastawił uszu i słuchał inteligentnie, jakby rozumiał każde słowo. Spencer przypiął mu smycz i zabrał go na spacer. Nie było go cały poranek, Zeke aż prosił się o odrobinę ruchu.

Kiedy wrócili, zastali na ganku Astona.

– Rzadko cię ostatnio widuję – stwierdził Aston.

– Pracowałem. – Spencer odpiął smycz i nakazał psu, by trzymał się w zasięgu wzroku. Pies wiedział, na jaką odległość może się oddalić.

Spencer usiadł obok Astona na bujanym fotelu i oparł stopy na poręczu ganku.

– Znowu pogрузyłeś się w ponurych rozmyślaniach. – Aston spojrzał mu prosto w twarz. – Myślałem, że wyjazd do Richmond wyjdzie ci na dobre, że pomoże ci uporać się z problemami z przeszłości i ukoi gniew. Że uwolnisz się i będziesz mógł żyć dalej.

Spencer skrzywił się.

– A tymczasem odsłoniła się przed moimi oczami całkowicie nowa panorama faktów, które rodzina dotychczas przede mną ukrywała. Przez nich całymi latami usychałem z tęsknoty za kobietą, której nie warto żałować.

– Więc zamierzasz nadal się zadrećcać? – Aston pociągnął solidny łyk coli z puszki, którą ze sobą przyniósł.

Spencer najeżył się.

– To nie takie proste, Astonie. Zanim to wszystko przetrawię, musi upłynąć trochę czasu.

Aston pił swoją colę, czekając na dalsze słowa Spencera.

– Cała moja rodzina wiedziała, Astonie! I nikt mi nic nie powiedział – wyrzucił z siebie Spencer, zaciskając pięści. – Ojciec rozmawiał o tym ze mną, zanim opuściłem dom. Oznajmił, że zanim jeszcze wyjechałem na studia, on i matka wiedzieli, że Geneva zwodziła nas obu, Bowdena i mnie. Wiedzieli, że sypiała z Bowdenem, kiedy jeszcze byliśmy zaręczeni. Dziadek przyłapał ich kiedyś i nawet mi o tym nie wspomniał. A nawet, jak twierdzi Geneva, był zachwycony, że związała się z Bowdenem.

– I?

– I to doprowadza mnie do szału, ot co! – Spencer kopnął nogą w poręcz. – Jeśli wierzyć zapewnieniom ojca, oboje z matką mieli nadzieję, że mój wyjazd rozwiąże wszystkie problemy. Że zapomnę o Genevie, kiedy będę z dala od niej. Podobno kiedy Bowden przyszedł do nich i oznajmił, że postanowili z Genewą się pobrać, poczuli ulgę. Sądzieli, że Geneva i Bowden lepiej do siebie pasują, bo są bardziej podobni.

Aston wyciągnął przed siebie długie nogi i skrzyżował je.

– I z tego, co mówiłeś, mieli rację.

– Możliwe, ale nikt z nich mi o tym nie powiedział! – Spencer wyrzucił z siebie słowa, jego gniew rósł w miarę mówienia. – Wszyscy wiedzieli, że Geneva sypiała z Bowdenem pod moim nosem i nikt nie raczył mnie o tym poinformować.

Spencer zerwał się i zaczął nerwowo chodzić po ganku.

– Nawet Bowden przyszedł do mnie z wyjaśnieniami, zanim wyjechałem. Mówił, że jest zadowolony, iż dowiedziałem się wreszcie o nim i Genevie. Podobno już przed laty próbował mi powiedzieć, że dobrze się stało, że Geneva zerwała zaręczyny i wyszła za niego. Od początku zdawał sobie sprawę, że posłużyła się mną, aby zdobyć jego. A ja czułem się jak ostatni idiota, Astonie, kiedy oni wszyscy mi o tym opowiadali.

Aston potrząsnął głową.

– Musisz o tym zapomnieć, Spencerze. Powinieneś wreszcie przyjąć do wiadomości, że Geneva nie była kobietą dla ciebie. I nawet jeśli twoja rodzina wiedziała o tym przed tobą, to liczy się przede wszystkim fakt, że jej nie poślubiłeś. To prawdziwe błogosławieństwo. Ona nigdy cię nie kochała, to jasne jak słońce. Twoje życie z nią byłoby doprawdy żałosne.

Spencer uderzył się pięścią w otwartą dłoń.

– To nie ułatwia mi przełknięcia tej całej sprawy!

– A powinno. – Aston wzruszył ramionami.

– Ale nie ułatwia! – Spencer niemal wrzasnął. – Tylko jeszcze potęguje moją wściekłość. Pozwolili mi wierzyć w kłamstwo przez dwanaście długich lat i przez

ten cały czas nawet nie próbowali powiedzieć mi prawdy.

Błękitne oczy Astona szczerze spojrzały w twarz Spencera.

– Część odpowiedzialności musisz wziąć na siebie. Aż do tej pory ani razu nie pojechałeś do domu, nie starałeś się poznać prawdy. To po części *twoja* wina, Spencerze.

– Serdeczne dzięki za zrozumienie – odparł sarkastycznie Spencer. Stał przy poręczy ganku, odwrócony do Astona plecami.

– Ja tylko staram się pomóc ci spojrzeć na tę sprawę z innej perspektywy – oświadczył Aston, nieporuszony. – Cokolwiek się stało, należy już do przeszłości, Spencerze. Nie możesz cofnąć czasu, ale możesz iść naprzód. I powinieneś to zrobić. Od dwóch tygodni, od powrotu z Richmond, pogrążyłeś się w ponurym rozpamiętywaniu. Ale dość już tego. Jesteś nam potrzebny w galerii, Clarkowi i mnie. Musisz podpisać dokumenty i pomóc nam podjąć pewne decyzje. Przyszedłem tu dzisiaj, żeby się z tobą rozmówić, bo ostatnio przestałeś odbierać telefony.

– Mówiłem ci, że pracowałem. – Spencer zdawał sobie sprawę, że to zabrzmiało jak zwyczajny wykręt. Od powrotu unikał przyjaciół i galerii.

Aston wstał.

– Możesz pojechać ze mną?

– Nie. Muszę najpierw coś zjeść i odłożyć sprzęt. – Spencer spojrzał na zegarek. – Będę na dole za godzinę.

Aston sprawdził czas na swoim zegarku.

– Będę na ciebie czekał.

Dopiero kiedy Aston ruszył do wyjścia, Spencer przypomniał sobie o dobrych manierach.

– Jeszcze raz gratuluję z powodu planowanego wesela, stary. Carole to świetna dziewczyna.

Aston i Carole zaręczyli się, kiedy Spencer i Zola bawili w Richmond. Zamierzali wziąć ślub już za kilka tygodni.

– A i owszem łaskawco, Carole to wspaniała dziewczyna. – Aston błysnął białym uśmiechem. – Wiesz, namówiłem ją, żebyśmy nie czekali ze ślubem do Bożego Narodzenia, jak tego chciała. Obiecałem, że zabiorę ją na plażę w Savannah, jeśli pobierzemy się wcześniej. Mój przyjaciel ma tam dom, w którym spędzimy miesiąc miodowy. Powiedziałem jej, że możemy z niego skorzystać jedynie w lipcu.

Spencer podrapał się po brodzie.

– A to prawda?

– Niezupełnie. – Aston uśmiechnął się szeroko. – Ale to jedyny okres, kiedy możemy skorzystać z domu tego lata.

Spencer roześmiał się.

– Nie ma sensu zwlekać, jeśli znalazło się odpowiednią kobietę. – Aston rzucił Spencerowi znaczące spojrzenie.

Spencerowi przeszła ochota do śmiechu.

– Zola i mój związek z nią to wyłącznie nasza sprawa.

– Twojemu związkowi z Zolą grozi niebezpieczeństwo. Może nic z tego nie być, bo zaniedbujesz ją. – Aston zaczął schodzić z ganku. – Mógłbyś zabrać ją dzisiaj na obiad po pracy. Kiedy wychodziłem z galerii, była w sklepie, choć teoretycznie ma wolny dzień. Robiła remanent.

Spencer podszedł do poręczy ganku i spojrzał na góry.

– Mieliliśmy ostatnio kilka sprzeczek – przyznał. – Nie jestem zachwycony tym zamieszaniem z madame Renee.

– Mam cię! Znowu myślisz wyłącznie o sobie, stary. – Aston wrócił na ganek i stanął obok Spencera. – Zastanów się, jak z tym wszystkim czuje się Zola? Sądzisz, że była zachwycona, kiedy po powrocie do domu dowiedziała się, że madame Renee Dupres rozpuscita po całym mieście pogłoski, jakoby córka Bena Lee była cała i zdrowa, tylko przetrzymywana w niewoli? Podobno zobaczyła w swojej kryształowej kuli, że ktoś porwał córkę Bena i więzi ją wbrew jej woli.

Aston niecierpliwie przesunął ręką po głowie.

– Szef policji, Bill Megee znalazł się pod taką presją, że ponownie otworzył sprawę i zaczął przeczesywać okolicę w poszukiwaniu Seng Ryon Chen. To jakiś obłąd!

– Zgadzam się z tobą – mruknął Spencer z rozdrażnieniem. – A Zola musiała, oczywiście, pójść do reportera gazety z zapewnieniem, że przypuszczenia Renee Dupres są nieprawdziwe i że nie ma żadnych dowodów na to, że Seng Ryon porwano i że jest przetrzymywana gdzieś w okolicy.

Spencer kopnął poręcz ganku.

– Teraz gazeta przedstawia je jako rywalki w jasnowidzeniu!

– Przyznaję, że prasa odegrała w tym całym zamieszaniu kluczową rolę. – Aston potrząsnął głową. – Łatwo sobie wyobrazić, dlaczego Ben Lee woli dawać wiarę Renee Dupres. Chce wierzyć, że jego córka nadal żyje.

– Cóż, to wszystko wygląda jak afera z opery mydlanej. – Zirytowany Spencer skrzyżował ramiona. – Jestem zażenowany, że biorę w tym udział.

Aston uniósł brwi.

– Rozumiem.

– Nie, nie rozumiesz. – Spencer zaczął z rozdrażnieniem chodzić po ganku. – Ty żenisz się z normalną kobietą, nie z jakąś zwariowaną wizjonerką, która ciągle trafia do gazet!

Aston podszedł i stanął twarzą w twarz ze Spencerem.

– Posłuchaj, stary. Lubię Zolę Devon i nie życzę sobie takich uwag na jej temat.

– A myślisz, że ja jej nie lubię? – Spencer odsunął się od Astona. – Trzęsę się ze strachu o nią. Ze zmartwienia tym całym rozgłosem i tymi wszystkimi ludźmi, którzy ją nachodzą, ładują się do sklepu, zaczepiają na ulicy i zadają pytania. Martwię się tym, że Ben Lee zaczął jej teraz unikać, rozgniewany sugestią, żeby nie rozbudzał w sobie nadmiernych nadziei. Czasami chciałbym po prostu, żeby Zola trzymała język za zębami. Nawet jeśli uważa, że Seng Ryon Chen nie została porwana i nie jest trzymana w niewoli, to czy musiała o tym mówić?

– Zola jest uczciwa. Mówi to, co uważa za słuszne i prawdziwe. – Aston przechylił głowę na bok. – Chcesz, żeby kłamała?

– Nie! – Uderzył ręką w oparcie fotela bujanego. – Chcę tylko, żeby była bardziej dyskretna. Nie musi zawsze mówić wszystkiego, co wie. Szczególnie w tak niejasnych sprawach jak ta!

– Powiedziałeś jej to? – zapytał Aston.

– Tak. – Spencer podniósł głowę. – To jedna ze spraw, o które się pokłóciliśmy.

– A inne?

Spencer zastanawiał się, czy nie odmówić odpowiedzi, ale doszedł do wniosku, że Aston i tak dowie się o tym od Carole czy innej kobiety ze sklepu Zoli.

Odwrócił się i spojrzał na Astona.

– Zola zdaje się podzielać twoją opinię, że zbyt długo rozpamiętuję podłość swojej rodziny. Nie potrafi zrozumieć, dlaczego nie poczułem ulgi, kiedy dowiedziałem się o wszystkim. Nie pojmuje, dlaczego nie potrafię być tak po prostu szczęśliwy, dlaczego nie zamknąłem za sobą przeszłości i nie pozwoliłem jej odejść w niepamięć. Zola wierzy, że szczęście to coś, co można zwyczajnie włączyć i wyłączyć, jak światło czy zimną albo gorącą wodę.

– Może ma rację. – Aston uniósł brew.

– A może nie ma. – Spencer, rozdrażniony niemal wyrzucił z siebie odpowiedź.

Aston ponownie spojrzał na zegarek.

– Muszę wracać do galerii. Wykorzystaliśmy już dziesięć minut z twojej godziny. Więc musisz szybko doprowadzić się do porządku i coś zjeść.

Po przyjeździe do galerii Spencer obszedł dookoła salę ekspozycyjną i obejrzał nowe fotografie, które Aston wybrał do powieszenia w sklepie. Z zadowoleniem stwierdził, że zamęt panujący w jego uczuciach nie znalazł odbicia w zdjęciach.

– Ostatnio robisz świetne zdjęcia. – Aston podszedł i stanął obok Spencera.

– Tak. Przynajmniej to się nie zmienia.

Aston poklepał go po plecach.

– Zola Devon również stanowiłaby trwałą część twojego życia, gdybyś jej na to pozwolił.

Spencer powstrzymał się od odpowiedzi.

Aston ruszył na zaplecze sklepu.

– Zawołam Clarka. Omówimy interesy tutaj, na wypadek gdyby ktoś wszedł do galerii.

W godzinę później, po załatwieniu interesów, Spencer usiadł na obmurowaniu fontanny w Mountain Laurel Village Mall. Starał się zebrać myśli przed pójściem do Kącika Natury na spotkanie z Zolą. Zastanawiał się, czy Aston nie miał przypadkiem racji, zarzucając mu zaniedbywanie Zoli, skoro nie było go przy niej, gdy go potrzebowała.

Ze sklepu Zoli wyszła egzotyczna, ciemnowłosa kobieta i zatrzasnęła za sobą drzwi. Spencer patrzył dziwnie zafascynowany na jej cygański strój i czerwoną szminkę, która nie tylko pokrywała jej wargi, ale wychodziła również poza ich zarys. Dość rzadki makijaż. Czarne jak węgiel, farbowane włosy przepasała czymś w rodzaju szala.

Kobieta podniosła wzrok, spostrzegła Spencera i podeszła do niego.

– Powiedziałaś to jej i powtórzę panu: niech Zola Devon trzyma się z dala od moich interesów! – rzuciła, wygrażając mu palcem przed nosem.

Spencer musiał mieć osłupiałą minę, bo kobieta wyprostowała się i uniosła podbródek.

– Jestem madame Renee Dupres. Posiadam wyjątkowy, wrodzony dar przewidywania przyszłości. Pomagam ludziom w życiowych problemach. – Wykonała szeroki ruch ręką. – Z pewnością pan o mnie słyszał. Ludzie z okolicy przychodzą do mnie ze swoimi problemami od dwudziestu lat.

– Chyba się jeszcze nie spotkaliśmy. – Spencer wyciągnął do niej rękę. – Nazywam się Spencer Jackson. – Nie wiedział, co więcej mógłby powiedzieć.

Kobieta wsparła ręce na biodrach i pochyliła się tak, że jej twarz znalazła się na wysokości jego twarzy.

– Doskonale wiem, kim pan jest. Radzę ruszyć głową i dobrze się zastanowić, czy aby na pewno chce pan kontynuować związek z Zolą Devon. To kobieta z kłopotliwym darem.

Ciarki przebiegły Spencerowi po kręgosłupie.

Ciemnowłosa kobieta wyczuła jego niepokój i uśmiechnęła się szczerze.

– To nie na mnie powinien pan się gniewać, Spencerze Jacksonie. Zachowam pana w myślach. Zostanie pan ostrzeżony.

I odeszła, zanim Spencer zdążył wykształcić odpowiedź.

Odprowadził ją wzrokiem, a potem wstał i wszedł do Kącika Natury. Maya i Zola stały za ladą, w sklepie nie było akurat żadnych klientów.

– Właśnie spotkałem Renee Dupres.

Maya nakreśliła ręką jakiś skomplikowany znak w powietrzu.

– Ba! To szalona, *facety* baba! Kłopot, pół *eediot*, a pół *samfi*! Wpadła tu jak

w ataku szału i wypłoszyła ze sklepu wszystkich klientów. Zwariowana *bootoo*. Oby *Jah* się nad nią zlitował. Ona ma czarną duszę i nawet o tym nie wie.

Spencer przeniósł wzrok na Zolę, która przyglądała mu się uważnie.

– Renee ci groziła, prawda? – zapytała miękko.

Spencer wrócił pamięcią do słów kobiety, ale nie doszukał się w nich groźby.

– Nie, po prostu była rozjuszona – stwierdził. Nie miał ochoty przytaczać jej słów.

Maya, najwyraźniej nadal rozdrażniona, potrząsała palcem w powietrzu.

– Wiesz, jak brzmi jej prawdziwe nazwisko? – Uśmiechnęła się z satysfakcją. – Mildred Renee Dupler. Zmieniła je na Renee Dupres, żeby bardziej pasowało do osoby, która żyje z przepowiadania przyszłości. Fałsz i *samfi* nawet w nazwisku.

Spencer uśmiechnął się. Lubił Mayę.

– Co znaczy *samfi*? – zapytał, rozbawiony jej barwnym, jamajskim słownictwem.

– Kobieta *samfi* to oszustka, która nabiera ludzi – wyjaśniła Maya z szerokim uśmiechem na ustach. – A kobieta *facety* to źle wychowana, podła baba. Taka też jest ta Renee!

Zola wyszła zza lady i położyła rękę na ramieniu Spencera. Ten dotyk sprawił, że ogarnął go dziwny spokój.

– Jej słowa cię nie skrzywdzą, Spencerze. Ani trochę. Nie zwracaj na nią uwagi.

– Jak wyglądał ten jej atak szału w sklepie? – Spencer przeniósł spojrzenie na Mayę.

Jamajka oparła ręce na biodrach.

– Wiesz, że to babsko chciało zwrócić na siebie uwagę, opowiadając, że córka Bena Lee została porwana i jest gdzieś przetrzymywana wbrew własnej woli. Szalona, *facety* kobieta! Tak skołowała ludzi tymi swoimi bredniami, że Bill Magee musiał rozesłać swoich ludzi, żeby szukali i wypytywali o porywaczy. Phi!

Spencer przechylił się przez ladę.

– A skąd wiesz, Mayu, że ona nie została naprawdę porwana?

Zola spuściła oczy.

– Hmm. – Maya obrzuciła Spencera znaczącym spojrzeniem. – Myślałam, że jesteś mądrzejszy.

Zola podniosła wzrok.

– Spencer nie ma takiego zaufania do mojej wiedzy, jak ty, Mayu.

– W takim razie przykro mi z powodu jego głupoty. – Przyjrzała się Spencerowi. – Może jednak wciąż jesteś *bootoo*.

Spencer zjeżył się.

– A może po prostu staram się mieć otwartą głowę. Nikt tak naprawdę nie wie, co się stało z Seng Ryon Chen. Śledztwo w sprawie jej zniknięcia trwało przez wiele miesięcy i nie doprowadziło do żadnych ustaleń.

Maya skrzyżowała przed sobą ramiona.

– Jesteś bardziej skłonny wierzyć tej *facety, wutless, samfi* babie niż własnej kobiecie, która ma dobre serce?

– Zola również nie wie, co się stało z Seng Ryon, Mayu. – Spencera zirytowało to kwestionowanie jego lojalności.

Maya przechyliła się przez ladę i odparła cicho:

– Zola twierdzi, że widziała wyraźnie, iż Seng Ryon nie została porwana i nie jest nigdzie przetrzymywana wbrew własnej woli. Mnie to wystarcza, Spencerze Jacksonie. I tobie również powinno wystarczać.

– Naprawdę to *widziałaś*? – zwrócił się Spencer do Zoli.

Kiwnęła głową.

– Tak.

– Ok – mruknął po zastanowieniu. – Ale czy musiałaś informować o tym reportera? Nie musiałaś!

Zola bezradnie rozłożyła ręce.

– Reporter był tutaj, kiedy się tego dowiedziałam. Miałam mu to przekazać.

– Wzięła głęboki oddech. – Nie wiedziałam, że zrobi z tego cyrk w swojej gazecie, że wykorzysta moje słowa przeciwko Renee.

Spencer ugryzł się w język, żeby nie powiedzieć, iż powinna spodziewać się tego po współczesnych mediach. Nie chciał jednak wywoływać dzisiaj kolejnej sprzeczki z Zolą. Już dość się na ten temat kłócili.

– Nie znałem całej historii – odezwał się pojednawczo.

– Teraz znasz – warknęła nieco poirytowana Maya. – To nie jest łatwy okres dla Zoli. Ben Lee też był tu dzisiaj. Narobił tu zamieszania, wściekał się na Zolę, wrzeszczał. Głupi facet. – Maya znowu nakreśliła w powietrzu jeden ze swych tajemnych znaków. – Kiedy Zola wróciła z Mooréa, przyłaził tutaj co tydzień i nalegał, żeby odkryła, co się stało z jego dziewczynką. A teraz przychodzi i naciska, żeby przestała mówić, co wie! *Eediot!*

– To znaczy idiota – szepnęła Zola do Spencera.

– Tego sam się domyśliłem – odparł Spencer z uśmiechem.

Jakaś para stanęła w drzwiach sklepu, uśmiechnięta i zatopiona w rozmowie. Grupka turystów zaglądała przez okno i podziwiała kamienną fontannę na wystawie.

– Mayu – odezwał się Spencer pośpiesznie, zanim zaczął się duży ruch. – Czy dałabyś sobie sama radę w sklepie, gdybym zabrał Zolę na obiad? Przyniesiemy ci coś wracając.

– Nie. Zabierz Zolę na obiad, a potem dopilnuj, żeby wróciła do domu. –

Odprawiła go ruchem ręki. – Zresztą, to nie jest wcale jej dzień pracy. Przyszła, żeby zrobić remanent. A jutro musi znowu przyjechać do miasta na imprezę Carole. Remanent może dokończyć, kiedy w sklepie będzie Faith.

Spencer zauważył zmianę na twarzy Zoli, kiedy Maya wspomniała o imprezie Carole.

Maya pochyliła się i dotknęła jej dłoni.

– Czy jesteś pewna, że to dobry pomysł, byś pojawiła się na lunchu w chińskiej restauracji Chen Palace?

– Oczywiście – zapewniła Zola z uśmiechem.

Maya poklepała ją po ręce. Zauważyła zdziwione spojrzenie Spencera, więc pośpieszyła z wyjaśnieniem.

– Właściciel Chen Palace to Juan Hee Chen, mąż Seng Ryon. Jego córka, Nina Chen, jest przyjaciółką Carole i zorganizowała dla niej imprezę przedślubną. W rodzinnej restauracji, oczywiście. Na długo przed początkiem obecnych kłopotów z madame Renee. Ale w zaistniałej sytuacji obawiam się, że Zola może czuć się jutro nieswojo w otoczeniu rodziny Chenów.

– Będzie dobrze, Mayu. Nie bój się. Carol będzie miała cudowną imprezę przedślubną.

Na twarzy Mayi pojawił się tęskny wyraz.

– Aach. Trudno mi uwierzyć, że moja mała dziewczynka wychodzi za mąż. – Popatrzyła na Spencera i uśmiechnęła się. – Ale Aston to porządny człowiek. Będą dobraną parą.

Spencer potwierdził kiwnięciem głowy.

– No, idźcie już, wy dwoje. – Maya wyszła powitać klientów, którzy rozglądali się po sklepie. – Zobaczymy się *inna di morrow*, Zolakieran. – I odprawiła ją ruchem ręki.

Spencer dostrzegł na twarzy Zoli cień uśmiechu.

– Do jutra, Mayu.

Spencer otworzył przed Zolą drzwi i wyszli z Kącika Natury.

– Co chciałabyś dzisiaj zjeść?

– Nic chińskiego! – zawołała z uśmiechem.

Roześmiał się głośno.

– A co powiesz na barbeque u Benetta?

– Brzmi doskonale.

Spencer wziął ją za rękę i razem ruszyli przez centrum handlowe. Dobrze było znaleźć się znowu w jej towarzystwie. Zdawał sobie sprawę, że ostatnio jego towarzystwo było trudne do zniesienia, ale po Richmond musiał uporać się z wieloma sprawami. Miał nadzieję, że Zola to rozumiała.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Zola cieszyła się z obiadu u Benetta i z towarzystwa Spencera. Starał się, żeby było miło, ale nadal miał wątpliwości co do jej wiedzy na temat Seng Ryon; martwiło ją to.

Rano siedziała w kuchni u babci, mechanicznie mieszała kawę i puszczała mimo uszu swobodną gadaninę Nany.

– Zola? – Z zamyślenia wyrwało ją własne imię wypowiedziane przez babcię pytającym tonem.

– Tak?

Nana Etta potrząsnęła głową.

– Zadałam ci pytanie, moje dziecko. Nie odpowiedziałas, więc odwróciłam się i zobaczyłam, że bujasz w obłokach. – Usiadła przy stole naprzeciw Zoli. – Co ci chodzi po głowie, moja panno?

Zola przyglądała się rękom babci, błyskawicznie siekającym odszypułkowane wcześniej truskawki. Nana zawsze musiała mieć zajęte ręce. Zola dobrze знаła ten obrazek i obserwowanie babci przy pracy uspokajało ją.

– Spencer denerwuje się tą historią z madame Renee. – Podkradła babci kawałek truskawki, po czym mówiła dalej. – Może to dziecinada, Nano, ale miałam nadzieję, że mocniej wierzy w mój dar. Od męża tego oczekuję. Byłoby mi trudno żyć z kimś, kto wątpi we mnie i nie ceni tej mojej zdolności.

Nana słuchała, nie przerywając pracy.

Zola zmarszczyła nos w zamyśleniu.

– No i trudno mi zrozumieć ponury nastrój, w jakim pograżył się Spencer po powrocie z Richmond. Spodziewałam się raczej, że poczuje ulgę, gdy pozna wreszcie całą prawdę, i będzie mógł w końcu zapomnieć o przeszłości. I żyć dalej.

Zaczęła bębnić palcami o blat stołu.

– Bolało mnie też to, że zamknął się przede mną i przez prawie dwa tygodnie mnie unikał. Obawiam się, że jeśli się pobierzemy, to często będę się z czymś takim spotykała. Muszę liczyć się z tym, że Spencer będzie zamykał się przede mną, nie będzie dzielił się ze mną swoimi myślami.

Babcia podniosła wzrok i spojrzała jej w oczy.

– Powiedziałaś: *jeśli* się pobierzemy, Zolo. Wydaje mi się, że kobieta zaręczona nie powinna nawet myśleć w ten sposób.

Zola obronnym gestem skrzyżowała ramiona przed sobą.

– Cóż, ostatnio mieliśmy sporo problemów, Nano. A ta historia z madame Renee i z Benem Lee bynajmniej nie pomaga. Spencer się tym denerwuje.

– Mnie również to niepokoi, moje dziecko. I każdego, komu na tobie zależy.

– Nana zmarszczyła brwi. – Mówiłam ci już dawniej, że nie podoba mi się twój

konflikt z madame Renee. Ta kobieta jest niebezpieczna.

– Nie chciałam żadnego konfliktu. Ten młody człowiek z gazety przyszedł do mojego sklepu, opowiedział mi o przepowiedniach Renee i zapytał, co o tym sądzę. No i...

– I musiałaś mu koniecznie powiedzieć, co o tym myślisz – wpadła jej w słowo Nana.

Zola zgromiła ją spojrzeniem.

– Nie. Musiałam mu powiedzieć, co usłyszałam. A to różnica. Bardzo wyraźnie usłyszałam w tamtym momencie, że Renee się myli. Że jej błędne przepowiednie dają Benowi Lee i jego rodzinie złudną nadzieję, stawiają policję na nogi i kierują poszukiwania Seng Ryon na fałszywy trop.

– Czy widziałaś, gdzie jest Seng Lee i czy pozostaje przy życiu?

Zola pokręciła głową.

– Nie. Takiej informacji nie otrzymałam.

– Czy jesteś pewna, że miałaś to przekazać, skoro nie otrzymałaś pełnej informacji, moje dziecko? Nawet ci, którzy słyszą głos Boga, mogą czasami popełniać błędy. Niekoniecznie w sprawie tego, co słyszą, ale czy powinni przekazać to dalej. Nawet ty musisz zdawać sobie sprawę z tego, że podanie informacji reporterowi z gazety traktuje się jako szukanie rozgłosu i chwilowej popularności.

Zola pochyliła się i intensywnie spojrzała babci w oczy.

– Może ci się wydawać głupotą, że powiedziałam to reporterowi, ale jestem głęboko przekonana, że właśnie to miałam zrobić, Nano.

Nana nie przerywała krojenia truskawek.

– Cóż, sama przyznałaś, że przekazanie informacji reporterowi może wydawać się głupotą, więc wyobraź sobie, jak to odebrał Spencer i co przy tym czuł. W końcu nie przywykł jeszcze do tego, jakimi ścieżkami kieruje cię Pan. To zrozumiałe, że może mieć pewne trudności z pogodzeniem się z tym.

Zola westchnęła.

– Mogłam przewidzieć, że będziesz trzymała jego stronę.

– A są tu jakieś strony? – Babcia podniosła na nią zdumione spojrzenie. – Ja tylko uważam, że mogą być w tej sprawie rozmaite punkty widzenia. Nie możesz oczekiwać od mężczyzny, a właściwie od nikogo, takiej pewności, jaką czujesz ty, kiedy otrzymujesz przekaz od Pana. W końcu płynie on z twojej własnej duszy. Druga osoba nie słyszy tego, chyba że i do niej Bóg skieruje swoje słowa.

Zola wyciągnęła rękę po kolejne kawałki truskawek, ale dostała od Nany klapsa.

– Przestań, bo mi wszystko zjesz, dziewczyno. Możesz sama sobie pokroić trochę truskawek. Chcę dzisiaj upiec placek.

Zola wstała, wyjęła z szuflady nóż kuchenny i opłukała garść truskawek.

– A ty też miałaś wątpliwości, czy postąpiłam właściwie, Nano? – Usiadła na poprzednim miejscu i zaczęła zdejmować nożem szypułki.

– Jeśli mam być szczerą, to miałam chwile wątpliwości ze względu na problemy, jakie z tego wynikły. Twoja wypowiedź narobiła sporo hałasu i odbiła się szerokim echem w lokalnej społeczności. Bóg zwykle tak nie postępuje.

Zola wyprostowała ramiona.

– O ile się nie mylę, w Biblii można znaleźć sporo przykładów Bożych interwencji, które spowodowały masę kłopotów.

– Możliwe. – Nana nie przerywała pracy.

Zola zrezygnowała z dalszej dyskusji.

– Przyznaję, że to był naprawdę trudny okres. Ben Lee wpadł w tym tygodniu do sklepu, zły i zdenerwowany. Ten młody reporter z gazety przylazł za nim i miał nie lada uciechę. Zacytował w gazecie wrzaski Bena Lee: „Czas pokaże, która z was ma większy dar, ty czy Renee”. Z przykrością zobaczyłam te słowa w druku, Nano.

Nana pogłaskała ją po ręce.

– Może nie powinnaś po tym wszystkim iść dzisiaj do restauracji Chena, Zolo?

– Niewykluczone, że będę się tam czuła trochę niezręcznie, ale gdybym nie poszła, byłoby jeszcze gorzej. Nano, córka Mayi, Carole, wychodzi za mąż. Rodzina Thomasów jest mi bardzo bliska. Obecność tam jest ważniejsza niż moje ewentualne skrępowanie. – Wstała. Musiała już wracać do domu, żeby przygotować się do imprezy przedślubnej. – Poza tym Bena Lee tam nie będzie, a Nina byłaby zawiedziona, gdybym się nie pokazała.

– Tak, ale pamiętaj, że będzie ojciec Niny, Juan, mąż Seng Ryon oraz brat Niny, Frank, ze swą żoną Zią i nastoletnimi córkami. Wszyscy pracują w restauracji. – Nana ujęła dłoń Zoli w swoje ręce. – Obiecuj mi, że gdyby zrobiło się nieprzyjemnie, znajdziesz jakąś wymówkę i wyjdiesz wcześniej. Nie zostawaj, jeśli sytuacja stanie się niezręczna lub jeśli wydarzy się coś nieprzyjemnego.

– Nie zostanę, Nano.

Późnym popołudniem Zola opuszczała Chen Palace z ogromną ulgą, bo obyło się bez przykrych incydentów. Rodzina Chen, jakby wyczuwając jej skrępowanie, odnosiła się do niej z wyjątkową serdecznością. W końcu był to wielki dzień Carole i wszyscy dokładali starań, by okazał się dla niej wyjątkowy.

Nagle usłyszała za sobą głos Niny Chen.

– Zolo, zaczekaj.

Zola zatrzymała się na parkingu za restauracją, gdzie zostawiła samochód i czekała.

Nina, ładna Azjatka o gładkich, czarnych włosach, podbiegła do Zoli z uśmiechem.

– Chciałam ci tylko powiedzieć, jak bardzo się cieszę, że przyszedłaś, Zolo. Cała ta historia z Ma Ma jest taka stresująca! Wiem, że kwestionując stwierdzenia madame Renee, powiedziałaś to, co uważasz za prawdę.

Dziewczyna zmarszczyła czoło.

– Wszyscy przeżywamy ogromny stres, odkąd Wai Dad, jak nazywamy dziadka Bena Lee, poszedł do tej wróżki. To sprawiło, że wszystkie dawne przykrości w nas odżyły. Chcę, żebyś wiedziała, że nikt z nas nie wierzy w jej słowa. Wiemy, że jej chodzi tylko o zdobycie popularności i zrobienie sobie reklamy.

Zola uściskała Ninę.

– Dziękuję, że przyszedłaś mi o tym powiedzieć, Nino. To wiele dla mnie znaczy. Byłam zła z powodu całego tego rozgłosu wokół waszej rodziny.

– Cóż, wracaj już do swojego sklepu, nie będę cię dłużej zatrzymywać. Ja również wracam do pracy. Cieszę się, że zdążyłam ci powiedzieć, co czujemy.

Nina odwróciła się i ruszyła do tylnego wejścia do restauracji.

Zola stała i patrzyła za nią przez chwilę. Ta rozmowa sprawiła jej ulgę. Gdy Nina weszła do restauracji, jej ojciec, mąż Seng Ryon, Juan wyszedł na tylny ganek na papierosa. Zola pomachała mu ręką, zadowolona, że rodzina Chen nie żywi wobec niej wrogich uczuć.

W tym momencie poczuła, jak ktoś ciągnie ją za nogę. Ze zdumieniem spojrzała w dół i nagle przeniknęła wzrokiem nawierzchnię parkingu. Jej oczom ukazała się niewyraźna, jakby zamglona twarz. Zola przycisnęła rękę do serca i ciężko wciągnęła powietrze – oddech, rwał jej się, ogarnęło ją przerażenie.

– To on! – Usłyszała głos mglistej postaci spod ziemi. I niewyraźna ręka wskazała stojącego w drzwiach restauracji Juana. – To on mnie zamordował, domagam się pomsty! Postaraj się, żebym ją otrzymała. Musisz tego dopilnować.

Zola znowu poczuła szarpnięcie za nogę. Ogarnęło ją śmiertelne przerażenie, bała się, że upadnie.

Pobiegła wzrokiem ku wykrzywionej w jakimś dziwnym grymasie twarzy Juana.

– Czy on też to widzi? – zastanawiała się. – Czy on wie, że ja wiem?

Przywołała sztuczny uśmiech na usta i zmusiła trzęsące się ze strachu nogi do ruchu. Wsiadła do auta, wycofała je i ruszyła. We wstecznym lusterku widziała, jak Juan schodzi z ganku i obserwuje jej odjeżdżający samochód. Rzucił papierosa na ziemię i zdeptał go ze złością. Na jego twarzy malował się gniew.

– Wielkie Nieba! – powiedziała Zola do siebie, próbując uspokoić oszalałe bicie serca. – A jeśli on wie, co widziałam? Czy pojedzie za mną? Co mam, na litość boską, zrobić?

Nie była w stanie jasno myśleć, bo w całym jej ciele pulsowało przerażenie. A noga w miejscu, którego dotykała upiorna ręka, nadal była zimna i lepka.

Rozdział dwudziesty drugi

Spencer pojechał do Knoxville po materiały fotograficzne i wrócił do domu na Raven's Den późnym popołudniem. Na sekretarce elektronicznej znalazł kilka wiadomości, wszystkie z zapytaniem, czy wiedział, gdzie się podziewała Zola. Telefonowała nawet Nana Etta, babcia Zoli.

Zdumiony Spencer wypuścił psa i żeby mieć Zeka na oku, wyszedł z telefonem komórkowym na ganek. Zadzwoił do Etty Devon.

– Pani Devon, mówi Spencer Jackson. Właśnie wróciłem do domu i odebrałem pani wiadomość.

– Tak się cieszę, że już pan jest. – Głos pani Devon zdradzał niepokój. – Zola zniknęła. W porze lunchu poszła na imprezę panińską do restauracji Chenów i od tej pory nikt jej nie widział. Nina Chen była ostatnią osobą, która rozmawiała z nią, kiedy Zola wyszła z restauracji.

– Nina jest wnuczką Bena Lee – przypomniał sobie Spencer. – Czy powiedziała coś, co mogło zdenerwować Zolę? Groziła jej?

– Twierdzi, że nie. – Spencer usłyszał, że pani Devon wzięła głęboki oddech. – Mówi, że wybiegła za Zolą na parking na tyłach restauracji, żeby ją zapewnić, iż rodzina Chenów nie ma do niej żadnych pretensji. I że przed rozstaniem uściskały się z Zolą serdecznie.

– Wierzy jej pani? – Spencer gwizdnął na Zeka, który zastrzygł uszami na widok szarej wiewiórki.

– Wierzę – odparła Etta Devon. – Mam poczucie, że problem nie wiąże się ze spotkaniem z Niną.

Spencer nie zwrócił uwagi na ten komentarz.

– Dokąd udała się Zola po rozstaniu z Niną?

– W tym sęk. Nikt tego nie wie. – Pani Devon zrobiła pauzę, bo głos się jej łamał pod wpływem emocji. – Miała pojechać do sklepu i zrobić remanent.

– Słyszałem, jak rozmawiały o tym wczoraj z Mayą – przypomniał sobie Spencer. – Może postanowiła jednak nie jechać? W końcu w sklepie była Faith. Może wybrała się na zakupy albo gdzieś indziej? – Zerknął na zegarek. – Dochodzi dopiero piąta.

– Nie, nie pojechała na zakupy. Jakąś godzinę temu mój syn, Ray, i jego dzieciak, Wayne, znaleźli samochód Zoli w opuszczonej oborze przy drodze prowadzącej do jej domu, ale dalej, po drugiej stronie Caney Creek.

Spencer poczuł ukłucie niepokoju.

– Wczoraj robiłem zdjęcia na tamtej opuszczonej farmie. Co Zola mogła tam robić? I dlaczego zostawiła samochód?

– Tego nie wiem. Ale mam złe przeczucia. – Etta wzięła głęboki oddech. –

Cała rodzina przeszukuje teraz okolice starej farmy, ale nie natrafiliśmy na żaden ślad Zoli. Martwi mnie, że pojechała tam, ukryła samochód i nie zadzwoniła do nikogo, Spencerze. To zupełnie do niej niepodobne. Narażanie innych na takie zdenerwowanie!... Myślę, że stało się coś złego. Ktoś jej groził. Albo przeraził ją, w taki czy inny sposób.

– Gdyby tak było, to czemu nie poszła do kogoś zaufanego? Na przykład do pani, czy do Mayi? – Spencer podrapał się po głowie, próbując doszukać się w tym wszystkim sensu.

– Tego nie wiem, synu.

Oboje zamilkli na moment.

– Zastanów się, Spencerze, dokąd mogła pójść. Zdążyłeś już dość dobrze ją poznać. – Nana zrobiła pauzę. – I rozejrzyj się po Raven's Den, rzuć okiem na szafas – ona go tak kocha. Mogła pójść tam albo do ciebie.

Spencer spojrział na ścieżkę biegnącą od jego domu na szczyt Raven's Den.

– Zaraz tam pójde, Nano. Zadzwoń, jeśli ją znajdę. Obiecuj, że zawiadomisz mnie także, gdybyś się czegoś dowiedziała.

– Zadzwoń. – Nana westchnęła. – Mam złe przeczucia, Spencerze. Nie otrzymałam takiego daru jak Zola, ale czuję, kiedy dzieje się coś złego. A teraz wyczuwam prawdziwe zło.

– Dzwoniłaś na policję?

– Zrobił to Verne jakieś pół godziny temu, kiedy on, Ray i Wayne nie natrafili na żaden ślad Zoli. Komendant Magee twierdzi, że jeszcze za wcześnie na wszczęcie poszukiwań, bo zaginęła dopiero kilka godzin temu, a nie ma żadnych dowodów na to, że ktoś jej groził.

– Rozumiem. – Spencer zacisnął usta.

Przerwał połączenie z Ettą Devon, wziął Zeke'a na smycz i wyruszył do szafasu na Raven's Den. Jego również zaniepokoiło zniknięcie Zoli na całe popołudnie. Z pewnością bez poważnego powodu nie narażałaby dziadków na takie zdenerwowanie.

Zola zrobiła sobie w ostatnim okresie wielu wrogów: madame Renee, Ben Lee, a przedtem jeszcze Aldo Toomey. Kto wie, ile jeszcze osób mogło znajdować się na tej liście. Nie wszyscy ludzie byli zachwyceni objawieniami Zoli. Sam Spencer także nie był tym zachwycony, kiedy spotkał ją po raz pierwszy.

Nagle wpadła mu do głowy pewna myśl, która sprawiła, że dreszcz przerażenia przebiegł mu po plecach. Morderca córki Bena Lee mógł nadal przebywać w okolicy i obawiać się, że Zola wiedziała za dużo. Spencer martwił się tym już od dawna.

W szafasie na Raven's Den nie znalazł nikogo. Rozglądał się uważnie, ale nic nie świadczyło o tym, by ostatnio ktoś tutaj był. Wrócił do domu i oddzwonił do Mayi, Faith, Astona i pozostałych osób, które nagrały mu się na sekretarkę. Miał

nadzieję, że dowie się czegoś, co pomoże w poszukiwaniach Zoli. Ale nikt nie wiedział nic więcej poza tym, co już usłyszał od Etty Devon.

Sfrustrowany zadzwonił nawet do Bena Lee.

– Dlaczego miałbym ją widzieć? – odparł ten z oburzeniem na pytanie, czy widział Zolę. – Czyżby mnie szukała, żeby narobić mi jeszcze więcej kłopotów?

Spencer udzielił jakiejś wymijającej odpowiedzi i odłożył słuchawkę. Jeśli nawet Ben Lee coś wiedział, to z całą pewnością nie zamierzał się z tym zdradzić.

Telefon do Aldo Toomeya również nic nie dał. Chłopak wyjechał z grupą znajomych do Bristolu na wyścigi NASCAR i nie było go w mieście od dwóch dni.

Także rozmowa z madame Renee okazała się stratą czasu.

– Nie widziałam Zoli Devon, ani w naturze, ani podczas medytacji. – W jej głosie pojawił się ton satysfakcji. – Ale nie byłabym zdumiona, gdyby spotkało ją coś złego. Ta kobieta sama prosiła się o kłopoty, bo w niewłaściwy sposób wykorzystywała swój dar.

Spencer nie ufał sobie, więc bez słowa odłożył słuchawkę. Można by oczekiwać, że zdobędzie się na odrobinę współczucia!

Niezmordowanie chodził po domu, dopóki Zeke, któremu udzielił się niepokój pana, nie zaczął skomlić. Spencer postanowił zabrać psa na spacer, bo zaabsorbowany tym, co się działo, kompletnie zapomniał o jego potrzebach. Poza tym spacer mógł i jemu pomóc przynajmniej częściowo rozładować napięcie.

Wziął Zeke'a na smycz i ruszył znajomą ścieżką na Shinbone Ridge. Na skrzyżowaniu szlaków Spencer zatrzymał się i zaczął się zastanawiać. Wodospad był jednym z ulubionych miejsc Zoli. Czy mogła tam pójść, kiedy znalazła się w tarapatkach? Spencer uznał, że nie zaszkodzi sprawdzić i ruszył wzdłuż strumienia Buckner Branch.

Wkrótce stanął u stóp wodospadu i przez dłuższą chwilę lustrował badawczym spojrzeniem skały oraz otwarty teren wokół kaskady. Ani śladu Zoli. Odwrócił się, żeby odejść, ale Zeke zaczął ciągnąć smycz i za nic nie chciał zawrócić.

Spencer spojrzął na psa. Owczarek nadstawił uszu i wpatrywał się intensywnie w przeciwległy brzeg.

– Co jest, Zeke?

Pies zaskomlił, nie odrywając oczu od przeciwległego brzegu strumienia, gdzie za drzewami wznosiła się ściana skalna.

W innej sytuacji Spencer ściągnąłby smycz, żeby ukarać psa za nieposłuszeństwo, kiedy pan daje sygnał do powrotu, tym razem jednak zatrzymał się. Chwilę badał spojrzeniem cały teren. Nie dostrzegł żadnego królika ani wiewiórki, co nie oznaczało, oczywiście, że pies nie mógł ich wyczuć.

Nagle ogarnęło go jednak dziwne przeczucie, więc uległ mu, wziął psa na rękę i przeskakując z kamienia na kamień, przeniósł go na drugi brzeg. Zeke

wyrwał mu się, gdy tylko dotarli na drugą stronę strumienia, i zaczął węszyć. Spencer pozwolił mu prowadzić, gdy pies podjął trop.

Zeke kluczył pomiędzy drzewami, potem poprowadził wzdłuż ściany skalnej, aż znalazł głęboką szczelinę w klifie. Zaczął przy niej energicznie merdać ogonem.

Spencer pochylił się, żeby zajrzeć do niewielkiej groty za szczeliną i dostrzegł w mroku skuloną ludzką postać. Chwilę wpatrywał się w nią, aż rozpoznał Zolę.

Zawołał ją po imieniu i spuścił psa ze smyczy. Owczarek natychmiast do niej podbiegł. Spencerowi zajęło to trochę więcej czasu, bo musiał się skulić, żeby wcisnąć się do niskiej, wilgotnej groty. Zola siedziała owinięta kocem, obejmując ramionami Zeke'a.

– Co ty tu robisz, Zolo? – zapytał Spencer, odsuwając psa, żeby znaleźć się bliżej niej.

Podniosła zalaną łzami twarz.

– Och, Spencerze, tak się cieszę, że jesteś. Strasznie się bałam!

Podniosła na niego wielkie, szeroko otwarte oczy.

– Nikt za tobą nie szedł? Nikogo poza tobą nie ma? – Jej pełen napięcia głos zdradzał ogromny niepokój.

– Tylko Zeke. – Pochylił się i pocałował ją w czoło. – Wyjdźmy stąd, Zolo. Tu jest strasznie zimno i wilgotno. Masz lodowatą skórę i cała się trzęsiesz. Chodź. – Wyciągnął do niej rękę.

– Boję się. – Zola skuliła się pod kocem, nie chciała wyjść.

– Nie mów tak – bez względu na to, czego się obawiasz. – Spencer otoczył ją ramionami i przytulił do siebie. Był przerażony tym, jak bardzo przemarzła. – Wracajmy do domu, porozmawiamy o tym przy kominku. Rozpalę ogień, koniecznie trzeba cię rozgrzać.

Zauważył, że oczy Zoli wpatrywały się badawczo w wejście do groty, więc objął rękami jej dłonie.

– Nikogo obcego nie ma na zewnątrz, Zolo. I nikogo w moim domu. Będziesz tam bezpieczna.

Jeszcze chwilę opierała się, aż dała się namówić na opuszczenie jaskini. Spencer ponownie przeniósł psa na drugi brzeg strumienia, a potem wrócił, żeby pomóc Zoli przejść po kamieniach. Żałował, że nie miał żadnej kurtki, którą mógłby ją otulić, ale wiedział, że dziewczyna rozgrzeje się trochę podczas wspinaczki pod górę.

– Co się stało, Zolo? – zapytał, kiedy ruszyli szlakiem prowadzącym na Raven's Den.

Szła obok niego, jedną ręką uczepiona jego ramienia, a drugą przytrzymując stary koc, którym była owinięta.

– Zobaczyłam coś potwornego. – Jej głos był niewiele głośniejszy od szeptu.
– Nie jestem pewna, czy ktoś inny to widział, czy nie. Ale wydaje mi się, że tak, i że mógł pójść za mną. Dlatego musiałam się ukryć.

– Dlaczego nie powiedziałaś o tym nikomu?

Wstrzymała oddech.

– Bo bałam się, że gdybym komuś o tym powiedziała, to ten ktoś mógłby ucierpieć.

Spencer zrozumiał wreszcie, dlaczego ukryła samochód i sama się schowała.

Zola zadrżała.

– Juan Chen zamordował swoją żonę, Seng Ryon. Widziałam to, Spencerze. Zamrugał oczami ze zdumienia.

– Jak to: widziałaś?

Zola zatrzymała się i spojrzała mu w oczy.

– Widziałam Seng jako upiora pod nawierzchnią parkingu za Chen Palace Restaurant.

Spencer zorientował się, że uniósł brwi w górę, dopiero kiedy dostrzegł pochmurną minę Zoli.

– Wiem, że to brzmi niesamowicie, ale przysięgam, Spencerze, że to prawda.

– Znowu wstrząsnął nią dreszcz. – Córka Bena, Seng Ryon, wyciągnęła rękę spod ziemi i dotknęła mojej nogi. To było straszne, Spencerze. Nigdy wcześniej nie miałam takich wizji. Bóg nie zsyłał na mnie poprzednio równie okropnych doświadczeń. Potworność! Nie chciałam tego widzieć! – zakończyła swoją opowieść urywanym głosem.

Spencer otoczył Zolę ramieniem i mocno przyciągnął ją do siebie. Wiedział, że Zola nie wymyśliła tak dziwacznej historii.

– Nie wiem, czy pamiętasz, Zolo, ale Ben Lee mówił, że tygodniami modlił się, aby Bóg pokazał ci, co się stało z jego córką. – odezwał się Spencer wyjątkowo łagodnym tonem. Pochylił się i pocałował ją w czoło. – Najwyraźniej Bóg wysłuchał jego modlitwy.

– Ale dlaczego pokazał mi to w taki niesamowity, straszliwy sposób? – Wzdrygnęła się.

– Nie wiem – odparł i poprowadził ją ścieżką pod górę.

Po powrocie do domu Spencer wysłał Zolę do łazienki, żeby wzięła gorący prysznic, bo po wielu godzinach spędzonych w lodowatej kryjówce przemarzła do szpiku kości i trzęsła się z zimna. Dał jej swój podkoszulek i szlafrok, żeby miała co na siebie włożyć, zanim jej przesiąknięte wilgocią ubrania wyschną w suszarce.

Potem rozpałił ogień w kominku i zatelefonował do Devonów, Mayi oraz Astona, aby uspokoić ich, że Zoli nic się nie stało. Bez porozumienia z Zolą zadzwonił również do szefa policji, Billa Magee, który zapewnił, że przyjeżdża natychmiast, aby z nią porozmawiać.

– Ona ma za sobą ciężkie przeżycie, Billu. Postaraj się nie pogorszyć jej stanu, kiedy przyjedziesz. I przygotuj się na wysłuchanie niesamowitej opowieści.

Zola zdenerwowała się na wieść o wezwaniu Billa.

– On mi nie uwierzy, Spencerze. – Rozpląkała się, kompletnie rozstrojona przeżyciami tego dnia. – A nawet jeśli uwierzy, to do czego to doprowadzi? Przecież ta historia rozbija całą rodzinę i ja będę za to odpowiedzialna! Znam Chenów. Nigdy mi nie wybaczą, że ujawniłam tajemnicę.

– Nie wierzę w to – odparł Spencer i ruszył do drzwi, żeby wpuścić Billa Magee.

Bill usiadł na tapczanie obok Zoli i pozwolił jej opowiedzieć całą historię. Chociaż jej relacja brzmiała niesamowicie, wysłuchał wszystkiego w spokoju, nie zadając żadnych pytań.

Podczas opowiadania Zola popijała gorące kakao podane przez Spencera. W jej wielkich oczach nadal malowały się niepokój i trwoga.

Bill Magee potarł swój podbródek.

– Mówisz, że widziałaś córkę Bena Lee pod nawierzchnią parkingu. Zakładam, że to oznacza, iż tam właśnie została pogrzebana. – Wyjął telefon komórkowy. – Istnieje prosty sposób, żeby to sprawdzić. Zadzwońię do Deana Myrphy’ego z firmy brukarskiej i dowiem się, czy kładli nową nawierzchnię na tyłach Chen Palace.

Odbył krótką rozmowę i zakończył połączenie.

– Cóż, moim zdaniem mamy wystarczający powód, aby wystąpić do sądu o pozwolenie na rozkopanie nawierzchni parkingu. Dean potwierdził, że kładli tam asfaltobeton następnego dnia po zniknięciu Seng Ryon.

– A co pan powie sędziemu? – Zola nerwowo obgryzała paznokcie.

Bill uśmiechnął się.

– Powiem, że otrzymałem anonimową informację, że widziano, jak Juan Chen kopał na terenie parkingu przed położeniem tam nowej nawierzchni. I że wyglądało to podejrzanie, choć świadek do tej pory nie orientuje się, co mogła oznaczać ta scena.

Zola zmarszczyła brwi.

– Ale to kłamstwo.

Magee roześmiał się i znowu potarł podbródek.

– Cóż, wydaje mi się, Zolo, że w tej sytuacji odrobina łgarstwa będzie lepsza niż prawda. – Z sympatią poklepał ją po kolanie. – Jeżeli okaże się, że to było morderstwo, to postaram się wyłączyć cię z tej sprawy. Zresztą sąd nie przyjąłby raczej zeznania o upiorze czy duchu, który wyłonił się spod chodnika.

Rozmawiali jeszcze przez chwilę, po czym Bill Magee wstał.

– Już nie masz się czego obawiać, Zolo. – Popatrzył na nią w zamyśleniu. – Wiesz, od dziecka jestem chrześcijaninem, ale naprawdę zadziwia mnie, w jaki

sposób Bóg objawia ci to, co ma do przekazania.

Zola chciała odpowiedzieć, ale Magee potrząsnął głową.

– Tak, wiem, że takie historie znajdują się w Biblii, Zolo. Ale ludziom jakoś trudno uwierzyć, że coś takiego mogłoby zdarzyć się teraz.

Spencer wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Podejrzewam, że w czasach biblijnych ludzie tak samo nie byli na to przygotowani, Billu. W tych sprawach niewiele się od tamtej pory zmieniło.

– Cóż, chyba masz rację. Wszyscy jesteśmy gotowi uwierzyć w nadnaturalne zjawiska opisane w Biblii, ale nie w sytuacji, gdy stykamy się z nimi tu i teraz.

Zola wyciągnęła rękę do Billa.

– Dziękuję, że byłeś dla mnie taki dobry.

Ujął jej dłoń i poklepał ją.

– Odpocznij teraz i wróć do siebie po tym wszystkim. Podejrzewam, że zobaczenie tego wszystkiego, było przerażające.

Spencer odprowadził komendanta Magee do samochodu.

– Sądzisz, że Juan Chen naprawdę zamordował swoją żonę, Bill?

– Nietrudno będzie sprawdzić. – Zawiesił głos. – W moim zawodzie często okazuje się, że sprawcą zbrodni jest osoba z najbliższej rodziny ofiary. To smutne, ale prawdziwe.

– Dziękuję, że nie wyśmiałeś Zoli i jesteś gotów to sprawdzić. – Spencer mocno uściśnął rękę Billa.

– Nie zawsze rozumiem Zolę, ale bardzo ją lubię. Ma dobre serce, a jej wizje wielokrotnie pomagały ludziom. – Zmarszczył czoło. – Nie mam nic przeciwko temu, że włączyła się do tej sprawy. Nie podoba mi się jednak, że ta zwariowana wróżka z autostrady również wtrąciła swoje dwa grosze.

– Madame Renee?

– Panna Mildred Renee Dupler stwarza nam tutaj problemy od blisko dwudziestu lat. – Bill Magee potrząsnął głową. – Bardzo rzadko jej wróżby z kart lub z kryształowej kuli mają ręce i nogi. Z reguły wywołują masę problemów. Jak w tej historii z Aldo Toomeyem czy teraz z Benem Lee. Kiedy przepowiednie Renee nabrały rozgłosu, musiałem postawić na nogi wszystkich swoich podkomendnych, żeby szukali porywacza. Ludzie są podatni na brednie wygłaszane przez wróżki.

– Jak sądzisz, czy madame Renee będzie próbowała robić Zoli problemy, jeśli to morderstwo okaże się prawdą? – zapytał Spencer, siląc się na lekki, swobodny ton.

– Tylko jeśli jakimś cudem coś zwącha. – Bill wszedł do samochodu. – Będę ją miał na oku, Spencerze, jak przyjdzie co do czego.

Rozdział dwudziesty trzeci

Zazwyczaj Zola nie wyjeżdżała na Mooréa latem, w pełni sezonu turystycznego w Gatlinburgu, ale teraz sytuacja była wyjątkowa. Po prostu musiała wyjechać. Presja wywierana na nią okazała się tak silna, że utraciła spokój. Również jej wiarę skaziło zwątpienie.

Siedziała teraz na zacienionej werandzie domu ojca, wysoko na wzgórzu ponad wybrzeżem Temaé. W dole, pomiędzy palmami i drzewami rosnącymi wokół wyspiarskiego domu, połyskiwały wody Oceanu Spokojnego. W ostatnich dniach odbywała wielokrotnie uspokajające spacerunki po plaży, pozwalając, by monotonny szum fal kołował jej duszę.

Podniosła wzrok, gdy usłyszała odgłos otwieranych drzwi. Ojciec najwyraźniej postanowił przyłączyć się do niej – przyniósł na werandę swoją poranną kawę oraz gazetę.

Usiadł obok niej przy stole.

– Wyglądasz już na nieco bardziej wypoczętą, córeczko.

Na widok znanej, dobrej twarzy ojca Zola poczuła przypływ miłości.

Stanford Devon założył nogę na nogę i zaczął przeglądać gazetę, sącząc poranną kawę.

Jego ciemne włosy już lekko posiwiały i przerzedziły się nad czołem, a twarz była pobrużdżona wiekiem, ale nadal emanował spokojem, który Zola tak dobrze pamiętała. Matka mówiła jej, że ten spokój działał kojąco na pacjentów. Stanford Devon wierzył zawsze, że obrał drogę życiową zgodną z wolą Bożą. Zola zazdrościła mu teraz tego przekonania.

Podniósł oczy i pochwycił jej badawcze spojrzenie.

– Jesteś już w stanie rozmawiać, Zolo?

Uśmiechnęła się do ojca.

– Niewiele mam do dodania, prawie wszystko już ci powiedziałam. Wiem, że rozmawiałaś z Naną Ettą. Wiesz, co się stało.

Jego wzrok spoczął na Biblii leżącej przed Zolą, jeszcze otwartej po porannej modlitwie.

– Trudno poradzić sobie z taką wizją, jaką otrzymałaś.

Zola przygryzła wargę.

– Czy myślisz, że Pan zacznie mi teraz regularnie ukazywać takie rzeczy, tato? Że będzie mi odtąd pokazywał więcej?

Ojciec w zamyśleniu wpatrywał się w ocean.

– Nie wiem, Zolo, ale wątpię w to. – Upił kolejny łyk kawy. – Wydaje mi się, że to była szczególna sytuacja.

– Przerażająca! Wiem, że wiara i strach nie mogą iść w parze. –

Z niepokojem zaciskała ręce. – Nie zareagowałam jak osoba wierząca, kiedy zobaczyłam tę wizję, tato. Wpadłam w panikę. Uciekłam. Byłam przerażona. Nie zachowałam się jak na wysłanniczkę Pana przystało.

– I to cię martwi, tak?

Kiwnęła głową.

– Zaniósłś to przed Jego oblicze? – zapytał łagodnym, nieco przyciszonym głosem.

– Próbowałam. Powierzyłam mu swoje troski, ale wróciły do mnie jak fale przyplywu.

– Czasami tak jest. – Zaśmiał się cicho. – Ale próbuj dalej, Zolo. Prędzej czy później te troski odpłyną, a ty odzyskasz spokój.

– Niczego bardziej nie pragnę, tato. Nienawidzę tego niepokoju i zmartwienia, tego dźwigania trosk, którym powinnam pozwolić odejść. – Nieustannie pocierała dłonią ramię.

– Może to doświadczenie pozwoli ci lepiej rozumieć ludzi, którzy mają podobne trudności. – Rzucił jej krzepiące spojrzenie. – Wszyscy przeżywamy trudne chwile. Dotykają naszego życia na rozmaite sposoby, zarówno w sensie fizycznym i emocjonalnym, jak i duchowym.

– Pewnie często masz z tym do czynienia, lecząc ludzi.

Uśmiechnął się i spojrział na zegarek.

– Skoro już o tym mowa, to wkrótce będę musiał zejść na dół, do kliniki.

– Przyjdę potem ci pomóc – zaproponowała Zola.

– Nie ma takiej potrzeby. – Złożył gazetę. – Zolo, czy mogę ci zadać pytanie?

– Jasne – zapewniła z uśmiechem.

– Opowiedz mi o tym mężczyźnie, z którym się spotykasz.

Zaskoczona Zola zamrugwała powiekami.

– Wiem od Nany, że poważnie zaangażowałaś się w związek z kimś... jakimś fotografem z Gatlinburga. Ona i Vern go lubią. Powiedziała, że on martwi się o ciebie, że zdenerwował się, kiedy zniknęłaś, nie informując go o swoim wyjeździe. – Zdjął okulary i zaczął je czyścić w oczekiwaniu na odpowiedź.

Zola szukała odpowiednich słów.

– Zależy mi na nim, tato. I wiem, że jemu na mnie zależy. On również miał problemy, z którymi musiał się uporać. Staralam się mu w tym pomóc. A kiedy byłam przerażona, to właśnie Spencer mnie znalazł. Czułam wówczas jego siłę i byłam mu za nią wdzięczna.

Szeroko rozłożyła ręce.

– Ale jak mogę prosić kogoś, aby dzielił ze mną życie, skoro takie okropne wizje mogą mnie nawiedzać częściej? A późniejszy rozgłos był naprawdę okropny, tato. Prasa odkryła mój udział w wyjaśnieniu tego, co się stało z córką Bena Lee.

Opisano to w gazecie, a potem tabloidy zaczęły polować na mnie i na madame Renee. Chciały zrobić z tej historii sensację, sprowadzić ją do rywalizacji pomiędzy dwiema wróżkami. To było po prostu makabryczne.

Łzy napłynęły jej do oczu, otarła je ręką.

– Dziennikarze nachodzili mnie w sklepie i w domu. Próbowali robić wywiady ze Spencerem i z moją rodziną.

Potrząsnęła głową, zdenerwowana samym opowiadaniem o tym, co się działo.

– W przeszłości zdarzało się czasem, że lokalna prasa informowała o cennej radzie, której komuś udzieliłam, albo o informacjach, jakie otrzymałam w jakiejś sprawie. – Szukała w pamięci. – Na przykład o tym chłopcu, Eddiem, który zgubił się w górach. Ale wtedy to nie było takie okropne jak teraz. I rozgłos szybko mijał.

Ojciec wyciągnął z kieszeni chusteczkę. Należał do mężczyzn, którzy nadal zawsze mieli przy sobie czystą chusteczkę do nosa. I zawsze gotów był jej komuś użyć.

Zola wytarła oczy. Już sam gest wpłynął na nią uspokajająco.

Stanford Devon założył nogę na nogę i zastanawiał się nad tym, co Zola powiedziała.

– Wydaje mi się, córeczko, że mężczyzna, który nie stanie u boku swojej kobiety w godzinie próby, nie jest wiele wart. Czy ten twój Spencer dał do zrozumienia, że chce zerwać wasz związek z powodu tego, co się stało?

– Nie – przyznała szczerze. – Z początku był zagniewany i poirytowany, że zaangażowałam się w tę sprawę. Martwiło mnie to. Chciałabym, żeby Spencer wierzył w to, kim jestem, w to, co słyszę. Ale kiedy morderstwo wyszło na jaw, oświadczył, że wierzy, iż Bóg pragnął je ujawnić za moim pośrednictwem. Powiedział nawet, że jego zdaniem Bóg pokazał mi, co się stało z Seng, ponieważ Ben Lee modlił się, żebym zobaczyła, co się z nią stało.

Niespokojnie miedliła w rękach chusteczkę.

– Ale jak mogłabym prosić kogoś, by dzielił ze mną życie, jeżeli nadal będę stwarzała tego typu problemy? To nie fair prosić o coś takiego, tato.

– Powiedziałaś, że ty dzieliłaś jego problemy. Czy zawsze byłaś wobec niego cierpliwa i wyrozumiała?

Zola spuściła wzrok. Tym pytaniem ojciec ją przygwoździł.

– Nie – padła cicha odpowiedź. Nie było sensu kłamać. I nie byłoby to w porządku.

Uśmiechnął się.

– Więc może powinnaś przyjąć do wiadomości, że Spencer jest również ludzką istotą. Nie zawsze będziecie idealnie zgrani, nie zawsze będzie rozumiał, co myślisz czy czujesz. I nie zawsze będzie święcie wierzył w każde przesłanie, jakie otrzymasz od Pana, chyba że i jemu będzie ono dane. Ale jeśli cię kocha, to będzie

się starał. A jestem pewien, że ty będziesz się starała zrozumieć jego. To właśnie jest miłość, Zolo. Człowiek nie zawsze jest doskonały, ale dba o drugą osobę i stara się. I ufa.

Pochylił się i wziął rękę Zoli w swoje dłonie.

– Może powinnaś bardziej wierzyć w swoją miłość do Spencera i jego miłość do ciebie. A jeszcze mocniej w miłość Boga, Zolo. Nie sądzę, żeby Bóg oczekiwał od ciebie życia w samotności tylko dlatego, że obdarował cię trochę bardziej niż większość ludzi. I szczerze wątpię, czy będzie naprawdę często stawiał cię w tak trudnej roli. Bóg zwykle nie żąda od ludzi więcej, niż mogą znieść.

Puścił do niej oko.

– I mam nadzieję, że następnym razem postarasz się zachować jak człowiek głębokiej wiary i nie ulegniesz przerażeniu.

– Tak będzie. – Zola czuła, że to mówi szczerze. I zaczął ją ogarniać spokój. Stanford Devon podszedł i pocałował ją w policzek.

– Ciesz się pięknym dniem, córeczko. Uspokój się, niech cię wypełni radość i mądrość Ducha Bożego. I posłuchaj swego serca. Myślę, że teraz jesteś do tego zdolna.

Po odejściu ojca Zola modliła się długo, a potem znajomą krętą ścieżką między palmami zeszła do swojego szałas na urwisku nad morzem. Po raz pierwszy zobaczyła szałas do medytacji, kiedy była małą dziewczynką, dopiero potem poznała legendę i cel budowania takich miejsc. Ten szałas, podobnie jak późniejszy na Raven's Den, skleciła po śmierci matki. Oba szałas były dla niej miejscami szczególnymi.

Kiedy usiadła na prostej ławie, ogarnął ją spokój. Oparła ręce na poręczy szałas i napawała się pięknem oceanu. Odwróciła głowę, gdy z tyłu dobiegł ją jakiś hałas i dostrzegła stojącego w cieniu Spencera.

Przycisnęła ręką serce, kompletnie zaskoczona.

– Spencer! Co tutaj robisz?

Kąciki jego ust uniosły się w uśmiechu.

– A gdzie indziej mógłbym być? Moje miejsce jest tam, gdzie jesteś ty, Zolakieran Devon. Tutaj, na Mooréa, w górach Tennessee, czy gdziekolwiek indziej.

Gdy to usłyszała, łzy zaczęły spływać po jej policzkach.

Spencer osunął się na ławkę, wziął ją w ramiona i przytulił jej twarz do swej piersi.

– Jak mogłaś wyjechać, nie zaglądając do mnie, Zolo? Nie rób już tego nigdy więcej, proszę. Kocham cię. Jesteś moim życiem. Przekonałem się, że bez ciebie nie mogę normalnie żyć ani być szczęśliwy.

Dotknęła jego twarzy.

– Obawiałam się, że związek ze mną może cię zranić, Spencerze.

Przysporzyć ci więcej bólu i problemów. A miałeś ich już w życiu aż nazbyt wiele.

– I chciałaś podjąć decyzję za mnie? – Wyrwał mu się desperacki pomruk. – Zolo, bez ciebie nie ma dla mnie życia. Kiedy cię poznałem, zacząłem znowu żyć. Ty mnie zmieniłaś, wzbogaciłaś. Umocniłaś moją wiarę. Uleczyłaś serce. Dałaś mi szczęście. Nie wiesz o tym?

Te słowa zabrzmiały w jej uszach równie słodko, jak słodko pachniały kwiaty plumerii na rosnącym w pobliżu tropikalnym drzewie.

– Życie ze mną może nie zawsze być łatwe, Spencerze.

Złapał jej rękę i podniósł ją do ust.

– Ze mną też nie zawsze będzie łatwo żyć, Zolo. Ale będziemy czerpać siłę od siebie nawzajem i wspierać się w chwilach słabości. – Zajrzał jej głęboko w oczy. – I zawsze będziemy ze sobą szczerzy. To dla mnie ważne. Nie będziemy nic przed sobą ukrywać. I nie będziemy uciekać, kiedy pojawią się trudności. Będziemy zbliżać się do siebie.

Te słowa emanowały pięknem i prawdą, które wypełniły Zolę głębokim zadowoleniem.

Objęła Spencera ramionami, śmiała się i całowała go w przyływie radości.

– Taka jestem wdzięczna, że przyjechałeś, Spencerze! – Jej serdeczny śmiech zadźwięczał jak dzwoneczek. – Jak mnie tutaj znalazłeś?

Uśmiechnął się szeroko.

– Poszedłem do kliniki i twój ojciec powiedział mi, gdzie cię szukać.

Szeroko otworzyła oczy.

– Spotkałeś się z moim ojcem?

– Tak. I polubiłem go. – Rozejrzał się dokoła. – Polubiłem również to miejsce. Wziąłem ze sobą aparat. Chyba zrobię trochę zdjęć podczas pobytu tutaj.

– Mówisz szczerze? – Uśmiechnęła się do niego zalotnie.

– Tak. I pomyślałem, że może chciałabyś wziąć tutaj ślub. – Zaborczo przesunął rękami po jej ramionach. – Moglibyśmy spędzić tutaj miesiąc miodowy, zanim wrócimy do domu. Co byś powiedziała na taki wyspiarski ślub, o jakim mi opowiadałaś?

Zamrugła oczami z zaskoczenia.

– Masz na myśli taki ślub, kiedy pan młody przybija w canoe do brzegu, na którym czeka panna młoda? W tubylczym stroju itp.?

Jego orzechowe oczy zabłysły.

– W końcu pochodzisz z tahitańskiej rodziny królewskiej. Wszystko pasuje.

– Uśmiechnął się łobuzersko. – I pomyśl, jakie wspaniałe będą ślubne zdjęcia!

Dała mu żartobliwego kuksańca.

– O niczym innym nie myślisz, tylko o fotografiach!

Ciepłe oczy Spencera pociemniały. Pochylił się i obdarzył ją namiętym pocałunkiem.

– Uwierz mi, Zolo Devon, że w tej chwili nie tylko o tym myślę.

Dawne niepokoje odpłynęły wreszcie z falami oceanu i nawet nie próbowały powrócić, Zola poczuła, jak wypełnia ją wewnętrzny spokój.

– Kocham cię, Spencerze Jacksonie.

– A ja ciebie, Zolo Devon.

Przez chwilę całowali się, trwając w oszałamiającej bliskości. Wreszcie Spencer odsunął się z pewną niechęcią.

Siedzieli oboje w milczeniu, wsparci łokciami na poręczu szalasu, wpatrując się w ocean.

W końcu Spencer przerwał milczenie.

– Może zainteresuje cię fakt, że madame Renee wyjechała z miasta.

– Na pewien czas, jak ja? – Zola zdawała sobie sprawę, że presja mediów na madame Renee była równie silna jak na nią.

– Nie, wyniosła się na stałe.

– Skąd wiesz? – Zola zwróciła na niego pytające spojrzenie.

– Od Billa Magee. – Parsknął śmiechem. – Ktoś, prawdopodobnie Aldo Toomey, znowu wypisał na jej podjeździe i dachu „Oszustka”. A przekazy medialne pokazywały ją w tak niekorzystnym świetle, że postanowiła się przeprowadzić. Słyszałam, że przeniosła się do turystycznego miasteczka w Północnej Karolinie, gdzie mieszka jej siostra.

Zola zmarszczyła czoło.

– To małoduszne z mojej strony, ale muszę przyznać, że jestem z tego zadowolona.

Spencer ujął jej dłoń.

– Nana Etta twierdzi, że to odpowiedź na modlitwy wielu osób. Kazała ci to powtórzyć. Prosiła też, żebym ci przypomniał, że to, co z początku wydaje się złe, z czasem zmienia się w wielkie dobro.

– To prawda. To doprawdy cudowne, jak często Bóg przemienia zło w dobro.

Zolę znowu zaczęła wypełniać radość. Pochyliła się i impulsywnie rzuciła się w ramiona Spencera, znowu pocałowała go gorąco, z całkowitym oddaniem.

– Powinniśmy się bardzo szybko pobrać – mruknął.

– Tak. – Wstała i uśmiechnęła się. – Chodźmy porozmawiać o tym z tatą od razu. A kiedy wrócimy w góry, urządzimy w kościele uroczystość dla wszystkich naszych przyjaciół.

Wzięli się ze Spencerem za ręce i razem ruszyli ścieżką pod górę.

– Chciałbym zobaczyć minę Astona, kiedy mu powiem, że zdążyliśmy się pobrać przed jego ślubem z Carole. – Spojrzał Zoli w oczy. – Jak mówi się po tahitańsku „kocham cię”?

Uśmiechnęła się do niego.

– *Ua here vau ia oe.* Ale wystarczy mi do szczęście słyszeć to po angielsku, Spencerze. Byle często.

Uściskał jej dłoń.

– Postaram się zapamiętać, żeby powtarzać to jak najczęściej... i zawsze ci to okazywać, Zolo.

– Niczego więcej nie pragnę – powiedziała, a jej serce rozspiewało się z radości.

¹ chwalący Boga okrzyk, fr. refrenu pieśni Afroamerykanów „John Brown’s body...” (*przyp. red.*)

² List do Filipian 4,8-9, za: Pismo Święte Nowego Testamentu, Edycja Św. Pawła, 2006

